

KATARZYNA RYGIEL

A woman with vibrant red hair and brown eyes is shown from the chest up. She is holding a piece of red fabric that is draped over her shoulder. On the fabric, there is a skeleton hand holding several silver coins. A circular compass rose is also visible on the fabric. The background is a deep red color.

GRA W CZERWONE

KATARZYNA RYGIEL

GRA W CZERWONE

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

Epilog

W ciemnym, pogrążonym w ciszy mieszkaniu nagle rozdzwonił się telefon. Śpiąca kobieta drgnęła niespokojnie i przewróciła się na drugi bok. Telefon umilkł, ale po chwili odezwał się znowu, zmuszając ją do uniesienia ciężkich od snu powiek. Westchnęła, i nie zapalając, światła sięgnęła po zegarek. Trzecia dwadzieścia. Wskazówki na podświetlanym cyferblacie leniwie wędrowały donikąd. Nie chciało jej się wstawać (nie o tej porze!), więc bez ruchu czekała, aż uruchomi się automatyczna sekretarka. *Cześć. Nie ma mnie w domu. Zostaw wiadomość po sygnale.*

— Ewa? Tu Cyryl. Gdzie ty się podziewasz w środku nocy?

— w głosie pytającego pobrzmiwało rozczarowanie podszyte zniecierpliwieniem. — Zadzwoń później.

— Kiedy później? — Ewa już była przy telefonie, choć jeszcze kilka sekund temu walczyła z ogarniającą ją sennością. —

O piątej rano? Czy ty wiesz, która jest godzina?

— Aż za dobrze, niestety — mruknął mężczyzna bardziej do siebie, niż do niej. — Nawet w połowie nie jesteś tak niewyspana jak ja.

— Śmiem wątpić.

— Przepraszam, że wyciągnąłem cię z łóżka. Czy mogłabyś przyjechać do Warszawy?

— Słucham?!

— Wiem, to nietypowa prośba o tej porze, ale... spróbuj się skoncentrować... Mogłabyś?

— Nie wiem... — zastanawiała się Ewa, ziewając rozdzierająco. Rude pasma włosów opadły jej na czoło. — Musiałabym pomyśleć...

— Obawiam się, że na to akurat nie mamy czasu. Przyjeżdżesz, czy nie?

— Cyryl, co się stało?

— Nic szczególnego. Ktoś kogoś zabił. Normalna sprawa

— powiedział Cyryl. — Albo prawie normalna, jeśli pominąć okoliczności...

— Nie rozumiem, coja mam z tym wspólnego? — Ewa broniła się bez przekonania, powoli zaczęła w niej kiełkować ciekawość.

— Myślę, że twoja wiedza mogłaby nam pomóc.

— Wiedza? — powtórzyła zaskoczona. Cyryl, tak jak ona, był antropologiem. Kiedy Ewa pisała doktorat, on zrezygnował z kariery naukowej i zaczął pracować w policji. Mieszkał w Warszawie, widywali się więc rzadko, choć regularnie, kilka razy w roku, gdy zjawiał się w rodzinnym Szczecinie. Mieli jednak za sobą długie kwadranse spędzone ze słuchawką przy uchu, lubili wymieniać doświadczenia, a poza tym byli kumplami, z tych, co to beczkę soli razem zjedli. Co mogła wiedzieć ona, czego nie wiedział Cyryl?

— Słuchaj, nie mogę ci powiedzieć więcej przez telefon. Przyjedziesz? — w głosie mężczyzny pobrzmiwała prośba.

— Nie każ mi szukać pomocy gdzie indziej, bo nie wiem, do kogo mógłbym się zwrócić.

Zaintrygował ją. Zasiał ziarno niepokoju. Dobrze ją znał i wiedział, jak z nią rozmawiać, żeby rzuciła wszystko i zjawiła się w stolicy. Nie znosiła nudy i rutyny. Marzyło jej się ciekawe życie.

— Na długo? — spytała jeszcze, zastanawiając się, jak przesunąć terminy realizacji zleceń, które przyjęła w ostatnich dniach. Była najemnikiem, niezwiązanym z żadną instytucją umową o pracę. Mogła sobie pozwolić na wyjazd w każdej chwili.

Odpowiedziała jej cisza.

— Na tak długo, jak będzie trzeba — odezwał się w końcu Cyryl. — Zapraszam cię do siebie.

— Nie bądź tak śmiertelnie poważny... — próbowała zażartować, bo przestraszył ją ton jego głosu.

I

Lubisz grać? Ja lubię. Smakować ryzyko, jakby było dobrze przyrządzonym drinkiem. Sączyć je powoli, kolekcjonować doznania aż do ostatniej kropli na dnie kieliszka. Czuć na plecach dreszcz, który poprzedza chwilę natchnienia, przebłysk geniuszu, dobrze znany tym, którzy stracili bądź wygrali fortunę w karty, w ruletkę, na wyścigach... Jakie gry lubisz najbardziej? Ja te, w których przeciwnik spełnia moje oczekiwania. Nie chcę przez to powiedzieć, że powinien tańczyć do melodii, którą mu zagram, chodzi raczej o to, że starannie dokonuję selekcji. Dlaczego? Co za pytanie! Słyszalesz chyba o satysfakcji, którą osiąga się zawsze wtedy, gdy coś się udowodni, światu i/lub sobie. Ja lubię udowadniać. Nim zacznę grać, wiem, że los mi sprzyja, bo długo go wcześniej oswajam. Bardzo długo. Dopóki nie uznam, że je mi z ręki. Wiesz, jak to jest, gdy należy się do tej wąskiej grupy perfekcjonistów, dla których doskonałość jest drugą naturą. Sama myśl o porażce budzi mój niesmak. Porażki nie sposób usprawiedliwić. Dziwne? Raczej nie, to przecież kwestia upodobań i charakteru. Porażka wynika ze słabości. Zwycięstwo zawsze zależy wyłącznie od nas. Dlatego kiedy się po nie sięga, nie powinna nam zadrzeć ręka. Wygrałeś coś kiedyś? Założę się, że nie. Nie wyglądasz mi na takiego. Nie wierzę w pewność twoich dłoni. A zatem obce ci jest uczucie pełni, jakie towarzyszy każdemu triumfowi. Nie ma go w twoich oczach. Nie dostrzegam go tam, gdy na ciebie patrzę i obawiam się, że nie mógłbyś być moim przeciwnikiem. W tej grze ja dyktuję zasady. Zasady. Rozkoszuję się tym słowem, ilekroć go używam. Zasady, które dla ciebie mogą być trudne, może nawet niemożliwe do przyjęcia. Nie mam wątpliwości, że nie docenisz ich oryginalności. Mimo to może spróbuję co nieco ci

wyjaśnić. Uznaj moje starania za przejaw dobrej woli albo próżności, czy jak tam chcesz to nazwać. Mam prawo do zadowolenia, a poza tym gardzę fałszywą skromnością. Pamiętaj, że to tylko gra, rodzaj umysłowej gimnastyki, która wymaga wprawy. Pamiętaj też, że ćwiczenie czyni mistrza.

Artur oderwał dłonie od klawiatury komputera i zamyślił się nad ostatnim zdaniem. Artykuł do jutrzejszego wydania gazety był gotowy. Jeszcze tylko chwila oddechu, papieros, może kawa. Za pół godziny rzuci na tekst świeżym okiem, nim wyśle go do redakcji. Praca w domu dawała mu złudne poczucie, że kontroluje upływ czasu, a co za tym idzie — lepiej go wykorzystuje.

Wstał od biurka, przeszedł przez pokój i stanął w oknie. Na zewnątrz świat zaczynał szarzeć, godząc się z nadejściem zmierzchu. Październikowy wiatr zamiatał ulicę, ciskając pożółkłymi liśćmi w plecy przechodniów.

W mieszkaniu panował popielaty półmrok, który jeszcze się pogłębił, gdy w komputerze uruchomił się wygaszacz ekranu. Mimo wątłego światła, w lustrze wiszącym w przedpokoju zamajaczyła jego twarz, gdy Artur mijał je, kierując się do kuchni.

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną dobiegającym czterdziestki. Ani młodym, ani starym, pomyślał, przyglądając się przez chwilę swojemu odbiciu. Cienie pod dolnymi powiekami i wokół ust zdradzały obecność pierwszych zmarszczek. Podkrążone oczy wydawały się zupełnie pozbawione blasku, jak dwie dziury, wypalone w mocno spłowiałym kocu. A może była to wina otaczającej go ciemności? Nie, raczej nie — westchnął. Codziennie próbował spłoszyć bezsenność, stawiając przy łóżku butelkę i czasem udawało mu się zasnąć przed trzecią nad ranem. Nie pił dużo, za to systematycznie. Nie upijał się, po prostu próbował się rozluźnić. Nie było w tym nic nadzwyczajnego czy odbiegającego od normy. Miał stresującą pracę i od jakiegoś czasu był samotny. To dość, by szukać pocieszenia w brzęku kostek lodu, zalanych wysokogatunkowym alkoholem. Rano wsiadał do samochodu bez obaw,

że straci panowanie nad kierownicą; nie prowokował stróżów prawa, jeździł z dozwoloną prędkością i w życiu nie zdarzyło mu się zapłacić mandatu.

Nie szukał rozrywek i nie miał zbyt wielu znajomych. W pracy pojawiał się od czasu do czasu. Szefa działu miejskiego bardziej interesowały efekty jego działań, niż podpis na liście obecności. Zresztą dziennikarz nie może siedzieć za biurkiem, kiedy w mieście wciąż coś się dzieje. Dlatego starał się być wszędzie tam, gdzie się działo, we właściwym momencie, ani wcześniej, ani później. A potem zamieniał wydarzenia w szeregi słów i układał je w szpalty. Czy gonił za sensacją? Taki przecież miał zawód. Wypadki samochodowe, uliczne bójki, drobne szwindle i afery wstrząsające opinią publiczną. .. Opisywał je wszystkie, nie stroniąc od dosadnych określeń, które tak lubili stali czytelnicy. Tropienie codzienności przez jakiś czas bawiło go, później jednak zaczęło nudzić. Chciał czegoś więcej: reportażu na pierwszej stronie, tematu na wyłączność, dostępu do jedyne go w swoim rodzaju źródła informacji. To musiałoby być coś wielkiego, jak zamach na World Trade Center albo na Kennedy'ego, coś, o czym można by pisać w nieskończoność, dodając wciąż nowe szczegóły i nazwiska, najlepiej te, które wszyscy znają.

Artur czekał na swoją wielką szansę bardzo długo. Świat, na który spoglądał z okien mieszkania na drugim piętrze, zmieniał się wraz z nim i w końcu składał się już wyłącznie z rzeczy wartych lub niewartych opisania. Przebierając w nich jak w ulęgałkach, dziennikarz czuł się bogiem, stwarzającym rzeczywistość na nowo, wyjątkowo cynicznym, jeśli nie bezwzględnym demiurgiem, śledzącym rozwój wydarzeń bez cienia emocji.

Kiedy zaczął dostrzegać, jak bardzo się zmienił, doszło do pierwszego morderstwa.

Człowiek leżał nieruchomo, twarzą przytulony do ziemi. Gęste zarośla zasłaniały go przed wzrokiem przypadkowych przechodniów, których na nadwiślańskim wale o siódmej rano było tylu, co na lekarstwo. Mimo to

Artur go dostrzegł, zupełnie jakby wiedział, gdzie szukać. Najpierw plamę czerwieni, a kiedy podbiegł bliżej, zbaczając na chwilę z głównej ścieżki, także zarys głowy i ręki odrzuconej od ciała. Mężczyzna nie wyglądał na martwego. Jeszcze nie. Od jego śmierci minęło niewiele czasu, ale Artur wiedział, że nikt nie byłby w stanie go wskrzesić. Miał ochotę podejść bliżej, odwrócić ciało i spojrzeć umarłemu w twarz, ale stłumił ją w sobie, zastanawiając się przy tym, ilu dziennikarzy czułoby to samo, co on. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Dres kleił mu się do pleców, majowe słońce zaczynało przygrzewać. Niczego nie dotykaj – powiedział do siebie półgłosem. Jeszcze raz spojrzął na zwłoki. W cieniu pod drzewami kolor nieco przygasł, ale i tak wyglądały niesamowicie, odziane w czerwoną szatę, spowijającą je od stóp do głów niczym całun.

Peron był zatłoczony i Ewa, która wysiadła z pociągu relacji Szczecin Główny – Warszawa Centralna, nigdzie nie mogła dostrzec Cyryla. Zmęczona podróżą i niewyspana – po nocnym telefonie nie mogła zmrużyć oka, a od rana starała się załatwić jak najwięcej spraw przed niespodziewanym wyjazdem – marzyła o jakimś cichym miejscu, w którym mogłaby się napić kawy. Liczyła na to, że przyjaciel pomoże jej zrealizować to marzenie i teraz jego nieobecność zupełnie popsuka jej nastrój. Gdzie on się, do licha, podziewa? – pomyślała poprawiając pasek torby, zsuwający się z ramienia. Rude włosy, zebrane w węzeł, zalśniły w sinym świetle dworcowych lamp.

Rozglądała się wokół z coraz większym zniecierpliwieniem, które powoli ustępowało miejsca irytacji. Tłum rzedł i wkrótce poza nią na peronie było już tylko kilka osób, oczekujących na przyjazd następnego pociągu. Z nudów zaczęła im się przyglądać, mając nadzieję, że Cyryl w końcu się zjawi. Próbowała się z nim skontaktować, ale nie odbierał telefonu, wysłała więc SMS i schowała komórkę do kieszeni.

Minął kwadrans. Podróżnych znowu zaczęło przybywać, ale Ewa zamyśliła się i przestała ich dostrzegać. Może dlatego nie zwróciła uwagi na wysokiego mężczyznę, który patrzył na nią dłuższą chwilę, nim

zdecydował się podejść bliżej. Dopiero gdy się odezwał, drgnęła i odwróciła się zaskoczona.

Nie wyglądał jak ktoś wybierający się w podróż. Nie miał bagażu i nigdzie się nie spieszył. Popielata kurtka podkreślała kolor jego oczu i Ewa musiała przyznać, że jest mu w niej bardzo do twarzy. Wcale się nie zmienił w ciągu trzech lat, które minęły od ich ostatniego spotkania.

— Piotr? — powiedziała, zdobywając się na uśmiech, który miał ukryć jej zdenerwowanie. — Co ty tu robisz?

— Właściwie mógłbym zapytać o to samo — odparł kolega ze studiów, a przy tym były narzeczony. — Zobaczyłem cię z góry. Wprawdzie nie byłem pewien, czy to rzeczywiście ty, ale nikt inny nie ma takich włosów. Postanowiłem zjechać na peron... no i jestem. Tylko mi nie mów, że właśnie wyjeżdżasz...

— Wpadłam na kilka dni do znajomego — wyjaśniła, bo mężczyzna wyraźnie czekał, aż się odezwie. Było to tylko pół prawdy i Ewa nie wiedziała, czemu nie wyraziła się jaśniej, skoro wszyscy troje byli na jednym roku studiów i dobrze się znali. Dopiero później stosunki między Piotrem i Cyrylem nieco się rozluźniły, nim zanikły zupełnie. Obawiała się, że sama jest temu winna. Kiedy rozstała się z Piotrem, bardzo długo nie umiała o tym mówić bez emocji. A Cyryl umiał słuchać.

Nie widzieli się przez kilka lat. Trzy lata temu Piotr zaproponował jej pracę. Prowadził wykopaliska niedaleko Szczecina i potrzebował antropologa. Od tamtej pory czasem dzwonił, żeby pogadać. Przyzwyczała się do jego telefonów. A później, wbrew sobie i podszeptom zdrowego rozsądku, zaczęła na nie czekać.

— Podwieźć cię? — zapytał Piotr, wskazując jej torbę podróżną. — Nie jest ci ciężko? Daj, wezmę to.

— Nie trzeba — zaoponowała bez przekonania, robiąc krok do tyłu i przytrzymując torbę na ramieniu. — Właściwie... czekam na kogo...

— Powinienem był się domyślić — westchnął mężczyzna.

— Po tak atrakcyjne kobiety zawsze ktoś wychodzi na dworzec.

— Tak — przyznała, a w jej zielonych oczach błysnęła ironia. — Tylko czasem ten ktoś się spóźnia.

Rozłożył ręce, co miało świadczyć o bezradności.

— Takie miasto, moja droga. Ciągłe korki.

Pozornie ich relacja była niemal poprawna. Przez telefon rozmawiali spokojnie. Ewa nie raz chciała zapytać, dlaczego Piotr stara się podtrzymać tę znajomość, skoro od dawna mają sobie niewiele do powiedzenia, ale nigdy nie miała odwagi. Może bała się, że mężczyzna przestanie dzwonić i zniknie na dobre? Od pewnego czasu jego głos w słuchawce znowu przyprawiał ją o drżenie rąk. Była to chwilowa słabość, nad którą w końcu nauczyła się panować. Widocznie miłość, odchodząc, pozostawia po sobie takie czy inne ślady. Piotr zbyt długo był dla niej kimś wyjątkowym, by mogła się do niego odnosić obojętnie. Zdążyła wyjść za męża, ale rozwiodła się i znowu była wolna. Spotykała się z różnymi mężczyznami, za każdym razem dochodząc do wniosku, że to nie to. On myślał o małżeństwie, jednak w jego przypadku droga od pomysłu do realizacji była bardzo daleka. Zanadto cenił wolność, a samotność czasem mylił z niezależnością.

Cisza, która zapadła po jego ostatniej uwadze, z każdą chwilą stawała się bardziej męcząca. Ewie nie zależało na podtrzymaniu rozmowy. Była zmęczona podróżą i udawaniem, że cieszy się z nieoczekiwanego spotkania. Nie lubiła niespodzianek, które wywoływały emocjonalne trzęsienia ziemi. W tym stanie ducha szukanie bezpiecznego tematu wydawało się wysiłkiem przekraczającym jej możliwości.

Piotr patrzył na nią, jakby zamierzał coś powiedzieć i nie mógł się zdecydować.

— Piękna jak zawsze — odezwał się w końcu, gdy Ewa spojrzała na niego pytająco.

— Nie musisz mi mówić takich rzeczy. Ten etap mamy już za sobą.

— Nie muszę, ale chcę — sprostował, rozbawiony tonem, jakim to powiedziała, zaczepnym, żeby nie powiedzieć: wrogim. Nie uwierzył w to, co usłyszał. — Może pójdziemy na kawę, zanim minie pora szczytu i zjawi się ten tajemniczy znajomy, na którego czekasz? — zaproponował.

— Nie jest tajemniczy, jedynie niepunktualny — odparła nieco zgryźliwie Ewa, zachodząc w głowę, czemu stara się ukryć przed Piotrem swoje spotkanie z Cyrylem. I chyba kierując się instynktem samozachowawczym, a także po to, by uniknąć odpowiedzi, zapytała: — Nie powinieneś być w domu? Agata nie czeka z obiadem?

— Nie. Właśnie odprowadziłem ją na pociąg — usłyszała.

— I tak od razu proponujesz kawę innej kobiecie?

— Nie „innej”, tylko tobie. Jesteś prawie jak rodzina — zażartował, ale zaraz spoważniał, widząc, że się nie uśmiechnęła.

— „Prawie” robi różnicę...

— Tak, już to gdzieś słyszałem — mruknął, nie spuszczać z niej badawczego spojrzenia. — Pomyślałem, że kawa przyda się nam obojgu, ale jeśli nie masz ochoty...

— Nie nadaję się na pocieszycielkę opuszczonych mężczyzn.

— Nie potrzeba mi pocieszenia.

— A czego? — zapytała uprzejmie, chociaż nie spodziewała się odpowiedzi. Wymiana zdań wydawała jej się coraz bardziej absurdalna.

Może i umieli rozmawiać ze sobą przez telefon, ale najwyraźniej nie radzili sobie z emocjami, kiedy musieli na siebie patrzeć. Ich przeszłość skutecznie uniemożliwiała jakiegokolwiek porozumienie, a nawet wspólną pracę. Ewa mogła się o tym przekonać, gdy spędziła z Piotrem kilka tygodni pod jednym dachem. Duma i urażona ambicja nie były dobrymi doradcami. W niej tlił się jeszcze wątyły płomyk uczucia, który za wszelką cenę starała się stłumić. Prawie jej się udało, jednak letnia przygoda nie przetrwała próby czasu. On twierdził, że wciąż jest pod jej urokiem, ale wkrótce zainteresował się kimś innym. Ewa wołała już te zdawkowe rozmowy na odległość. Te prowadzone osobiście zanadto ją wyczerpywały.

Piotr mimo wszystko zdecydował się na odpowiedź.

— Chciałem pogadać. Normalnie. Nie przez telefon. I przypomnieć sobie, jak wyglądasz.

— To ci się już chyba udało? Stoimy tu dobre dziesięć minut.

— Na litość boską, Ewa! Czy jest coś złego w tym, że czasem mi ciebie brakuje?

Chyba się zmienił, przemknęło jej przez głowę. Był spokojniejszy. Bardziej zdystansowany. Trudniej go było sprowokować. Widocznie Agata знаła się na oswojaniu mężczyzn lepiej od niej.

— Nie, nic — przyznała, patrząc mu w oczy. — Tylko problem w tym, że trochę za późno na takie wnioski.

— Możliwe — powiedział Piotr bardzo cicho.

— Jest przecież Agata, prawda? — zauważyła Ewa.

I pół tuzina kręcących się wokół ciebie facetów, gdziekolwiek się ruszysz, zamierzał dodać Piotr, ale ugryzł się w język. Była mu za to wdzięczna. Piotr, którego znała, na pewno by to powiedział. Ten, który stał przed nią, musiał być jakimś nowym, ulepszonym modelem.

— Agatę zostaw w spokoju. Ona jest zupełnie inna niż ty.

— Całe szczęście... — Ewa nie mogła się powstrzymać. — Dzięki temu ci się nie mylimy.

Wiedziała, że przeholowała. Miała nadzieję, że może Piotr się obrazi i pójdzie w diabły. Przystanie dzwonić i burzyć ten kruchy spokój, o który tak zabiegała. Zniknie razem ze swoją szczerością i zabierze ze sobą nie tylko własne, ale także jej wspomnienia. Jednak on nie zamierzał odejść i Ewa z rezygnacją pomyślała, że będzie musiała mu to ułatwić.

— O co ci tak naprawdę chodzi? — zapytał mężczyzna. Próbował zajrzeć jej w oczy, ale mu się nie udało. Ewa wzruszyła ramionami. Sama chciałyby to wiedzieć. Może o niego, zastanowiła się. Może o miłość, której ostatnio brakowało w jej życiu. A może o tysiąc innych rzeczy...

— O nic. Teraz już o nic — odparła lekko, potrząsając rudą głową. Miedziane sprężynki zatańczyły wokół jej twarzy, więc odgarnęła je z czoła energicznym, zdecydowanym, a przez to mało kobiecym ruchem. Piotr popatrzył na nią z niepokojem, ale nic nie powiedział, więc dodała: — To tylko reakcja na twoją obecność. Taki odruch bezwarunkowy.

— Szkoda.

— Ja też żałuję — powiedziała, wpatrując się w brudnopopielate płyty, którymi wyłożony był peron. Wciąż czuła na sobie jego spojrzenie, więc w końcu podniosła głowę. W oczach Piotra dostrzegła smutek i coś jeszcze, tyle że to drugie uczucie zaraz znikło i nie zdążyła go rozpoznać.

— Pójdę już — odezwał się Piotr, stał jednak dalej, jakby się spodziewał, że ona będzie próbowała go zatrzymać. Przeliczył się.

— Idź — odparła Ewa z całym spokojem, na jaki było ją w tej chwili stać. — Byłeś tu wystarczająco długo.

Cyryl minął się z Piotrem na ruchomych schodach, jednak nie dostrzegł go w tłumie innych podróżnych. Ich sylwetki zrównały się na chwilę, ale zaraz się rozdzieliły. Piotr zniknął w korytarzu wiodącym do hali głównej dworca, podczas gdy Cyryl był już prawie na peronie. Machał do Ewy z daleka, ale ona, zajęta grzebaniem własnych uczuć, zauważyła go dopiero wtedy, gdy był kilka kroków od niej. Nieogolony, sprawiał wrażenie, jakby nie spał od bardzo dawna. Ewa powitała go westchnieniem ulgi.

— Już myślałam, że się w ogóle nie zjawisz — powiedziała zrzędlivym tonem, oddając przyjacielowi ciężką torbę. — Zawsze każesz kobietom na siebie czekać?

— Tylko czasem. Jeśli wiem, że nie mają innego wyjścia...

— Cyryl uśmiechnął się ze znużeniem. — Wszystko w porządku?

— Powiedzmy — wymijająca odpowiedź była lepsza, niż wdawanie się w szczegółowe wyjaśnienia dotyczące ostatniego kwadransa. — Au ciebie? Dlaczego mam wrażenie, że lecisz z nóg? — zapytała, rejestrując głębokie cienie pod oczami i zmarszczki, które musiały się pojawić niedawno, bo nie pamiętała, by znaczyły jego twarz, kiedy widzieli się poprzednim razem.

— Bo lecę — odparł bez entuzjazmu. — Ostatnio spałem jakiś tydzień temu. Jak podróż?

— Za długa, zwłaszcza po nieprzespanej nocy.

– Wybacz – powiedział Cyryl, ale widać było, że myślami jest gdzie indziej. Wcale nie było mu przykro. Ewa nie podjęła tematu.

– Chodźmy gdzieś na kawę – zaproponowała, niemal czując na języku smak małej czarnej. A może dużej, zmieniła zdanie. Dużej i mocnej.

Cyryl skrzywił się nieprzyjemnie.

– Na kawę, moja droga, to ja już nie mogę patrzeć. Ale dostałem polecenie służbowe, które zamierzam wykonać. Udaję się do domu na zasłużony odpoczynek, a ty jedziesz ze mną. Zrobię ci nawet litr kawy, jeśli będziesz chciała.

– Czytasz w moich myślach.

– Taki dar. Mam go od urodzenia. Wiem nawet, jakie będzie twoje następne pytanie.

– Słucham – zachęciła go Ewa, idąc pół kroku za nim, by uniknąć zderzenia z nadchodzącymi z przeciwka spieszącymi się ludźmi.

– „Do diabła, Cyryl, po co mnie tu ściągnąłeś?”

– Do diabła, Cyryl, po co mnie tu ściągnąłeś? – powtórzyła zgodnie.

– Później, kochana, później. Jak już postawię przed tobą wiadro kawy. Będziesz jeszcze żałować, że zapytałaś. Czy mówiłem ci już, jak bardzo się cieszę, że cię widzę?

Na zewnątrz padało i nim dotarli do samochodu, zdążyli zmoknąć. Ewa wcisnęła zziębnięte ręce w kieszenie skórzanej kurtki i pożałowała, że nie wzięła cieplejszej. Nie przyzwyczała się jeszcze do pluchy, która z dnia na dzień zastąpiła polską złotą jesień. Trzeba było wziąć płaszcz, przemknęło jej przez głowę. Nie lubiła marznąć, Cyryl chyba też nie, z mokrymi włosami i pobladłą twarzą wyglądał jeszcze bardziej mizernie. W szarym świetle popołudnia zauważyła na jego skroniach pierwsze siwe nitki i pomyślała, że kolega po fachu nie ma łatwej pracy. A może powód ich pojawienia się był inny?

Mężczyzna bez słowa otworzył przed nią drzwi i wrzucił torbę na tylne siedzenie. Nim ruszył, włączył radio i ciasną przestrzeń wypełnił

głos Michaela Buble. Ewie zrobiło się ciepłej. Poczwała, że zasypia, kołysana jednostajnym szumem silnika, szelestem wycieraczek, muzyką i deszczem. Zupełnie jak w filmie, pomyślała jeszcze, brakuje tylko Humphreya Bogarta. Czy to on grał w tych wszystkich kryminałach? Czy to ktoś inny?

Jechali w zmierzch. Ewa spała. Skupiony Cyryl starał się nie zasnąć za kierownicą. Mokra Warszawa przeglądała się w błyszczącym asfalcie.

Artur uczynił ciało, które widział nad Wisłą, głównym tematem dnia. Jego tekst *Reportaż z miejsca zbrodni* został wydrukowany na pierwszej stronie, a dokończenie znalazło się wewnątrz numeru w równie reprezentacyjnym miejscu. Redakcyjny fotograf, ściągnięty przed przyjazdem policji, wykonał dobrą robotę, co zajęło mu dwadzieścia minut. Dokładnie tyle, ile potrzebowałby lekarz, by po nieudanej reanimacji stwierdzić zgon. Zdjęcia pokazywały tyle, ile trzeba. Ciemny zarys głowy, pozbawioną koloru dłoni o krótko obciętych paznokciach, ułożone obok siebie z wielką dbałością nagie stopy. Dość, by czytelnik nabrał pewności, że patrzy na nieżyjącego człowieka. Żadnej ostentacji, żadnej krwi, zresztą tej wcale nie było widać. Na wszelki wypadek obaj trzymali się z dala od zwłok, pewni, że teleobiektyw aparatu cyfrowego poradzi sobie z odległością. Nie pomylili się. Zdjęcia były udane, dzięki kompozycji i kolorystyce niemal artystyczne, ale mężczyźni powstrzymali się przed użyciem tego określenia. W gruncie rzeczy przedstawiały przecież śmierć, a tej na ogół nie prawi się komplementów.

— Siadaj, gdzie chcesz — powiedział Cyryl, kiedy udało im się przedrzeć przez korki i dotrzeć do jego mieszkania, z dwiema porcjami chińszczyzny na wynos. Ewa wybrała wysokie barowe krzesło i usiadła przy blacie, oddzielającym kuchnię od salonu. Cyryl przełożył jedzenie na talerze i zajął miejsce naprzeciwko. Nie lubił jeść z pudełka; nie, kiedy mógł usiąść przy swoim stole i miał do dyspozycji metalowe sztućce. Nie zdążył włożyć widelca do ust, gdy nie wiadomo skąd pojawił się pręgowany kot, który

zwinnie wskoczył mężczyźnie na kolana. Ewa przyglądała mu się z zainteresowaniem.

— Nie miałeś kota — zauważyła po chwili.

— Przybłąda. Znalazłem zeszłej zimy na śmietniku. Odratowałem. Farinelli, złaź! — powiedział do kota, który wetknął głowę w jego talerz i przyglądał się daniu wielkimi żółtymi ślepiami. Zepchnięty z kolan, popatrzył na pana z urazą i oddalił się bezgłośnie.

— Nazwałeś go Farinelli? — uśmiechnęła się Ewa. — Jest wykastrowany?

— Jeszcze nie — Cyryl znowu zabrał się do jedzenia. — Jedz, póki ciepłe. Potem możesz nie mieć apetytu.

— Na kawę też? — spytała, bo mimo drzemki w samochodzie ciągle miała na nią ogromną ochotę.

— Skąd mam wiedzieć?

— Jesteś bardzo małowówny, to do ciebie niepodobne.

— Po prostu zbieram myśli. Im dłużej się zastanawiam, tym więcej mam wątpliwości, czy słusznie cię w to wciągam. I zupełnie nie wiem, od czego zacząć.

— Teraz masz wątpliwości? — Ewa popatrzyła na niego z politowaniem. — Trzeba się było zastanowić zeszłej nocy, nim wyciągnąłeś mnie z łóżka. Zapewniam cię, że nie znam drugiej osoby, która nie pytając o szczegóły, wsiadłaby w pociąg, żeby tu na miejscu potrzymać cię za rączkę.

Szczerze mówiąc, ja też nie znam... — westchnął Cyryl z rezygnacją, podając jej parujący kubek, wypełniony ciemnym aromatycznym płynem. — I nie chodzi tylko o trzymanie za rączkę. Gdyby chodziło, pewnie sprawa byłaby dużo prostsza.

— Więc nie marudź, tylko mów.

Nie chciała go popędzać, ale zaczynało ją męczyć jego niezdecydowanie. Osiągnęła tylko tyle, że umilkł na dobre.

— Cyryl? — zagadnęła po kilku minutach, kiedy oba talerze były puste, a kubek z kawą opróżniony do połowy.

— No?

— Czekam, aż coś powiesz. Cokolwiek.

— Wiem — wydawał się nieswój, jakby obawiał się powiedzieć za dużo. A przecież to był jego pomysł. Ewa, zaskoczona nietypowym dla mężczyzny zachowaniem, zdecydowała, że nie będzie już o nic pytać. Ale on właśnie w tym momencie podjął decyzję i z jego czoła znikła pionowa zmarszczka.

— Dobrze — powiedział, prostując się na krześle. — Zanim zacznę, chciałbym cię prosić o dyskrecję. Te informacje są tylko do twojej wiadomości. Ich rozpowszechnianie może skomplikować śledztwo... jeszcze bardziej — przerwał i popatrzył na Ewę z namysłem, jakby się zastanawiał, w jakie słowa ubrać to, co zamierzał powiedzieć. Postanowił, że będzie rzeczowy. Wiedział z doświadczenia, że dyscyplina językowa ułatwia nie tylko sformułowanie komunikatu, ale także jego przyjęcie. — Mieliśmy tu kilka morderstw... — zaczął. — Dokładnie cztery. Pierwsze w maju. Ostatnią ofiarę znaleziono zeszłej nocy.

Mężczyzna, który wysiadł przy Teatrze Powszechnym z autobusu linii 517, na krótką chwilę zniknął wśród ludzi tłoczących się na przystanku, by po chwili pojawić się kilkadziesiąt metrów dalej. Szedł bardzo szybko, a kiedy dotarł do przejścia dla pieszych, rozejrzał się nerwowo, jakby czuł, że jest obserwowany. Był raczej średniego wzrostu. Gdy się odwrócił, uliczne latarnie oświetliły jego profil, a później całą twarz, kształtny nos i wyraźnie zarysowane kości jarzmowe, głęboko osadzone oczy pod zrosniętymi ze sobą, gęstymi brwiami. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat.

Zmieniły się światła, więc przeszedł, a właściwie przebiegł na drugą stronę ulicy. Rozejrzał się jeszcze raz i skręcił w stronę Parku Skaryszewskiego. Tu nie było już tak jasno. Powiał chłodny wiatr i rozległ się charakterystyczny zgrzyt zamka błyskawicznego. Spieszący się mężczyzna mocował się z nim kilka sekund, zanim wreszcie udało mu się go zasunąć. W ciemności nie było widać, czy trzęsą mu się

dłonie, ale świadczył o tym czas, jakiego potrzebowały jego palce, by uporać się ze zwykłą czynnością. Z każdym krokiem jego oddech stawał się krótszy i bardziej świszczący. Kiedy się potknął i przewrócił, idący za nim człowiek wyszedł z cienia, podszedł bezgłośnie i pochyliwszy się nad leżącym, przyłożył do jego szyi zimny metalowy przedmiot.

— Morderstwa... — powtórzyła Ewa bezwiednie, bawiąc się pustym kubkiem. W końcu oderwała wzrok od swoich dłoni i utkwiała go w Cyrylu. — Chcesz powiedzieć, że dzwoniłeś do mnie zaraz po tym, jak ktoś...?

Przyjaciel pokiwał głową, a jej nagle zrobiło się zimno.

— Dlaczego zostałeś włączony w śledztwo? Sekcja zwłok nie należy chyba do twoich obowiązków? — spytała, z pewnym wysiłkiem opanowując drżenie głosu.

— Nie należy — potwierdził. — Czasem jednak ciało jest w takim stanie, że nie można ustalić tożsamości zmarłego. Wtedy moja wiedza na coś się przydaje.

Pracował w policji od kilku lat i miał więcej obowiązków, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Ludzie popełniali samobójstwa, umierali z głodu i zimna, ćpali lub pili zbyt dużo, wychodzili z domu i nie wracali albo, tak jak w tym przypadku, stawali się ofiarami innych ludzi. Za każdym razem śmierć toczyła powoli ich ciała, zmieniając je z biegiem dni nie do poznania. Lekarz, wezwany na miejsce znalezienia zwłok, widząc ich stan, rozkładał ręce. Plastikowy worek miłosiernie okrywał szczątki, gdy były przewożone karetką do Zakładu Medycyny Sądowej. Na ogół tam oglądał je Cyryl, ale czasem był też wzywany na miejsce zdarzenia, jeśli jego obecność mogła pomóc w śledztwie. Widział dość, by mówić na ten temat bez emocji. Zastanawiał się tylko, ile z tych rewelacji powinna usłyszeć Ewa, która nie miała wystarczającego przygotowania. Mógł powiedzieć jej wszystko, co wiedział, ale nie miał pewności, czy tego chce. Popatrzył na nią niespokojnie i napotkał jej poważne spojrzenie.

— Pierwsze ciało znalazł kilka godzin po zabójstwie pewien dziennikarz — powiedział, chcąc jak najszybciej przejść do konkretów.

— Wtedy jeszcze nie miałem o niczym pojęcia. A później, kiedy pojawiły się kolejne ofiary i wciągnięto mnie w tę sprawę, okazało się, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą.

CIAŁO NR 1, owinięte w szkarłatny całun, zostało zidentyfikowane kilka dni po morderstwie. Denat nazywał się Adam Grzelak. Jego zaginięcie zgłosił współlokator, tłumacząc, że nie zrobił tego wcześniej, bo koledze zdarzało się już nie wracać na noc. Nigdy jednak nie znikał na tak długo i zwykle odbierał telefon, który tym razem nie odpowiadał.

Grzelak miał trzydzieści dwa lata i był kawalerem. Na szczęście. Cyryl nie chciałby informować rodziny o jego śmierci. Zawsze w takich sytuacjach cieszył się, że nie należy to do jego obowiązków. Zresztą zaangażował się w śledztwo dopiero później, kiedy odnaleziono drugie ciało, a to, co wiedział o okolicznościach śmierci pierwszego mężczyzny, pochodziło z policyjnych akt.

Denat został więc rozpoznany, co tylko nieznacznie ułatwiło sprawę. Można było przeszukać jego mieszkanie, porozmawiać ze znajomymi i krewnymi i odwiedzić dość nietypowe miejsce pracy. Zamordowany zajmował się tanatopraksją i w swoim środowisku zawodowym uchodził za specjalistę. Jakby na to nie patrzeć, balsamowanie zwłok nie było zbyt popularnym sposobem zarabiania na życie. Antropolog pomyślał, że w gruncie rzeczy mają ze sobą wiele wspólnego, choć pewnie forma „mieli” byłaby bardziej trafna. Myśli towarzyszył grymas, który przypominał uśmiech. Dziwny uśmiech

— bez cienia wesołości.

Tymczasem policja gromadziła nawet najbardziej błahę informacje o Grzelaku, mając nadzieję, że w ten sposób dotrze do tych najważniejszych. Dlaczego doszło do zabójstwa? Dlaczego to on był ofiarą? Dopiero znając odpowiedzi na te pytania, można było się zastanawiać, kto zabił.

Ciało było w doskonałym stanie. Żadnych oznak użycia przemocy — zranień, sińców, śladów duszenia czy skrępowania. Zimne i nieme, spoczywało na stole, czekając, aż lekarz sądowy rozetnie je sprawnym

ruchem, jakby rozsuwał kombinezon. Cyryl czytał raport specjalisty, który znalazł na skórze badanego tylko dwa niemal niezauważalne ślady. Jeden tuż obok pępka, drugi na przedramieniu. Badanie toksykologiczne wykazało obecność thiopentalu, leku usypiającego z grupy barbituranów, stosowanego przez anestezjologów. Podana ofercie dawka nie była jednak śmiertelna.

— Czyli przyczyna zgonu pozostała nieznana? — upewniła się Ewa. Zwykle miała do czynienia ze szkieletami, które były ludźmi tak dawno, że czasem zdarzało jej się o tym zapominać. Może dlatego nigdy nie zastanawiała się, w jakich okolicznościach odchodzili z tego świata. Ich serca były trzysta, pięćset, nawet osiemset lat temu. To tak, pomyślała, jakby nie były nigdy.

— Mniej więcej — odparł Cyryl posępnie. — Wydaje się, że w tym przypadku ten, kto trzymał strzykawkę, doskonale wiedział, co robi. To był tylko wstęp i zaproszenie do gry. Dla nas. Ja go zabiję, a wy spróbujcie zgadnąć, w jaki sposób. Pokażcie, co umiecie, tak jak ja wam pokazałem.

— Może trochę demonizujesz. Może nie jest aż tak pokręcony.

Nie podzielał jej optymizmu.

— Tylko kim jest? Zwykłym gościem, który nagle postanowił zabić cztery obce sobie osoby? Wiesz, co ja myślę? Ze on jest bardziej pokręcony, niż moglibyśmy sobie wyobrazić. Pomyśl: cztery ciała — powtórzył z naciskiem. — On jeszcze nie skończył. On się dopiero rozkręca.

— Żałujesz? — spytała, widząc jego wzburzenie. Przypisała je zmęczeniu, dezorientacji i napięciu, które musiało towarzyszyć jego pracy w ostatnich tygodniach.

— Czego?

— Nie wiem... — wzruszyła ramionami. — Weselszej strony życia. Wykopalisk. Kariery naukowej. Spokojnej, pozbawionej stresu pracy. Tutaj bez przerwy masz kontakt ze śmiercią.

— Śmierć to ludzka sprawa. Chyba do niej przywykłem. Nie uwierzyłabyś, jak kreatywni potrafią być zabójcy. Widziałem już tyle, że

mógłbym sobie wyobrazić każdą śmierć i prawdopodobnie dość, by samemu zabić, sprawnie i bez hałasu. Odkąd pracuję, mam wrażenie, że nieustannie uczestniczę w szkoleniu z zabijania. Na dłuższą metę to męczące, jeśli nie ma się zamiaru wykorzystać zdobywanej przez lata wiedzy. Co do wykopalisk – pokiwał głową – tych mam pod dostatkiem. To prawda, nie są tak estetyczne jak archeologiczne... – próbował zażartować, ale sam zdawał sobie sprawę z mierności dowcipu. Żadne z nich się nie uśmiechnęło.

– Kariera? Dobrze wiesz, że nie byłem typem mola książkowego, a do wielogodzinnego ślęczenia nad kośćmi sprzed wieków nie miałem cierpliwości. Stres można zaakceptować. W końcu staje się twoim nieodłącznym towarzyszem, a gdy znika, zaczynasz odczuwać niepokój. Jakbyś wiedziała, że za chwilę coś się stanie. I zwykle się staje. Zawsze wtedy dzwoni telefon. Stres wraca i wszystko jest znowu pod kontrolą...

Ewa milczała, więc podjął przerwany wątek, jakby chciał siebie i ją przywołać do porządku. Nadmierna refleksyjność przeszkadzała mu w pracy.

– Tyle sekcja zwłok pierwszej ofiary. Ale jest jeszcze coś, co powinnaś wiedzieć. Coś bardzo dziwnego, trochę nie z tej ziemi, a raczej rodem z innej kultury. To moneta między zębami. Srebrna, kolekcjonerska – uściślił – z limitowanej edycji.

– Bardzo limitowanej? – zapytała kobieta i tym razem antropolog musiał się uśmiechnąć.

– Nie na tyle, żeby można było sprawdzić, kto i kiedy ją kupił, Sherlocku.

– Obol dla Charona.

– Na to wygląda. Dodaj do tego jeszcze strój.

– Co to było? Czerwony całun, tak?

– Tak nazwał to lekarz, wezwany na miejsce zdarzenia. Ze sztucznego jedwabiu. Rozmiar dwa na dwa metry. Zapewniam cię, że robił wrażenie nawet na zdjęciach.

– I tylko te dwa nakłucia? Nie bronił się?

— Policja przypuszcza, że mógł znać napastnika.

II

Na początku to była tylko zabawa. Jak celowanie do tarczy, kiedy się wie, że nikt nie zginie. Jak strzał za dziesięć punktów. Albo za dziewięć, gdy otwór między oczami domniemanego wroga nie oznacza nic ponad to, że wolno ci odczuwać satysfakcję. Z czasem strzałów jest coraz więcej, a ty odkrywasz, że nie możesz żyć bez strzelnicy. Chcesz sprawdzić, do czego jesteś zdolny, testujesz własną odporność, kontrolujesz emocje. Tą kontrolą masz ochotę objąć innych, pokazać im, że od wieków na ziemi panuje prawo dżungli. Wygrywają najsilniejsi, najsprytniejsi, najlepiej przygotowani. Tacy jak ty. Wszyscy to wiedzą, lecz nikt o tym nie pamięta. Twój strzał do żywej tarczy, choć będzie nazwany aktem przemocy, może więc przynieść korzyść. Jak program edukacyjny albo społeczny happening. Uświadomi ludziom, że w życiu powinni być bezwzględni. Ty jesteś bezwzględny. Czy nie cieszysz się z tego powodu szczególnymi przywilejami? Nie stoisz ponad prawem? Nie ustalasz zasad, które narzucasz innym?

A przemoc? — zapytasz. Twoje wątpliwości są, niestety, mało oryginalne.

Czy nie mówi się, że cel uświęca środki?

Jak podoba ci się mój autoportret? Interesujący, prawda? I dość wiemy, zapewniam cię. Poza jednym szczegółem. Ja nie strzelam. Strzelanie to metoda, do której uciekają się narwańcy. Jest niepraktyczne. Za dużo po nim sprzątanina. Ta cała krew... Jest nieestetyczna. Zawsze wycieka jej dość, by się pobrudzić. A potem same komplikacje, odciski palców, ślady butów, plamy, których nie można usunąć...

Ja mam inny sposób. Szybki i niezawodny; pozwala uniknąć bałaganu i zyskać na czasie. Dlaczego mi na tym zależy? Cóż, czas to dobro, o które musimy zabiegać sami. Nikt go nam nie zwróci. Poza tym, o czym być może już wiesz, w końcu gram z tobą w otwarte karty, lubię pielęgnować w sobie poczucie wyższości i utwierdzać się w przekonaniu, że mam do tego prawo. Czas daje mi nad wami przewagę. Kiedy widzę, jak bardzo się staracie dopasować do siebie jak elementy układanki te nikłe ślady, które wam podrzucam... Powiedz, jakie to uczucie: być ciągle wodzonym za nos?

Wodzić za nos... Przyjemne określenie. Frazeologia. Potęgą języka.

CIAŁO NR 2 nie zostało zidentyfikowane. Jeszcze – podkreślił Cyryl. Badania DNA były kosztowne i wymagały czasu. Zdjęcie odcisków palców było już niemożliwe, bo skóra zsunęła się z dłoni i jej strzępków nie można było odnaleźć. Lista osób zaginionych, których rysopis choć w przybliżeniu pasował do szczątków, znalezionych nad Wisłą pod koniec maja, była dłuższa niż najdłuższa litania.

Leżały blisko linii wody.

Poziom rzeki, wysoki po niedawnych ulewnych deszczach, właśnie zaczął opadać, odsłaniając podmokły, zarośnięty teren. Mimo to dwoje instruktorów ze znajdującej się po sąsiedzku szkoły jeździeckiej odważyło się wybrać na przejażdżkę. Końskie kopyta z cichym mlaskaniem opadały w mokrą trawę. Świeciło słońce, ale nie było upalnie. Darły się ptaki. Gdy jeźdźcy przejechali kolejne dwieście metrów, całe ich stado poderwało się z ziemi. Czarne skrzydła przysłoniły błękit. Konie zarżały i zatańczyły w miejscu.

Kobieta i mężczyzna spojrzeli do góry. Gawrony nie zamierzały odlatywać, ale cierpliwie kołowały nad ich głowami z głośnym krakaniem. Przycichły, gdy na niebie pojawił się jeszcze jeden kształt. Tak samo czarny, ale znacznie większy od pozostałych. Mężczyzna rozpoznał w nim kruka. Przyglądał mu się zafascynowany, dopóki ptak nie zniknął między drzewami. Wówczas tknięty nagłym niepokojem rozejrzał się uważnie i kilka razy odetchnął głęboko, krzywiąc się z

niesmakiem. Zmuszając konia do posłuszeństwa, zbliżył się do kępy splełanych przez wodę wysokich traw, która zasłaniała widok.

— Kruki są samotnikami — tłumaczył później policjantom, którzy przyjechali w dwadzieścia minut po jego telefonie. — Unikają hałaśliwych współpraci. Ten musiał mieć powód, by odstąpić od swoich zwyczajów...

Umilkł, bo funkcjonariusze popatrzyli na niego dziwnie. Może zastanawiali się, czy wszystko z nim w porządku, skoro o jakimś ptaszysku mówi jak o człowieku.

— Znam się na ptakach — wyjaśnił, widząc ich reakcję.

Czerwony strzęp materiału odcinał się wyraźnie od zgnięłozielonego otoczenia. Kolor nie był już soczysty, ale wciąż wystarczająco jaskrawy, by przyciągnąć wzrok ptaków i ludzi. To, co spod niego wystawało, w pierwszej chwili trudno było określić. Ale choć jeźdźca zawiódł zmysł wzroku, który nie potrafił przekazać do mózgu precyzyjnej informacji, zmysł powonienia bezbłędnie zidentyfikował leżący kształt.

Mężczyzna gwałtownie ściągnął wodze, a potem, trzymając się siodła jedną ręką, próbował zsiąść. Nie zdążył jednak. Zgiął się w pół i wymiotował. Wystraszone zwierzę zawróciło i pozwoliło się złapać dosiadającej drugiego konia kobiecie, którą zachowanie towarzysza skłoniło do pozostania na miejscu.

— Nie jedź tam... — zdołał wykrztusić, kiedy doszedł do siebie na tyle, by sięgnąć po telefon. Niepotrzebnie się martwił. Nie miała zamiaru narażać się na widok, pod wpływem którego żołądek w jednej chwili mógł wywrócić się na lewą stronę.

Zmienił się wiatr, który teraz wiał od Wisły. Oboje poczuli wyraźny, choć przy tej odległości na szczęście niezbyt intensywny trupi odór.

Z mostu Grota-Roweckiego widać było, jak dwóch ludzi grodzi teren policyjną taśmą. Blisko linii drzew, tam, gdzie było bardziej sucho, stał radiowóz. Pozostałe samochody nie były oznakowane. Kręciło się między nimi kilka osób.

Coś się stało. Być może warto byłoby o tym napisać, by sława, jaką cieszył się w dziennikarskich kręgach w ostatnich dniach, nie przygasła zbyt szybko. Artur zagwizdał przez zęby. Instynkt podpowiedział mu, że powinien znaleźć się nad Wisłą tak szybko, jak to możliwe. Zaskoczenie policji przy pracy dawało mu przewagę i pozwalało żywić nadzieję, że dowie się czegoś, nim wszyscy zaczną się zasłaniać dobrem śledztwa. Jeśli tylko będzie jakieś śledztwo. Nadwiślański obrazek działał na wyobraźnię. Artur niemal słyszał, jak dwukolorowa taśma szeleści na wietrze.

Właściwie nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy zawracał na pierwszym skrzyżowaniu, na którym manewr ten był dozwolony. Zresztą w jego zawodzie liczył się refleks, nie skłonność do refleksji. Zostawił za sobą kominy elektrociepłowni Żerań, ponownie przejechał przez Wisłę i skręcił z mostu na Wisłostradę w kierunku centrum. Nie zwolnił dostatecznie i na wirażu prawie wypadł z jezdni. Szybko jednak odzyskał panowanie nad kierownicą. Naprawdę nie mógł sobie teraz pozwolić na zwłokę. Na wysokości Krasińskiego znowu zawrócił i w ten sposób był prawie u celu. Zjechał z trasy i znalazł się na wąskiej, wyłożonej płytami drodze, która początkowo biegła wzdłuż Wisły, a później skręcała ku rzece. Urywała się nagle. Artur zobaczył przed sobą łachy mokrego piasku i rozsiane tu i ówdzie bure kałuże. Zrozumiał, że ostatni odcinek musi przejść pieszo. Zostawił samochód w miejscu, gdzie się zatrzymał i poszedł przed siebie. Drzewa zapewniały mu osłonę. Nie chciał zbyt szybko wychodzić na otwartą przestrzeń. Będą mieć niespodziankę, pomyślał z satysfakcją, bo lubił podobne konfrontacje.

Czuł się tak, jakby stapał po dywanie. Nogi zapadały się w wilgotną trawę. Przemoczone buty z każdym krokiem stawały się cięższe. Było nienaturalnie cicho. Słońce zaszło za chmurę i Artur poczuł na twarzy chłodny, zupełnie nie majowy powiew wiatru.

Krzysztof Sobolewski, wysoki, szpakowaty policjant około czterdziestki, który prowadził tę sprawę, usłyszał kroki i odwrócił głowę, pewien, że zobaczy kolegę z ekipy technicznej. Pomylił się. Kilkanaście metrów od

niego stał mężczyzna, którego twarz wydała mu się znajoma. Nie mógł sobie jednak przypomnieć okoliczności pierwszego spotkania. W ciągu ostatniego kwadransa wzdłuż taśmy przedelflowało przynajmniej kilkanaście osób, których obecność nad Wisłą była niezbędna. Lekarz, który na widok szczątków tylko wzruszył ramionami, kilku funkcjonariuszy policji, kilku techników, czekających na jego sygnał, by móc przystąpić do pracy. Znał ich wszystkich. Był tu po to, by patrzeć im na ręce. Facet, którego już kiedyś widział, źle mu się kojarzył. Stał z taśmą w prawej dłoni, jakby chciał podnieść ją do góry i wejść na zagrodzony teren. Zachowywał się bardzo swobodnie.

— Czy my się znamy? Kim pan jest? — zapytał śledczy, mierząc intruza chłodnym, przenikliwym spojrzeniem. Technik, pracujący kilkanaście metrów dalej, słysząc wymianę zdań, podniósł się z ziemi. Dłonie w lateksowych rękawiczkach trzymał w pewnej odległości od ciała, jak rewolwerowcy ze starych filmów.

Obcy milczał, przyglądając mu się, a właściwie patrząc przez niego, jakby chciał go prześwietlić wzrokiem. Sobolewski dopiero po chwili zorientował się, że zasłania mężczyźnie leżące na ziemi ciało. W oczach tamtego dostrzegł niezdrową ciekawość.

— Czerwony całun, co? Druga ofiara tego samego szaleńca — usłyszał i zobaczył, że mężczyzna uśmiecha się z satysfakcją. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wygrał w totka. Poufały ton nie przypadł mu do gustu.

— Nie wiem, o czym pan mówi — powiedział ostrożnie, czując narastający niepokój. — Proszę odejść. To nie jest miejsce dla gapiów.

Przybysz nie stracił pewności siebie.

— Spokojnie — powiedział. — Może mógłbym pomóc?

— W czym, jeśli można wiedzieć? — policjant nawet nie starał się ukryć zniecierpliwienia. Zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Miał przed sobą pracowite popołudnie i wieczór. A teraz tracił czas.

— W śledztwie.

— Ach tak... — mruknął. Wyglądało na to, że facet nie odejdzie z własnej woli. — Jakież to ma pan kwalifikacje?

— Jestem dziennikarzem. Artur Strzemiński — przedstawił się. — To ja znalazłem pierwszą ofiarę.

— Ach tak... — powtórzył Sobolewski, bo pamiętał artykuł i zdjęcia, które wywołały falę komentarzy, a jego doprowadziły do białej gorączki. Fotografia autora znalazła się nad tekstem. Przez kilka dni media trąbiły tylko o tym. W tym czasie śledztwo tkwiło w martwym punkcie. A więc znał go z gazety. Tym gorzej dla niego.

— Odejdzie pan sam, czy ktoś powinien to panu ułatwić?

— Może wiem coś, o czym powinna dowiedzieć się policja?

— Na przykład? — przyjrzał się dziennikarzowi uważnie, jakby to pytanie dało mu do myślenia. Ziemista cera, pojedyncze siwe włosy w gęstej, krótko obciętej czuprynie, worki pod oczami. Przez chwilę miał wrażenie, że przegląda się w lustrze. Obaj byli zmęczeni pracą, której oddawali się przez większość doby. — Chyba składał pan zeznania. Zrobił pan nawet kilka fotek. Bardziej już nie mógł pan nam pomóc — dodał.

— Nie złapał mnie pan za rękę. Moja sprawa, skąd je wziąłem.

— Jasne. A teraz proszę odejść.

Stanowczość policjanta nie robiła na Arturze wrażenia.

— Proszę mi pozwolić obejrzeć zwłoki — upierał się.

— Nie ma pan dość podobnych widoków? — zapytał śledczy. Zaczynała go nużyć ta rozmowa, jego zdaniem zupełnie pozbawiona sensu.

— Nic panu do tego, czego mam dość, a czego nie. Wystarczy mi kilka sekund.

— Chyba pan żartuje.

— Ile pan zarabia? Może mógłbym podreperować pański budżet? — Artur stał się nagle bardzo rzeczowy. Sobolewski popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Pyta pan w imieniu redakcji czy własnym?

— To bez znaczenia — dziennikarz wzruszył ramionami.

— To jak będzie?

— Przekupstwo?

— Jedynie zapłata za informacje.

— Nie bawmy się w eufemizmy. Nie boi się pan składać takich propozycji?

— Pan mi grozi?

— Tylko ostrzegam. Niech pan już idzie i pozwoli mi popracować.

— A jeśli tego nie zrobię? Mam prawo informować opinię publiczną o postępkach w śledztwie—Artur zrobił krok w kierunku mężczyzny, który przez chwilę zastanawiał się, czy mu nie przyłożyć. Bezczelny uśmiezek intruza wyprowadzał go z równowagi. Opanował się jednak.

— Na razie skutecznie je pan utrudnia, puszczając między ludzi poufne informacje i publikując zdjęcia, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. Co pan chce w ten sposób osiągnąć?

— Jestem dziennikarzem, to mój obowiązek.

— Poczucie misji? — zapytał policjant z ironią w głosie. — Niech mi pan nie wciska kitu. Czy te zwłoki też pan chce sfotografować? Czy tym razem oszczędzi pan wspomnianej opinii publicznej widoku?

— Jeśli ma mi pan coś do zarzucenia, proszę się zwrócić do mojego przełożonego.

— Znikaj — nie wytrzymał Sobolewski — zanim stracę cierpliwość.

— Nie tak nerwowo, kolego. Już sobie idę — dziennikarz zawahał się, a później wsunął dłoń do kieszeni i wyjął z niej wizytówkę. — To na wypadek, gdybyś zmienił zdanie. Cena do uzgodnienia.

Śledczy uniośł obie ręce do góry, na znak, że nie jest zainteresowany. Z zaskoczeniem patrzył, jak Artur wsuwa kartonik ze swoim nazwiskiem między jego palce.

Detektyw Krzysztof Sobolewski miał 38 lat i był po rozwodzie. Żona odeszła od niego dwa lata temu i niemal natychmiast związała się z mężczyzną, który był nudziarzem, ale miał normowany czas pracy i noce spędzał w łóżku. Od tamtej pory Krzysztof mieszkał sam, co miało tę dobrą stronę, że wychodząc z domu o nietypowej porze, przed nikim nie

musiał się tłumaczyć. O swoim małżeństwie wspominał niechętnie. Nie utrzymywał kontaktu z żoną, ale w portfelu wciąż nosił jej zdjęcie. Z przyzwyczajenia — wyjaśnił lakonicznie, gdy Cyryl zobaczył je po raz pierwszy. Zaprzyjaźnili się, ale więcej nie poruszali tego tematu. Krzysztof miał w sobie spokój człowieka, który przyzwyczał się do myśli o porażce. Widocznie uśmiech kobiety z fotografii zaliczał już do pamiątek z przeszłości.

Był bardzo opanowany, gdy zadzwonił wieczorem do Cyryla i opowiedziawszy przebieg popołudniowego zdarzenia, polecił mu kupić jutrzejszą gazetę. W ten oto sposób antropolog dowiedział się o istnieniu Artura Strzeмиńskiego.

W Warszawie grasuje seryjny morderca — przeczytał następnego dnia na pierwszej stronie bulwarowego tytułu. Rozmiar czcionki przeszedł jego najśmielsze wyobrażenia. *Nad Wisłą znówu znaleziono zwłoki w czerwonym całunie* — głosił niewiele mniejszy podtytuł. Nie musiał sprawdzać, kto jest autorem artykułu. Na zdjęciu, zrobionym z mostu z pewnością zaraz po rozmowie Sobolewskiego z dziennikarzem, widać było wydzielony przez policję teren i kilka uwijających się postaci. W jednej z nich Cyryl rozpoznał przyjaciela.

Dokładne oględziny częściowo zeszkieletowanych zwłok wykazały, że ofiara nie żyje od dwóch, może trzech tygodni. Z całą pewnością została zamordowana przed zniknięciem Adama Grzelaka. Na podstawie budowy czaszki i miednicy Cyryl stwierdził, że zwłoki należały do dorosłego mężczyzny. Miał więcej niż 25 lat, świadczyły o tym zrosnięte trzony kręgów krzyżowych. Był słusznego wzrostu. Zaawansowanie procesów gnilnych uniemożliwiło określenie przyczyny zgonu. Jednak strzępy tkaniny, identycznej z tą, w którą owinięta była poprzednia ofiara, pozwalały przypuszczać, że sposób zadawania śmierci się nie zmienił, choć dla policji wciąż pozostawał nieznan.

Morderca podpisywał swoje dzieła, by nie zostały przypisane komuś innemu.

III

Nie wiem, kiedy zabawa przestała mi wystarczać. Zawodziła mnie wyobraźnia. Wyobrażać sobie, że zabijasz, to nie to samo, co zabić naprawdę. Kiedy NAPRAWDĘ zamierzasz to zrobić, zaczynasz dzielić życie na przed... i po... Godzinami zastanawiasz się, co się zmieni. Jak następnego dnia spojrzysz na siebie w lustrze, jak będziesz rozmawiać z sąsiadem, mieszkającym naprzeciwko, czy świat wyda ci się lepszy, gorszy, brzydszy, czy bardziej interesujący? Chcesz się o tym przekonać jak najszybciej. Zaglądasz do kalendarza, wybierasz dzień, ofiarę znasz już od dawna. Rano wstajesz odrobinę zdenerwowany (ale tylko za pierwszym razem). Wypijasz kawę i ręce przestają ci drżeć. Myślisz, że dzisiaj dowiesz się o sobie czegoś więcej. Czy nie temu właśnie służy życie? Czy nie polega na testowaniu swoich możliwości, gromadzeniu doświadczeń, docieraniu do granic słabości i przesuwaniu ich jak najdalej po to, by w końcu zapomnieć, że istnieją?

Dlatego nazywam to eksperymentem.

Czas płynie (na szczęście, inaczej pokonałaby cię własna niecierpliwość), a ty liczysz godziny i minuty. Kiedy zapada zmrok, wychodzisz z domu. Ciemność jest twoim sprzymierzeńcem, daje osłonę, ułatwia realizację zamierzeń.

Kiedy jest po wszystkim, ze zdziwieniem stwierdzasz, że nie czujesz ulgi, lecz niedosyt. Świat jest wciąż tak samo odrażający, a ludzie jeszcze bardziej banalni niż dotąd. Twoja władza kończy się po upływie kilku sekund. W dodatku jej zakres ograniczony jest do jednego człowieka, który umierając, nie wie nawet, kto i dlaczego pozbawił go życia. Ba! On nie wie, że umiera!

Nadchodzące dni niczym nie różnią się od tych, które minęły. Telefon jest równie milczący jak dotąd, policja nie staje w drzwiach i nie pobrząkuje kajdankami. Bezkarność utwierdza cię w przekonaniu, że doskonale wypełniłeś to, co zaplanowałeś. Dlaczego więc nie odczuwasz satysfakcji? Kiedy się nad tym zastanawiasz, dociera do ciebie, że potrzebujesz publiczności, która podziwiać będzie twój spryt, sprawność, inteligencję i siłę, która będzie drzeć na dźwięk twego imienia. Postanawiasz dać się poznać, by bezkarości, którą się cieszysz, nie zawdzięczać własnemu perfekcjonizmowi, nieudolności organów ścigania czy wreszcie łutowi szczęścia, ale kontroli wydarzeń, którą sam będziesz sprawować.

Stąd listy. Być może będziesz zaskoczony, kiedy przeczytasz pierwszy z nich. Zapewniam cię jednak, że każdy następny przyjmiesz już z mniejszym zdziwieniem. Człowiek do wszystkiego umie się przyzwyczaić, nawet do korespondencji z mordercą. Nie znam drugiej osoby, która mogłaby uczynić z niej lepszy użytek.

Zabawne, ale kiedy o tym myślę, nie niepokoi mnie słowo „morderca”. Jego znaczenie odpowiada dokładnie temu, czym się zajmuję. Trudno byłoby przeczytać faktom. Wina? Czym jest, by warto było ją odczuwać? Wyrzuty sumienia? Przereklamowane. Nie cierpię na syndrom Raskolnikowa, by miały zatruć mi życie. Dobro i zło, pojęcia tak bliskie filozofom wszystkich czasów, im zawdzięczają swój początek. Bóg? Który, jeśli można spytać? Nie muszę ulegać niezrozumiałej dla mnie potrzebie szukania absolutu. Śmierć mnie nie przeraża, ani ta, którą zadają z rozmysłem, ani tym bardziej własna. Życie jest krótkie, śmierć nieunikniona. Dlatego zamierzam się dobrze bawić. A ty możesz mi w tym pomóc.

Lipiec był upalny i suchy. Powietrze falowało nad rozgrzanym asfaltem i zapierało przechodniom dech w piersiach. Ruch na warszawskich ulicach nieco osłabł, autobusy były mniej zatłoczone, za to w kawiarnianych ogródkach trudno było znaleźć wolny stolik.

Arturowi dopisało szczęście. Zamówił *espresso* i sięgnął do torby. Chciał rzucić okiem na dzisiejsze notatki, zastanowić się, jak rozłożyć akcenty w tekście, który powinien przed wieczorem wysłać do redakcji. W przeciwieństwie do wielu kolegów z branży nie używał dyktafonu, bo płoszył rozmówców, a jego skazywał na długotrwałe przesłuchiwanie nagranych materiałów. Wolał spisywać na bieżąco co trafniejsze spostrzeżenia. Poza tym szczylił się świetną pamięcią. Teraz pospiesznie zapisywał sformułowania, które zamierzał później wykorzystać. Przyzwyczajony do pracy na czas umiał się skupić w ciągu kilku sekund. Skończył, gdy kelner postawił przed nim niewielką filiżankę.

Mocna, gorzka kawa była doskonała. Artur, świetnie posługujący się językiem z racji swego zawodu, lubił używać przymiotników, które odzwierciedlały zdecydowany charakter osób i rzeczy. Jego zdaniem kawa powinna być gorzka, wódka zimna, a kobiety szybkie. Upodobania te czasem obracały się przeciwko niemu. To one ponosiły winę za jego samotność. Szybkie kobiety nie tylko szybko trafiały do jego łóżka, ale równie szybko odchodziły, z tych czy innych względów.

— Pozwolisz, że się przysiadę? Wszystkie stoliki są zajęte... — wyrwał go z zamyślenia kobiecy głos, który przyprawił go o kołatanie serca.

— Izabela! — poderwał się i podsunął jej krzesło, na którym zamierzała usiąść. — Oczywiście, zapraszam!

Należała do umiarkowanie szybkich. Może dlatego została trochę dłużej i Artur zanadto się przyzwyczaił do jej obecności. Rozstanie było bardziej bolesne, niż się spodziewał. Tym bardziej, że mieszkali drzwii drzwii. Nie widywał jej w ostatnich tygodniach. Teraz korzystał z okazji, by nadrobić zaległości. Stała przed nim, wysoka i opalona. Koszulka bez rękawów odsłaniała szczupłe, ale umięśnione ramiona. Przyjrzał im się z zachwytem, którego nawet nie próbował ukryć.

— Doskonale wyglądasz — powiedział, żeby zacząć rozmowę.

— Jesteś bardzo miły — uśmiechnęła się lekko. — Poproszę sok ananasowy — zwróciła się do kelnera, który bezszelestnie zjawił się przy stoliku.

— Wiesz, że nie — zaprzeczył Artur, starając się złowić jej spojrzenie. Bezskutecznie, bo uparcie wpatrywała się w przechodzących obok niej ludzi. — Wyjeżdżałaś? — zagadnął znowu, mając na myśli jej opaleniznę i to, że od jakiegoś czasu nie spotykali się na schodach ani przed drzwiami, nie wyjmowali korespondencji ze skrzynek, znajdujących się jedna pod drugą, w tym samym czasie i nie wynosili jednocześnie śmieci, co zdarzało im się często na początku znajomości, najpierw przez przypadek, a później dlatego, że starali się mu pomóc.

Oczywiście Artur mógł się wypowiadać jedynie we własnym imieniu. Gdyby Izabela zadała nawet najbardziej błahe pytanie w stylu „jak leci?” albo „co u ciebie?”, odparłby, że brakuje mu tych spotkań, tak samo jak piątkowych wieczorów, podczas których sączyli czerwone wino, słuchali zgiełkliwych, lecz porywających utworów z lat 60. i 70. (dziwnym trafem mieli podobny gust muzyczny), a czasem, żeby nie powiedzieć: często, kończyli na kanapie, stojącej pod oknem w jego salonie. Problem jednak polegał na tym, że Izabela nie pytała. Nigdy i o nic. Była raczej małomówna. W gruncie rzeczy niewiele o niej wiedział. Przypominała kota, który daje się głaskać tylko wtedy, gdy sam ma na to ochotę.

Popatrzył na nią niepewnie, nie wiedząc, jak się zachować, co powiedzieć, by zwrócić na siebie jej uwagę. Sprawiała wrażenie nieobecnej. Jej chłodna obojętność mogła oznaczać zupełny brak zainteresowania (czytaj: siedzę tu, bo tylko to jedno miejsce było wolne) albo nie oznaczać nic. Artur postanowił, że nie będzie się odzywał. Zamówił jeszcze jedną kawę i pił ją małymi łykami, nie spuszczać z kobiety wzroku. To, co do niej czuł, trudno byłoby nazwać miłością. Traktował to jak rodzaj uzależnienia. Izabela była mu równie niezbędna, jak butelka przy łóżku przed zaśnięciem. Jej brak odczuł dopiero wówczas, gdy powiedziała, że już nie będą się spotykać. Z każdym dniem uczucie to zyskiwało na intensywności, aż w końcu stało się nie do zniesienia. Właśnie dzisiaj, kiedy miał ją na wyciągnięcie ręki, zrozumiał, że nie miał jej nigdy.

— Izabela, posłuchaj... — zaczął wbrew niedawnemu postanowieniu, doskonale zdając sobie sprawę, że nie zna słów, którymi mógłby wyrazić

całą złożoność miotających nim uczuć. Spojrzała na niego, jakby wyrwał ją z głębokiego snu.

— Masz tu gdzieś samochód? — spytała nagle, nie zważając na jego rozpaczliwe próby zapanowania nad emocjami, a kiedy potwierdził, dotknęła dłonią jego ręki. — Zabierz mnie do domu — powiedziała i Artur, który zamierzał inaczej spędzić to popołudnie, natychmiast zapomniał o wcześniejszych planach. Może nie znał jej zbyt dobrze, za to znał na tyle, by wiedzieć, kiedy kot domaga się pieszczot. I kiedy domaga się ich od niego.

Cyryl dobrze zapamiętał to spotkanie, bo właśnie wtedy zobaczył ją pierwszy raz; a kiedy już ją dostrzegł, nie mógł oderwać od niej oczu. Patrzył więc, ukryty za szklami ciemnych okularów, jak przechodzi przez ulicę i pokonuje dzielącą ich odległość. Tak to widział — dystans malał z każdym jej krokiem, a on czekał bez ruchu, jakby był celem tej wędrówki, niespiesznej, niemal leniwej, która zdawała się trwać całą wieczność. Tymczasem ona po prostu szła, nie wiedząc, że towarzyszy jej jego niecierpliwe spojrzenie. Bardzo zgrabna, bardzo opalona i niestety nie sama.

Była blisko, gdy to do niego dotarło. Mężczyzna szedł dwa kroki za nią. Tylko w ten sposób mogli zmieścić się na wąskim chodniku, na którym parkowało mnóstwo samochodów. On też nosił okulary, ale mimo to Cyryl go rozpoznał. Może dlatego, że miał świetną pamięć wzrokową, a może z powodu zamieszania, jakie wywołały artykuły prasowe sprzed dwóch miesięcy. Ich autor zdołał go zaintrygować. Jego niezwykła zdolność pojawiania się w miejscu zdarzenia równocześnie z policją (jeśli nie przed nią) była godna podziwu. Najwyraźniej dziennikarz był bardzo oddany sprawie, której służył. Wolność prasy, pomyślał cynicznie. Strzeмиński uwalniał słowa jakby to były pociski. Zwykle strzelał w powietrze z fascynującą beztroską, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. W innych okolicznościach Cyryl z pewnością uważniej przyjrzałby się mężczyźnie, by przekonać się, czy jego opinia odpowiada

rzeczywistości, teraz jednak poczuł do niego niechęć. Kobieta, której towarzyszył, była stanowczo zbyt atrakcyjna.

Kiedy go minęła, zdążył jeszcze kątem oka zarejestrować jej doskonały profil, jasną tęczę w cieniu opuszczonej powieki, prosty nos, pełną dolną wargę i poczuć zapach, którego nuty na próżno starał się rozpoznać. Lekki, słoneczny, orzeźwiający jak owocowy sorbet.

Podszła do samochodu, który stał obok jego wysłużonego opla. Nie do wiary, że zaparkowali tak szczęśliwie. A może nieszczęśliwie... Tego Cyryl nie był pewien. Za wszelką cenę musiał się jednak dowiedzieć, kim ona jest. Marzył o najbardziej banalnej wymianie zdań, która byłaby pretekstem do zawarcia znajomości i z nadzieją popatrzył na Sobolewskiego, ale widząc wyraz twarzy policjanta, zrozumiał, że ewentualna konwersacja z jego udziałem może zakończyć się uliczną awanturą. Cóż, on przynajmniej miał powód, by nie pałać do dziennikarza sympatią, podczas gdy uczucia Cyryla znacznie trudniej było uzasadnić.

Artur odezwał się pierwszy.

— Nie zadzwonił pan — powiedział do Krzysztofa, który właśnie zamierzał wsiąść do samochodu. Śmieszny facet, rzeczywiście był taki naiwny, czy tylko starał się sprawiać takie wrażenie? Naprawdę wydawało mu się, że wręczenie wizytówki uprawnia go do podobnych uwag?

— Nie miałem zamiaru, wiedziałby pan o tym, gdyby pan słuchał tego, co mówię — głos detektywa był więcej niż chłodny. Nawet Cyrylowi zrobiło się zimno.

Dziwnie rozpoczął się ten dialog. Osoba postronna mogłaby uznać, że rozmówcy świetnie się znają, podczas gdy w rzeczywistości nie wiedzieli o sobie nic ponad to, że się nie cierpią. Choć i tu nie było absolutnej pewności, czy uczucia dziennikarza były równie intensywne, jak te, którymi darzył go Sobolewski.

— Miałem nadzieję, że zmieni pan zdanie.

— Dlaczego miałbym to robić? — spytał policjant. Cyryl dostrzegł ruch po swojej prawej stronie i na chwilę stracił wątek. Był tylko

obserwatorem. Mógł sobie na to pozwolić.

— Dlaczego nie ma pan zaufania do mediów? — Artur przyglądał się teraz obu mężczyznom, choć odpowiedzi oczekiwał tylko od jednego z nich.

— Do tych mediów, które pan reprezentuje? — mimo wszystko zabrzmiało to bardzo nieprzyjemnie.

— Chce mnie pan obrazić?

— Chcę być z panem szczerzy. Niech pan nie zadaje pytań, gdy obawia się pan odpowiedzi.

— Przepraszam panów... — wtrąciła się kobieta. Nareszcie! Cyryl myślał, że już się wcale nie odezwie. — Czy celem tego sporu jest dojście do jakichkolwiek wniosków?

— Przyznam, że moim nie — odpowiedział. Rozmawiający mężczyźni zamilkli.

— Artur nie przyjmuje do wiadomości tego, że można nie pochwalać metod jego pracy i sposobu, w jaki przedstawia fakty. To kwestia zasad i odpowiedzialności za słowa — rzuciła w przestrzeń, ale antropolog był przekonany, że zwraca się wyłącznie do niego. Mrużyła oczy, bo w przeciwieństwie do niego nie nosiła okularów przeciwsłonecznych, a on poczuł się niezręcznie, gdy uświadomił sobie, że ukrywa przed nią swoją twarz.

— Raczej jej braku — zauważył, zdejmując okulary i przyglądając się kobiecie otwarcie. Z bliska jej oczy były zielone. Wokół źrenic Cyryl dostrzegł żółtą otoczkę. To przez nią tęczęwki wydawały się pełne światła.

— Cóż... Ma pan rację... Ale proszę tego nie traktować serio — uśmiechnęła się z lekkim pobłażaniem, jakby mówiła o dziecku, które właśnie narozrabiąło.

— Możecie nie mówić o mnie w trzeciej osobie? Byłbym wdzięczny — odezwał się Artur, rzucając Cyryłowi nienawistne spojrzenie. Krzysztof milczał, jakby zaskoczył go niespodziewany zwrot w rozmowie.

— Nie przedstawiś nas? — uśmiech kobiety zmienił się nieznacznie i Cyryl mógłby przysiąc, że pojawiła się w nim kpina.

— Oczywiście, jak sobie życzysz — mruknął jej towarzysz.

— Pan... Przepraszam, nie znam pańskiego nazwiska...

— Krzysztof Sobolewski. Nie wiedziałem, że rozdaje pan wizytówki osobom, których pan w ogóle nie zna — policjant pozwolił sobie na uszczypliwość. Artur puścił jego uwagę mimo uszu.

— Izabela — przedstawiła się, podając dłoń najpierw Krzysztofowi, później Cyrylowi.

— Cyryl Kaliński — żałował, że ona ograniczyła się do imienia. Dziennikarz, słysząc nazwisko, zaczął mu się uważnie przyglądać.

— Jak się panowie poznali?

— W pracy — odparł krótko Krzysztof. Najchętniej na tym zakończyłby wszelkie wyjaśnienia.

— Tak, pan jest policjantem — potwierdził bez entuzjazmu dziennikarz, którego myśli zaprzętało coś zupełnie innego. — Czy to nie pan jest tym policyjnym ekspertem, który specjalizuje się w badaniu szkieletów? — spytał Cyryla.

— Nie jestem ekspertem.

— To chyba dość nieprzyjemny zawód. Jak się mówi o takich jak pan? Zimny chirurg?

Zapadła cisza. Izabela śledziła rozwój wypadków z miną widza, który nudzi się przed telewizorem. Krzysztof nie wiedział, co powiedzieć. W obecności kobiety wolał nie otwierać ust. Spojrzał na przyjaciela, a potem na drzwi samochodu, dając mu w ten sposób sygnał, że czas jechać. Bezsensowne dyskusje z przedstawicielami mediów jeszcze nikomu nie wyszły na zdrowie. Nie przewidział, że Cyryl może mieć w tej kwestii odmienne zdanie.

— Jestem antropologiem — powiedział dobitnie, starając się zachować spokój, choć uwaga tamtego wyprowadziła go z równowagi. Nie rozumiał, dlaczego atakuje także jego. Może uznał, że grają z

Sobolewskim w jednej drużynie. A może chodziło o to, co powiedziała o nim Izabela.

— Co za różnica — dziennikarz machnął ręką z lekceważeniem.

Cyryl wzruszył ramionami, jakby dawał mu prawo wyboru. „Jak pan chce — mówiła jego mina. — Pan decyduje, pan traci”.

— Szkoda, że pan jej nie widzi — powiedział tylko z nutą ironii w głosie. — Takie różnice sprawiają, że dziennikarstwo zyskuje na jakości. No, ale pan jest zawodowcem, więc na pewno wie pan o tym lepiej ode mnie... — zawiesił głos, jakby się zastanawiał, czy dopowiedzieć myśl — ... zimnego chirurga.

Artur milczał.

— Miło było mi panią poznać — zwrócił się Cyryl do kobiety.

Uśmiechnęła się i podała mu dłoń, którą przez kilka sekund przytrzymał w swojej. Potem starannie omijając dziennikarza wzrokiem, otworzył drzwi opla i usiadł za kierownicą.

— Chyba cię nie polubili — powiedziała Izabela, gdy Artur uruchomił silnik i wrzucił wsteczny bieg.

— Chyba nie... — przyznał niechętnie, bo takie porażki zawsze go przygnębiały. Musiał przyznać, że tym razem pretensje może mieć wyłącznie do siebie.

— Właściwie nie dziwię im się.

— Nie? — zdziwił się nieszczerze. Przez chwilę jechali w zupełnym milczeniu.

— Myślałam, że zależało ci na nawiązaniu kontaktu...

— Owszem. Ale ten policjant i tak nie był skory do współpracy.

— To w związku z tą sprawą? — padło następne pytanie.

— Co znaczy „ta sprawa”? — chciał wiedzieć Artur. Spojrzał na kobietę, ale ona wciąż wpatrywała się w okno, jakby nigdy wcześniej nie widziała skąpanych w słońcu warszawskich ulic.

— Och, wiesz na pewno — odezwała się, wcale na niego nie patrząc. — Zdarza mi się mieć w ręku ten twój brukowiec. Przez wzgląd na dawne czasy — wyjaśniła, odwracając się od szyby i rejestrując jego

zdumione spojrzenie. — Czytałam oba artykuły. Jak zwykle nie przebierałaś w słowach. Czasem się zastanawiam, skąd bierze się tylu Kowalskich, dla których warto wydawać taką gazetę.

Artur pominął jej komentarz milczeniem.

— Spotkałem go nad Wisłą tego dnia, gdy znaleziono drugie ciało — powiedział po dłuższej chwili.

— On prowadzi śledztwo?

— Na to wygląda.

— A ten drugi? Skąd go znasz?

— Właściwie nie znam — uściślił. — Po prostu jego nazwisko obilo mi się o uszy. Podobno jest niezły.

— I?

— Wpadł ci w oko?

— Co to za pytanie?

— Nie zaprzeczyłaś.

— Daj spokój. Twoja zazdrość jest co najmniej nie na miejscu — Izabela poprawiła się na fotelu. Dziennikarz znowu nie widział jej twarzy. Jedyne złotobrzązowy kark, na który opadały miękką falą ciemne, mocno wystrzępione kosmyki włosów. Ta fryzura ją odmładzała. Nikt by nie uwierzył, że do czterdziestki brakuje jej tylko dwóch lat. — Właściwie nigdy nie byliśmy razem. Tylko ze sobą sypialiśmy — rzuciła od niechcenia.

— Mimo to brakowało mi ciebie — zabrzmiało to bardzo miękko, ale na niej nie zrobiło żadnego wrażenia.

— Na twoim miejscu nie przyzwyczajałabym się do formy przeszłej — odparła trzeźwo.

— Zapomniałem, że ciebie nie można oswoić. Można być zaledwie twoją zdobyczą.

Roześmiała się, słysząc ton, jakim to powiedział.

— Nie przesadzaj. Czujesz się ofiarą? Chcesz, żebym w to uwierzyła?

— Możesz wierzyć, w co chcesz. Jest mi to obojętne.

— Jaki niezależny!... Bywa pan intrygujący, panie redaktorze — roześmiała się znowu i Artur mimo złości musiał przyznać, że jej śmiech jest zaraźliwy.

Tylko imię, myślał tymczasem Cyryl, pocąc się na jednym ze skrzyżowań, bo klimatyzacja w starym opłu wysiadła całe wieki temu. Co począc z imieniem pięknej kobiety, którą chciałoby się jeszcze zobaczyć? Był niemal pewien, że już jej więcej nie spotka.

Chętnie zaprosiłby ją na kawę albo gdziekolwiek indziej, gdyby się okazało, że za kawą nie przepada. Nie miał natury kobieciarza i rzadko ulegał podobnym nastrojom, teraz jednak musiał przyznać, że oszołomiła go jej uroda.

— Cholera — zaklął pod nosem, zapominając, że siedzący obok Krzysztof nie zna przyczyny nagłego wybuchu złości. Jasne oczy spojrzały na niego z uwagą.

— Wszystko w porządku?

— Taa... — mruknął Cyryl, gwałtownie hamując, gdy żółte światło nagle zmieniło się na czerwone. — Przepraszam cię.

— To rzecz gustu — odparł policjant, obserwując pasażerów w samochodzie przed nimi.

— Słucham?

— Jedź, stary. Masz zielone — przywołał go do porządku Sobolewski. — Mówię tylko, że to rzecz gustu.

— Nie była w twoim typie?

— Wiesz, ja, po tym wszystkim, co zafundowała mi żona, mam, póki co, stuprocentową odporność na kobiety.

— Zazdroszczę — odparł Cyryl.

— Nie ma czego. To prawie jak impotencja. Chciałbyś być na moim miejscu? — uśmiechnął się gorzko Krzysztof.

— Wybacz, ale nie.

— Właśnie. Poza tym pomyśl, że piękne kobiety to na ogół straszne suki.

— Czyli była piękna... — powiedział Cyryl z rezygnacją. Detektyw pokiwał głową.

— Przecież wiesz, że tak.

— Zdrowiejesz, stary. Nie jesteś takim impotentem, za jakiego się podajesz.

Strzemiński nie pamiętał dnia, w którym po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że mógłby zostać dziennikarzem. Patrząc wstecz, odnosił wrażenie, że musiał się z tą myślą urodzić, tak jakby stanowiła element jego kodu genetycznego. Odkąd nauczył się pisać, bazgrał coś w przypadkowych zeszytach i na luźnych skrawkach papieru. W podstawówce pisał za kolegów wypracowania, traktując to jak zabawne ćwiczenie, zmieniając styl, a nawet celowo robiąc błędy ortograficzne, by efekt jego starań odpowiadał możliwościom intelektualnym mniej zdolnych uczniów. Był bystry, ale słownictwo, jakim operował jako nastolatek, było jeszcze dość ubogie. Za mało czytał i nie był w stanie usiedzieć nad książką. Żył w przeświadczeniu, że nauka może poczekać. Włączył się z kolegami i nierzadko wracał do domu po nocy, ale nawet w tym wyczerpującym okresie gromadzenia doświadczeń lubił otworzyć notatnik i skrobnać w nim kilka zdań, niezwiązanych z tymi, które zapisał wcześniej, ani z mającymi pojawić się później. Ubierał w słowa myśli i obrazy, utrwał rozmowy. Pisanie go odprężało. Było ucieczką w inny wymiar, funkcjonujący według zasad, które znał i lubił stosować. A to nie zdarzało się często. Słowa były plastyczne. Miękkie i rozciągliwe, zestawiane ze sobą nabierały nowych znaczeń, o które nigdy by ich nie podejrzewał. Karmił nimi swoją wyobraźnię, mając nadzieję, że jego wytrwałość zostanie nagrodzona. Chciał widzieć własne nazwisko w stopce redakcyjnej popularnego dziennika albo pod artykułem na pierwszej stronie. Wierzył w siłę języka. A także w refleks i intuicję. W jego pojęciu dziennikarstwo miało służyć nie tylko odtwarzaniu rzeczywistości, ale kreowaniu jej na nowo tylko po to, by wywołać u odbiorców takie, a nie inne emocje. Rozśmieszyć, przerazić, zbulwersować. „Chleba i igrzysk” — mówili starożytni, podczas gdy współcześni domagali się informacji.

Prawdopodobnie i jednym, i drugim chodziło o to samo. Być może Strzeмиński trochę się zapędził w tych porównaniach, żył jednak w przeświadczeniu, że informacja jako taka właściwie nie istnieje. Przybierała różne kształty w zależności od profilu pisma, charakteru stacji telewizyjnej i upodobań grupy docelowej. Zadanie Artura było proste: oddzielić esencję od prozy życia w taki sposób, by ta pierwsza spełniała oczekiwania pracodawcy i czytelników. Stosował różne zabiegi, by ich zadowolić. Starannie dobierał słowa, skracał wypowiedzi, zonglował faktami. Nic więc dziwnego, że rzeczywistość podpisana jego nazwiskiem miała niewiele wspólnego z tym, co zwykło się za nią uważać.

„Igrzyska” odbywały się każdego dnia. On dbał jedynie o oprawę i był gotów zrobić wiele, by w końcu zasłużyć na nieśmiertelność.

Izabela nie tylko gazety czytała przez wzgląd na dawne czasy. Gdy wspięli się po schodach i przystanęli na klatce schodowej, każde u drzwi swojego mieszkania, sięgnęła wprawdzie do torebki po klucze, ale szybko się rozmyśliła. Artur śledził zdecydowane ruchy jej długich palców i czekał, choć sam nie wiedział, na co. Nie śmiał się odezwać i nie chciał, by znowu znikła na długie tygodnie.

— Nie zaprosisz mnie na herbatę? — posłała mu uśmiech, w którym nie było już ani drwiny, ani pobłażliwości.

— Oczywiście — odetchnął, jakby zdarzył się cud, o jakim nawet nie marzył, i dopiero teraz przekręcił klucz w zamku. Uchylając drzwi, zrobił zapraszający gest. Kiedy dotknęła go lekko, przestępując próg, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zrobiła to umyślnie.

Niepotrzebnie, pomyślał. Elektryzowała go już sama jej obecność.

Kręcił się po kuchni jak pies, który stara się chwycić zębami własny ogon. Rozsypał herbatę, bo trzęsły mu się ręce. Zganił się w duchu, ale to go wcale nie uspokoiło. Woda gotowała się jak na zamówienie, a on nasłuchiwał kroków kobiety w salonie i zastanawiał się, co robi, zamiast zwyczajnie iść i sprawdzić. Wydawało mu się, że wie, jak zakończy się to popołudnie, ale nie ufał instynktowi. Izabela była nieprzewidywalna. Chyba to właśnie tak bardzo go w niej fascynowało.

Zastał ją siedzącą na kanapie z drugim tomem *Wielkiej Encyklopedii Rocka* na kolanach. Pozbyła się spodni. Bielizna i krótka koszulka, które miała na sobie, więcej ujawniały niż zakrywały i Artur, patrząc na nią, miał wrażenie, że jest zupełnie naga. Usiadł obok i delikatnie, ale stanowczo odebrał jej grubą księgę. Jego dłonie nagle odzyskały dawną pewność, a myśli jasność i nieograniczoną swobodę.

Leżało w tym samym miejscu, więc dostrzegł je od razu. Nie był zaskoczony. W ciągu dwóch miesięcy zdażył się przyzwyczaić do widoku martwego ciała. Miał je przed oczami za każdym razem, gdy przebiegał obok, pokonując swoją codzienną trasę. Pamięć często płała nam podobne figle. W pierwszej chwili pomyślał, że to jeden z nich. Ciało było jednak prawdziwe, nieruchome i doskonale bezwładne. Gdyby przyszło mu do głowy je podnieść, jego ciężar odczułby z pewnością podwójnie.

Właściwie, patrząc na nie, odczuwał ulgę, jakby przez cały czas spodziewał się, że wcześniej czy później się na nie natknie. Na ogół nie miał zamiaru przeczucić, teraz jednak było inaczej. Czekanie, które męczyło go i napełniało lękiem, dobiegło końca. Rozejrzał się niepewnie, ale nikogo nie zobaczył. Wokół panowała cisza. Letni poranek bardzo przypominał ten majowy, kiedy przydarzyło mu się to po raz pierwszy. Dlaczego mnie? – zapytał sam siebie i chwilową ulgę zastąpił dawny niepokój. Był przekonany, że nie są to ostatecznie zwłoki, jakie przyszło mu oglądać. Skąd czerpał tę pewność i komu mógłby o tym powiedzieć?

Mimo wszystko zamierzał wykorzystać nadarzącą się sposobność i narobić wokół kolejnej śmierci trochę szumu. Szkoda byłoby zmarnować taką okazję. Nie miał nic do stracenia. Nagle przestał się bać i skupił się na tym, co widzi. Jego myśli przybrały formę gotowych zdań, które postanowił zapamiętać, bo nie miał przy sobie nic do pisania. Kiedy uznał, że jego uwadze nie umknął żaden szczegół, zdecydował się zadzwonić.

Sobolewski, który zjawił się na miejscu zdarzenia w ciągu pół godziny, przyglądał się dziennikarzowi dłuższą chwilę, nim zadał pierwsze pytanie.

— Panie Strzemiński, proszę mi powiedzieć, co pan robił w tym miejscu tak wcześnie rano? Od jakiegoś czasu nie mu głę oprzeć się wrażeniu, że Warszawa jest dla nas zbyt mała.

— Biegałem — odparł Artur zgodnie z prawdą, pozostawiając jego spostrzeżenie bez komentarza.

— Tak jak dwa miesiące temu? — wyglądało na to, że mu nie uwierzył.

— To moja zwykła trasa.

— Nie miał pan ochoty jej zmienić po tym, jak znalazł pan tamte zwłoki?

Czy wymówił słowo „znalazł” ze szczególnym naciskiem, czy Arturowi tylko się wydawało? Nie zmienił jej, bo nie lubił, by emocje wpływały na jego postępowanie. Zresztą w okolicy nie było bardziej odpowiedniego miejsca, a nie chciał biegać wzdłuż ulic, na których panował duży ruch. Nad Wisłą było lepsze powietrze. Na wydeptanych w trawie ścieżkach stopy mniej się męczyły. Miał to tłumaczyć swojemu rozmówcy? Przecież to było oczywiste. Milczał więc, uznawszy, że to pytanie retoryczne. Co komu do tego, jak on radzi sobie ze wstrząsającymi przeżyciami?

— Ma pan mocne nerwy — powiedział tymczasem policjant, zapisując coś w notesie. W tonie jego głosu było zastanowienie i delikatny, a jednak wyczuwalny cień wątpliwości.

— Coś pan sugeruje? — zapytał dziennikarz zaczepnie. Jasne oczy tamtego wpatrywały się w niego z chłodną rezerwą.

— Niepotrzebnie się pan denerwuje — zauważył spokojnie detektyw.

— Chyba, że ma pan powód.

— Trudno się nie denerwować. Patrzy pan na mnie jak na mordercę.

— Ja tylko zadaję pytania. Taką mam pracę. Byłbym wdzięczny, gdyby tym razem nie nadawał pan sprawie rozgłosu.

— Taką mam pracę — Artur powtórzył za nim z przekąsem.

— Mogę pana zatrzymać pod zarzutem utrudniania śledztwa. Niech się pan zastanowi — zaproponował funkcjonariusz niemal przyjaźnie. Artur był pewien, że w czasie przesłuchań z powodzeniem odgrywał rolę dobrego policjanta. Przynajmniej uśmiechał się tak, jakby potrafił się dogadać z całym światem, a nie tylko z jednym dziennikarzem popularnego, choć niecieszącego się najlepszą opinią, bulwarowego tytułu. To się jeszcze zobaczy, pomyślał, ale nic nie odpowiedział. Jego rozmówca uznał to milczenie za zgodę.

— Widzę, że się rozumiemy — powiedział, chowając notes do tylnej kieszeni spodni. — Jest pan wolny. Odezwiemy się, jeśli będziemy mieć jeszcze jakieś pytania.

TRZECIE CIAŁO, podobnie jak pierwsze (a właściwie drugie, biorąc pod uwagę kolejność morderstw), było pod całunem zupełnie nagie. Może sprawcy chodziło wyłącznie o to, by utrudnić identyfikację ofiary, a może czerwona tkanina miała jakieś znaczenie, którego policji nie udało się rozszyfrować? Nie było żadnych śladów — krwi, włosów, naskórka pod paznokciami, odcisków palców i stóp. Zabójca był niezwykle ostrożny. Ziemia spalona słońcem, wyschnięta i twarda, nie zamierzała zdradzać swoich sekretów.

Zamordowany był młodym mężczyzną. Od dziesięciu lat chorował na schizofrenię. Brał leki. Nie pracował. Mieszkał sam, ale codziennie chodził na obiady do rodziców, którzy mieli mieszkanie w sąsiednim bloku. Poprzedniego dnia nie przyszedł. Rano ojciec nie zastał go w domu, więc zgłosił zaginięcie. To dlatego jego tożsamość ustalono w ciągu godziny. Nazywał się Tomasz Bandurski. Miał 27 lat. Na jego ciele nie znaleziono żadnych obrażeń, jedynie dwa prawie niewidoczne nakłucia — obok pępka i na przedramieniu lewej ręki. Morderca opłacił mu podróż na tamten świat srebrną monetą, która niestety w niczym nie przypominała tej wyjętej z ust Adama Grzelaka.

Cyryl sprawdził w Internecie dostępność obu krążków. Zostały wyemitowane przez Narodowy Bank Polski w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy.

IV

Koperta była niewielka, śnieżnobiała i bardzo lekka. Odruchowo obejrzał ją pod światło, bo w pierwszej chwili pomyślał, że jest pusta. Warszawski stempel świadczył, że została wysłana cztery dni temu. Jego nazwisko i adres wydrukowano bardzo starannie, ale na odwrocie brakowało informacji o nadawcy.

Zdecydowanym ruchem rozerwał ją i wyjął złożoną na pół, gęsto zadrukowaną kartkę. Kiedy przebiegł wzrokiem pierwsze linijki, zrozumiał, że niepokój, który odczuwał, był w pełni uzasadniony. List nie miał nagłówka ani podpisu. Niejasna treść przypominała monolog szalonego hazardzisty, który chce udowodnić światu swoją wielkość.

Miał zamiar zmiąć drżący w palcach papier, ale spojrzawszy na tekst jeszcze raz i ponownie przeczytał zdanie: *W tej grze ja dyktuję zasady.* W jakiej grze? — zastanowił się i przez głowę przemknęło mu absurdatne podejrzenie, które natychmiast odrzucił. Starał się myśleć racjonalnie. Na próżno. Okrągłe zdania brzmiały w jego uszach jak zapowiedź nieszczęścia.

Jesień przysłała niespodziewanie. Ciepła i złota, zaskoczyła Cyryla intensywnością kolorów i zmusiła do tego, by na chwilę zapomniał o pracy i rozejrzał się po świecie. Ostatnio był bardzo zajęty. Gościnnie prowadził zajęcia dla studentów i coraz częściej uczestniczył w sekcjach zwłok przeprowadzanych na zlecenie policji i prokuratury w Zakładzie Medycyny Sądowej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Czasem w tym samym celu jeździł do Łodzi i Białegostoku. Zdarzało mu się myśleć, że w środowisku robi się sławny.

Poza tym wciąż próbował ustalić tożsamość drugiej ofiary. Oznaczenie kodu DNA mogło przyspieszyć identyfikację, jednak w tym

celu należało pobrać próbki od rodzin zaginionych osób, których płeć, wiek i takie cechy, jak wzrost i budowa ciała odpowiadały znalezionym kilka miesięcy temu zwłokom. Wciąż było ich jednak zbyt wiele. Policja co roku otrzymywała informacje o zniknięciu kilku tysięcy osób, miesięcznie poszukiwała co najmniej kilkuset.

Cyryl dążył do tego, by ograniczyć tę liczbę. Od kilku tygodni na podstawie czaszki rekonstruował twarz zamordowanego mężczyzny, korzystając przy tym z programu graficznego, w którym zestawiał poszczególne elementy ludzkiej fizjonomii. Dobierał je z policyjnej bazy danych, zawierającej kilkadziesiąt tysięcy różnych zdjęć, starając się, by pod względem antropologicznym jak najwierniej odpowiadały kształtowi kości. Było to bardzo żmudne zajęcie, wymagające cierpliwości i czasu. Nierzadko musiał uciekać się do fotomontażu kilku, a nawet kilkunastu różnych części nosa czy podbródka, by uzyskać zadowalający efekt. Gotowy wizerunek miał porównać z fotografiami osób zaginionych, które krewni przekazywali policji. Gdyby udało mu się wytypować jedną z nich, możliwe byłoby porównanie kodu DNA denata z próbkami pobranymi od bliskich lub dotarcie do dokumentacji stomatologicznej. Zamordowany miał niekompletne uzębienie.

Z upływem dni Cyrylowi coraz trudniej było zapanować nad niepokojem. Wiedział, że kolejne morderstwo jest jedynie kwestią czasu i okoliczności. Jego nieuchronność miała w sobie coś apokaliptycznego, coś, przed czym nie można było uciec. Za dużo pracował i źle sypiał. Do domu wracał jak do hotelu, rzadko przed dwudziestą drugą, a często znacznie później, tylko po to, by wziąć szybki prysznic i rzucić się na niepościelone łóżko. Zasypiał na krótko i budził się, wyganiając spod powiek sny wypełnione kośćmi, głosami, których nie potrafił rozpoznać i okrucieństwem, które go przerażało. Rano nic nie pamiętał. Wstawał z poczucia obowiązku i po omacku szedł do łazienki, a kilka minut później krzywił się nad poranną kawą, która już dawno przestała mu smakować.

Pochłonięty codziennymi zajęciami być może nie zauważyłby zmiany pór roku, gdyby znowu nie spotkał Izabeli. Nie zdziwił się na jej widok.

Pomyślał tylko, że los mu sprzyja.

Tym razem była sama. Ubrana w lekki popielaty płaszcz, wiązany w pasie, wydała mu się wyższa, niż dwa miesiące temu. Jej opalenizna przybladła nieco, ale twarz i dłonie miały jeszcze delikatny, złotawy odcień lata. Kiedy dzieląca ich odległość zmniejszyła się do kilku metrów, Cyryl odniósł wrażenie, że nie tylko on cieszy się z tego spotkania. Zaraz jednak przypomniał sobie, że nie zdążył się rano ogolić i jego pewność siebie prysła jak bańka mydlana. Blask, który dostrzegł w jej oczach, musiał mieć związek z październikowym słońcem.

— Miło panią widzieć — powiedział, odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech. Była pół głowy niższa od niego, mógł więc swobodnie patrzeć jej w oczy. Nie krępowało jej jego spojrzenie. Cyryl doszedł do wniosku, że pewnie przywykła. Przypuszczał, że poza nim i tym dziennikarzem, który jej poprzednio towarzyszył, wielu mężczyzn okazywało Izabeli swoje zainteresowanie.

— Pana również — zrewanżowała się, wymawiając słowa w taki sposób, że nie wiedział, ile w nich było kurtuazji, a ile prawdziwej sympatii. — Nie sądziłam, że się jeszcze spotkamy.

— To miasto jest mniejsze, niż się wydaje. A może to przeznaczenie? — zażartował Cyryl, który właśnie zaczynał się nad tym zastanawiać.

— Może — odparła poważnie, jakby daleka była od bagatelizowania podobnych splotów okoliczności czy zrządeń losu. Mężczyzna dostrzegł w jej oczach przychylność. Być może dlatego uznał, że jest to odpowiednia chwila.

— Niedaleko jest takie miłe miejsce... — zaczął. — Dałaby się pani namówić na kawę?

— Proszę mi mówić po imieniu. Izabela — ciepły mocny uścisk dłoni sprawił, że Cyrylowi przypomniały się jej opalone ramiona. Był skłonny założyć się o spokój własnej duszy, że na ciele stojącej przed nim kobiety nauczyłyby się anatomii w czasie krótszym, niż najzdolniejszy z jego studentów, ale w porę przypomniał sobie, że już co nieco umie. Ta myśl oszołomiła go jednak na kilka sekund, milczał więc, próbując poradzić sobie z obrazami, które podsunęła mu niepokorna wyobraźnia.

— Myślałam, że o tej porze pracujesz? — odezwała się po chwili, gdy ruszyli ramię przy ramieniu we wskazanym przez Cyryła kierunku.

Celna uwaga, przyznał w duchu, i bardzo na czasie. Faktycznie pracował. Był już jedną nogą za progiem uczelni, za kwadrans zaczynał zajęcia. Zbyt mało czasu na najmniejszą kawę. W dodatku w towarzystwie kobiety. Cóż, studenci z pewnością ucieszą się z jego nieobecności. Jakoś ją wytłumaczy. Jego praca w policji nie była tajemnicą i tym razem mogła się na coś przydać.

— My, „zimni chirurdzy”, mamy nienormowany czas pracy. Uprawiamy wolny zawód, jak artyści — skłamał gładko. Izabela patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Ostre popołudniowe słońce świeciło im prosto w twarz.

— Mówiłeś, że nie jesteś „zimnym chirurgiem”.

Zaskoczyła go.

— A więc zapamiętałaś, co mówiłem...

— Naturalnie. Masz interesującą pracę — jej uwaga tylko nieznacznie popsuka mu nastrój. A przecież niemądrze było oczekiwać innej odpowiedzi.

— Niektórzy są innego zdania.

Nie był pewien, po co to powiedział. Żeby sprawdzić, jak zareaguje? Chyba nie oczekiwał z jej strony zaprzeczenia? Żaloszny jesteś, bracie, wyrzucał sobie, stawiając coraz dłuższe kroki. Znał niewiele kobiet, które równie spokojnie komentowały jego sposób zarabiania na życie. W najlepszym wypadku ich słowom towarzyszył grymas, wyrażający obrzydzenie. Izabela wyglądała na bardziej zaciekawioną niż zde gustowaną. Może dlatego, że zbyt mało wiedziała o specyfice zawodu, który uprawiał, a może wiedziała dość i nie robiło to na niej większego wrażenia. Miał nadzieję, że nie okaże się zbyt dociekliwa. Zwykle nie wdawał się w szczegóły, bo dla większości osób byłyby trudne do zniesienia. Jeśli naprawdę musiał, używał okrągłych wyrażen i pojęć. Mówił na przykład „częściowo zeszkieletoweane”, opisując stopień rozkładu ciała, lub „szczątki”, gdy było ono rozkawałkowane, ale i tak narażał się wówczas na spojrzenia, z których jasno wynikało, że

rozmawiające z nim kobiety wolały, by ich nie dotykał. Nie tymi rękami. Od pewnego czasu, pytany o to, czym się zajmuje, mając za sobą kilka przykrych doświadczeń, mówił tylko, że jest antropologiem. Kropka. Dzięki temu nie musiał nic wyjaśniać.

Pograżony w myślach przypomniał sobie, że nie jest sam, dopiero wtedy, gdy na ramieniu poczuł dotyk kobiecej dłoni.

— Zwolnij — powiedziała Izabela, więc zatrzymał się gwałtownie, zmuszając ją, by zrobiła to samo. Podtrzymał ją, gdy straciła równowagę, a jego ciało zareagowało na tę przypadkową bliskość w jedyny możliwy do przewidzenia sposób. Nie miał ochoty jej puścić, pomyślał jednak, że się ośmieszy, jeśli ona zacznie się szamotać.

— Przepraszam cię — powiedział. — Właściwie jesteście na miejscu.

Otworzył przed nią drzwi i dopiero wtedy rozluźnił uścisk.

Gdyby ktoś go zapytał, o czym rozmawiali przez kilka godzin, miałby kłopot z odpowiedzią. Może trochę o nim. I na pewno nie o niej. Po powrocie do domu próbował podsumować to, czego się dowiedział, ale musiał przyznać, że z zabawnych anegdot, które opowiadała Izabela, wynikało naprawdę niewiele. Pytania o to, czym się zajmuje, czy ma rodzinę, gdzie mieszka, pozostawiała bez odpowiedzi. Zręcznie zmieniała temat, a on nie chciał być niedelikatny. Poza tym oddawała się milczeniu, jakby było jedną ze sztuk, i robiła to po mistrzowsku. To, że nie lubiła mówić o sobie, czyniło ją jeszcze bardziej interesującą. W gruncie rzeczy nie dziwiła go jej powściągliwość. Prawie się nie znali i nie było pewności, że jeszcze się kiedyś spotkają. Cyryl starał się nie myśleć o tym najgorszym z możliwych scenariuszy. Dopóki z nią był, reszta niewiele go obchodziła. Niedosyt informacji zaczynał odczuwać dopiero wtedy, gdy tracił ją z oczu.

Jednak o tym przekonał się dopiero później. Tymczasem cieszył się z towarzystwa pięknej kobiety, każdego uśmiechu przeznaczonego wyłącznie dla niego i czasu, który chciała z nim spędzić. Popołudnie ustąpiło miejsca wieczorowi, a oni wciąż snuli się ulicami Śródmieścia, jakby w tym dniu nie mieli do załatwienia żadnych spraw, ani tych

niecierpiących zwłoki, ani zaplanowanych dawno temu. Widocznie oboje postanowili na chwilę zapomnieć o życiu, które wiedli w pojedynkę w tym samym mieście.

— Odwiozę cię do domu — zaproponował, gdy zrobiło się bardzo późno.

— Tylko do metra — zgodziła się, a on nie nalegał. Nie była osobą, której można było narzucić własne zdanie.

— Chciałbym cię jeszcze zobaczyć — powiedział w ciemność, kiedy już wsiedli do samochodu. Bał się, że później onieśmielią go uliczne światła. Tutaj, w bocznej uliczce, mrok był jego sprzymierzeńcem i Cyryl wyobraził sobie, że mógłby nawet pocałować siedzącą obok kobietę, nie chciał się jednak spieszyć.

— Zadzwoń do ciebie — usłyszał jej głos. „Jak?— chciał zapytać. — Nie masz mojego numeru...”. Nie zdążył, bo dodała: — Znajdę cię. Mam swoje sposoby.

A potem zrobiła coś, czego się zupełnie nie spodziewał. Pochyliła się i pocałowała go w usta. Miętko. Długo. Z dużą wprawą.

— Dziękuję za uroczy wieczór — powiedziała cicho. — A teraz już naprawdę jedź.

Nie powiedział Ewie ani o pierwszym, ani o drugim spotkaniu. Nie czuł się na siłach. Minęły prawie trzy tygodnie, a Izabela nie zadzwoniła. Pogodził się z myślą, że już nie zadzwoni. Może gdyby był mniej zajęty, mocniej by go to zabolalo. A tak? Nic się przecież nie stało. Wpadli na siebie przypadkiem, poszli na kawę, później na kolację, tylko rozmawiali, nie składali sobie żadnych obietnic. A że oboje ulegli nastrojowi? Nie pierwszy i prawdopodobnie nie ostatni raz. Cyryl nie spodziewał się dalszych szczęśliwych zbiegów okoliczności i uznał sprawę za zamkniętą. Czasem śnił mu się dotyk jej warg jako wstęp do śmielszych pieszczot, ale w końcu nie były to jedyne erotyczne sny, które pamiętał po przebudzeniu.

Mimo to nie zamierzał nikomu mówić o znajomości, która zakończyła się, nim zdążyła się rozwinąć. Nie pozwalała mu na to męska duma i uczucie niedosytu, do którego nie przyznawał się nawet przed sobą. Nie zgadzał się, by jeden pocałunek wywrócił jego życie do góry nogami, wtlaczał je więc uparcie w ciasne ramy codziennych obowiązków i z całym przekonaniem, na jakie go było stać, wmawiał sobie, że wszystko jest w porządku.

Listy przychodziły nieregularnie. Coraz dłuższe. Coraz bardziej jednoznaczne. Czytał je wielokrotnie, za każdym razem utwierdzając się w przekonaniu, że nie robi tego, czego oczekuje od niego nadawca. W każdym razie jeszcze nie teraz. Sam chciał wybrać stosowny moment, żeby nikt nie mógł mu zarzucić, że uległ sugestiom mordercy. Jeśli to on był autorem listów... Co do tego nie miał absolutnej pewności. Świat pełen jest wariatów, gotowych przyznać się do najgorszych zbrodni tylko po to, by doczekać się swoich pięciu minut, uznał, wkładając koperty do szuflady z różnymi papierami. Znał takie przypadki.

Nie ulegało wątpliwości, że zabójca wybrał go na swojego rzecznika, powiernika, a może widza, uważając, że jest jedynym, który w pełni zrozumie jego czyny. Ilekroć o tym myślał, zadawał sobie pytanie: czy tak zwany motyw ma tutaj jakiegokolwiek znaczenie? Ciało pozbawione życia zawsze było przecież tak samo martwe, bez względu na to, czy sprawca zabił w afekcie, z premedytacją, dla przyjemności, pieniędzy, czy z innych, jemu tylko znanych przyczyn. Czy koniecznie trzeba było szukać wyjaśnienia albo usprawiedliwienia dla jego postępów? Zwykli śmiertelnicy, właściwie rozumiejący pojęcia dobra i zła, z reguły nie porywali się na cudze życie, prędzej już na własne.

— Robi się z ciebie moralista — mówił czasem do lustra, obracając w pamięci przeczytane zdania, od których nie mógł się uwolnić. — On robi to dla zabawy, tak przynajmniej twierdzi. Jaki człowiek jest gotów mordować tylko po to, by czerpać radość z aktu przemocy?

Dlaczego ja? — przychodziło mu do głowy drugie pytanie. Unikał odpowiedzi, bo znał ją aż za dobrze. Niepokoiło go przeczucie, że bycie

widzem nie wystarczy, że nadawca znalazł w nim współnika, którego zamierzał przekonać do swoich poczynań. W tym celu wysyłał listy. Pobawmy się w to razem — mówił. — Wiesz, że jesteśmy sobie potrzebni.

Mijały dni, a listów było coraz więcej. Stos w szufladzie rósł, podobnie jak jego niepokój, a później strach. Mógł być wybranym losowo adresatem, współnikiem, którego rola ogranicza się jedynie do czytania listów od domniemanego zabójcy; kimś, kto siedząc w fotelu z kopertą w dłoni, przeklina własne kunktatorstwo, ale czeka na właściwy moment; w końcu człowiekiem, który nie umie lub nie chce podjąć decyzji. Ale nie życzył sobie szarad i słownych gier, niedomówień, stawiających pod znakiem zapytania jego bezpieczeństwo, zawołowanych gróźb, które według nadawcy wcale nimi nie były.

Zaczął niecierpliwie czekać na listonosza. Kilka razy dziennie zaglądał do skrzynki, łudząc się, że w następnej kopercie znajdzie rozwiązanie zagadki. Był w błędzie. Nowy list niczego nie wyjaśniał, raczej wszystko gmatwał, a on po takiej lekturze był jeszcze bardziej niespokojny niż zazwyczaj.

Nikomu nie pokazał tej korespondencji i nauczył się żyć z lękiem i wątpliwościami, które teraz stale mu towarzyszyły. Do gróźb przywykł, widząc w nich tylko jeden ze środków wyrazu. Nie był śledzony, nie odbierał głuchych telefonów. Nie otrzymywał paczek z podejrzaną zawartością. Jedynie listy, ale one nie mogły przecież zabić. Czczą gadanina, myślał, czytając je bez końca i wciąż doszukując się nowych treści w zdaniach, które pamiętał aż za dobrze. Z biegiem czasu doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy nic mu nie grozi i bez względu na to, czego oczekuje od niego morderca, on nie musi się spieszyć.

V

Czasem zastanawiam się, co o mnie myślisz. Nie sądz, że Twoja opinia ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Poznanie jej pomogłoby mi jedynie lepiej przewidywać Twoje reakcje. Tylko tyle, a może aż tyle. Teraz, gdy łączy nas ciche wspólnictwo, chcę wierzyć, że gra, która stała się moim być albo nie być, jeszcze zyska na atrakcyjności. Już nie potrafię się bez niej obejść. Możesz podzielać moją fascynację lub nią gardzić. Bez względu na to, co wybierzesz, zawdzięczać Ci będę dodatkowe emocje.

Pozwól, że zacznę nazywać rzeczy po imieniu. Szczerosc między wspólnikami jest gwarancją porozumienia i sukcesu. Być może już się domyśliłeś, że jestem nałogowcem. Można pić, tykać prochy, przegrywać pieniądze, bez przerwy uprawiać seks. Uzależnienia — niemal widzę, jak kiwasz głową z dezaprobatą — zmieniają człowieka w strzęp tego, czym był kiedyś, w cień pozbawiony woli, energii i poczucia własnej wartości. Wszystkie wynikają ze słabości charakteru, podczas gdy moje świadczy o jego sile.

Uzależnienie od zabijania.

Czy to takie dziwne, że wciąż dobrowolnie poddaję się próbie?

To rodzaj egzaminu, który zdaję nieustannie, podnosząc przemoc do rangi sztuki. Zastanawiałeś się choć raz, co oznacza to słowo: „Przemoc”? Nie przez przypadek piszę je z wielkiej litery. Czy nie jest jeszcze jednym określeniem władzy, potęgi, wszechmocy?

Dlatego dopóki mogę, potrafię i chcę zabijać, będę to robić co jakiś czas.

Gdy poprzedniej nocy zadzwonił telefon, Cyryl jeszcze nie spał. Siedział przed telewizorem i bezmyślnie przerzucał kanały, zupełnie nie

zwracając uwagi na pojawiające się w nim obrazy. Próbował się zrelaksować, ale był to chyba najgorszy z możliwych sposobów. Trzeba było kupić po drodze jakąś butelkę do towarzystwa, myślał, pastwić się nad pilotem, jakby to on był winien jego samotności, wymuszonej abstynencji i tęsknocie, której powód był Cyryłowi doskonale znany. Na ekranie Ingrid Bergman pytała właśnie Bogarta: „A co z nami?” tonem, który sprawił, że antropolog zaczął mu zazdrościć. „Zawsze będziemy mieli Paryż” — odpowiedział na głos, bo tę kwestię Ricka akurat pamiętał. Parsknął śmiechem, ale natychmiast zamilkł, gdy uświadomił sobie, że piękna Ingrid nie wie, czemu, bo trudno było mówić o podobieństwie, przypomina mu Izabelę. Ona miała w sobie ten sam wdzięk i równie wysoko unosiła podbródek. Jakby przez całe dzieciństwo nosiła książkę na głowie. Współczesne kobiety już się tak nie poruszały. Chodziły za szybko lub za wolno, stawiały zbyt duże kroki, garbiły się i wpatrywały w płyty chodnikowe, zamiast patrzeć przed siebie. Izabela była inna. Dlatego zwrócił na nią uwagę. Nie mógł uwierzyć, że już jej więcej nie zobaczy, bo tego właśnie pragnął najbardziej. Nie liczył na drugi szczęśliwy zbieg okoliczności. Kupa gówna — mruknął z rezygnacją i uspokoił się nieco. Zabawne, że wśród przekleństw też zdarzały się tautologie.

Całe szczęście, że nie był sentymentalny. Niestety, nie miał też swojego Paryża i może powinien tego żałować.

Telewizor zgasł z cichym pyknięciem. Cyryl rozejrzał się po pokoju, jakby się zastanawiał, czym mógłby zająć ręce i głowę, i po raz drugi w ciągu ostatniego kwadransa z nostalgią pomyślał o jednym głębszym. Właściwie nie miał daleko. Od sklepu czynnego całą dobę dzieliły go dwie niezbyt długie ulice. Był pewien, że spacer dobrze mu zrobi.

Nie zdążył się jednak o tym przekonać. Nim wybrzmiał pierwszy dzwonek telefonu, domyślił się, kto dzwoni i po co. Wiedział już, dlaczego nie kupił butelki, wracając do domu, i dlaczego nie mógł się zdecydować na pójście do łóżka o rozsądnej godzinie. Stało się. Krawiec, jak nazywano mordercę gustującego w czerwonym jedwabiu, znowu pozbawił kogoś życia.

— Spisz już? — usłyszał głos Krzysztofa, który nie sypiał chyba wcale.

— A jakie to ma znaczenie? — odpowiedział pytaniem na pytanie. — Kto tym razem?

— Mężczyzna, trzydzieści parę lat.

— Od dawna nie żyje?

— Według wstępnych ustaleń jakieś dwie godziny — głos w słuchawce westchnął. — To w sumie nie twoja działka, ale może chciałbyś rzucić okiem.

— W sumie nie moja — przyznał Cyryl — ale ostatnio ciągle zajmuję się tym, czym nie powinienem. Gdzie jesteś?

— Nad Wisłą, w jego ulubionym miejscu. Albo zaraz obok. Porzuca tu ciała jak dzieciak zabawki.

— Nie filozofuj, stary. Zaraz wychodzę. Będę za kilkanaście minut.

— To dobrze, bo muszę ci zadać kilka pytań.

— Jestem podejrzany?

— Nie wygłupiaj się, tylko przyjedź. Czekam — powiedział szorstko policjant i rozłączył się.

Noc była chłodna. Powietrze pachniało listopadem, suchymi liśćmi i woskiem ze świec, płonących na pobliskich Powązkach.

Sobolewski kartkował swój notes z taką szybkością i precyzją, z jaką szulerzy tasują karty. Jego czoło przecinała głęboka pionowa bruzda, a wyraz ust nie wróżył nic dobrego. Kiedy znalazł to, czego szukał, na moment się rozchmurzył, ale uśmiech zaraz znikł, pozostawiając po sobie złowrogi grymas. Obserwujący go, Artur pomyślał, że jest na straconej pozycji. Tym razem facet nie uwierzy w żadne jego słowo. Prawdę mówiąc, sam by nie uwierzył, gdyby usłyszał od kogoś to, co zamierzał powiedzieć.

— Artur Strzeмиński — rzucił śledczy, rozciągając nazwisko dziennikarza ponad miarę, zupełnie jakby mówił „no proszę, kogo my tu mamy”. — Tym razem też pan biegał? — zapytał i popatrzył na indagowanego drwiąco.

— Wiem, jak to zabrzmie — odparł dziennikarz, siląc się na spokój — ale, niestety, nie mogę zaprzeczyć.

— O pierwszej w nocy?... — Mniej więcej o tej godzinie Krzysztof odebrał telefon, który zmusił go do opuszczenia łóżka. Teraz jego zegarek wskazywał kwadrans po drugiej.

— Po ciemku?

— Znam tu każdy kamień. Zresztą o tej porze roku ciągle jest ciemno — zauważył Artur. Trudno było nie przyznać mu racji.

— To kiedy mam biegać? — kontynuował wywód. — Przecież pracuję, jestem w mieście, w redakcji albo piszę w domu. Poza tym cierpię na bezsenność. Jeśli biegam, udaje mi się zasnąć. Jeśli nie biegam, piję. Przyzna pan, że to niezbyt zdrowe?

— Rzeczywiście — mruknął policjant, nie spuszczać wzroku z przesłuchiwanego. Jego spojrzenie było bardzo nieprzyjemne, przenikliwe i pełne dezaprobaty. — Ktoś może to potwierdzić?

— To, że biegam, czy to, że piję?

— Jedno i drugie. I to, że dzisiaj wyszedł pan z domu właśnie w tym celu.

— Raczej nie. Mieszkam sam.

— No, to ma pan problem... — tym razem uśmiech, który pojawił się na ustach przesłuchującego, gościł tam dłuższą chwilę. W tym czasie Artur zdążył się spocić, chociaż temperatura powietrza nie mogła przekraczać zera stopni. Od Wisły wiał porywisty zimny wiatr.

— Przecież to ja do was zadzwoniłem — przypomniał szpakowatemu mężczyźnie. — Poprzednio też.

— I za pierwszym razem — policjant pokiwał głową z politowaniem. — Myśli pan, że to pana stawia w lepszym świetle? Że trafił pan na naiwnego? A może jest pan psychopata, który chciałby zwrócić na siebie uwagę całego świata? Każdy sposób jest dobry. Nawet taki.

— Niech się pan nie zapędza — powiedział Artur nieswoim głosem. Dłonie ukryte w kieszeniach bluzy od dresu zwinął w pięści. Teraz dla odmiany było mu bardzo zimno. Gdyby wiedział, że zamiast biegać

będzie tu stał i odpierał słowne ataki jedyne w Warszawie detektywa, który traktował go jak wroga, włożyłby kozuch. Gdyby wiedział, że tak się to skończy, z pewnością nigdzie by nie zadzwonił, a zwłoki leżące nieopodal stygłyby i zamarzały, czekając na swojego odkrywcę.

— Powinien pan zmienić upodobania — odezwał się śledczy. — Tutaj nie mogło pana spotkać nic dobrego. Proszę mi powiedzieć, jak je pan zauważył?

— Mam latarkę — wyznał niechętnie dziennikarz, jakby sam fakt posiadania tego przedmiotu mógł dowodzić jego winy. — To chyba nie jest niezgodne z prawem?

Cierpka uwaga nie doczekała się komentarza.

— Przyjmijmy, że jest pan niewinny...

— Przyjmijmy? — prychnął Artur, na chwilę zapominając, że uprzejmość i brak emocji działają na jego korzyść. — Człowieku, ja jestem niewinny.

— Skoro tak, czy to nie dziwne, że wciąż potyka się pan o martwe ciała? Że zawsze jest pan w tym samym miejscu, co nieboszczyk? Czy tylko ja dostrzegam pana związek z tymi zabójstwami? Może jestem przewrażliwiony, co?

Przesłuchiwany wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

— Nie ma pan pojęcia... Szkoda... — powiedział policjant beznamiętnie, skrzętnie coś notując. Artur nie mógł wyjść z podziwu, że tamten cokolwiek widzi w tych ciemnościach. Teren po ich prawej stronie był rzęście oświetlony. Może dlatego mrok wokół nich wydawał się gęsty i lepki jak świeżo wylany asfalt. Dziennikarz miał wrażenie, że dałoby się go kroić nożem.

— Czy to już wszystko? Mogę wracać do domu? — zapytał, czując, że palce jego dłoni i stóp są zupełnie zdrętwiałe z zimna. Policjant przerwał pisanie i zastanawiał się nad czymś, stukając długopisem w okładkę notesu.

— Obawiam się, że to wykluczone.

— Nie rozumiem — Artur poruszył się niespokojnie, jakby nie dosłyszał.

— Naprawdę? — w głosie detektywa pobrzmiwało znużenie człowieka, który wprawdzie przywykł do tłumaczenia rzeczy oczywistych, ale był tym już odrobinę zmęczony — Dobrze, wyjaśnię to panu. Jest pan zatrzymany pod zarzutem popełnienia morderstwa. Teraz już pan rozumie?

— Ale dlaczego...

Policjant nie pozwolił mu skończyć myśli.

— To już pan nam powie — powiedział i skinął dłonią. Na jego znak jak duchy pojawili się obok dwaj umundurowani funkcjonariusze. W dłoniach jednego z nich słabo błysnęły kajdanki.

Być może to ich widok skłonił Artura do działania. Odepchnął policjanta z całych sił i wykorzystując zamieszanie, skoczył w ciemność. Zamknęła się za nim jak teatralna kurtyna z grubego czarnego pluszu, przez którą docierały do jego uszu tylko dźwięki, tupot ciężkich butów, nawoływania, a w końcu strzały, liczył na to, że ostrzegawcze. Miał nad nimi przewagę. Był szybki, wytrzymały i świetnie orientował się w terenie. Nie mieli szans go dogonić.

Nie wiedział, jak długo biegnie. Kiedy skręcił między drzewa i przebiegł jeszcze kilkaset metrów, wszystko ucichło. Zrozumiał, że ich zgubił. Tylko na jak długo? Dzień? Dwa? Ty dzień? Miał się teraz ukrywać, zmienić tożsamość, załatwić sobie lewe papiery? Co on najlepszego zrobił? Po co uciekał, skoro twierdził, że jest niewinny?

Zatrzymał się i nasłuchiwał.

Mijały sekundy, a może minuty. Uderzenia serca stawały się bardziej miarowe i nie brzmiały już jak tętent galopującego konia. Szeleściły liście niepokojone przez wiatr. Ciepło powoli uchodziło z ciała i Artur znowu zaczął odczuwać chłód. Nie mógł pójść do domu, bo mieszkanie na pewno było pod obserwacją. Do Izabeli też nie. Z tego samego powodu. Poza tym nie był przekonany, czy otworzyłaby mu drzwi. Ich znajomość nie mieściła się w żadnej znanej mu kategorii, umykała klasyfikacjom, wołał więc nie ryzykować.

Było mu zimno i nie miał się gdzie podziąć, ale wiedział jedno: musiał gdzieś pójść, byle dalej od miejsca, w którym nad jednym martwym ciałem pochylał się tłum ludzi, a ciemność tylko pozornie sprzyjała uciekinierom, bo dawała schronienie także tym, którzy ich szukali. Ruszył przed siebie, starając się stąpać jak najciszej. Nie dostaną mnie, pomyślał, nim przyszło mu do głowy, że łąduje się w niezłe tarapaty. Przeszłość, którą oswajał długie lata, wyszczerzyła zęby, gotowa skoczyć mu do gardła. Nie mógł jej na to pozwolić. Zbyt dużo pracy włożył w to, by stać się tym, kim był teraz. Nie zamierzał zaczynać wszystkiego od nowa, dlatego musiał zniknąć.

Już wiedział, dokąd pójdzie. Nie chciał, ale nie miał innego wyjścia. Ktoś był mu winien przysługę. Tam, gdzie już raz stracił swoje życie, chciał je zorganizować na nowo. Przeczekać. Pomyśleć. Zapaść się pod ziemię. Tylko tam było to możliwe.

Miasto, pogrążone w sennym bezruchu, wydawało się równie martwe, jak zwłoki porzucone przez zabójcę nad Wisłą. Asphalt, suchy i przyjemnie szorstki, szybko umyka! spod kół, a uliczne latarnie podążały jego tropem, znacząc ramiona męż-czyzny i dłonie, spoczywające na kierownicy, żółtym piętnem słabego blasku.

Cyryl prowadził pewnie i z przyjemnością, czując, jak cisza i noc, niczym dwie setki wódki, których nie zdążył wypić, koją jego nerwy i rozlewają się w żołądku gorącą, miękką jak pieszczota falą ulgi. Napięcie, w jakim żył od kilku tygodni, znikło i choć był pewien, że wkrótce pojawi się znowu, teraz rozkoszował się chwilą, w której nie musiał panować nad swoimi emocjami. Wreszcie nie musiał ich kontrolować. Tłumić. Przed nikim udawać dobrego nastroju.

Za daleko odszedł od codziennych zajęć. Zbyt mocno się zaangażował, zapominając, że powinien traktować zawodową rzeczywistość z należyty dystansem. Jak pracownik zakładu pogrzebowego. Tymczasem cudza śmierć dotykała go osobiście. Ta, którą oglądał, była nędzna i odrażająca. Pozbawiona majestatu. Nieludzka. Patrzył na nią codziennie, wkładając wiele wysiłku, by

wytrzymać jej widok i zapanować nad obrzydzeniem. Byłoby lepiej, gdyby zmienił pracę, ale nie miał innego pomysłu na życie i zbyt dobrze robił to, czemu dotąd się poświęcał, by nagle z tego rezygnować. Zaczynać od nowa. Szukać swojej niszy.

Może gdyby miał rodzinę i jakieś inne, normalne życie, poza tym, które wiódł przez okrągły tydzień z uporem godnym lepszej sprawy... Może wtedy, wychodząc z pracy, umiałyby zatrzasnąć za sobą drzwi i zostawić po tamtej stronie niewygodny bagaż, złożony z drastycznych obrazów i przewidywań, które lubiły się sprawdzać. Ale był sam i ostatnio jego prywatne życie ograniczało się do mycia zębów przed zaśnięciem i oglądania starych filmów – pod tym względem na telewizję zawsze można było liczyć – w których rozbitkowie, grani przez Bogarta, Delona albo Belmondo próbowali naprawiać świat po swojemu. Albo po swojemu go niszczyć. Czasem się z nimi identyfikował, a czasem im zazdrościł, choć nikomu nie przyznałby się ani do jednego, ani do drugiego.

Jaki był powód zazdrości, Cyryl nie wiedział. Dotąd właściwie nie narzekał. Nie miał na to czasu. Ale niedawno przyszła mu do głowy niepokojąca myśl, że jego pusta, pozbawiona uroku codzienność nigdy nie zyska na atrakcyjności, jeśli on nie zacznie się o to starać. Nagle poczuł się stary, jakby śmierć, z którą bez przerwy miał do czynienia, dzień po dniu odbierała mu najlepsze lata, energię i optymizm. Śmierć, jedyna kobieta w jego życiu. To niedorzeczne – powiedział głośno, skręcając gwałtownie, bo zjazd w lewo dostrzegł w ostatniej chwili.

Przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów po nierównej drodze i zaparkował obok innych samochodów. Kiedy wyłączył silnik, zrobiło się nienaturalnie cicho. Tam, gdzie leżało ciało, biło spomiędzy drzew w czarne niebo ostre światło policyjnych reflektorów.

Szkarłatna tkanina, leżąca na pozbawionej koloru ziemi wyglądała z daleka jak kałuża świeżej krwi. Dopiero gdy podszedł bliżej, dostrzegł rysujący się pod nią wypukły kształt. Stojący przy taśmie policjant pozwolił mu zrobić jeszcze kilka kroków. Cyryl zatrzymał się we

wskazanym przez niego miejscu i czekał, aż stojący nieopodal mężczyźni skończą rozmawiać. Dwóch nigdy wcześniej nie widział, ale domyślił się, że to lekarz i prokurator; trzecim był Sobolewski. Z niewyraźnego szmeru głosów nie można było wyłowić ani słowa. W końcu detektyw zauważył go i podszedł, wyciągając na powitanie zmarzniętą dłoń.

— Myślałem, że chociaż ty wyśpisz się tej nocy — zagadnął.

— Tylko mi nie mów, że też cierpisz na bezsenność...

Jego siwiejące włosy w świetle halogenów wydawały się zupełnie białe.

— Co znaczy: też? — zapytał antropolog, wciąż nie mogąc oderwać oczu od kształtu, zawiniętego w błyszczący materiał.

— Mówisz o sobie?

— Skąd. Ja śpię jak dziecko. Twardo i zawsze za krótko — westchnął policjant. — Ale był tu taki jeden. Nasz dobry znajomy. Artur Strzemiński.

— No proszę. Trudno w to uwierzyć.

— A jednak. Prawda, jaki ten świat mały? — zauważył cierpko Krzysztof. — Znalazł zwłoki.

— Znowu?

— Tobie też wydaje się to niezwykle? — sarkazm w głosie kolegi sprawił, że antropolog przyjrzał mu się uważnie.

— Gdzie on jest? — zapytał ostrożnie.

— Wystraszył się i uciekł. Ale dostanę sukinsyna. To tylko kwestia czasu.

— Myślisz, że to on?

— Nic nie myślę. Miałem go puścić i czekać, aż znajdzie kolejne ciało? Mam uwierzyć, że znajduje je przypadkiem? Bez żartów.

Zamilkli. Policjant w zamyśleniu przyglądał się technikowi, który powoli i starannie badał teren wokół zwłok, jakby chciał policzyć ziarenka piasku pod swoimi stopami. Cyryl zastanawiał się, po co Krzysztof go tu ściągnął.

— Chodź — mruknął detektyw, gdy lekarz, pochylony nad ofiarą, jedną ręką ostrożnie ujął brzeg czerwonego materiału, a drugą skinął w ich kierunku. — Co dwie głowy, to nie jedna.

Tkanina przez chwilę łopotała na wietrze, nim dłoń w lateksowej rękawiczce delikatnie ułożyła ją obok ciała nieżyjącego mężczyzny. Cyryl na chwilę zamknął oczy, bo oślepiła go bladość nagiego ciała, kontrastująca z purpurą jedwabiu i popielatą szarością ziemi. Pejzaż po morderstwie, pomyślał, zaraz je otwierając i rozglądając się dookoła. Wszystkie elementy były na właściwych miejscach. Odcięte od reszty świata policyjną taśmą. Pograżone w absolutnej ciszy.

— Widziałeś kiedyś coś takiego? — usłyszał głos Krzysztofa, który patrzył na niego wyczekująco, jakby spodziewał się natychmiastowej odpowiedzi. Wiedział, że go rozczaruje, ale posłusznie przyjrzał się zwłokom jeszcze raz.

Zmarły leżał na lewym boku z nogami mocno zgiętymi w kolanach i stopami przyciśniętymi do pośladków. Jego kostki, uda i nadgarstki skrępowane były jednym sznurem, który głęboko wpijał się w ciało, opasując je poniżej linii bioder. Widok ten wywołał w umyśle Cyryla konkretny obraz, który pojawił się nagle i natychmiast znikł, wprowadzając go w stan paniki. Zmęczona pamięć podsunęła mu jeszcze kilka podobnych kompozycji, które próbował od siebie odsunąć. Skutek był taki, jakby próbował zamieść śmieci pod dywan. Wcześniej czy później coś musiało się spod niego wydostać.

— Dotąd ich nie wiązał — zauważył, chcąc zyskać na czasie. — To na pewno ten sam?

— Powiem ci po sekcji — Sobolewski nie lubił wygłaszać opinii, nie poznawszy faktów.

— Inne różnice?

— Blizna na klatce piersiowej, jak po operacji serca. To w tej chwili nieistotne. Dowiemy się, jak go otworzą.

Cyryl słuchał nieuważnie, wciąż myśląc o czym innym. Rysunek w książce przedstawiał szkielet w identycznej pozycji. Zamiast tkaniny ciemniejszy zarys jamy grobowej, zamiast ciała — kilkusetletnie kości.

Właściwie w pozycji zamordowanego można się było dopatrzeć swego rodzaju mistrzostwa.

— Pomyślałem, że może ty mnie oświecisz — mówił tymczasem detektyw. — Ze to może mieć związek z jakimiś rytuałami. Ta czerwień, moneta między zębami...

— Tutaj też?

Sobolewski tylko pokiwał głową.

— Teraz jeszcze związanie ciała — dorzucił. — Jako antropolog...

— Zajmuję się kośćmi, a nie antropologią kulturową — przypomniał mu Cyryl.

— Ale widziałeś różne szkielety, nie tylko współczesne, i mam wrażenie, że coś ci chodzi po głowie... Mam rację?

— Wydaje mi się, że skądś to znam — mruknął antropolog. — Tę pozycję, układ ciała... Dalekie skojarzenie, którego w dodatku z niczym nie umiem powiązać.

— Ale może znasz kogoś, kto umie? — Krzysztof miał ochotę zapalić, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Nie teraz. I na pewno nie w tym miejscu. Jego ruchliwe palce bawiły się papierosem, powoli zmieniając go w kupkę trocin, trzymających się razem tylko dzięki dość już sfatygowanej bibułce. Cyryl przez długą chwilę obserwował ich taniec, zastanawiając się nad pytaniem. Faktycznie — może znał... Tyle, że ten ktoś mieszkał prawie 500 kilometrów od Warszawy, miał swoje życie i swoje sprawy. Cyryl nie był pewien, czy na jego prośbę ten ktoś rzuci wszystko i przyjedzie pierwszym porannym pociągiem. Czy w ogóle przyjedzie... Mimo to postanowił spróbować.

— Muszę zadzwonić — powiedział tylko i wyciągnąwszy komórkę z kieszeni dżinsów, wybrał numer do Ewy.

Stara Praga w ostatnich latach zaczęła powoli odzyskiwać dawne piękno, choć za odnowionymi fasadami zabytkowych kamienic wciąż niszczały niewielkie podwórka i elewacje osłonięte siatką i drewnianymi zabezpieczeniami. Tylko kapliczki były te same, co kiedyś. Wszechobecne.

Wieczne. Stały na każdym podwórzu, jakby pilnowały dawnego porządku, po którym nie było już śladu. Figurę Matki Boskiej w błękitnych szatach można było zobaczyć nawet tam, gdzie od dawna nikt nie mieszkał, wśród sztucznych kwiatów, równie wyblakłych, jak niezliczone tabliczki, informujące, że budynek grozi zawaleniem. Niebieskie kapliczki i murszejące ceglane ściany. Prawdziwa Praga, podszewka Warszawy.

Artur opuścił ją wiele lat temu, ale zawsze z zainteresowaniem śledził doniesienia prasowe, poświęcone tej części miasta. Jej zabytki były skazane na zapomnienie. Na ogół ginęły powoli, niemal niezauważalnie. Czasem płonęły w wielkich pożarach lub poddawały się sile ciężenia, kończąc jako kupa gruzu. Przypominały o sobie dopiero wtedy, gdy na remont było już za późno. Strzemiński spotkał się kiedyś z opinią, że taniej wyburzyć niż wyremontować. Teraz coś się tu jednak działo, a blask nowości, bijący od ocalonych murów, pozwalał zapomnieć o ponurych wnętrzach praskich kamienic i zaniedbanych podwórkach.

Oddalał się coraz bardziej od ulicy Targowej i kiedy minął rozświetlone bramy modnej wśród artystów Żąbkowskiej, kolorowe pudełka nowych bloków i Wytwórnę Wódek Koneser, świat wokół nagle pociemniał, zmarniał i zgasł. Minęła długa chwila, nim zrozumiał, dlaczego. Skąpe światło nie odbijało się już od jasnych, pastelowych ścian, ale nikło, wchłonięte przez nijaki tynk okolicznych domów.

Poszedł prosto Kawęczyńską. Był prawie u celu.

Czas nie był dla nich łaskawy. Budynek jeszcze brzydsze i bardziej skurczone niż kiedyś, jakby niewidzialna siła ciągnęła je do ziemi, straszyły ciemnymi oknami, w których z rzadka połyskiwały nienaruszone szyby. Oślizgła ciemność bram czuć było kotami i wilgotną starością zagrzybionych ścian. Woń, która dawno temu przestała się Arturowi kojarzyć z dzieciństwem, słabła tam, gdzie między sypiącymi się domami wyrastały nowoczesne płomby. Widok świeżo malowanych elewacji sprowadzał jego oszołomioną pamięć na manowce i skłaniał do obrania niewłaściwego kierunku, a potłuczone latarnie bezlitośnie drwiły z jego dezorientacji i bezsilności.

Nie był tu ponad dwadzieścia lat. Przemykał po ulicach, które kiedyś wyglądały inaczej, tuląc się do nieprzyjaznych murów i marząc o staniu się niewidzialnym. Świadomy różnic bał się, że nie znajdzie domu, którego szuka, tak jak nie znajdował wielu innych.

A gdyby domu już nie było, gdzie miałby szukać jednego z jego mieszkańców?

Obejrzał się niespokojnie. Nie pamiętał już, kiedy tak bardzo przeszkadzało mu własne ciało. To musiało być tamtego dnia, gdy wszystko się zmieniło. Lęk i niepewność ostatnich godzin przypomniały mu o kimś, kim przestał być dawno temu. Chłopiec bez przyszłości i mężczyzna bez przeszłości spotkali się znowu na brudnej ulicy jego dzieciństwa. Chłodno, z rezerwą patrzyli jeden na drugiego, jakby byli zupełnie obcymi ludźmi.

VI

Jak długo jeszcze zamierzasz zwlekać? Ile osób mam zabić, by skłonić Cię do działania? Twoje kunktatorstwo irytuje mnie bardziej, niż którakolwiek inna z Twoich wad. Trudno mi je pojąć. Przecież w pewnym sensie to, co robię, powinno Ci być na rękę. Czyżbyś przestraszył się śmierci? Nie wierzę. Widok martwego ciała, tej powłoki, która — pozbawiona ducha — jest jak porzucony przez motyla kokon, nie może być aż tak przerażający! Tym bardziej, że ja traktuję je z należytą delikatnością. Ciało jest w końcu najdoskonalszym zbiorem komórek, jaki występuje na Ziemi. Dbam o to, by jego widok post mortem nie był odrażający. Dlaczego nie jesteś mi za to wdzięczny? Nie słyszałeś, co robili z ludźmi inni mordercy? Wymyślne tortury zadawane w nieskończoność, ćwiartowanie zwłok, wszystkie zabiegi prowadzące do kompletnej destrukcji doczesnych szczątków. Bezsensowne okrucieństwo, tak jak nieuzasadniona żądza niszczenia, zasługują na potępienie i pogardę. Każdy ludzki czyn powinien być przemyślany. Przyznaj, że inteligencja do czegoś zobowiązuje.

Zastanawiasz się, dlaczego zadaję śmierć z rozmysłem i przyjemnością, której nie zamierzam się wypierać? Sięgnij do poprzednich listów. Władza, kontrola, chęć dominacji i udowodnienia własnej siły. I bezkarności. To odpowiedź na Twoje pytanie, a raczej wiele odpowiedzi. I muszę Cię zapewnić, że nie wszystkie. Mam skomplikowaną osobowość, która nie daje się ująć w sztywne ramy dwóch czy trzech określeń, mających ją scharakteryzować. Wiedziałybyś o tym, gdybyś spuścił ze smyczy swoją wnikliwość i umiejętność wyciągania wniosków. Co się z nimi stało?

Nie chcę Cię obrazić. Uznaj krytykę za przyjacielską przystulugę. Szczerłość wymaga odwagi, może dlatego nie cieszy się popularnością. Ja nie zamierzam niczego przed Tobą ukrywać. Napiszę wkrótce. M(orderca)

Obudziły go dotkliwe zimno i głód. Kiedy otworzył oczy, w półmroku, który kolorem przypominał barwę gołębic skrzydeł, dostrzegł wnętrze wąskiej i bardzo zaniedbanej klatki schodowej. Przez kilka sekund dochodził do siebie, mrugając ciężkimi od snu powiekami. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, dopóki nie powróciło uczucie zagrożenia i pamięć o nocnych wydarzeniach. Spojrzał na zegarek. Spał niecałą godzinę. W budynku panowała cisza. Jeszcze nie było szóstej.

Wstał i przeciągnął się, czekając, aż jego ciało odzyska zwykłą sprawność. Potem powoli uchylił drzwi i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć psa, który obwąchiwał najbliższy krawężnik, a na widok intruza warknął ostrzegawczo i cofnął się na bezpieczną odległość. Arturowi przyszło do głowy, że czują się w swoim towarzystwie tak samo niepewnie.

— Nic się nie bój — powiedział do psa półgłosem. — Ja sam jestem w strachu.

Zrobił krok naprzód, zostawiając za sobą sień, w której doczekał rana. Zabawne, że kiedy ją opuścił, wydała mu się nagle jedynym bezpiecznym miejscem w tej części miasta. Z trudem opanował pragnienie powrotu na wysłużone schody. Oderwał się od ściany i szybko przeszedł przez ulicę, chroniąc się w bramie naprzeciwno. Zgrabiętymi dłońmi namacał komórkę w wewnętrznej kieszeni bluzy, choć było zbyt wcześnie na jakikolwiek telefon.

— Iza, tu Artur. Dziękuję, że odebrałaś — prawie się uśmiechnął, słysząc jej rozespany głos. — Mam kłopoty... Gdyby pytała o mnie policja... powiedz, że nie znałaś mnie zbyt dobrze.

— Przecież to prawda — usłyszał. Rzeczowy ton sprawił, że popatrzył na aparat z niedowierzaniem. Prawda? Miał ochotę krzyknąć, ale w porę się powstrzymał.

— Nie żartuj, zresztą mniejsza z tym...

— Co się właściwie stało?

— Chcieli mnie aresztować, sama rozumiesz, że nie mogłem na to pozwolić, po tamtym... — wyrzucał z siebie nieskładne zdania. — Myślą, że jestem mordercą...

— A jesteś? — przerwała jego wywód, ale w pytaniu nie było nawet śladu zainteresowania.

— Izabela, na litość boską!

— Uspokój się. Mam prawo wiedzieć.

— Jak mogę być spokojny! Poszukują mnie za morderstwo. Czy ciebie to nic nie obchodzi?

— Właściwie nie bardzo. Po co dzwonicz? Dowodzić swojej niewinności? — jej cynizm był po prostu nie do zniesienia. Co ona ma zamiast serca, zastanowił się Artur, który słysząc kolejne pytania, miał coraz mniej złudzeń, kawał stali, czy zwykłą dziurę?

— Jedna prośba — powiedział, siłąc się na beztroskę. — Skoro masz klucze, zajrzyj czasem do mojego mieszkania, ale nie zapalaj światła.

— Nie przesadzasz?

— Nie przesadzam — powtórzył za nią. — Możesz wyjrzeć przez okno?

— Wyglądam. I co?

— Widzisz kogoś?

— Facet w samochodzie. Wygląda, jakby spał.

— Zapewniam cię, że nie śpi. Raz na zawsze skończyłem z odsiadkami. Może podeślę do ciebie kogoś po jakieś ciuchy, dokumenty itp. Jak mi się skończą pieniądze. Wcześniej dam ci znać... Aha, zadzwoń do redakcji, znasz telefon, powiedz, że wziąłem zwolnienie na kilka dni i wyjmuj korespondencję ze skrzynki. To wszystko.

— Na pewno?

— Tak. Dziękuję.

— Masz się gdzie zatrzymać?

Pomyślał, że się przesłyszał.

— Przejaw ludzkich uczuć? — pozwolił sobie na ironię.

— Chciałbyś... — powiedziała chłodno Izabela.

— Jesteś psychopatką — odparł szybciej, niż zdążył pomyśleć. Usłyszał, że się śmieje.

— Ty też nie jesteś normalny — zrewanżowała się i zakończyła rozmowę.

Może i nie jestem, ale to już moja sprawa, pomyślał z irytacją, ściskając telefon w dłoni. Miał wrażenie, że jego życie zakolysało się niebezpiecznie jak łódka na zbyt wysokiej fali, zmuszając go do rozpaczliwego balansowania w celu utrzymania równowagi. Źle czuł się w roli zwierzyny łownej, ale nie lubił być zaskakiwany i nie zamierzał po raz drugi płacić za błędy młodości. Dlatego nie mógł się cofnąć.

Było mu coraz bardziej zimno; porzucił bramę i rozejrzał się wokół. W ciągu kilku minut świat pojaśniał i ulica zaczęła wyglądać bardziej znajomo. Właściwie Artur mógł nawet zaryzykować twierdzenie, że nie tylko wie, gdzie jest, ale także dokąd powinien pójść. Nieco pewniejszym krokiem skręcił w pierwszą boczną uliczkę, potem w jeszcze jedną i w końcu stanął przed dwupiętrowym domem, mimo wszystko zaskoczony jego widokiem.

Budynek stał na swoim miejscu i tylko tynk, odpadający od elewacji dużymi płatami, był dowodem, że i tutaj czas zrobił swoje. Dziennikarz przyglądał się dziełu zniszczenia z mieszanymi uczuciami. Jego pewność siebie nagle się ulotniła. Pojawiły się wspomnienia i wątpliwości. Nie wiedział już, po co tu przyszedł.

Odnalazł wzrokiem okna swojego starego mieszkania. Firanki wyglądały znajomo, a może był to czysty przypadek.

Kiedy onieśmielony wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi, te uchyliły się i stanął w nich mężczyzna w trudnym do określenia wieku. Kilkundniowy zarost i głębokie zmarszczki na opuchniętej twarzy, ocienionej rondem staromodnego, zniszczonego kapelusza sprawiły, że Artur w pierwszej chwili nie rozpoznał w nim człowieka, którego szukał. Odsunął się i zrobił mu miejsce, ale tamten zamiast wyjść, patrzył na niego spod przymrużonych powiek, aż w przekrwionych oczach pojawił

się błysk, a na ustach uśmiech, odsłaniający znaczne braki w uzębieniu. Byli rówieśnikami, ale w tym momencie nie uwierzyłyby w to żaden postronny obserwator. Mężczyzna cicho zagwizdał przez zęby.

— Dziurnalista — powiedział. — Nic ześ się nie zmienił. Dawno cię tu nie było.

Artur chciał odpowiedzieć od razu, ale zaschło mu w gardle. Wpatrywał się w twarz rozmówcy, szukając w niej dawnych rysów i z trudem akceptując wygląd faceta, który w jego wspomnieniach wciąż był szesnastolatkiem. Głos też miał inny, nie tak niski i zachrypnięty jak teraz. I, o ile dobrze pamiętał, kiedyś nie trzęsły mu się ręce...

Jakoś zdołał ukryć zaskoczenie, chociaż jeszcze nie wierzył w to, co zobaczył. Czas dla nikogo nie może być aż tak okrutny, przekonywał się, powoli zbierając rozproszone myśli. Ale wystarczyło drugie spojrzenie, by zrozumiał, jak bardzo się myli. Nerwowo przełknął ślinę.

— Przecież wiesz, dlaczego... — odezwał się wreszcie, powoli dobierając słowa i z rozmysłem kończąc zdanie wielokropkiem, by było bardziej pojemne. O pewnych sprawach nie zamierzał rozmawiać. — Potem nie było już do czego wracać.

Wciąż stali naprzeciw siebie, dwóch mężczyzn, którzy rozstali się wystarczająco dawno, by móc powiedzieć, że wcale się nie znają. Obaj byli już innymi ludźmi. To, co kiedyś ich łączyło, teraz stanowiło przeszkodę nie do pokonania.

— Potrzebuję mety — wyjaśnił w końcu Artur, uprzedzając pytanie, które wcześniej czy później musiało paść.

— U mnie?

Dziennikarz wzruszył ramionami. U ciebie, czy gdziekolwiek indziej, bylebyś coś dla mnie znalazł, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos, bo wiedział, że tamten i tak zrozumie. To znaczy... kiedyś by zrozumiał. Teraz sprawiał wrażenie, jakby najmniejszy wysiłek intelektualny sprawiał mu niezwykłą trudność. Artur postanowił pomóc mu w podjęciu decyzji.

— Przechowasz mnie gdzieś? — zapytał wprost.

— Długo?

— Nie tak długo, jak długo byś siedział, gdybym nie trzymał języka za zębami — powiedział trochę zbyt ostro. Podczas gdy ty dochodziłeś do tego, czym jesteś teraz, dodał w duchu, pijakiem bez perspektyw. Niewiele brakowało, a razem zaprawialibyśmy się tanim winem, a od święta „czystą”. Gdybym nie trafił tam za nas obu... Szczeniak, któremu życie bez ostrzeżenia zafundowało nagle ostrą jazdę w dół, jakimś cudem znalazł w sobie dość siły, by wczłgać się z powrotem na górę.

— Spokojnie — mężczyzna podniósł ręce w pojednawczym geście, aż zatrzeszczał wytarty na szwach czarny skórzany płaszcz, który mógł się poszczycić naprawdę długim żywotem. — Jestem chłopak z Pragi, nie? Swój honor mam.

Powietrze między nimi jakby zgęstniało. Artur wyraźnie czuł woń przetrawionego alkoholu i starego potu. Zrobiło mu się niedobrze. Coja tu robię? — zadał sobie pytanie, na które nie umiał odpowiedzieć jednoznacznie. Rozmówca dostrzegł jego wahanie i zrozumiał je po swojemu.

— Nie wierzysz staremu kumplowi? — próbował się oburzyć, ale mu się nie udało. W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, co zrobi ze sobą stojący przed nim gość. On musiał się natychmiast napić. Z naiwnością dziecka wyciągnął w kierunku dziennikarza drżące palce o brudnych paznokciach. W tej chwili sprzedałby za butelczynę rodzoną matkę. — Tyle lat... — zaczął nieco rzewnie. — Napijmy się...

Spotkał go zawód.

— Wybacz, stary. Pomyliłem się — odparł Artur, którego zemdlilo po raz drugi. Głód, który wciąż dawał o sobie znać, mieszanina niewyszukanych zapachów i pijacki sentymentalizm... Nie był pewien, czy zdoła zapanować nad żołądkiem. Oparł się o ścianę i czekał, aż rozmazany obraz znowu się wyostrzy. Miał nawet nadzieję, że nim się to stanie, twarz z przeszłości rozplynie się i zniknie, jak jeszcze jedno urojenie udręczonej bezsennością wyobraźni. Kiedy otworzył oczy i znowu ją zobaczył, dotarło do niego, że musi zmienić plany. — Wybacz — powtórzył, nie wiedząc, kogo właściwie przeprasza.

— Może innym razem.

Odwrócił się i odszedł, niepewnie stawiając kroki. Wyciągnięta ręka przyjaciela-pijaka zawisła w próżni, a później zawstydzona ukryła się w kieszeni płaszcza.

Dżurnalista. Pretensjonalne przezwisko przyłgnęło do Artura jeszcze w szkole średniej. Kiedyś nawet je lubił, ale po latach w ustach dawnego kumpla zabrzmiało jak obelga. Jakby dziennikarstwo, które uprawiał, należało do niższej kategorii. Odwieczny kompleks ludzi pióra, by pisać lepiej i poruszać wyłącznie ważne tematy. Nie był od niego wolny, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki pewnego dnia Izabela nie zapytała go, dlaczego pisze dla takiego tytułu. W tonie jej głosu czaiła się dezaprobata, w uśmiechu – politowanie. Wyraźnie nie pochwałała profilu pisma, jego pracy i słów, którymi zwykle operował. Zabolalo go to. „Jakiego?” – chciał wiedzieć, ale nie odpowiedziała. W zasadzie nie musiała.

Mógł pisać reportaże, pracować w piśmie branżowym albo w popularnym tygodniku opiniotwórczym, zamiast tkwić od lat w tej samej redakcji i marzyć o temacie na miarę afery Rywina. Szukał go nieustannie, drążył, dociekał. Jeśli wymagały tego okoliczności, stawał się nieustępliwy i nieprzejednany. Przyzwyczyił się do złości, którą wywoływał, stawiając niewygodne pytania. Obcesowe. Bezpośrednie. Gorsze niż dotyk, którego chce się uniknąć. Był mistrzem w ich zadawaniu. W zamian dostawał anegdoty ze świata gwiazd i polityczne skandale, o których trąbiły wszystkie media bez wyjątku. Jego relacja miała swój styl, ale była pozbawiona oryginalności.

Musiał to zmienić. Zdarzało mu się myśleć, że czerwony całun przyda blasku jego nazwisku. Otworzy przed nim te drzwi, które dotąd pozostawały zamknięte. Purpura zawsze była kolorem wybranych. Dlaczego on nie miałby należeć do ich grona?

Krzysztof zadzwonił wcześniej, niż nakazywała zwykła ludzka przyzwoitość. Cyryl miał wrażenie, że ledwie przyłożył głowę do poduszki, gdy rozległ się dźwięk komórki, który mógł oznaczać tylko jedno –

początek nowego dnia. Nie otwierając oczu, uniósł się na łokciu i odnalazł na szafce jazgoczący telefon. Nie lubił poranków, a tego w szczególności.

— Czy ty się nigdy nie męczysz? — warknął, próbując poskładać całość wydarzenia ostatniej doby, by zorientować się, w którym momencie urwał mu się film.

— Żartujesz? Dzwonię do ciebie trzeci raz. Mam nadzieję, że księżniczka się wyspała.

— Nie wyspała się. Uwierało ją ziarnko grochu — mruknął Cyryl i zdecydował się otworzyć oczy. Poranek był szary i mglisty. Białe tuman lepił się do okna sypialni, skutecznie okrywając mlecznym kożuchem cały świat. Nie było po co wstawać.

— Nie śpij — rozległ się znowu głos Krzysztofa, zaniepokojonego przedłużającym się milczeniem.

— Nie śpię. Czekam, aż mi powiesz, po jaką cholere dzwonicz do mnie o tak pogańskiej porze.

— Jest ósma, bracie, jeśli jeszcze to do ciebie nie dotarło. Weź się garść.

— Próbuje... — ziewnął antropolog, nawet nie starając się tego ukryć.

— Po pierwsze, przyjedź zobaczyć protokół z sekcji. Będzie gotowy po południu.

— Szybko. Jak tego dokonałeś, cudotwórco?

— Mam swoje sposoby — odparł policjant wymijająco. — Po drugie, chciałbym, żebyś pokazał tej Ewie zdjęcia ostatniej ofiary. Mam je już u siebie w komputerze, a za moment będę miał na papierze. Po trzecie, nie zgadniesz, czego dowiedzieliśmy się o naszym znalazcy ciała.

— Nie zgadnę — zgodził się potulnie Cyryl — ale pewnie mi nie powiesz przez telefon?

— Pogadamy, jak przyjedziesz.

— Mogłeś mnie obudzić za godzinę.

— Niewyspany człowiek jest o wiele mądrzejszy od wyspanego — powiedział pogodnie policjant.

— Krzysztof Sobolewski?

— Nie. Franz Kafka.

Nie miał dokąd pójść. Od rana błąkał się po ulicach i przesiadywał w bramach, nasłuchując ludzkich kroków, a gdy się rozlegały, krył się w najgłębszym cieniu, zasłaniając twarz dłonią, jakby miał zamiar zapalić papierosa. Kiepski kamuflaż, ale lepszy taki, niż żaden, myślał za każdym razem, wtapiając się w półmrok i przeklinając własne ciało za to, że nie może stać się jego częścią. Uczucie zagrożenia rosło wprost proporcjonalnie do upływu czasu i paraliżowało go, utrudniając podjęcie najprostszej decyzji. Nienawidził uciekać.

Prawo do samostanowienia, które ludzie nazwali wolnością, nadawało jego życiu sens i kierunek, którego trzymał się uparcie przez minione lata. W jego odczuciu wolność była wszystkim i wszystko było wolnością. Wcześniejszy lub późniejszy powrót do domu. Pierwsze dźwięki *Tubular Bells* Mike'a Oldfielda, które najlepiej brzmiały w deszczowe popołudnia. Poranna kawa, codziennie inna, w zależności od nastroju i upodobań. Butelka stojąca tuż przy łóżku, by można było po nią sięgnąć w każdej chwili. Drobne wybory dnia powszedniego, potrzeby, które nie zaprzętają myśli, bo są zaspokajane na bieżąco, i ta lekkość umysłu, wzbijającego się na wyżyny abstrakcji. Artur zachłystywał się wolnością od rana do nocy. Pił ją duszkiem, zapełniał nią żołądek i zdejmował kilka razy dziennie z półki z książkami. Wsłuchiwał się w nią, gdy Izabela przekraczała próg jego mieszkania i z ledwie słyszalnym szelestem zrzucała ubranie. Czasem jej w tym pomagał, a czasem nie. To też była wolność. Umiał ją dostrzec nawet wtedy, gdy pożądanie odbierało mu zdolność trzeźwego myślenia.

Nie mógł się jej wyrzec nawet na pięć minut. Nie chciał. Nie potrafił. Już raz rozstał się z nią na długo. W imię przyjaźni, która nie była tego warta. Obiecał sobie wtedy, że to się więcej nie powtórzy i zamierzał być konsekwentny, choć musiał przyznać, że w tym przypadku konsekwencja przeczyła zdrowemu rozsądkowi. Jego obawy mogły wydawać się śmieszne, bo nikt niczego by mu nie udowodnił. Ale on nie

bał się podejrzeń, tylko tego, że nie zniesie ponownego zamknięcia, choćby miało trwać tylko 24 godziny.

Doba spędzona w celi dłuży się jak życie, którego końca wygląda się z utęsknieniem. Tik-tak, tik-tak. Wskazówki zegara niespiesznie pokonują swój zwykły dystans. Marzenie o wolności z czasem prawie zawsze zmienia się w marzenie o śmierci.

W tej historii najwyraźniej nie wszyscy byli tymi, za których się podawali. Nowa tożsamość, która w ciągu dwóch dziesięcioleci zdążyła się już trochę zużyć, była jak rozchodzone buty, wygodne i dobrze dopasowane. Nie uwierała, nie ciążyła i dawała nieograniczone możliwości komuś, kto wkroczy! w życie jako młodociany kryminalista, a potem zapragnął o tym zapomnieć. Nawrócenie albo mimikra, myślał detektyw Sobolewski, nie wierząc ani w jedno, ani w drugie. Na monitorze jego komputera widniało zdjęcie Artura Strzemińskiego, który kiedyś nazywał się Wójcik, nosił włosy á la Limahl i miał na swoim koncie wyrok za rozbój.

— Było ich dwóch, ale to kumpel miał nóż, którym postraszył ofiarę. Kobieta wracała z poczty. Miała przy sobie całą emeryturę — relacjonował Cyrylowi fakty z przeszłości podejrzanego. W jego głosie nie było satysfakcji, jedynie zmęczenie, jakby nużyły go przestępcze skłonności innych. — Musieli o tym wiedzieć, ale nie wiedzieli, że chorowała na serce. Silny stres stał się bezpośrednią przyczyną zawału. Głupie szczeniaki. Zabrali pieniądze, a gdy kobieta upadła, wystraszyli się i uciekli. Karetka przyjechała za późno. Strzemiński, a właściwie Wójcik, wpadł po kilku dniach. Nigdy nie wyspał swojego kumpla. Nie wierzył, że współpraca to szansa na łagodniejszy wyrok i odmawiał jej do samego końca. Odpowiadał za swój czyn jak dorosły. Dostał sześć lat. Wyszedł po czterech za dobre sprawowanie. Nie zmarnował ich, tak przynajmniej wynika z jego papierów, bo zaraz po zakończeniu odsiadki zdał maturę. Potem zmienił nazwisko na panieńskie nazwisko matki, skończył dziennikarstwo i znalazł pracę w zawodzie. Wygląda na to, że zrealizował marzenie życia, bo takie miał pseudo — Dżurnalista. Twarda sztuka. Mało kogo więzienie potrafi tak zmotywować.

— Co teraz? — zapytał Cyryl, przyglądając się zdjęciu na monitorze. Chłopak miał inteligentne, nieco drwiące spojrzenie. Im dłużej antropolog patrzył na ekran, tym większą czuł do niego sympatię. Dorosły Artur Strzeмиński nie budził w nim tak pozytywnych emocji. — Nie wygląda na mordercę.

— Nigdy nie wyglądają — odparł Krzysztof i spojrział na kolegę z politowaniem.

— Naprawdę myślisz, że to on?

— Powtarzasz się, stary — westchnął policjant. — Co ci mam powiedzieć? To wszystko, co mamy. Nie mogę lekceważyć jedyne go podejrzanego.

— A co mówi specjalista od profilowania?

— Że morderca jest mężczyzną, nie bardzo młodym, ale, powiedzmy, w naszym wieku, na co wskazuje wyrafinowany sposób zadawania śmierci... Że potrafi wzbudzać zaufanie, jest wykształcony i inteligentny, że starannie wybiera ofiarę według sobie znanego klucza i jako perfekcjonista dba o każdy szczegół, dlatego jak dotąd nie popełnił błędu. Z jednej strony jest niezwykle pewny siebie i przekonany o własnej wartości, z drugiej rozpaczliwie chce zaistnieć jako „osoba publiczna”. Pragnie sławy i władzy. Może także trochę się nudzi. Chciałby nas wodzić za nos i robi to, dorzucając rekwizyty, których znaczenia nie rozumiemy: czerwony jedwab, monetę, sznur... Jest schludny do przesady, a jego dom to prawdopodobnie istne laboratorium. Komuś takiemu przeszkadza pojedynczy włos na obiciu kanapy. Żyje samotnie. Prawdopodobnie mieszka daleko od okolicy, w której porzuca zwłoki. Z kobietami spotyka się nieregularnie, bo ma kłopoty z utrzymaniem stałego związku. Pół Warszawy pasuje do tego opisu. No... — poprawił się szybko — ...może z wyjątkiem tej części o chorobliwej czystości.

— A motyw?

Sobolewski tylko wzruszył ramionami. Dobre pytanie, niestety wciąż bez odpowiedzi. Ludzie mordowali z tylu powodów, że nie sposób było je zliczyć. Oczywiście seryjni mordercy zawsze wyróżniali się wśród

przeiętnych zabójców. Byli doskonałymi strategami. Chłodni i rzeczowi, potrafili przeprowadzić każdy, nawet najbardziej skomplikowany plan, by osiągnąć cel. Zabić wybraną osobę w konkretnym miejscu, w przewidzianym czasie. Lubili panować nad sytuacją. Dro- biazgowość, z jaką planowali zbrodnię, upodabniała ich do reżyserów filmów akcji. Kontrolowali przebieg zdarzenia, własne emocje i emocje ofiary, znali nawet stopień ryzyka. Mieli świetne wycucie czasu i własne rytuały. Celebrowali śmierć z rozmysłem, bez pośpiechu. Za ich sprawą zmieniała się w spektakl, w którym z przekonaniem grali rolę życia, choć czasem przeszkadzał im brak audytorium. Wówczas wciągali do gry innych aktorów, nie wyłączając policji. Oczywiście mieli także słabości. Bywali egocentryczni, impulsywni, niedowartościowani, znudzeni. Mieli problem z określeniem własnej tożsamości. Żyli w moralnej próżni; przytłoczeni pozorną wolnością, nie wiedzieli, co z nią począć. Mógłby wymieniać w nieskończoność te drobne grzechy, które blakły, gdy zaglądało się do kartotek znanych winowajców.

— Motyw? — powtórzył za Cyrylem bez entuzjazmu. — Poproszę o inny zestaw pytań.

Ktoś zapukał do drzwi, więc umilkł. Do pokoju wszedł młody funkcjonariusz.

— Protokół z sekcji — powiedział, kładąc na biurku plik papierów, które Krzysztof od razu wziął do ręki i zaczął przeglądać.

— Dziękuję — powiedział nieuważnie, przebiegając wzrokiem linijki tekstu.

Cyryl usiadł wygodniej na krześle i sięgnął po stojącą przed nim kawę. Trzecią tego dnia, który zaczął się dla niego zbyt wcześnie. Popijał ją małymi łykami i czekał, aż kofeina zacznie żywiej krążyć w jego żyłach.

— Ślady nakłucia na brzuchu i lewym przedramieniu, standard — mówił tymczasem pogrążony w lekturze policjant. — Otarcia na nadgarstkach. Brak podbiegnięć krwawych świadczący o tym, że został związany po śmierci.

— Co takiego?

— To, co słyszysz.

— Zupełnie bez sensu. Po co miałby to robić?

— No właśnie. Po co ich w ogóle morduje? — Sobolewski znowu zajrzał do protokołu. — Blizny pooperacyjne, wskazujące na poważną operację serca. Wygląda na przeszczep. Może dzięki temu uda się ustalić tożsamość — powiedział. — Ile szpitali w Polsce robi transplantację serca?

Cyryl wzruszył ramionami.

— Pewnie kilka.

— Zobaczmy — Krzysztof już grzebał w Internecie. — Instytut w Aninie, szpital Collegium Maius w Krakowie i Centrum Chorób Serca w Zabrze. Aha, może jeszcze nasz szpital MSWiA. Teraz już tego nie robią, ale trzeba będzie wyciągnąć od nich dane pacjentów z ostatnich lat. Chłopcy się tym zajmą — powiedział, mając na myśli swoich współpracowników. — Gdzie ty się wybierasz?

— Idę już. Kawa się skończyła. Dasz mi te zdjęcia dla Ewy?

— Zmieniłem zdanie. Wolałbym, żebyście przyjechali jutro i obejrzelili je na miejscu.

— To znaczy, że jutro też się nie wyśpię?

— Nie mówię, że macie być o świcie. Poza tym, służba nie drużba, tak czy nie?

— Tak jest — powiedział Cyryl.

Kiedy wychodził, kawa szumiała mu w głowie jak piwo wypite w pełnym słońcu na pusty żołądek. Wciąż chciało mu się spać.

VII

Pomyśl, że mógłbyś być jednym z nich. Mężczyzną w szkartacie, leżącym nieruchomo w miejscu, które dla Ciebie przeznaczą. Może tam, gdzie inni. Może gdzie indziej. Chciałbyś? W zamian za Twoje życie oferuję Ci szansę poznania mojej tożsamości. Dałbyś się skusić? Nie przerażaj się. To tylko żart, więc nie traktuj tej groźby poważnie. Piszę do Ciebie i wyobrażam sobie Twoją minę w chwili, gdy będziesz czytał te słowa. Czy choć przez moment wierzyłeś, że mógłbyś być następny? Dlaczego, zapytasz? Jeszcze za wcześnie na wyciągnięcie królika z kapelusza. Kiedyś się dowiesz, ale niewykluczone, że wtedy będzie już za późno. Dla Ciebie, wielu przed Tobą i może także dla mnie.

Więc może jednak delikatnie chcę dać Ci do zrozumienia, byś miał się na baczności? Drogi Wspólniku, uważaj, byś nie stał się tylko ciałem bez ducha, białkiem, które właśnie zaczęło się rozkładać, choć jeszcze nie cuchnie. Pokusa pozbawienia Cię życia jest wielka i nie wiem, czy znajduję w sobie dość siły, by jej nie ulec. Wprawdzie nie do końca pasujesz do schematu, ale któż, jak nie ja, ustala zasady i stwarza kolejne ofiary?! Stwarza, czytaj: wybiera, dokonuje selekcji, przez lupę przygląda się ich życiu i im samym. Patrzy na defekty i skazy, za sprawą których wyróżniają się w tłumie. Inność nigdy nie jest zaletą, więc jeśli przebywasz wśród ludzi, staraj się do nich upodobnić. Bądź jak lustro, a staniesz się niewidzialny, także dla mnie.

Wybacz zawilość tego listu, pisanego pod wpływem sprzecznych emocji. Nie myśl, że mordercy są ich zupełnie pozbawieni. Nawet im zdarza się czasem czuć coś więcej niż tylko zadowolenie nad trumną. Z tym Cię zostawiam. Do następnego razu. Jeśli będzie. M.

Gdyby Cyryl opowiedział jej to wszystko, co zapamięta! z ostatnich miesięcy, naznaczonych śmiercią, pracą i trudnym do nazwania uczuciem do kobiety, którą widział dwa razy w życiu, byłaby to bardzo długa opowieść. Bardzo długa i bardzo osobista. Nic więc dziwnego, że nie mógł się na nią zdobyć i z tego względu, a także z uwagi na brak czasu przedstawił Ewie tylko najważniejsze wydarzenia, pamiętając o chronologii i powstrzymując się od komentarzy, które jego zdaniem w niczym nie mogły pomóc.

Zrobiło się późno, a on dorzucał wciąż nowe informacje, klucząc między nimi, jakby rzeczywiście miał coś do ukrycia, i z każdą chwilą czując się bardziej nieswojo. Ewa musiała to zauważyć, w końcu znali się nie od wczoraj, milczała jednak, obserwując go bacznie, skoncentrowana, jakby liczyła wypowiedane słowa.

— Dlaczego uważasz, że wiem to, czego ty nie możesz sobie przypomnieć? — spytała, gdy Cyryl umilkł. Wyglądał na nieprawdopodobnie zmęczonego. Przez chwilę myślała nawet, że zasnął, gdy tak siedział obok niej na kanapie z zamkniętymi oczami. Było to jednak złudzenie, bo zaraz się poruszył i z trudem uniósł powieki.

— Uczyliśmy się z tych samych książek, zanim zająłem się bardziej współczesnymi przypadkami — odparł, trąc oczy opuszkami palców, jakby chciał usunąć dokuczliwe ziarenka piasku. — Jeśli ten rysunek nie jest wytworem mojej wyobraźni, musiałaś go widzieć. Ja wielu rzeczy nie pamiętam, ty jesteś na bieżąco — dodał po chwili zastanowienia.

— No, nie wiem... Zajmuję się opracowaniem kości, a nie wertowaniem monografii cmentarzysk.

— Mimo to spróbuj. Przynajmniej wiesz, gdzie szukać.

— Może i wiem... — Ewa wciąż miała wątpliwości. Żałowała, że nie ma pod ręką półki ze swoimi książkami. Nie wiedziała, że się przydadzą. Zresztą było ich zbyt dużo, by mogła je ze sobą zabrać. — A te zdjęcia, które mam oglądać? — spytała jeszcze. — Czy one są... no wiesz, bardzo drastyczne?

— Właściwie nie — Cyryl wyglądał na zaskoczonego. Dotąd nie zastanawiał się, jak Ewa zareaguje, widząc miejsce zbrodni. Choćby tylko sfotografowane. Zdał sobie sprawę, że powinien przygotować ją na to, co zobaczy za kilka godzin.

— Krawiec nie lubi się brudzić — pospieszył z wyjaśnieniem, które zabrzmiało nieco zbyt optymistycznie. — Unika krwi. Nie rani ofiar.

— Mówiłeś, że ten mężczyzna był nagi i związany — przerwała mu.

— Został związany po śmierci. Nie cierpiał. Morderca to niezwykle humanitarny skurwysyn — o sprawcy mówił jak o listonoszu. Jego spokój wydał się Ewie godny podziwu. Zaczęła się zastanawiać, ile czasu musiało minąć, nim udało mu się zastąpić inne uczucia obojętnością.

— Nigdy nie widziałam martwego człowieka z tak bliska — powiedziała z wahaniem.

— To tylko fotografia — przypomniał jej antropolog. — Codziennie masz znacznie bliższy kontakt z ludzkimi szczątkami.

— Wiem — przyznała kobieta — tyle że w porównaniu z tym, one są zupełnie bezosobowe. Ale skoro tak mówisz, to pewnie sobie poradzę. Jeśli właśnie po to przyjechałam.

— Przepraszam, że nie uprzedziłem cię przez telefon.

— Czy jest jeszcze coś, o czym mnie nie uprzedziłeś? — zapytała, wprawiając Cyryla w zakłopotanie. Znowu pomyślał o Izabeli. O jej znajomości z tym dziennikarzem. O uśmiechu i skórze, musniętej ciepłym słonecznym promieniem. Ewa patrzyła na niego tak, jakby znała go lepiej, niż on sam.

— Nie — odparł po chwili. — To wszystko, co powinnaś wiedzieć.

Gdyby nie to, że ją obudził, na pewno by nie odebrała. Spojrzałyby na wyświetlacz i widząc, kto dzwoni, zwyczajnie odrzuciłyby połączenie. Ale była zbyt zaspana, by zidentyfikować intruza, a później zbyt dobrze wychowana, by się rozłączyć. Natarczywość komórki na moment zbiła ją z tropu. Głos, docierający z drugiego końca miasta, był zdyszany, jakby mężczyzna szedł szybkim krokiem albo wspinał się po schodach. Mimo to rozpoznała go natychmiast. Bała się, że tak będzie już zawsze. Dźwięk

telefonu, pierwsze słowo i gwałtowny skurcz serca. Wbrew rozsądkowi, życiowym planom i bieżącym seksualnym fascynacjom.

— Ewa? Wybacz, że dzwonię, ale nasza wczorajsza rozmowa nie daje mi spokoju. Muszę z tobą porozmawiać.

— O czym, jeśli można wiedzieć? — Ewa opadła na poduszkę, przytrzymując telefon przy uchu. Zacisnęła powieki, jakby w ten sposób mogła odgrodzić się od Piotra na wieki wieków.

— O nas. Dotąd byliśmy przyjaciółmi.

Nie wierzyła, że to powiedział. Mógł się przynajmniej wysilić na oryginalność.

— Tak? — zdziwiła się uprzejmie. — Chyba inaczej rozumiemy tę relację. Przyjaźń nie opiera się na zdawkowych rozmowach telefonicznych.

— Właśnie o tym mówię — ucieszył się. Ewa zupełnie nie podzielała tej radości. — Zbyt dużo nas łączy, byśmy mogli na tym poprzestać.

— Zadziwiasz mnie — powiedziała chłodno. Już nie czuła się senna. Serce tłukło jej się w piersi jak zamknięty w puszcze owad. — Co właściwie proponujesz?

— Na początek zawieszenie broni. A później przynajmniej odrobinę sympatii.

— Nie walczę z tobą. Raczej ze sobą — zabrzmiało to bardzo poważnie. Piotr milczał przez chwilę.

— Nie rozumiem — odezwał się w końcu. Ewa niemal widziała pionową zmarszczkę na jego czole i bezradny gest rozłożonych rąk. W sferze emocji poruszał się po omacku. Kiedyś ją to złościło. Dziś budziło współczucie, jak każde kalectwo. Współczuła nie tylko jemu, ale także sobie. I nawet Agacie. Dzielenie życia z człowiekiem niepełnosprawnym emocjonalnie wymagało odwagi i wiary w siłę własnych uczuć.

— Nie szkodzi. To już nie twoja wina. W każdym razie nie tak wielka, jak kiedyś sądziłam — powiedziała łagodniej. — Ja nie potrafię ci pomóc.

— Nigdy nie oczekiwałam od ciebie pomocy — zdenerwował się mężczyzna. — O czym ty mówisz, do cholery?

— O nas, Piotrze—specjalnie użyła jego słów—z czasów, kiedy ten zaimek miał cokolwiek wspólnego z rzeczywistością.

— A teraz?

— Teraz „my” to w gruncie rzeczy „ty i ja”, dwie zupełnie obce osoby.

— Nie mogłaś się aż tak zmienić — powiedział z przekonaniem, które ona uznała za naiwne.

— A ty? — spytała tylko. Cisza po drugiej stronie stanowiła najlepszą odpowiedź. — Tak myślałam — rzuciła Ewa lekko, jakby nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

— Czyli nici z przyjaźni? — upewnił się Piotr. Ewa zaczęła tracić cierpliwość.

— Niestety, nie potrafię zastąpić miłości przyjaźnią. To nigdy nie wystarcza. Poza tym, jaką rolę w tym scenariuszu przewidziałeś dla Agaty? Czy z nią też powinnam się zaprzyjaźnić? — zapytała odrobinę ironicznie. Czy on udawał, czy naprawdę był takim idiotą?

— Przecież mówimy o przeszłości — były narzeczonzy wydawał się zdziwiony jej obiekcjami. Najwyraźniej był idiotą i to idiotą do kwadratu.

Ewa wzięła głęboki oddech. Pomyślała, że skoro Piotr domaga się jednoznacznej odpowiedzi, to ją dostanie. Jej już wszystko jedno. I tak była na straconej pozycji, więc choć raz mogła sobie pozwolić na szczerość. To, co nie przeszłoby jej przez gardło, gdyby stała z nim twarzą w twarz, rzucone przez telefon wydawało się mieć zupełnie inny ciężar.

— Nie satysfakcjonuje mnie twoja propozycja — zaczęła ostrożnie. Miała ochotę krzyknąć, a tymczasem powoli łączyła ze sobą słowa, których on nie rozumiał. Jak miała mu to wytłumaczyć? Jak powiedzieć to, z czego zdała sobie sprawę na brudnym peronie? Miejsce dobre jak każde inne, by dowiedzieć się wreszcie czegoś o sobie. Bolał ją czas, który przeżyli wspólnie i ten, który przeżyli osobno. Bolały ją zdania, bardziej przypominające ciosy niż konstrukcje językowe z podmiotem i orzeczeniem we właściwym miejscu.

— Ale dlaczego? — ponaglił ją Piotr. Naprawdę chciał poznać odpowiedź, którą ona sformułowała już na kilka sposobów, zapominając, że o uczuciach najlepiej mówić wprost.

— Wciąż cię kocham — powiedziała teraz, żeby mieć to wreszcie za sobą. — Nic nie mów — dodała, nim on zdążył się odezwać. — Bo na pewno nie to chciałabym usłyszeć.

Zdjęcia wyglądały jak kadry z mrocznego thrillera, oglądanego z zapartym tchem tuż przed zaśnięciem. Dominował w nich brunatny kolor ziemi, przy którym szkarłat spowijający ciało wydawał się jeszcze bardziej jaskrawy i niepokojący. Ewa pomyślała, że nigdy wcześniej nie widziała barwy, która zmieniłaby obraz śmierci w doskonałą kompozycję, bliską malarskim arcydziełom. Patrząc na nagie zwłoki nieznanego mężczyzny, odniosła wrażenie, że stworzył je umysł artysty, jego oko i dłoń, której nie można było odmówić biegłości. Potem zastanowiła ją tożsamość twórcy. Czy był nim policyjny fotograf, czy morderca? Który z nich pozbawił to ciało przeszłości i sprawił, że wyglądało tak, jakby wcale nie miało za sobą życia? Nie rosło, nie dojrzewało, nie umierało... Jakby zawsze było tylko na papierze i nie mogło przerażać ani budzić litości, choć na litość zasługiwało.

Thriller bez zakończenia, a może romantyczny poemat z ilustracjami Williama Blake'a. Nie, poprawiła się w myślach, właściwie z jedną ilustracją, wykonaną w wielu wariantach. Drobiazgowość fotografa była naprawdę zadziwiająca. Oglądała zdjęcia jak reprodukcje w albumie i minęło kilka minut, nim zdała sobie sprawę, że ogląda je w określonym celu. Pełna skruchy sięgnęła po pierwsze i zaczęła od nowa. Czerwony całun. Błada twarz z zamkniętymi oczami. Pozbawione koloru usta. Blizna na klatce piersiowej. Mocno związane ręce i nogi. Sznur wrzynający się w ciało, jakby było kawałkiem mięsa przygotowanym do wędzenia. W końcu cała sylwetka, zastygła w nienaturalnej pozie, spokojna, pogodzona ze śmiercią. Znajoma jak melodia, której tytułu nie można sobie przypomnieć, choć ma się go na końcu języka.

Obracała fotografię w palcach, czując na sobie wzrok dwóch mężczyzn. Szpakowaty detektyw siedział bez ruchu naprzeciwko niej. Był zupełnie spokojny. Cyryl stał przy oknie i od czasu do czasu zerkał przez nie na ulicę. Kiedy zorientował się, że Ewa od dłuższej chwili przygląda się temu samemu zdjęciu, porzucił obserwację, podszedł i zajrzał jej przez ramię.

— Wiedziałem, że jesteś właściwą osobą — powiedział z ulgą głosem.
— Jakies spostrzeżenia?

— Na razie nie — Ewa potrząsnęła rudą głową. — Ale będę musiała wybrać się do biblioteki.

— Ile czasu pani potrzebuje? — wtrącił się policjant.

W przeciwieństwie do Cyryla był bardziej sceptyczny. Jakoś nie wierzył, że sprawca może układać zwłoki według wzorów czerpanych z literatury naukowej, w dodatku archeologicznej. Byłby to, jak na jego gust, szczyt wyrafinowania, o które nie podejrzewał żadnego przestępcy. Nie rozumiał, dlaczego Krawiec miałby zadawać sobie tyle trudu. Nie wydawał się chory psychicznie, działał zgodnie z planem, dbał, by nie pozostawić śladów. Prawdopodobnie był całkiem normalnym (co to właściwie znaczy w odniesieniu do seryjnego mordercy?) facetem o nadmiernie rozwiniętym *ego*, dążącym do dominacji i chcącym sprawować kontrolę nad cudzym życiem. Mógł być sfrustrowanym marzycielem, a był degeneratem.

— Trudno powiedzieć — odparła Ewa. — To w dużej mierze zależy od księgozbioru i od tego, czy się nie mylimy.

— Lepiej niech się pani pośpieszy. Nie mamy czasu. W każdej chwili on może zabić kogoś jeszcze.

Łatwo powiedzieć. Ewa nie była pewna, czego właściwie szuka.

Średniowiecznych cmentarzysk szkieletowych było pod dostatkiem. Obrządek ten upowszechniał się na obszarze Polski stopniowo od momentu przyjęcia chrztu w 966 roku. Przez jakiś czas kremacja i inhumacja współwystępowały na tych samych cmentarzyskach, potem

ciałopalenie zostało zupełnie wyparte, gdy wspierane przez władze państwowe chrześcijaństwo zaczęło się intensywnie rozwijać. Ewa zastanawiała się, w jaki sposób zdoła przejrzeć wszystkie monografie stanowisk, raporty i sprawozdania z wykopalisk oraz publikowane w czasopismach naukowych wyniki badań. Prawdopodobieństwo trafienia na właściwe opracowanie było równe zeru. Tym bardziej, że w każdej z bibliotek znajdowała się tylko część interesujących ją tytułów. W pierwszej kolejności powinna pojechać do Instytutu Archeologii i Etnologii PAN i Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Później także do Biblioteki Uniwersyteckiej na Powiślu. Na końcu do Biblioteki Narodowej. W każdej mogła spędzić nawet tydzień i nie znaleźć nic, co przypominałoby oglądane niedawno zdjęcia. Pomysł Cyryla wydał jej się nagle pozbawiony sensu. Z drugiej jednak strony to było wszystko, co mieli, a ona widziała już kiedyś podobnie ułożony szkielet. Gdzie go widziała? Gdzie widział go Cyryl?

Pozycja ciała była kluczem do zagadki. Podobnie jak czerwień, której znaczenia nie rozumieli i moneta, tak jednoznacznie kojarzona z Charonem, przewożącym umarłych do Hadesu za jednego obola. Przeprawa przez Styks już w starożytnej Grecji miała swoją cenę. Znali ją chyba wszyscy, nie tylko archeolodzy, historycy i specjaliści od filologii klasycznej. Ewa postanowiła odświeżyć wiadomości, choć była niemal pewna, że nie o tę historię tutaj chodzi. Komu jeszcze w dziejach cywilizacji wkładano monetę do ust? I jaki był jej związek z dawnymi pochówkami?

Pomyślała, że nikt nie będzie jej winił, jeśli poniesie klęskę, ale musi przynajmniej spróbować. Nim usiadła przed komputerem w mieszkaniu Cyryla, sięgnęła po kartkę i sporządziła krótką listę, na którą składało się kilka haseł:

1. tanatopraksja
2. schizofrenia
3. transplantacja serca
4. czerwona tkanina
5. srebrna moneta — Charon?

6. sznur

Potem uruchomiła Internet. Zawsze był cień szansy. Nie należało go lekceważyć.

Dwie noce spędzone poza domem uczyniły z Artura kloszarda. Był zdziwiony, jak szybko dokonuje się ta przemiana. Zapach niemytego ciała, na razie wyczuwalny tylko dla niego, w ciągu najbliższych dni miał zyskać na intensywności. Dwudniowy, ciemny i sztywny zarost sprawiał, że wydawał się sobie bardziej brudny, niż był w istocie. Marzył, by odkręcić kurek z gorącą wodą i umyć zęby. Od żucia gumy bolały go szczęki, a uczucie świeżości było i tak krótkotrwałe. Chciał zmienić ubranie, uczesać włosy, wysikać się we własnej toalecie jak człowiek, słowem robić wszystko to, do czego przywykł, nie dość ceniąc codzienne zwykłe czynności. Jakże mu ich brakowało. Wbrew pozorom nie muzyki, książek, telewizji. Najbardziej brakowało mu bieżącej wody i kaloryfera, przy którym chętnie przesiedziałby kilka godzin. Bał się pójść do hotelu i poprzedni wieczór spędził w praskiej mordowni, czynnej do ostatniego klienta. Wyszedł dopiero wtedy, gdy poza nim w lokalu nie było już nikogo, z oczami załzawionymi od dymu z papierosów i krótkim oddechem. Nocne powietrze wdarło się do jego płuc, wywołując kaszel i zawroty głowy. Znowu zdrzemnął się w jakiejś brudnej sieni, cuchnącej kotami. Poranek zastał go na wpół leżącego na schodach. Tym razem spał kilka godzin. Zmęczenie było silniejsze od chłodu i niewygody. Kiedy doszedł do siebie i zjadł śniadanie

— na szczęście znalazł sklep czynny od szóstej rano — kiedy spędził kilka godzin, włócząc się po ulicach i dokładając starań, by nikomu nie patrzeć w oczy, ale wtopić się w pejzaż, co nie było trudne, bo wyglądem przypominał wielu tubylców, dotarło do niego, że potrzebuje pomocy Izabeli. Miał dość. Zimna, brudu, niewyszukanego jadłospisu i tych mord, które go otaczały. Jak to możliwe, że mieszkał tu przez szesnaście lat swojego życia i to mu nie przeszkadzało? Był inny. Może nie zewnątrz, ale w środku. Nie pasował. Mógł sobie wsadzić w tyłek teorię o istnieniu małych ojczyzn. Najwyraźniej był bezpaństwowcem.

W tym nastroju po raz drugi zadzwonił do kobiety, od której był uzależniony emocjonalnie, seksualnie, a teraz także pod każdym innym względem, choć tak naprawdę wcale jej nie znał, nie rozumiał i nie miał złudzeń, że to się kiedykolwiek zmieni.

Było po piętnastej. Stał z telefonem przy uchu całą wieczność, zastanawiając się, które z nich podda się pierwsze, czy on, zawieszając połączenie, czy ona — odbierając. Miał bliskie pewności przeświadczenie, że Izabela nie chce z nim rozmawiać. Była uparta. Jeśli nie miała na coś ochoty, nie robiła tego. To było jej nonkonformistyczne podejście do życia. (No proszę, coś jednak o niej wiedział). I też potrafił obstawać przy swoim. Teraz dzwonił bez przerwy, wyobrażając sobie, jak bardzo musi ją złościć dźwięk telefonu. Mogła go wyłączyć, a jednak odebrała. Po prawie dziesięciu minutach nieustannych ataków.

— Czego chcesz? — ton głosu był jak zgrzyt metalu o szkło. Mężczyzna pożałował, że się w ogóle dodzwonił. Empatia godna góry lodowej, pomyślał z rezygnacją. — Jeśli spodziewałeś się pocieszenia, zadzwoń pod inny numer. Na przykład do telefonu zaufania.

— Nie jesteś zbyt uprzejma — powiedział, zastanawiając się gorączkowo, jak z nią rozmawiać, by pokonać mur, którym się otoczyła.

— Rzadko kiedy jestem. Przywyknij.

Wciąż to samo. Jeśli od wczoraj nie nabawił się odmrożeń, mógł nadrobić zaległości w ciągu kilku najbliższych minut.

— Wydawało mi się, że potrafisz być miłsza.

— Daruj sobie i przejdź do konkretów.

— Policja?

— Tak. Pytali o ciebie. I mnie, i innych sąsiadów — odparła krótko.

— Sobolewski?

— On by mi nie uwierzył. W końcu widział nas razem. — Eakt. Mężczyzna zupełnie o tym zapomniał. — To był jakiś inny policjant.

— Co mu powiedziałaś?

Że też wszystko musiał z niej wyciągać! Małomówność Izabeli zwykle była cnotą. Teraz Arturowi przyszło do głowy, że ludzie mordują z

bardziej błahych powodów.

— Widzieliśmy się kilka razy na schodach. Wymieniliśmy uprzejmości. Raz czy dwa rozmawialiśmy o pogodzie.

— Grzeczna dziewczynka. Uwierzył?

— Mnie o to pytasz? — niemal widział, jak wzrusza ramionami.

— A ten samochód pod blokiem?

— Wciąż stoi. Tylko kierowcy się zmieniają.

— Czyli zgarną mnie, jak tylko się pojawię — podsumował ponuro.

— Chyba nie jesteś zdziwiony? Oczekiwałeś fiesty na swoją cześć? Fiesta dla mordercy. Nieźle brzmi, prawda?

— Izabela! — warknął ostrzegawczo. Tylko tyle. Mogła mówić, co ślina na język przyniesie, bo to on potrzebował jej pomocy. Był pewien, że bawi ją ta sytuacja. Czy wierzyła w zapewnienia, że jest niewinny? Kto wie, w co ona w ogóle wierzyła.

— Tak? — usłyszał przymilny głos, podszyty kokieterią i doszedł do wniosku, że nie nadaża za nieustannymi zmianami nastroju swojej rozmówczyni. Nieoczekiwanie góra lodowa stopniała, uwalniając ze swego wnętrza chodzącą łagodność. Wiedział, że kobiety są chimeryczne, ale Izabela biła w tym względzie wszelkie rekordy.

— Mogłabyś mnie gdzieś przechować? — spytał, choć wątpił, że odpowie twierdząco. — Gdzieś, gdzie mógłbym się poczuć jak człowiek? W miejscu z toaletą i prysznicem? Proszę cię — dodał, jakby słowo „proszę” mogło cokolwiek zmienić. Dobrze wiedział, że na niej nie robi żadnego wrażenia, przynajmniej nie wtedy, gdy słyszała je od niego.

— Jak długo chcesz się ukrywać?

— Jak długo będzie trzeba.

— To niezbyt mądre, jeśli mogę wyrazić swoją opinię.

— Możesz — zgodził się z nią — choć to w niczym nie pomoże. Siedzenie w areszcie jest „mądrzejszym” rozwiązaniem?

— Miałbyś toaletę i być może prysznic, choć ty pewnie wiesz lepiej, jak tam jest — zakpiła.

— Niezła z ciebie suka — rzucił przez zęby.

— Jedyna, do której możesz się zwrócić, więc licz się ze słowami.

— Liczę się. Gdybym tego nie robił, użyłbym bardziej dosadnego określenia.

— Słowny ping-pong? Wyrabiasz się — mógłby przysiąc, że w jej głosie brzmiało uznanie. Jakby zaskoczył ją wyszukany komplementem, podczas gdy w rzeczywistości zamierza! ją obrazić.

— Posłuchaj — powiedział ze znużeniem. — Nie mam siły się z tobą przekomarzać. Muszę się porządnie wyspać, a przedtem muszę się umyć. Krótka odpowiedź: tak czy nie?

— Właściwie... czemu nie — odparła po namyśle, po raz kolejny wprawiając Artura w zdumienie. — Może w twoim własnym mieszkaniu?

— Chyba zwariowałaś. Chodziło mi o bezpieczne miejsce. Nie jestem samobójcą.

— Gdyby trochę zmienić twój wygląd...

— Jasne — rzucił z przekąsem. — Myślisz, że oni to kupią? Jeśli ktoś wchodzi do budynku, powinien w końcu wyjść.

— Więc wyjdiesz. Trochę odmieniony. Ze mną. Pomyślą, że jesteśmy razem.

— Oglądasz za dużo filmów szpiegowskich. Fikcja myli ci się z rzeczywistością.

— Nie masz nic do stracenia.

— Poza wolnością. To mało?

— Jesteś bez dachu nad głową, błądasz się nie wiadomo gdzie, jesz byle co... I to nazywasz wolnością?

— Ale to ja o tym decyduję — nie wytrzymał Artur. Dlaczego ona nie mogła zrozumieć rzeczy najprostszych? Ta rozmowa jego zdaniem niepotrzebnie trwała tak długo.

— Mam po ciebie przyjechać? — jej nagła skłonność do współpracy wydała mu się podejrzana. Zastanawiał się nawet, jaki ona może mieć w tym interes, ale nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Wyobraził sobie noc we własnym łóżku i skapitulował. Może miała rację. Może jej nie

miała. Wizja była tak sugestywna, że wszystkie wątpliwości zeszły na drugi plan.

— Spotkajmy się w bazylice na Kawęczyńskiej — powiedział w końcu, oszołomiony perspektywą chwilowego powrotu do normalności. — O szóstej jest wieczorne nabożeństwo.

Tropiąc informacje w przestrzeni wirtualnej, Ewa straciła poczucie czasu. Zaczęła od frazy „moneta w ustach”, ale efekt wyszukiwania był zgodny z przewidywaniami. Na stronach poświęconych mitologii greckiej Charon niezmiennie przewoził zmarłych na drugi brzeg rzeki, by otrzymać w zamian srebrnego obola. Gdy on stał przy sterze, pasażerowie odbywający ostatnią podróż wiosłowali bez szemrania i pogodzeni ze śmiercią spoglądali w kierunku Hadesu. Zwyczaj wkładania monet do ust wziął się podobno stąd, że Grecy za życia często właśnie tak się zabezpieczali, by ich nie zgubić. Było to tak prozaiczne, że Ewa straciła nagle cały rozpęd i zniechęcona zastygła przed ekranem komputera na długą chwilę, by przetrwać tę informację.

Monetę wkładano do ust także zmarłym z dala od lądu marynarzom, których zamierzano pochować w morzu. Im również starano się zapewnić pomoc Charona, bo gdy odchodzili do krainy cieni, nie mieli przy sobie bliskich, którzy mogliby zaopatrzyć ich na drogę. Zwyczaj ten przetrwał wieki i był znany wśród marynarzy wszystkich czasów i nacji. Czy go przestrzegali, Ewa nie wiedziała. Nie miała też kogo zapytać. Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślała o swoim byłym mężu. Tomasz obracał się w różnych kręgach, a w szczecińskim porcie bywał bardzo często. Z pewnością miał tam mnóstwo znajomych, nim poszedł siedzieć za przemyt dzieł sztuki. Był w więzieniu od ponad dwóch lat i Ewa miała nadzieję, że zostanie tam jeszcze jakiś czas. Kiedyś może umiałby jej pomóc. Teraz nie mógł pomóc nawet sobie.

Westchnęła. Była mistrzynią w wiązaniu się z nieodpowiednimi mężczyznami. Właściwie, gdyby się nad tym zastanowić, tylko Piotr był odpowiedni. W tej kwestii w ostatnim dziesięcioleciu niestety nic się nie zmieniło. Poza jego partnerką. Ta zmieniła się nawet kilkakrotnie.

Kliknęła dwa razy i na ekranie komputera otworzyła się nowa strona. Ewa wzięła się w garść i zaczęła czytać.

„Do połowy XIX wieku z monetą w ustach chowano zmarłych w polskich wsiach, by i oni mogli opłacić podróż w zaświaty”.

To była dla niej nowość. Niestety Internet nie był źródłem doskonałym. W tekstach brakowało odsyłaczy do literatury, więc tylko przyjęła do wiadomości, że tego typu pochówki odnajdywano w czasie wykopalisk, a data na monecie mogła w przybliżeniu wskazywać na czas pogrzebu. Wobec podobnych znalezisk archeolodzy używali określenia *terminus post quem*, ponieważ pozwalały zrekonstruować kolejność zdarzeń. Ciało zmarłego powierzono ziemi nie wcześniej niż moneta trafiła do obiegu.

I to by było wszystko. A dokładniej rzecz ujmując nic — stwierdziła w końcu. Strony zamykały się i otwierały. Płynęły minuty. Charon — brzydki, milczący starzec, mógłby się śmiać do rozpuku, gdyby był czymś więcej niż tylko tworem minionej kultury, a teraz także jej wyobraźni. Zresztą, gdyby był czymś więcej, z pewnością upór Ewy dałby mu do myślenia. Bo Ewa była uparta. I wbrew temu, co powiedział Sobolewski, ona miała czas. Mogła oddawać się poszukiwaniom przez całą dobę. I to nie jedną. Zadała więc komputerowi kolejne pytanie. „Czerwień” wpisała i nacisnęła Enter.

Najgorętsza ze wszystkich barw — czytała, klikając raz za razem i przebiegając wzrokiem linijki pojawiających się tekstów. Czasem pochylała głowę i zapisywała to, co wydało jej się interesujące.

Kolor skrajnych uczuć: miłości i agresji.

Szczęścia (w Chinach) i żaloby (w południowej Afryce).

Kolor kolorów.

W niektórych językach synonim słów „kolorowy” i „piękny”.

Symbolizuje siły witalne, życie i piękno.

A także takie cechy jak: ekstrawertyzm, odwaga, determinacja, ciepło, wrażliwość.

Ale kojarzy się także ze złością,

KRWIĄ (napisała to wielkimi drukowanymi literami, zupełnie się nad tym nie zastanawiając; dopiero później popatrzyła na kartkę pokrytą pospiesznymi notatkami i przyszło jej do głowy, że przecież w tej sprawie nie ma wcale krwi, tak jakby morderca nie chciał robić konkurencji szkarłatnej tkaninie, w którą tak pieczołowicie owijał zwłoki).

I rewolucją.

Ze słońcem i ogniem.

Z tym, co instynktowne i gwałtowne.

Co odwołuje się do aktu tworzenia (kreacji i prokreacji).

Czerwień przyciąga wzrok znacznie szybciej niż jakikolwiek inny kolor. Może całun miał jedynie ułatwić znalezienie ciała? (Ewa zanotowała to pytanie, choć była niemal pewna, że chodzi o coś zupełnie innego. Tylko o co? Sama sobie wydała się śmieszna z tymi szkolnymi próbami przeniknięcia zamysłów człowieka, który raczej nie należał do typowych przedstawicieli gatunku. Jakby można było to zrobić za pomocą długopisu i kartki papieru!)

Wyraża intensywność emocji: namiętność, żądzę, pasję.

Świadczy o potrzebie dominacji oraz o impulsywności, ambicji, pewności siebie. Zdradza skłonności przywódcze.

UWAGA! Oznacza też lęk i zachłanność.

No i mamy go — powiedziała Ewa do komputera, patrząc na sporządzoną listę. Biorąc pod uwagę różnorodność skojarzeń i znaczeń, potencjalny sprawca musiał mieć niezłe rozchwianą psychikę. Ale jeśli tak było, dlaczego dotąd nie popełnił żadnego błędu? Dlaczego był jak szwajcarski zegarek: dokładny i niezawodny, jeśli do zabójcy w ogóle pasowało takie określenie? Dlaczego dokładał starań, by jego dzieło wyglądało efektownie? To Ewie już zupełnie nie mieściło się w głowie. Artysta wśród morderców. Kreatywny, ambitny i na swój sposób wrażliwy, pomyślała, błędząc wzrokiem po rozsypanych na papierze wyrazach. Bez względu na to, jaka była prawda, znalazł dość specyficzny sposób, by zwrócić na siebie uwagę świata.

I udało mu się.

Ją samą zafascynowała delikatność, z jaką obchodził się z ciałem. Nie chciała używać słowa „szacunek”, ale właśnie ono cisnęło jej się na usta, gdy przypomniła sobie oglądane kilka godzin temu zdjęcie. Czerwień niepokoiła, ale przywodziła na myśl drogie wieczorowe kreacje. Nagość zamordowanych mężczyzn miała w sobie coś pierwotnego. Nadzy przychodzili na świat i nadzy odchodzili tam, gdzie ich posłał morderca, zadając im śmierć tak przemyślnie, że jej przyczyny nie potrafił odkryć nawet doświadczony lekarz sądowy. Podobnie jak policja nie umiała dociec, jakie kierują nim motywy.

Nadzy. Tylko w czerwieni. Jak królowie. W końcu czerwień zawsze była barwą przynależną koronowanym głowom. Zarezerwowaną dla majestatu.

Bez rozlewu krwi, skoro to czerwień symbolizowała krew. To nie dawało Ewie spokoju. Zaczęła nerwowo skubać paznokcie, wpatrując się w ekran komputera i zastanawiając się, jaką frazę mogłaby wpisać, by połączyć te dwa wyrazy: „czerwień” i „krew” i uzyskać zadowalający efekt wyszukiwania, który choć odrobinę rozjaśniłby jej w głowie.

VIII

Dostrzegłeś zapewne, że zwracam się do Ciebie jak do starego znajomego. Dziwisz się? Jeszcze kilka listów, a zacznę Cię nazywać Przyjacielem, a nie Wspólnikiem.

A może za tą poufałością kryje się coś więcej? Może wiem o Tobie wszystko? Jaki jesteś, co lubisz i w jaki sposób osiągasz to, o czym marzysz? Marzysz czasem? Wiem, że tak. Jednak tym razem nie będziemy wchodzić w szczegóły. A zatem, wracając do najistotniejszego pytania: czy wiem o Tobie wszystko?

Może tak. Może nie. Masz pięćdziesiąt procent szans na poprawną odpowiedź.

Jeśli chcesz, możemy się zabawić w zgaduj-zgadulę. Jest wyjątkowa. Proponuję ją tylko osobom bardzo bliskim. Ty zgadujesz, kim jestem. Ja podpowiadam od czasu do czasu, żebyś się zbyt szybko nie zniechęcił. Jeśli zgadniesz, wydasz mnie komu trzeba (prawdziwie judaszowe rozwiązanie). Jeśli nie, będziesz martwy. Mogę Cię zapewnić, że śmierć będzie dla Ciebie łaskawa, bo zabijając Cię, okażę Ci szczególne względy. Pozwolę Ci nawet wybrać miejsce, w którym się to stanie. Na co chciałbyś patrzeć, umierając? A może na kogo? Czy widok kobiety, której urok odebrał Ci spokój, będzie wystarczającym dowodem mojej dobrej woli? (Jak widzisz, wiem o Tobie co nieco. Nie blefuję. I nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych).

To jak? Chcesz się bawić?

Nie myśl, że Ci grożę. Nie myśl, że grożę jej. To czysto hipotetyczna sytuacja. Ćwiczenie wyobraźni. Twojej i mojej także.

Przemyśl to, dobrze? Napiszę wkrótce. M.

Oświetloną wieżę kościoła, stojącego od niemal stu lat przy ulicy Kawęczyńskiej, widać było z daleka, więc Artur miał pewność, że Izabela, która zupełnie nie znała tej części miasta, bez trudu znajdzie drogę. Sama świątynia wzorowana na rzymskiej Bazylice św. Pawła za Murami nie pasowała do otoczenia i w sąsiedztwie zniszczonych budynków i wąskich dziurawych ulic sprawiała wrażenie przeniesionej z innej rzeczywistości. Widok dominujących nad budowlą schodów i kolumnowego portyku był zaskakujący nawet dla kogoś, kto jak on wychował się w tej okolicy, ale z upływem lat zdążył zapomnieć, że są tak monumentalne. Odbity od elewacji blask reflektorów kontrastował z ciemnością, otulającą inne budynki jak ciepły szal. Dzięki temu nie wydawały się aż tak odrażające jak za dnia.

Do szóstej brakowało trzech kwadransów.

Artur wspiął się po wysokich schodach, przeskakując po dwa stopnie. Zastał drzwi otwarte i z ulgą wkroczył w półmrok, którego nie mogło rozproszyć nikłe światło, bijące od ołtarza i przytłumiony blask złotego tła mozaiki zdobiącej prezbiterium. Wpatrując się w przedstawione na niej postaci, których z tej odległości nawet nie próbował rozpoznać, w końcu poczuł się bezpieczny, choć nie był w kościele, odkąd przestał być dzieckiem. Ile mógł mieć lat – czternaście, może piętnaście? A teraz korzystał ze znanego od starożytności prawa do azylu w poświęconych murach ze świadomością, że w ciągu wieków czyniło tak wielu buntowników, uciekinierów i banitów.

Był sam. W absolutnej ciszy słyszał tylko dźwięk swoich kroków i bicie serca, które brzmiało jak łoskot staczających się z góry kamieni. Przyczaił się w nawie bocznej, za kolumną, której obwód przekraczał chyba zasięg jego ramion, a później, nagle bardzo zmęczony, usiadł w konfesjonale. Po raz pierwszy od dwóch dni zapomniał, że ma ciało, które może go zdradzić. Uspokoił się, ale zaraz przyszło mu do głowy, że Izabela wcale się nie zjawi i jego serce znowu zaczęło pracować szybciej. Było to jedno z tych przeczuć, które lubią się sprawdzać, czekał więc na spotkanie pełen obaw. Chciał wrócić do normalności i żyć tak, jak żył,

nim się to wszystko zaczęło. I chciał ją znowu zobaczyć. Zastanawiał się, czy nie ma zbyt wygórowanych żądań.

Musiał się zdrzemnąć na pięć minut, bo gdy otworzył oczy i spojrzął na zegarek, była siedemnasta trzydzieści. Biły dzwony. To one go obudziły. A także szelest, dobiegający gdzieś z boku. Odgradzony od kościelnego wnętrza drewnianą kratą niewiele widział, ale doskonale słyszał odgłos szybko oddalających się kroków, które w cichym, wciąż pustym kościele, musiały wzbudzić niepokój jedyne go świadka. Umilkły nim zdążył zareagować. Podniósł się ociężale z twardej ławki i wyszedł z konfesjonału, próbując zebrać myśli. Był zupełnie rozbity, a krótki sen tylko pogorszył jego samopoczucie. Miał też dość czekania. Niecierpliwie rozglądał się na boki w nadziei, że Izabela zjawi się wcześniej. Było to mało prawdopodobne, ale nie miał nic innego do roboty. Potem pomyślał, że poczeka na nią przy wyjściu, żeby jej nie przeoczyć. Idąc w kierunku drzwi, przyglądał się rzędom ławek, w których siedziało już kilka skulonych kobiecych postaci. Pozazdrościł im spokoju i domów, do których miały wkrótce wrócić. Domów z łózkami, łazienkami i kuchniami, w których można było przygotować coś ciepłego dojedzenia, choćby tylko zwykłą jajecznicę. Tego też im zazdrościł. Był bardzo zmęczony i powoli zaczynało mu być wszystko jedno.

Czerwony strzep jedwabiu leżał na klęczniku, stojącym na lewo od wejścia, zaledwie trzy kroki od miejsca, w którym Artur się zatrzymał. Trudno było go nie zauważyć, bo mimo słabego oświetlenia wyraźnie odcinał się od ciemnego drewna. Żywy kolor i połysk materiału na tle zszarzałych murów, zniszczonych ławek i krzesel oraz biało-popielatej posadzki wyglądał nie tylko niestosownie, ale wręcz nieprawdopodobnie. W pierwszej chwili Artur uznał, że ma halucynacje. Podeszedł bliżej.

Tkanina była prawdziwa. Cienka i delikatna, zmieściłaby się w kieszeni. Poza nim nikt jej chyba nie zauważył. Powiew, którego wcale nie czuł, delikatnie poruszył jej swobodnie zwisający koniec. Artur opadł na klęcznik i dotknął jedwabiu drżącą ręką. Zastygł w tej pozycji

na dłużej. Tylko jego prawa dłoń bezwiednie bawiła się śliskim, chłodnym, przyjemnym w dotyku materiałem.

Czerwony strzęp. Wybryk wyobraźni. Kleks świeżej krwi z uszkodzonej tętnicy. W pierwszej chwili skojarzył mu się z całunem.

Artur zmiął w palcach zgubioną apaszkę i z zajądłością, o jaką się nie podejrzewał, wcisnął ją do kieszeni spodni. Nie wiedział, dlaczego to zrobił, był jednak przekonany, że musi zabrać ją ze sobą.

Zagrały organy i z ławek podniósł się cichy, niknący na wyższych tonach śpiew kobiet. Izabeli nie było. Artur jeszcze czekał, pewien, że czeka na próżno.

Nie zamierzał więcej do niej dzwonić. Cokolwiek planował, musiał się obyć bez jej wątpliwej pomocy. Nie był zaskoczony, wściekły, ani nawet rozczarowany. W ogóle przestał cokolwiek odczuwać. Szkarłatny jedwab parzył go przez nogawkę spodni, jakby był kawałkiem rozgrzanego metalu, gdy szedł przed siebie słabo oświetloną ulicą, samotny, bezdomny i wbrew własnym słowom i pragnieniom nie do końca wolny.

Sobolewski nie był zachwycony, gdy Ewa przez telefon przedstawiła mu efekty swojej pracy. Nie tylko nie pochwalił jej za spostrzeżenia, którymi się z nim podzieliła, ale wręcz zganiał za marnotrawienie czasu, który, czego nie omieszkał przypomnieć, był przecież bezcenny. Ten banał wyprowadził ją z równowagi, bo od lat źle znosiła podobne truizmy, postanowiła jednak wykazać się cierpliwością i nie przerwała mu ani razu, gdy mimo złości usiłował spokojnie tłumaczyć, gdzie jest jej miejsce.

— Pani Ewo — mówił, na próżno starając się ukryć zdenerwowanie.
— Wydaje mi się, że miała się pani zajmować zupełnie czym innym. Proszę podobne dociekania zostawić specjalistom, z którymi współpracujemy. Czy pani się zdaje, że nie szukamy między wierszami możliwych rozwiązań? Że nie rozmawiamy z psychologami, kulturoznawcami, nawet religioznawcami? I niech pani nie ma mi za złe, że to powiem: zamierza nas pani wyręczać?

— Jedynie pomóc.

— Więc proszę to robić. Mamy do czynienia z mordercą. Tworząc jego fantastyczny portret psychologiczny chyba pani o tym zapomniała.

— Nie zapomniałam. Po prostu staram się zobaczyć w nim człowieka. I niech się pan nie unosi, bo nie lubię rozmawiać z apodyktycznymi facetami, przekonanymi o tym, że zawsze mają rację.

— Nie unoszę się. I raczej nie bywam apodyktyczny—głos Krzysztofa nagle złagodniał. Ewa odniosła nawet wrażenie, że mężczyzna się uśmiechnął. — Przepraszam, jeśli tak to zabrzmiało. A co do racji, cóż — wolałbym częściej się mylić.

Był zbyt zziębnięty i zmęczony, by zasnąć i zbyt śpiący, by podjąć jakąkolwiek decyzję. Trwał więc w bezruchu na zimnych schodach, równie niewygodnych i brudnych jak te, na których spędził dwie poprzednie noce, czekając na cud. Czy miałby nim być zbawczy sen, patrol policyjny czy nagle pojawiająca się w sieni postać kobiety o zielonych oczach, tego Artur nie był pewien. Podświadomie czekał jednak na to, że coś się wydarzy, coś, co przywróci go światu i sprawi, że nie będzie musiał tkwić na obcej klatce schodowej, zwinięty jak embrion, za wszelką cenę starając się zatrzymać resztki ciepła. W tym momencie nawet o mundurowych myślał z pewnym upodobaniem. Na komisariacie na pewno by się rozgrzał i prawdopodobnie, bez względu na porę, mógłby się napić kawy. To przynajmniej dwie zalety, podczas gdy miejsce, w którym postanowił nocować, miało wyłącznie wady. Ach nie, poprawił się, analizując swoją sytuację, było przecież bezpieczne, w przeciwieństwie do komisariatu.

Wytrzymał do trzeciej nad ranem. Gdy zimno stało się nie do zniesienia, uznał się za pokonanego, wstał, otrzepał spodnie i wyszedł na ulicę. Jeszcze nie wiedział, dokąd pójdzie, a jednak odetchnął z ulgą. Pozwolił, by pachnące zimą powietrze zaszumiało mu w głowie. Działo jak gaz rozweselający. Wdychając je z przyjemnością, pomyślał, że Izabela miała rację. Wolność — uśmiechnął się drwiąco. Ostatnio nie była warta funta kłaków tego kundla, którego przestraszył dwa dni te-

mu. Mimo to trzymał się jej kurczowo, jakby poza nią nic się już nie liczyło. Straceniec albo wariat. Nie był ani jednym, ani drugim.

Poszedł tam, gdzie było więcej lamp i neonów, gdzie nawet o tak późnej porze wciąż jeździły samochody, a nocne autobusy regularnie, co pół godziny, zatrzymywały się na przystankach, zabierając tłumek oczekujących. Świat przez dwie doby niewiele się zmienił. Wciąż był hałaśliwy, brudny i zorganizowany nie do końca po jego myśli. Jednak tym razem Arturowi zupełnie to nie przeszkadzało.

Szedł szybko, by się rozgrzać, a stawiając coraz dłuższe kroki, zastanawiał się, jak wrócić do domu i nie dać się złapać. Winny czy nie – nie zamierzał składać żadnych wyjaśnień, a na myśl o areszcie bezwiednie zaciskał pięści. Zresztą był pewien, że anioł stróż, wpatrujący się w okna jego mieszkania, nie będzie słuchał tego, co ma do powiedzenia, ale troskliwie położy mu dłoń na głowie, by nie nabił sobie guza, zapakuje do radiowozu i zawiezie przed oblicze Sobolewskiego. A zły glina, Artur także co do tego nie miał wątpliwości, pogada z kim trzeba i zorganizuje mu przymusowe wakacje w całkowitej izolacji. Oczywiście w zgodzie z literą prawa.

W czasie odsiadki i później zdarzało mu się wertować kodeksy w poszukiwaniu informacji. Doskwierała mu własna ignorancja. Często myślał, że gdyby nie był tak młody i miał choć mgliste pojęcie o tym, jak funkcjonuje polskie prawo, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może dostałby łagodniejszy wyrok, a może, gdyby uwzględniono okoliczności łagodzące, nie dostałby go wcale. Nie był pełnoletni, wychowywał się w rozbitej rodzinie i ulegał wpływowi, jak niemal każdy nastolatek, który swoje być albo nie być uzależnia wyłącznie od akceptacji rówieśników. Uśmiechnął się gorzko do wspomnień. Ależ był głupi! Wprost nie mógł w to uwierzyć.

Dorosły Artur Strzemiński, który niczego nie bał się tak, jak ponownego zamknięcia, wiedział, że tak zwane tymczasowe aresztowanie stosowane jest w Polsce zbyt często i choć nie może trwać dłużej niż trzy miesiące, w praktyce bywa przedłużane do dwóch, a nawet pięciu lat. Był zdania, że odizolowany człowiek może zwariować

w znacznie krótszym czasie. Tym bardziej, że w przeciwieństwie do skazanego nie ma prawa do rozmowy telefonicznej ani przepustki, jego korespondencja podlega cenzurze, a o widzeniu z bliskimi każdorazowo decyduje prokurator. Oczami wyobraźni ujrzał się w jakimś miejscu odosobnienia i na moment wpadł w panikę, zapominając, że jeszcze jest wolny. Życie, które dotąd wiódł, znowu wydało mu się bezcenne. To nic, że był sam, dawne upiory topił w alkoholu, a jedyna kobieta, z którą czuł się mocniej związany, nie odwzajemniała jego uczuć. Dopóki mógł żyć po swojemu: mijać ją na korytarzu, pracować w zawodzie, który lubił, popijać przed zaśnięciem i słuchać bez końca riffu z *Whole Lotta Love* albo *Smoke on the Water*, gdy miał na to ochotę, dopóty radził sobie z szarą codziennością. Nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej. Bez Izabeli... pisanie... muzyki... kieliszka... Bez nadziei.

Im dłużej z nim przebywała, tym większego nabierała przekonania, że Cyryl nie powiedział jej wszystkiego. Obserwowała go, gdy kręcił się po mieszkaniu, czytał gazetę, zganiał z kolan kota, sięgał po kluczyki do samochodu, by w chwilę później zmienić zdanie i odłożyć je na swoje miejsce. Wodząc za nim spojrzeniem, czego on wcale nie dostrzegał, wciąż zadawała sobie pytanie, co stało się z dawnym Cyrylem. Energetycznym, otwartym i zadowolonym z życia facetem, który kiedyś tryskał humorem i zarażał optymizmem. Odkąd przyjechała, był przygaszony, rozkojarzony i w gruncie rzeczy zamknięty w sobie. Po pierwszej przegadanej nocy niewiele rozmawiali. Widocznie mężczyzna uznał, że wyczerpał temat, a Ewa powstrzymała się od pytań, które cisnęły się jej na usta. Niepokoiły ją jednak jego bezwiedne gesty, które zdradzały, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Włączał telewizor i natychmiast go wyłączał, nim na ekranie zdążył pojawić się obraz, robił sobie kawę tylko po to, by zaraz o niej zapomnieć, wychodził do sklepu i wracał z zaskakującym zestawem produktów, które nie były im potrzebne. I, co dziwne, nie oglądał już starych filmów, które tak lubił za klimat, brak efektów specjalnych i sentymentalizm w dobrym guście. Ewa nie była pewna trafności jego oceny, ale mniej więcej rozumiała, co przyjaciół miał na myśli, określając tymi słowami niepowtarzalny nastrój

produkcji z minionych dekad. Cyryl, który przyjął ją pod swój dach, najwyraźniej wyzwolił się spod wpływu Hollywood, a jego uwagę zaprzętało coś innego. Ewa na próżno starała się dociec, co. Ponadto był przemęczony, znużony pracą, którą ona uznawała za mało przyjemną, i zestresowany ciągłym wyczekiwaniem na telefon ze złymi wiadomościami. W tym stanie ducha raczej nie sprawiał wrażenia osoby skorej do zwierzeń. Zresztą mało bywał w domu, więc poważna rozmowa i z tego powodu była niemożliwa.

Ewa wstawała wcześniej i zaczynała dzień od poszukiwań w sieci. Później wybierała się do biblioteki, gdzie skracała sobie czas oczekiwania na zamówione pozycje przeglądaniem księgozbiorów podręcznych i wertowaniem katalogów. Czuła się przy tym tak, jakby tropiła własne fantazje. Bezskutecznie, bo zawsze wymykały jej się z rąk. Potem przerzucała kartki w publikacjach i wpatrzona w ryciny czekała na olśnienie.

Choć bardzo się starała, nie umiała się jednak skoncentrować, bo urywki zdań, które padły między nią a Piotrem, nieustannie dźwięczały jej w uszach. Nie mogła uciec przed jego głosem i obrazami z przeszłości, które wspólnie wywołali, a które teraz nakładały się na czarno-białe ilustracje kartkowanych książek, zmieniając je w fantastyczne wzory. Myślała, że ma to już za sobą, tymczasem wystarczyło kilka telefonów, parę zdań, w których można się było doszukiwać ukrytych znaczeń i jedno przypadkowe spotkanie, by zrozumiała, jak bardzo się myliła. Piotr więcej nie dzwonił, a ją nagle przestały dziwić nieudane relacje z mężczyznami, które przez ostatnie lata wpisywała na długą listę porażek i niepowodzeń. Z rozpaczą pomyślała, że to się już nigdy nie zmieni.

IX

Wiesz, kiedy czasem przyglądam się temu, co robię, jak widzę albo świadek, który stoi z boku, kiedy patrzę na siebie jak na obcą osobę i poddaję analizie jej „grzechy” (nie moje, boja ich przecież nie popełniam, dlatego piszę to słowo w cudzysłowie; dla mnie ono w ogóle nie istnieje), w tych rzadkich chwilach refleksji dopada mnie zmęczenie. Zabawa potrafi znużyć bardziej niż cokolwiek innego. A mogę Cię zapewnić, że nawet śmierć staje się nudna, jeśli zadaje się ją wciąż w taki sam sposób. Zresztą, jeśli się nad tym głębiej zastanowić, można by zaryzykować twierdzenie, że nie ma nic mniej spektakularnego od przejścia na drugą stronę.

Niestety, nieuchronność śmierci to jedyny pewnik we Wszechświecie. Przyznaj, że czas, okoliczności i przyczyna przestają mieć znaczenie, jeśli myśli się o niej w taki sposób. A że czasami to ja jestem czasem, okolicznościami i przyczyną? Czy można potępić kogoś, kto wysyła innych na wcześniejszą wieczną emeryturę?

Niektórzy są zdania, że nie można odbierać Bogu tego, co boskie. Ale jego przecież nie ma. Jest zaledwie wytworem ludzkiej wyobraźni, ogłupionej wizją raju i obietnicą nieprzemijającego szczęścia. Jeszcze jedna baśń. Piękna baśń o tym, że wszyscy zasługujemy na to, by być lepszymi ludźmi, podczas gdy w rzeczywistości jesteśmy niewiele warci. Hm, zaczynam wartościować. To znak, że w tych rozważaniach zaszliśmy za daleko. Lepszy, gorszy? Kto miałby to ocenić?

Ale powiem Ci jeszcze coś. Jeśli to jednak Bóg stworzył świat (nie, nie zamierzam się bawić w Pascala z tą jego skłonnością do asekuracji, której zupełnie nie pochwalam), więc jeśli to jednak on, wierzę, że musiał siódmego dnia odpocząć. Tworzenie i destrukcja,

nawet ta dokonywana subtelnie (o czym mam pewne pojęcie), to najbardziej wyczerpujące dyscypliny, jakie znam. Zwłaszcza wtedy, jeśli się nie umie, nie chce lub nie wie, kiedy przestać. Bóg (idea, bohater literacki, duch unoszący się nad wodami, czy kim on tam jest) wiedział. W tym uznaję jego wyższość.

Czy teraz, po tym wszystkim, co przeczytałeś, rozumiesz mnie trochę lepiej? Czy mnie w ogóle rozumiesz? Nie sądzę. Jesteś tylko adresatem moich listów, pisanych do ludzkości. Pierwszym czytelnikiem, w dodatku tak oszołomionym (zdezorientowanym? przerażonym?), że nie potrafisz mnie niczym zaskoczyć. Szkoda. Ale nie myśl, że to koniec. Gdy dobrniemy do końca, będziesz o tym wiedział. M.

PS. Czy zastanawiałeś się nad moją propozycją? Zaproszenie do gry jest wciąż aktualne.

Było prawie wpół do piątej, gdy taksówka podjechała pod bramę strzeżonego osiedla i zatrzymała się tuż przed szlabanem. Mieszkańcy budynku jeszcze spali, tylko na ostatnim piętrze świeciło się w jednym oknie. Kierowca wyskoczył z samochodu i podszedł do budki ochroniarza. Rozmawiał z nim dłuższą chwilę, gestykułując gwałtownie, jakby starał się go do czegoś przekonać. W końcu usiadł z powrotem za kierownicą, a gdy strażnik podniósł szlaban, wjechał na teren posesji. Tam zaparkował pod jedną z klatek i otworzywszy tylne drzwi, pomógł wysiąść wysokiemu mężczyźnie, który sprawiał wrażenie zupełnie pijanego. Głowa bez przerwy opadała mu na piersi, a buty szorowały po chodniku, gdy taksówkarz prowadził go, a właściwie włókł do wskazanych przez ochronę drzwi wejściowych. Na szczęście był młodym, dobrze zbudowanym mężczyzną, więc radził sobie z bezwładnym, lecącym przez ręce ciałem, mając nadzieję na godziwą zapłatę za kurs. Nie pierwszy raz prowadził do domu klienta, który przesadził z alkoholem.

Wtoczyli się obaj na klatkę schodową, niemal tracąc równowagę, bo kierowca zbyt długo manewrował kluczem, starając się otworzyć oporny

zamek. Oparł się z wysiłkiem o ścianę i kilka razy odetchnął, nim zdecydował się podejść do windy i nacisnąć przycisk. Przez okno klatki schodowej widział ulicę i rząd zaparkowanych samochodów.

Drzwi windy otworzyły się z cichym szelestem, więc zdobył się na ostatni wysiłek i wciągnął do niej pogrążonego w pijackim letargu pasażera, który z minuty na minutę robił się coraz cięższy. Śmierdziało od niego tanim winem. Gdy wsiadał do taksówki, był jeszcze na tyle przytomny, by podać adres i poprosić o drobną przysługę na wypadek, gdyby stracił świadomość. Widocznie podobne libacje zdarzały mu się już wcześniej i zawsze kończyły się w ten sam sposób. Teraz spał jak zabity, a przysługa nie była tak drobna, jak twierdził. Ważyła pewnie z 90 kilo.

Wjechali na drugie piętro. Mężczyzna posadził klienta na wyłożonej jasną terakotą podłodze, a sam podszedł do drzwi, doceniając przezorność pijaczyny, który zdążył podać mu numer mieszkania, a tym samym wybawił z kłopotu. Nie lubił tracić czasu. Kiedy zdecydował się pracować w nocy, liczył na to, że będzie mu się to opłacać.

Nie zdążył zapukać. Po drugiej stronie rozległo się ujadanie, które szybko uciszył kobiecy głos. Zamigotało oko wizjera, a potem szcękniętą zamek i w szparze uchylonych drzwi ukazała się twarz obudzonej pani domu, wysokiej brunetki, otulonej w jedwabny szlafrok.

— Słucham — odezwała się, patrząc na intruza niechętnie.

— Kto pana tu wpuścił?

— Przepraszam... — mężczyznę w pierwszej chwili zaskoczyło chłodne przyjęcie i nie bardzo wiedział, jak wyjaśnić kobiecie swoją obecność pod drzwiami. Zaraz jednak przypomniał sobie o kliencie, którego przywiózł do domu, i nabrał śmiałości.

— Jestem taksówkarzem. Przywiozłem pani męża...

— Jaja pan sobie robi? O tej porze nie mam poczucia humoru — z trudem tłumila irytację. Doberman warujący u jej stóp, słysząc podniesiony ton, zawarczał ostrzegawczo. Zaniepokojony jego zachowaniem kierowca pomyślał, że w gruncie rzeczy doskonale ją

rozumie. Też nie lubił wstawać przed świtem. Postanowił spróbować jeszcze raz.

— Pani mąż... — powiedział łagodnie, odsuwając się, by mogła zobaczyć siedzącego pod ścianą mężczyznę. — Jest kompletnie pijany — dodał niepotrzebnie, bo było to widać na pierwszy rzut oka.

— Ach, ten — popatrzyła na niego z namysłem, a później ponownie spojrzała na śpiącego. — Trudno, niech go pan wprowadzi do środka.

— Nie wiem, gdzie o tej porze udało mu się tak zalać... Nie zapłacił za kurs...

— Sukinsyn...

Taksówkarz ścierpł, słysząc to słowo w jej ustach. Nie chciałby być w skórze tego gościa, jak wytrzeźwieje. Przyszło mu do głowy, że gdyby on miał taką żonę, siedziałby w domu zamiast szlajać się po barach, ale zaraz zmienił zdanie, bo w oczach atrakcyjnej brunetki dostrzegł furię.

— Ile? — zapytała.

— Sto złotych.

— Geni się pan!

— Miałem go zostawić pod bramą?

— Może czegoś by się nauczył — zauważyła.

— Może nie doczekałby rana. Jest pięć stopni poniżej zera...

— Niech mnie pan nie poucza, dobrze? I niech go pan posadzi na sofie — wskazała mu drzwi do salonu, gdy ciągnął pasażera przez przedpokój, bez przerwy zawadzając o sprzęty. Nim dotarł na miejsce, zdążył się spocić. — Jakoś już sobie z nim poradzę — usłyszał jeszcze. W progu podała mu banknot takim gestem, jakby odprawiała lokaja. Może i była wściekła, ale zdaniem kierowcy nic nie tłumaczyło jej zachowania.

— Nie dałoby się odrobinę grzeczniej? — zaczął, ale kobieta tylko zmierzyła go od stóp do głów i trzasnęła drzwiami, nie przejmując się ani wczesną porą, ani tym, że przerywa mu w pół zdania.

— Idź w diabły! — dobiegły go pożegnalne słowa. Jeszcze raz ze współczuciem pomyślał o pijanym mężczyźnie. Przez moment wydawało mu się nawet, że go rozumie.

Odwrócił się i ruszył w dół po schodach. Na zewnątrz wciąż było ciemno, ale w wielu oknach już się świeciło, a przed blokiem minął go jakiś mężczyzna śpieszący się do pracy.

Zaczynał się nowy dzień,

Artur, słysząc trzask zamykanych drzwi, otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. Potem pochylił się, zgasił małą lampkę na stoliku przy sofie i podszedł do okna. Przez ciemnobrązowe zasłony do środka nie przenikał nawet najdelikatniejszy blask ulicznych świateł. Odsunął jedną z nich, starając się stać jak najbardziej z boku, i wyjrzał na ulicę. Tak zastała go Izabela.

— Szybko wytrzeźwiałeś — zauważyła z przekąsem, siadając w fotelu i zapalając światło. — Mogłeś mnie uprzedzić.

Odskoczył od okna.

— Tak jak ty mnie wczoraj wieczorem? — spytał z drwiącym uśmiechem, porzucając obserwację, by spojrzeć jej w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie. Nawet nie drgnęła jej powieka.

— To trochę inna sytuacja, nie uważasz?

— Nie uważam. Poza tym wtedy nie otworzyłybyś drzwi, prawda? Dlaczego mnie wystawiłaś? — silił się na obojętność, ale tylko on wiedział, ile go to kosztuje.

— Coś mi wypadło — odparła wymijająco.

— Coś ci wypadło — powtórzył, by zyskać na czasie. Nie do wiary. Nagle zaczął się zastanawiać, co go tu w ogóle przywiodło, skoro kilka godzin temu był skłonny trzymać się od tej kobiety z daleka. Nie wiedział, co powiedzieć. Jeszcze mocniej przywarł do ściany i mając nadzieję, że z zewnątrz jest niewidoczny, ponownie rzucił okiem na stojące pod oknem samochody. W jednym z nich ktoś się właśnie poruszył. Artur był niemal pewien, że auta nie było tutaj pół godziny temu. W taksówce udawał pijanego, ale spod przymkniętych powiek lustrował stojące przy ulicy pojazdy. Może jednoosobowy komitet powitalny oddalił się z posterunku, by na pobliskiej stacji benzynowej

kupić papierosy? Uśmiechnął się z satysfakcją, dostrzegając w rzedniejącym mroku żarzący się za kierownicą maleńki ognek. Miał szczęście.

— To ten samochód? — spytał, by się upewnić. Izabela wstała niechętnie.

— Tak — potwierdziła i wróciła na miejsce. Stała obok niego bardzo krótko, ale i tak zdążył go oszołomić jej zapach i ciepło otulonego w barwny jedwab ciała. Teraz dochodził do siebie, przyglądając się malowanym na tkaninie makom. Słowa kobiety znacznie mu to ułatwiły.

— Śmierdzisz jak włóczęga — powiedziała, wcale na niego nie patrząc, całą uwagę poświęcając perłowym paznokciom.

— Mówiłem, że potrzebuję prysznic.

— To nie jest hotel — przypomniała mu.

— Do cholery! — nie wytrzymał. — Może zdobyłabyś się przynajmniej na zwykłą życzliwość, skoro nie stać cię na wyrażanie bardziej złożonych uczuć.

— Nie podnoś na mnie głosu, bo pies rzuci ci się do gardła.

— Zagwizdała cicho. Doberman podniósł się z legowiska i stanął w progu pokoju. Artur wiedział, że Izabela umie nad nim zapanować. Bardziej, niż jego obecność, przerażała go jej obojętność. — Czego ode mnie oczekujesz? — usłyszał.

— Chociażby współczucia—warknął w odpowiedzi. Mimo wszystko ściszył głos. — Jeśli nie mogę liczyć na nic więcej. Mój czas minął, tak?

Roześmiała się, jakby powiedział coś niezwykle zabawnego.

— Wiesz o tym od dawna, więc nie udawaj zdziwionego.

— To z kim teraz sypiasz?

— Dla ciebie to chyba bez różnicy, skoro i tak zaraz pójdziesz siedzieć. Dlaczego milczysz? Mógłbyś chociaż zaprzeczyć.

— Po co? Ty już mnie skazałaś.

— Przewrotna odpowiedź. Może chciałabym poznać prawdę.

— Obawiam się, że prawda nie dotrze do ciebie przez ścianę obojętności, która stoi między nami. Kiedy zdążyłaś się nią otoczyć? —

zapytał z goryczą.

— Nie tragizuj, bo ci z tym nie do twarzy.

— Dlaczego po mnie nie przyjechałaś? — powtórzył pytanie sprzed kilku minut, bo bardzo chciał usłyszeć odpowiedź.

— Chciałam ci udowodnić, że wolność jest zupełnie czym innym, niż myślisz. Ale chyba sam już do tego doszedłeś? — kpiący uśmiech pojawił się najpierw w jej oczach i Artur, widząc, jak pod jego wpływem zmienia się jej twarz, zrozumiał, że jeszcze słowo i przestanie nad sobą panować. Pomyślał, że zabójstwo w afekcie nie powinno być karalne i zaczął się zastanawiać, czy powstrzymałby go strach przed wyrokiem. Popatrzył na psa, leżącego spokojnie obok sofy i oprzytomniał.

— Wolność jest tylko jedna — zauważył. — I mam gdzieś, co o niej myślisz i co zamierzałaś mi udowodnić. — Czuł, że się uspokaja. Nieprzespana noc i ciepło panujące w pokoju sprawiły, że poczuł się nagle bardzo zmęczony i senny. — Zostanę u ciebie przez jakiś czas — dodał, idąc w stronę łazienki. — Nawet wbrew twojej woli. Nie strasz mnie więcej psem, bo to na mnie nie robi wrażenia. Znamy się nie od wczoraj. Więc lepiej bądź miła. Dla mordercy.

Sztuczny jedwab, nazywany szantungiem, można było kupić we wszystkich większych sklepach tekstylnych. Był dostępny w wielu kolorach, w setkach metrów bieżących. Zamawiany i kupowany często, swoją popularność zawdzięczał dekoracyjnej fakturze i pięknemu połyskowi. Wieszano go w oknach, szyto z niego poduszki i narzuty, zdobiono nim wnętrza, w których odbywały się imprezy i uroczystości, okrywano nim zwłoki... Ludzki umysł potrafi znaleźć dla każdej rzeczy tuziny zastosowań.

Sklepy i hurtownie nie prowadziły ewidencji klientów, więc nabywcy szkarłatnego materiału byli nieznani. Gdyby jednak jakikolwiek się pojawił, Krzysztof Sobolewski miał szansę dowiedzieć się o tym w ciągu kwadransa. Jego współpracownicy dotarli do większości punktów sprzedaży i przeprowadzili ze sprzedawcami krótkie, rzeczowe rozmowy, na zakończenie podając im numer jego telefonu

komórkowego. On sam był niemal pewny, że wykonali świetną, nikomu niepotrzebną robotę, bo morderca zaopatrzył się w niezbędne akcesoria znacznie wcześniej niż miało miejsce pierwsze zabójstwo. Od maja ze stoickim spokojem przyjmował informacje o klientach, kupujących jedwab we wszystkich kolorach z wyjątkiem czerwonego.

Sprawa właściwie nie posuwała się naprzód, choć można było mówić o drobnych sukcesach. Udało się na przykład ustalić tożsamość ostatniej ofiary. Andrzej Kania był pacjentem Instytutu Kardiologii w Aninie i od dwóch lat miał nowe serce, 15 lat młodsze od jego 42-letniego ciała. Nie wyglądał na swój wiek. Uczył matematyki w warszawskim gimnazjum. Wiódł spokojne, niemal nudne życie, które po operacji znacznie zyskało na jakości. Zawdzięczał je młodemu mężczyźnie, który zginął w wypadku. Mieszkał sam, więc rodzina zgłosiła zaginięcie dopiero tydzień po zabójstwie. Nie odbierał telefonu. Nie było go w domu ani w pracy.

Zwłoki zidentyfikował brat. Był tak wstrząśnięty, że nie potrafił odpowiedzieć na najprostsze pytanie, nie mówiąc już o tych bardziej skomplikowanych: o stan zdrowia zamordowanego, relacje z krewnymi i przyjaciółmi, o to, czy miał wrogów, znajomych, kobiety, hobby, nałogi... Poza tym niewiele wiedział. Odkąd się ożenił, widywali się kilka razy do roku. Częściej do siebie dzwonili, żaden z nich jednak nie zwierzał się drugiemu przez telefon. To o czym, do cholery, rozmawiali? — zastanawiał się Sobolewski. Zadał mężczyźnie to pytanie w nieco łagodniejszej formie. Co u ciebie? W porządku. Jak się czujesz? Dbaj o siebie. A jak Edyta (to moja żona, wyjaśnił zapytany) i dzieci? Rosną. O tym, że brakuje kasy. Gdzie jadą na urlop. On raczej nie wyjeżdżał. (To dlatego tak się niepokoił, gdy przestał odbierać stacjonarny telefon). Chciał być blisko Anina. Nie zdążył wyzbyć się strachu, że jego nowe serce okaże się równie zawodne jak stare.

— Przykro mi — powiedział detektyw, bo tylko to przyszło mu do głowy. Frazes. Tyle, że jemu naprawdę było przykro, gdy odbywał podobne rozmowy. Ofiary w pierwszej chwili zawsze były anonimowe. Dopiero później odzyskiwały tożsamość, gdy pojawiał się ktoś, kto

identyfikował je ponad wszelką wątpliwość. Kto je znał, darzył uczuciem, cenił. Kto zwracał im prawo do nazwiska, które nosili całe życie. Kto po nich płakał. Patrząc na łyzy, Krzysztof zawsze zadawał sobie pytanie, dlaczego jeszcze nie rzucił tej roboty. Niewiele było argumentów, które za nią przemawiały. Znacznie więcej

— przeciw niej.

W szkole, gdzie pracował, Kania pojawił się po raz ostatni w dniu zabójstwa. Zachowywał się tak, jak zawsze. Nie wydawał się spięty, przestraszony ani zdenerwowany. Miał sześć lekcji. Wyszedł do domu około drugiej. Tyle udało się ustalić. Nikt nie wiedział, czy miał jakieś plany na ostatnie w swoim życiu popołudnie.

Była jeszcze ta kobieta. Ewa. Antropolog. Jak dotąd w niczym mu nie pomogła, a momentami nawet zaczynała przeszkadzać. Coraz częściej zdarzało mu się myśleć, że i ona, i Cyryl ulegli złudzeniu. W gruncie rzeczy wszystkie szkielety musiały przecież wyglądać podobnie. Jak można było porównać ciało do stosu kości, choćby nawet ułożonych w anatomicznym porządku? Czego oni w ogóle szukali? Pod wpływem impulsu zadzwonił do Cyryla, bo z Ewą nie miał śmiałości rozmawiać. Jej żywiołowość go niepokoiła. Należała do tych osób, którym bardzo trudno było odmówić czegokolwiek, a on nie potrzebował pomocy kogoś, kto opanowany podejrzaną *idee fixe*, będzie próbował wejść mu na głowę.

— Posłuchaj, stary — zaczął, gdy usłyszał głos przyjaciela.

— Skończmy tę zabawę.

— Jaką zabawę? — nie zrozumiał Cyryl. Siedział przed komputerem i przeglądał zdjęcia osób zaginionych, szukając wśród widniejących na fotografiach twarzy tej należącej do pierwszej ofiary Krawca. Jej rekonstrukcję skończył jakiś czas temu, ale po niej były następne. Zespół Badań Antropo- skopijnych Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego, którego był członkiem, wykonywał w ciągu roku wiele podobnych ekspertyz identyfikacyjno-porównawczych.

— Odeślij ją do domu.

— O czym ty mówisz? Wyrażaj się jaśniej, bo jestem zajęty i nie do końca łapię.

— O Ewie. To nie ma sensu. Niech wraca do domu — Krzysztofowi użyło, gdy wreszcie wyrzucił to z siebie.

— To nie takie proste. Widzisz... — zaczął Cyryl i zamilkł. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

— Co widzę? — zdenerwował się Sobolewski, bo cisza w słuchawce się przedłużała. Nie znosił, gdy przyjaciel zaczynał myśleć i nie kończył, a to zdarzało mu się ostatnio dość często.

— Widzisz — powtórzył antropolog, wciąż tym samym tonem. — Ewa nie jest osobą, którą można gdziekolwiek odesłać. Obawiam się, że nie spocznie, dopóki nie znajdziesz mordercy.

— Co takiego?!

— To, co słyszysz.

— Nie mogłeś mnie uprzedzić, nim ją tu ściągnąłeś?

— Ciągle uważam, że może nam pomóc.

— Pomóc?! — nie wytrzymał Sobolewski. Jego irytacja osiągnęła poziom krytyczny i wreszcie znalazła ujście. — Możesz mi powiedzieć, jak to sobie wyobrażasz? Mamy cztery ofiary i waszą szaloną teorię, która jak dotąd wydaje się wyssana z palca. Nie znamy motywu. Nie wiemy nawet, w jaki sposób zabił. Gdybyśmy go złapali, co jest raczej mało prawdopodobne, jak udowodnimy mu winę?! A ty upierasz się przy swoim. Cyryl, daruj, ale to, co mówisz, jest po prostu śmieszne.

— Mimo to wciąż wierzę, że jest jakaś szansa.

— Ale jak długo to będzie trwało?! — Krzysztof jeszcze bardziej podniósł głos, co mu się prawie nie zdarzało. Sprawiał wrażenie sfrustrowanego własną bezradnością. — Czy ona nie ma swojego życia?

— Ostatnio chyba nie. Odkąd się rozwiodła z mężem kryminalistą.

— Widzę, że lubi mocne wrażenia — Krzysztof pokiwał głową z ubolewaniem, zapominając, że Cyryl go nie widzi.

— Powiedziałem, że się rozwiodła.

— Cóż, widać żony porzucają mężów z różnych powodów

— zauważył z sarkazmem policjant.

— Myślałem, że to już przeszłość — odparł Cyryl ostrożnie, wiedząc, że Sobolewski normalnie nie porusza tego tematu.

— I dobrze myślałeś. Ale z przeszłością jest jak ze starymi butami, które szkoda wyrzucić, bo wciąż pamięta się, że były wygodne. Masz takie?

— Tylko tyle? — odpowiedział pytaniem antropolog. — A jej zdjęcie?

— To dlatego, że jeszcze się od niej nie uwolniłem. Ale pracuję nad tym.

— Gdybym mógł ci jakoś pomóc...

— Nie, stary, dziękuję. Muszę sam się z tym uporać. To jak będzie z twoją znajomą? — zrećnie zmienił temat.

— Może sam jej powiesz...

— Niechętnie. Ona jest dla mnie trochę za ostra. Posprzeczamy się i zrobi się nieprzyjemnie — Krzysztof nie miał wątpliwości, że nie będzie umiał z Ewą rozmawiać.

— To może zaprosz ją na kawę — zasugerował Cyryl. — Miła atmosfera wiele ułatwia.

— Daj spokój. Przed chwilą pytałeś, jak mi pomóc, a teraz chcesz się wykręcić sianem?

— Dobrze — poddał się, widząc, że przyjaciel nie zmieni zdania. — Porozmawiam z nią. Zadowolony?

— Mniej więcej.

Cyryl z westchnieniem odłożył słuchawkę. Łatwo ci mówić, pomyślał pod adresem Sobolewskiego. Znał Ewę wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie obejdzie się bez bitwy. Spędziła w Warszawie dwa tygodnie, obłożona książkami, jak zdażył się zorientować, mającymi związek nie tylko z archeologią. Prywatne śledztwo, które prowadziła, odrywało ją od problemów innej natury. Cyryl, który niechcący usłyszał przez ścianę fragmenty jej rozmowy z Piotrem, przypuszczał, że i ona po swojemu radzi sobie z przeszłością. Widocznie tropienie własnych

skojarzeń było lekiem na bólczki ducha. Naprawdę nie wiedział, jak w tej sytuacji przekonać ją do wyjazdu.

Samochód stał na tyłach fabryki Wedla, w ciemnej i ślepej uliczce, dochodzącej do samego Parku Skaryszewskiego. Był ciemnoszary, prawie czarny jak niebo nad głową mężczyzny, który idąc w jego kierunku, czuł na wysokości lewej nerki delikatny ucisk lufy pistoletu małego kalibru. Przypuszczał, że napastnik nosi go nie tylko dla ozdoby. Dotąd nie udało mu się zobaczyć jego twarzy i gdyby to od niego zależało, wołałby, żeby tak zostało. Miał nadzieję wyjść cało z tej historii, więc bez słowa sprzeciwu szedł przodem i nawet nie próbował się odwrócić, choć bał się, jak nigdy dotąd.

Otoczała ich cisza, którą co jakiś czas przerywał szum samochodów, jadących ulicą Grochowską. Nie było późno, jednak wieczór przepłoszył już większość przechodniów. Zaczął siąpić drobny, zimny deszcz. W Teatrze Powszechnym trwał jeszcze spektakl, ale kościół tuż przy parku był już zamknięty na głucho. W powietrzu woń czekolady mieszała się z zapachem spalin i jesienną wilgocią nadciągającej nocy.

— Czego chcesz? — zapytał swojego opiekuna. — Jestem nikim. I nie mam pieniędzy.

Brak odpowiedzi. Jak dotąd napastnik nie odezwał się ani słowem.

Otworzył przed mężczyzną przednie drzwi, ale nie pozwolił mu wsiąść do samochodu.

— Rozsuń kurtkę — powiedział szeptem wprost do jego ucha. Ten szept przeraził napadniętego bardziej niż dotychczasowe milczenie. Był tylko odrobinę głośniejszy niż miarowy oddech, który czuł na szyi i tysiąckroć cichszy, niż świst wydobywający się z jego własnych płuc. Lufa pistoletu nieznacznie zmieniła położenie, ale wciąż czuł ją doskonale, więc bezzwłocznie wykonał polecenie. Kiedy zobaczył strzykawkę, było już za późno. Nim zdążył zareagować, igła przebiła materiał koszuli, a potem skórę na brzuchu. Miał wrażenie, że dotarła bardzo głęboko, jakby napastnik miał zamiar przekłuć go na wylot. To była jego ostatnia myśl.

Bezwładne ciało, przypięte pasami do przedniego siedzenia, przechylało się na boki, gdy samochód przeskakiwał z pasa na pas, pokonując głębokie koleiny. Dłonie spoczywające na kierownicy prowadziły lekko, spokojne i bezkarne w czarnych, świetnie dopasowanych, skórzanych rękawiczkach.

X

Kiedy przychodziły częściej, on przyczął się i czekał, pewien, że wkrótce znowu zginie człowiek. Epistolarna nadpobudliwość sprawcy, jak nazywał ją w myślach, zawsze to potwierdzała. Była zwiastunem zbliżającej się śmierci. Listy, krótsze lub bardziej obszerne, jemu wydawały się bezimiennymi nekrologami. Brakujące nazwiska znał tylko nadawca, który pisząc, dawał upust własnej megalomanii. Nakręcał się. Przynajmniej tak wyglądało to z perspektywy adresata.

Czytając je wciąż od nowa, te, które chował do szuflady i te wyjmowane ze skrzynki, zastanawiał się wielokrotnie, czy nie powinien oddać ich do ekspertyzy. Współczesna technika radziła sobie z komputerowymi wydrukami równie dobrze, jak kiedyś z identyfikacją maszyn do pisania. Nie zrobił tego jednak i za każdym razem, gdy rozrywał kopertę, czuł się winny, jakby to on wybierał ofiarę i łaskawie pozwalał jej na ostatni oddech.

Ciało przeleżało nad Wisłą 10 dni. Tym razem około 200 metrów od miejsca, w którym znaleziono poprzednią ofiarę. Artur, który ukrywał się w mieszkaniu Izabeli, nie biegał ani wcześniej rano, ani w nocy, więc tym razem los oszczędził mu widoku nagich zwłok, wystawionych na działanie kapryśnej listopadowej aury. One zaś czekały cierpliwie na szczęśliwego znalazcę, choć w tym wypadku przymiotnik „szczęśliwy” był z pewnością nie na miejscu. Przez 10 dni marzły, ukryte pod czerwonym, już nie tak błyszczącym, materiałem.

Cyryl długo zbierał się na odwagę, zastanawiając się, jakich słów użyć, by Ewie nie było przykro. W końcu to on ściągnął ją do Warszawy i teraz czuł się winny, że przez niego zmieniła plany. Rzuciła wszystko i przyjechała tylko po to, by przekonać się, że nie potrafi pomóc. Przy

okazji, zupełnie przypadkiem dowiedziała się, że dawne uczucia nie wygasają dość szybko i dlatego tak trudno ułożyć sobie życie na nowo. Dwie klęski. Dwa powody, by tę rozmowę odkładać w nieskończoność. Żadne z nich nie miało tyle czasu.

Wysłuchiwała go w zupełnym milczeniu. Patrząc na nią, Cyryl zrozumiał, że sama poddała się już jakiś czas temu, ale nie śmiała otwarcie się do tego przyznać. Przez ponad dwa tygodnie nie zbliżyła się do celu nawet o milimetr. Czuła się bezradna. Cały czas miała przed oczami rysunek grobu sprzed kilkuset lat i nie umiała tego obrazu z niczym powiązać. Nie zamierzała się buntować. Miała dość. Wyczekiwania na zamówione tomy, których często nie można było znaleźć, wdychania kurzu, unoszącego się znad opasłych woluminów, tłumy studentów i tych wszystkich reguł, do których powinna stosować się jako czytelnik. Gdy Cyryl zamilkł, wzruszyła ramionami.

— Jeśli to koniec, wyjadę. I tak ostatnio zaczęłam marznąć. I marzyć o zimowym płaszczu. Poza tym — uśmiechnęła się z wysiłkiem, mając na myśli osobistą porażkę — to miasto mi nie służy.

A komu służy, pomyślał Cyryl trzeźwo, ale zachował tę uwagę dla siebie. Nagle zachciało mu się śmiać. Biorąc pod uwagę nastroje ich trojga: Krzysztofa, Ewy i jego własny, stanowili dobrany zespół. To dziwne, że się jeszcze nie spotkali i w małym gronie nie upili na smutno. Zalewanie robaka czasem skutkowało. A czasem nie, bo bywało, że robak w alkoholu nieźle się konserwował. To akurat wiedział z własnego doświadczenia. Mimo to postanowił spróbować. Zajrzał do jednej z kuchennych szafek i wyjął z niej litrowego

Jacka Danielsa, którego kupił w dniu przyjazdu Ewy. Wtedy nie zdążyli go otworzyć, bo zajęci rozmową, stracili poczucie czasu.

— Napijesz się? Mam tylko to — uniósł do góry butelkę z czarną nalepką. Herbaciany napój w świetle lampy wyglądał jak płynny bursztyń.

— Trudno. Nalej — powiedziała Ewa z rezygnacją, bo nie przepadała za wysokoprocentowymi trunkami, ale dla Jacka Danielsa czasem robiła wyjątek, o czym Cyryl doskonale wiedział. — Może choć od tego zrobi mi

się odrobinę cieplej. Nie lubi mnie ten twój przyjaciel, co? — zagadnęła, obserwując, jak alkohol obmywa ścianki z grubego rżniętego szkła, pozostawiając na nich ślady o miękkich, wciąż zmieniających się konturach.

— Nie zna cię — sprostował Cyryl.

— Pomyślałabym, że mnie zdyskwalifikował, gdyby nie to, że sama nie widzę sensu w dalszych poszukiwaniach. To nie mogło się udać. I nie sądzę, że się usprawiedliwiam.

— Nie twoja wina, że wszyscy oczekiwali cudu.

— Nie cudu — poprawiła go Ewa — ale chociaż przypadku. Szczęśliwego splotu okoliczności.

— Powiedz to ofiarom. W takich sprawach szczęśliwe sploty okoliczności się nie zdarzają — Cyryl próbował się uśmiechnąć, by osłabić znaczenie swoich słów, ale wypadło to bardzo nieprzekonująco.

— Kiedyś może byłabym innego zdania. Ale ostatnio gdzieś podziała się cała moja energia. Może to jesień. A może starość. Zmierzch roku. Zmierzch czasu... — zażartowała, upijając łyk ze szklanki. Alkohol przyjemnie palił w przełyku. Obserwujący ją mężczyzna ze zdumieniem stwierdził, że Ewa ma włosy w kolorze napoju, który wspólnie popijali.

— Co teraz zrobisz? — spytał, kontemplując zjawisko, któremu nadał tytuł *Ewa by Jack Daniels*. Miał ochotę nawiązać do jej rozmowy z Piotrem, ale wiedział, że nie powinien, jeśli nie chciał, by do końca straciła poczucie humoru. Starość, też coś. Wystarczyło, żeby stanęła przed lustrem. Co ona w ogóle wiedziała o starości?!

— Spakuję rzeczy i jutro już mnie tu nie będzie — mówiła tymczasem Ewa bez przekonania, nie zdając sobie sprawy, że Cyryl się jej przygląda.

— Będziemy tęsknili — tym razem uśmiechnął się tylko po to, by ukryć niepokój. Brakowało mu jej zaraźliwego entuzjazmu, uporu, z jakim zwykle dążyła do celu. Po tym, co powiedział Sobolewskiemu, miał wrażenie, że rozmawia z zupełnie inną osobą.

— My? — dotarło do niego jej pytanie.

— Ja, Farinelli, Krzysztof...

— O tak, on z pewnością — mruknęła Ewa z dezaprobatą. Przyjemnie kręciło jej się w głowie, bo zbyt szybko wychyliła dwie szklaneczki. — Kogo będzie ustawiał, gdy w końcu się mnie pozbędzie?

— Chyba oboje wyrobiliście sobie na swój temat złe opinie — skwitował Cyryl, którego rozbawiła jej naburmuszona mina. — Jeszcze raz?

— Lej, bo dobrze wchodzi. Mogłabym tak z tobą siedzieć całą noc. Nie myśleć. Nawet nie gadać.

— To siedźmy. Chwilę potrwa, zanim skończy nam się paliwo.

— Cóż, od czasu do czasu możemy sobie chyba pozwolić na bezsenność — zauważyła Ewa, delektując się smakiem alkoholu, który wprawiał ją w refleksyjny nastrój. — Całonocne pijaństwo, kilka godzin na granicy snu i jawy. Zupełnie bez kontroli. Kiedy zdarzyło ci się to ostatni raz?

— Całe wieki temu — przyznał po namyśle.

— Brak towarzystwa?

— Raczej brak czasu. Nie tak dawno chciałem nawet pić do lustra, ale zadzwonił telefon.

— Nie znałam cię z tej strony.

— Myślałaś, że nikt do mnie nie dzwoni? — uśmiechnął się Cyryl. Odprężył się i czuł, jak ogarnia go spokój. W tej chwili marzy! tylko o tym, by trwał wiecznie.

— Następnym razem, gdy będziesz chciał pić do lustra, zadzwoń do Szczecina. Przyjadę pierwszym pociągiem. Może do innych rzeczy się nie nadaję, ale pić potrafię jak mało kto.

— Nie omieszkam skorzystać z propozycji — mruknął Cyryl. Wyciągnięty na miękkim dywanie, opierał głowę o kanapę i wciąż patrzył na Ewę z uwagą. — Przestań się gryźć. Naprawdę nie warto — dodał, żeby ją uspokoić. Tylko machnęła ręką.

— Dlaczego chciałeś pić do lustra?

— Dlaczego chciałaś przyjechać, żeby napić się ze mną? — zrewanżował się pytaniem. — Tylko błagam, nie mów mi, że picie w

pojedynek to alkoholizm, bo moja matka powtarza mi to wystarczająco często, choć nie powinna żywić żadnych podejrzeń.

— Żeby cię wspierać duchowo — powiedziała poważnie.

— Ach, więc potrzebuję wsparcia. Skąd ten wniosek? — Cyryl znowu napełnił szklanki, od razu opróżnił swoją i znowu opadł na dywan. Poziom płynu w butelce obniżał się szybko, więc zaczął się zastanawiać, po co narzucił tak mordercze tempo. Zamknął oczy, bo raziło go światło wiszącej pod sufitem lampy. Teraz mógł kłamać w każdej sprawie bez obaw, że Ewa od razu się zorientuje.

— Powiesz mi, co się dzieje?

— Nic — odparł, nie zmieniając pozycji. — Co miałyby się dziać?

— Nie jesteś sobą.

— Jestem zmęczony — wymijająca odpowiedź miała wiele wspólnego z prawdą. Kobieta zamilkła.

No, to po rozmowie, pomyślał Cyryl, zaciskając powieki. Zresztą może to i lepiej... Kto jej dał prawo zadawać takie pytania.

Śmigła helikopterów w jego głowie obracały się raz szybciej, raz wolniej. Na początku było to nawet przyjemne, później irytujące, nim stało się nie do zniesienia. Cyryl nie przepadał za ruchem wirowym. Miał słabą głowę. Wbrew temu, co mówił, rzadko nadużywał alkoholu, bo źle znosił skutki jego działania. Początkowe rozluźnienie szybko mijało, ustępując miejsca brakowi koordynacji. Następnego dnia, z powodu gigantycznego kaca, był zwykle drogą przez mękę.

— Piotr więcej nie dzwonił? — odezwał się ni stąd, ni zowąd, bo wydało mu się nagle, że milczenie trwa zbyt długo. W chwilę później w jego zamroczonym przez whisky umyśle zrodziło się przeświadczenie, że był niedelikatny.

— Skoro wiesz, po co pytasz?

— Ty też pytałaś — nie panował nad słowami. Wymykały mu się. Nie powinien więcej pić, ale dotrzymywał Ewie kroku i mścił się na niej, nie do końca wiedząc, za co. Za troskę, podszytą zwykłą babską ciekawością? Za to, że chciał jej o wszystkim powiedzieć, ale bał się

śmieszności? Czy za to, że nawet gdyby to zrobił, ona i tak nie mogłaby mu pomóc?

— Przepraszam cię. To twoja sprawa — powiedziała. Jack Daniels nie smakował jej już tak, jak na początku. Miała ochotę odstawić szklankę i iść do łóżka, zmieniła jednak zdanie. Cyryl ją zaintrygował, ale nie zamierzała za wszelką cenę wyciągać z niego pilnie strzeżonych tajemnic. Chodziło raczej o okazanie wynikającego z przyjaźni zainteresowania. Widocznie bardzo się od siebie oddalili, skoro niewłaściwie odczytał jej intencje. Nie miała mu tego za złe. Ta jesień była dla nich tak samo trudna.

— Myślę, że powinieneś zmienić pracę — powiedziała jeszcze.

— Może. Sam kiedyś doszedłem do tego wniosku — zgodził się Cyryl i posłał jej przez pokój nie do końca trzeźwe spojrzenie. Rysy jego twarzy straciły ostrość, jakby lada moment miały się rozpląnąć. Ewa przyglądała się mężczyźnie z zain-teresowaniem, a jego opanowała nagle przemożna chęć mówienia. Wypity alkohol uwalniał kaskady słów, które gromadziły się w jego głowie od tygodni, a może nawet od miesięcy. Zmieniał Cyryla w oratora.

— Wiesz — mówił teraz bardziej do siebie, niż do niej — śmierć naprawdę może być estetyczna. Dlaczego ja wciąż muszę oglądać ją w najgorszym wydaniu? Ludzie powinni mordować się w bardziej cywilizowany sposób. Czemu nie robią tego lepiej, czystiej, subtelniej? Nie zostawiają w spokoju ciała, które i tak w końcu zacznie się rozkładać. To by nam wszystkim oszczędziło makabrycznych widoków. Zresztą, co tam wszyscy, mnie oszczędziłoby makabrycznych widoków. Zniekształcone twarze, niekompletne szczątki. Rozkawałkowane. W plastikowych workach albo pojemnikach. Zakopywane, wynoszone na śmietnik, wrzucane do rzeki. Powiedz mi, jak długo można to znosić?

Ostatnie zdanie wygłosił już bardzo bełkotliwie i Ewa musiała zgadywać, co właściwie powiedział.

— Trzeba było pomyśleć o tym dziesięć lat temu — zauważyła po chwili, widząc, że wyczerpał temat. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby mu powiedzieć.

Ale Cyryl nie wymagał pocieszenia. Jack Daniels znieczulił go w wystarczającym stopniu. Pozacierał granice. Zmiękczył rzeczywistość, która zaczęła przypominać starą, niezbyt wyraźną fotografię. Na takie fotografie patrzy się może nie z przyjemnością, ale na pewno bez obrzydzenia.

— Nie jestem jasnowidzem — mruknął, kontemplując przez chwilę upiększony obrazek z własnego życia, nim głowa opadła mu na prawe ramię.

— W takim razie Krawiec chyba spełnia twoje oczekiwania? Kto jak kto, ale on jest artystą w zabijaniu — skwitowała Ewa, ale on już tego nie usłyszał.

Twarz mu złagodniała, za to pogłębiły się cienie pod oczami. Ktoś powinien o niego zadbać, pomyślała, bo sam na pewno tego nie zrobi... Podniosła się i przykryła przyjaciela narzutą, którą zdjęła z kanapy. Szkło wzięła ze sobą. Nie była zmęczona. Alkohol nie działał na nią usypiająco, raczej pobudzał, orzeźwiał jak zimny prysznic. Sprawiał, że czuła niezwykłą jasność umysłu, choć miała kłopot z wysławianiem się i utrzymywaniem równowagi. Tak jak teraz.

Przechodząc przez ciemny przedpokój, źle obliczyła odległość i boleśnie uderzyła ramieniem o regał z książkami. Zakłęta pod nosem, ostrożnie odstawiła szkło i rozcierając obolałe miejsce, cofnęła się, by zapalić światło. Niepewnie stawiała stopy na pokrytej terakotą podłodze. Odbity od jasnych płytek blask małych halogenowych żarówek na chwilę zupełnie ją oślepił. Farinelli zaprotestował głośnym miauknięciem. Trzeba było wstawić tu jeszcze stół na 12 osób — mruknęła półgłosem z dezaprobatą. Zabudowany przedpokój mógł przyprawić o atak klaustrofobii. Z nieznanых Ewie powodów gospodarz postanowił zmieścić w nim cały, dość bogaty księgozbiór. Z przyzwyczajenia przebiegła wzrokiem tytuły na grzbietach, co nie było łatwe, bo litery nie zawsze trzymały się swoich miejsc. Dotąd nie sprawdzała, co Cyryl czytuje do poduszki. Zwykle po długim dniu spędzonym w bibliotece nie miała już ochoty otwierać żadnej książki, ale tego wieczoru była wystarczająco nietrzeźwa, by zapomnieć o swojej

niechęci. Poszukiwania dobiegły końca, a ona znowu była zwykłym czytelnikiem. Uznała nawet, że jeśli chce wypić to, co zostało w butelce, a na towarzystwo przyjaciela już nie może liczyć, musi zapewnić sobie godziwą rozrywkę intelektualną. Miała dużo czasu, by znaleźć odpowiednią lekturę.

Odkryła ją na jednej z wyższych półek, wciśniętą między stare podręczniki, których Cyryl z pewnością dawno nie otwierał, więc niewykluczone, że i o niej zapomniał. Była niepozorna. Niezbyt gruba. Nieco ponad dwieście stron w miękkiej oprawie. Na okładce widniała purpurowa róża, rzucona niedbale na układającą się w miękkie fałdy granatową tkaninę, która wyglądała jak ta na zdjęciach z miejsca zbrodni. Nie zgadzał się tylko kolor.

Kiedy Ewa przeczytała tytuł, dwukrotnie, bo w pierwszej chwili wydał jej się zupełnie nieprawdopodobny, zrozumiała, że szczęśliwe zbiegi okoliczności zdarzają się zawsze wtedy, gdy nikt ich już nie oczekuje. Za pięć dwunasta. Pięć minut po. Albo tuż przed odjazdem pociągu do Szczecina. Zdecydowała, że nim do niego wsiądzie, przeczyta tę książkę. Wbrew logice, zdrowemu rozsądkowi, własnym przekonaniom i przyszłym impertynencjom Krzysztofa Sobolewskiego.

Szklanka gdzieś znikła. Nim Ewa ruszyła do sypialni, którą odstąpił jej Cyryl, pociągnęła dwa łyki wprost z butelki. W drzwiach jeszcze dwa. I dwa, gdy usiadła na łóżku. Tak przygotowana ułożyła się wygodnie i otworzyła książkę.

Zasnęła nagle, dobrnąwszy do połowy pierwszego akapitu. Ruda głowa opadła na poduszkę, a rozsypane wokół twarzy włosy przysłoniły tekst pierwszego rozdziału, tak że widoczny był tylko jego tytuł. Był krótki i brzmiał: *Czerwień*.

Ku swemu zaskoczeniu świetnie się bawił jako lokator wbrew jej woli. Nagle to on był górą — odkąd postanowił pokonać Izabelę jej własną bronią i przestał liczyć się z jej zdaniem, potrzebami, z jej prawem do prywatności we własnym mieszkaniu i słowami sprzeciwu, których w ostatnich dniach nadużywała. Prawdę mówiąc, gdyby zdobył się na to,

żeby nazwać rzecz po imieniu, musiałby określić swoje zachowanie mianem nękania. A zatem nękał Izabelę z mściwym upodobaniem, które musiało dziwić, zważywszy uczucia, jakimi wcześniej ją darzył. A ona patrzyła na niego jak na wroga, odzywała się tylko wtedy, gdy ją do tego sprowokował i najchętniej utopiłaby go w łyżce wody, gdyby nie to, że było to niemożliwe. Wciąż miała nadzieję, że w końcu się wyniesie. Do swojego mieszkania, w którym jak na razie nie śmiał spędzić nawet kwadransa, czy gdziekolwiek indziej.

Policja ciągle obserwowała dom i póki znany Arturowi samochód stał na ulicy, on nie zamierzał wychodzić. Swoje sprawy załatwiał przez Internet. Zaczął znowu pisać, a teksty wysyłał pocztą elektroniczną. Naczelnym, który po jego ucieczce został przepytany przez policję i nie zapalał sympatią do szpakowatego detektywa, który z nim rozmawiał, przyjął do wiadomości zapewnienie dziennikarza, że jest niewinny. Nie zadzwonił pod numer, który widniał na wizytówce Sobolewskiego, więc Artur mógł przypuszczać, że mu uwierzył. W końcu znali się prawie dziesięć lat. W tym czasie szef nie miał powodów, by stracić do niego zaufanie.

Dni mijały, a on siedział w salonie ze swoim wyniesionym z mieszkania laptopem na kolanach, obojętny na to, co działo się za oknem i to, co działo się między nim i Izabelą, jakby nie był człowiekiem, ale duchem, dla którego świat umarł, tak jak on umarł dla świata. Ona tylko bywała w domu, on był w nim zawsze. Podświadomie codziennie na nią czekał, tak samo jak warujący w przedpokoju pies, który reagował na dźwięk jej kroków głośnym szczeknięciem.

Po tym, jak taksówkarz przyniósł go pod jej drzwi, Artur spał z nią raz czy dwa. W końcu do tego, wedle jej słów, sprowadzić należało ich wzajemną relację. Zgodnie z tą sugestią przyswoił sobie stosowną nomenklaturę. W jaki sposób udało im się do siebie zbliżyć, mimo nienawiści, której wyraz dawali od świtu do nocy, nie miał pojęcia. Widocznie nie była ona przeszkodą, gdy w grę wchodziła chemia. Sam akt przypominał walkę na śmierć i życie. Był gwałtowny, krótki i niemal pozbawiony gry wstępnej. Niesmakowi, który Artur odczuwał

następnego dnia, towarzyszył żał, że nie był w stanie się opanować. Gdyby mu się udało, z pewnością miałby więcej szacunku i dla siebie, i dla kobiety, na którą czasem patrzył jeszcze tak jak kiedyś. W tych rzadkich chwilach, w których poczucie winy mieszało się z politowaniem, myślał, że na własne nieszczęście jest sentymentalny, choć wcale się o to nie podejrzewał. Sentymentalny i wciąż bezbronny wobec pożądania, które w nim budziła.

Gdy nie zdawała sobie z tego sprawy, obserwował ją ukradkiem, szukając w niej dawnej Izabeli, która urzekła go niezależnością, niepozabawionym uroku egocentryzmem i wiedzą na temat muzyki rozrywkowej z okresu, który fascynował ich oboje. Właściwie wcale się nie zmieniła. Jedyne dodała do portretu, który stworzył na własne potrzeby, kilka złych skłonności i wad. Widać nie był zbyt wnikliwym obserwatorem, jeśli ich wcześniej nie zauważył, zresztą nigdy nie uważał się za znawcę ludzkiej natury, a kobiecej w szczególności. Gdyby nim był, Izabela z pewnością nie zrobiłaby na nim takiego wrażenia.

Chciałby wiedzieć, czy kiedykolwiek coś dla niej znaczył. Może po to, by poprawić sobie samopoczucie albo zafundować jeszcze jedno rozczarowanie. Tkwił u niej jak niechciany mebel, drażnił samą tylko obecnością, zmuszał do słownych potyczek i agresywnego seksu, który nie miał nic wspólnego z miłością (a może to ona zmuszała jego?!), tymczasem Izabela tolerowała jego impertynencje, obliczone na efekt chamstwo i brutalne zachowanie, jakby ich „pożycie” odpowiadało społecznym normom. Nie zadzwoniła ani nie poszła na policję, już nie straszyla psem i nie zamykała na klucz drzwi sypialni, by mu pokazać, gdzie jest jego miejsce, chociaż oczekiwał, że tak właśnie postąpi. (Dlaczego tego nie zrobiła? Policjant pod blokiem czekał na jedno jej słowo). Za to wciąż szczytowała w jego ramionach, jakby zupełnie nie przeszkadzał jej brak delikatności i jego głębokie przekonanie, że ma prawo traktować ją instrumentalnie. Od czasu do czasu Arturowi przychodziła do głowy niepokojąca myśl, że w chwilach intymności ona traktuje go dokładnie tak samo. Kobietom też staje, chociaż tego nie widać, powiedziała mu kiedyś, gdy jeszcze byli kochankami. (Kim w

takim razie byli teraz?) Dość osobliwa próba wyrażenia pożądanego słowami stała w oczywistej sprzeczności z anatomią, jednak wtedy Arturowi wydawało się, że wie, co Izabela ma na myśli. Dzisiaj jej słowa wracały do niego uporczywie jak refren kiepskiej piosenki, a on zaczął się zastanawiać, dokąd zmierzają, zadając sobie nawzajem gwałt, który w finale zawsze zmieniał się w niekontrolowany wybuch emocji. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Ani na wiele innych.

Jak długo może u niej mieszkać?

Co do niej czuje?

Gdzie jest granica, której nie wolno im przekroczyć?

Jak udowodni swoją niewinność?

Kiedy przestanie się bać, że któregoś dnia obudzi się w celi, nieważne: skazany czy tylko aresztowany, w każdym razie pozbawiony wolności na dłużej?

Czy uda mu się tego uniknąć?

Człowiek nie może zapaść się pod ziemię, myślał z irytacją Krzysztof Sobolewski, próbując wyobrazić sobie siebie w roli uciekiniera. Zdażył się zorientować, że Artur Strzebiński wiedział, jak unikać kontaktu ze stróżami prawa i jak narobić im kłopotu. Dosłownie rozplynął się w powietrzu. Widocznie wiele się nauczył, odkąd po raz pierwszy poszedł siedzieć. Z miasta raczej nie wyjechał. Nie środkami transportu publicznego i na pewno nie własnym samochodem. Policja w całej Polsce znała jego rysopis, markę i numery zarejestrowanego na dziennikarza grafitowego opla kombi. Nikt nie widział ani człowieka, ani samochodu. Najwyraźniej poszukiwany zaszył się gdzieś i czekał, aż policja zapomni o jego istnieniu. Sobolewski musiał przyznać, że gnojek umiał się ukrywać. Nie wrócił do domu, jak twierdzili obserwujący dom funkcjonariusze w cywilu, a koledzy z praskiego komisariatu bezradnie rozkładali ręce. Krzysztof spodziewał się, że dziennikarz będzie próbował wykorzystać stare przyjaźnie i poszuka schronienia w dobrze sobie znanej części miasta. Dlatego liczył na ich pomoc.

Sprawdził też kontakty zawodowe Strzezińskiego, ale i tu czekało go rozczarowanie. Ostatnio Artur nie bywał w redakcji. Jeszcze przed ucieczką miał nienormowany czas pracy i nie sposób było przewidzieć, kiedy się znowu pojawi. Od kilkunastu dni teksty znowu wpływały w terminie i ukazywały się w gazecie, podpisane jego nazwiskiem. Detektyw tylko zgrzytnął zębami, przebiegając wzrokiem rubrykę z plotkami ze świata w najświeższym wydaniu dziennika, które wręczyła mu recepcjonistka, prosząc, by chwilę zaczekał. Naczelnny miał ważne spotkanie, które lada moment miało się skończyć.

Właściwie Krzysztof mógłby powiedzieć, że facet kryje podejrzanego, pozwalając mu pracować na starych zasadach. Nie tylko tolerował zaistniałą sytuację, ale wręcz służył pomocą, bo tak należało rozumieć przydzielanie dziennikarzowi tematów, które nie wymagały zbierania informacji w mieście. Zastanawiał się, jak daleko powinien się posunąć. Stosowny artykuł kodeksu karnego, przytoczony w odpowiedniej chwili, czasem czynił cuda. Pokonał jednak pokusę i zdecydował się milczeć. Nie miał żadnych dowodów na poparcie swoich słów. Ucieczka podczas aresztowania nie musiała świadczyć o winie. Jej powodem mogło być niewielkie przewinienie, na przykład niezapłacony mandat. Z tej perspektywy przypuszczenia snute na podstawie dziwnych zbiegów okoliczności czy nietypowych przyzwyczajień (czytaj: nocnych biegów przełajowych) były poszlakami bez wartości.

Sobolewski nie zawsze był sceptyczny, ale pracował w zawodzie dość długo i gdy w grę wchodziło oskarżenie o morderstwo, uważał sceptycyzm za jeden ze swoich obowiązków. Gdyby Artur miał odrobinę oleju w głowie, pozwoliliby się skuć i odwieźć na komisariat. Nie miał jednak czystego konta, więc jego rozpaczliwa reakcja, wywołana widokiem kajdanek, nie była specjalnie zaskakująca. Krzysztof zrozumiał ją i ocenił właściwie dopiero po czasie. Nie miał już do siebie pretensji, że jej nie przewidział, skoro tamtej nocy nie znał kryminalnej przeszłości odnajdującego ciała nieszczęśnika. A może mordercy? Kto to mógł wiedzieć? Na pewno nie on i z pewnością nie naczelnny, który w końcu znalazł dla policjanta czas, choć kazał mu czekać jeszcze pół

godziny. Ważne spotkania lubiły się przeciągać, ale detektyw Sobolewski był bardzo uparty. I równie cierpliwy. Nawet wtedy, gdy oparcie krzesła wbijało mu się w plecy. Zmienił nieco pozycję, zaszeleścił gazetą i nie kryjąc obrzydzenia, zaczął jeszcze raz czytać stronę zredagowaną przez Artura Strzeмиńskiego, jakby właśnie tam spodziewał się znaleźć wskazówkę, gdzie go szukać.

To było kilka dni temu. Od tamtej pory nic się nie zmieniło i Krzysztof był skłonny złożyć broń. Siedział przy biurku, grzebał w Internecie, szukając natchnienia, i popadał w coraz większe przygnębienie. Czego nie dopatrzył? Gdzie popełnił błąd? Śledztwo utknęło w martwym punkcie, Ewa prawdopodobnie wsiadała właśnie do pociągu, a jemu pękała głowa, bo od rana starał się przewidzieć następny ruch podejrzanego, który mógł zabić kolejną osobę, jeśli był mordercą, ale nie musiał tego robić, jeśli nim nie był, co nie zmieniało faktu, że w takim razie mógł to zrobić ktokolwiek inny. Im dłużej Sobolewski rozważał wszystkie możliwości, tym większą odczuwał frustrację.

Rozmasował palcami skronie, ale to nie pomogło. Ból w dalszym ciągu rozsadał mu czaszkę, jakby w jej wnętrzu wyjątkowo perfidny karzeł bawił się instrumentem perkusyjnym. Krzysztof miał wrażenie, że za chwilę jego głowa rozpadnie się na milion kawałków. Gdy był pewien, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej i zaczął nerwowo przeszukiwać szuflady z nadzieją znalezienia tabletek przeciwbólowych, rozdzwonił się leżący na biurku telefon komórkowy. Policjant popatrzył na niego wrogo, ale zaprzestał poszukiwań i odebrał.

— Sobolewski — rzucił sucho. Mężczyzna po drugiej stronie mówił coś szybko, więc słuchał jego słów z uwagą. — Jasna cholera! — powiedział, gdy głos umilkł. — Czekaście na mnie. Już jadę.

Sięgnął po kluczyki do samochodu, złapał kurtkę i już był gotowy do wyjścia. Zbiegając po schodach, wyjął komórkę i szybko wystukał numer.

— Kończymy obserwację — rzucił do telefonu, słysząc głos funkcjonariusza siedzącego w samochodzie pod blokiem

Strzemińskiego. — Gdyby miał się pojawić, już by to zrobił. Sprawdzimy mieszkanie za kilka dni.

— Jasne, szefie — padła krótka odpowiedź.

Chciał zadzwonić jeszcze do kogoś, ale zaraz o tym zapomniał, gdy w drzwiach na parterze zderzył się z osobą, której się zupełnie nie spodziewał.

XI

Ależ Ty jesteś słaby! Niebywale, że wciąż mnie to zadziwia. Otrzymujesz informacje z pierwszej ręki, a nie potrafisz zrobić z nich żadnego użytku. Ja mam Ci mówić, jak wykorzystać moje listy, które z pewnością ułożyłeś już w pokaźny stosik? I po co? By się im przyglądać? By czytać do poduszki ulubione fragmenty? Założę się o co chcesz, że wciąż to robisz. Nie możesz się wprost uwolnić spod ich mrocznego wpływu. Już sam podpis wprawia Cię w stan podniecenia. Jedno tylko „M” w słowie „morderca” przyprawia o szybsze bicie serca. Że też są ludzie, na których to jeszcze działa. Mówisz „koresponduję z mordercą” i czujesz się tak, jakby królowa angielska zaszczyliła Cię rozmową w cztery oczy.

We wszystkim musi być umiar, Przyjacielu. Dość już tego kolekcjonowania moich zapisków. To, że jesteś ich pierwszym czytelnikiem, nie oznacza, że masz być jedynym. Pokaż je komuś. Zanieś na policję, może wreszcie zrobi się ciekawiej. Umieram z nudów, czekając, aż zrobisz cokolwiek. Gra, która na początku wydawała mi się warta świeczki, nie posuwa się naprzód, jakby komputer się zawiesił. To TWOJA wina. Czy mam Ci pomóc podjąć decyzję? Żałuję, że nie mogę Cię zrese-tować. Niestety, nie posiadam daru wskrzeszania umarłych. Gdy wysłę Cię na tamten świat, postaram się, byś już stamtąd nie wrócił. Nie chcę się chwalić, ale robię to naprawdę skutecznie, jak zapewne zdążyłeś się zorientować.

Ach, i jeszcze jedno. Czy zagrasz ze mną w moją zgaduj- zgadule, przygotowaną specjalnie dla Ciebie? Miałeś dość czasu, by o tym pomyśleć. Daję Ci jeszcze półtora tygodnia na odgadnięcie mojej tożsamości. Półtora tygodnia i trzy życia (prawda, że brzmi paradnie?), słowem: do trzech razy sztuka; mówię to na wypadek,

gdybyś nie zrozumiał. Na pierwszą odpowiedź masz siedem dni. Dlaczego siedem? Bo to taka „szczęśliwa” (sic!) cyfra. Pozwól mi choć raz popaść w banał. Męczy mnie to nieustanne silenie się na oryginalność. Na drugą — trzy, krótszy termin z pewnością podziała na Ciebie mobilizująco. Na trzecią—jeden dzień. Potraktuj ten list (i wszystkie poprzednie) jako pierwszą z trzech podpowiedzi. Za tydzień zadzwonię na numer twojej komórki. Kiedy odbierzesz, będę milczeć. Chcę wówczas usłyszeć, co masz mi do powiedzenia. Zabawa nie powinna Ci się dłużyć. Jedenaście dni to nie wieczność, więc lepiej już teraz zacznij myśleć, jeśli chcesz dożyć sędziwego wieku. Inaczej zginiesz. Za mniej więcej dwa tygodnie. Szczegóły egzekucji omówimy kiedy indziej. A zatem: tik-tak. Czas start!

Czyżbyś nie miał ochoty grać? Wybacz, ale tym razem wybór nie należał do Ciebie. Bardzo mi przykro. M.

Cyryla nie było w domu. Ewa nie wiedziała, jak zdołał wstać bladym świtem i zrobić sobie kawę, której wspomnienie znalazła na ściankach kubka, stojącego w zlewku. Było skandalicznie późno. Poranny pociąg do Szczecina zdążył odjechać, a ona nie ujrzała nawet tylnych świateł ostatniego wagonu. Następne połączenie miała dopiero po południu, czyli za kilka godzin, które wypełnić miała walka ze słabością ciała. Gigantyczny kac zmusił Ewę do wstania z łóżka, wypicia duszkiem dwóch szklanek soku pomarańczowego i narażenia się na zapalenie płuc. Stała w otwartym oknie i łapczywie wdychała ostre powietrze, powoli zbierając myśli. Cyryl musiał zajrzeć do sypialni, gdy spała, bo niemal pusta butelka po przyjacielu Jacku stała na kuchennym blacie, a obok leżała kartka, na której czerniały pospiesznie napisane zdania. Ze względu na odległość odczytała je z pewnym trudem. *Masz niezły spust. Zawsze zalewasz się w pestkę w obcych domach? C.*

PS. Zadzwoń, jak dojedziesz. Kochany Cyryl. Chyba z biegiem lat coraz lepiej tolerował alkohol.

W końcu zrobiło jej się zimno, więc zamknęła okno, zastanawiając się, od czego zacząć pakowanie rzeczy. Kręciła się po mieszkaniu, tracąc

czas i energię na czynności, które przerywała w połowie, by usiąść, umyć twarz zimną wodą albo znowu pooddychać jesiennym powietrzem. Miała zamiar zjeść śniadanie, ale jej żołądek był odmiennego zdania. W ciągu nocy chyba dwukrotnie zwiększył objętość, przynajmniej tak jej się wydawało. Postanowiła poczekać, aż wróci do zwykłego rozmiaru.

Przez cały czas towarzyszyło jej przeświadczenie, że przed wyjazdem chciała jeszcze coś zrobić. Coś pilnego, o czym nie wolno jej było zapomnieć. Ach tak! – przypomniawszy sobie w końcu. – Książka!

Poczuła ulgę, że jednak sporo pamięta. Nie był to zatem najwyższy stopień upojenia alkoholowego. Wróciła do sypialni i rozejrzała się, ale granatowej okładki nigdzie nie było widać. Powinna przeczytać przynajmniej pierwszy rozdział. Gdzie ją zostawiła? Zrezygnowana przesunęła łóżko i dwukrotnie przetrząsnęła pościel, ale i to nie przyniosło spodziewanego efektu. Ki diabeł... Książki nie było w kuchni ani w salonie. Zirytowana dostrzegła ją wreszcie w miejscu naprawdę zdumiewającym, na tej samej półce, z której ją zdjęła. Pedantyczny Cyryl dobrze wiedział, jakie tytuły ma w swoim księgozbiorniku. Dlaczego jej o tym nie powiedział?

Chciała zacząć czytać od razu, ale pomyślała, że będzie bezpieczniej, jeśli wcześniej się spakuje i przygotuje do wyjścia. Potem tylko złapie torbę i pobiegnie na przystanek. Mimo wszystko zdecydowała, że wyjedzie i nie zamierzała pozwolić, by uciekł jej ostatni tego dnia pociąg do domu.

Idąc za głosem rozsądku, zjadła jednak śniadanie, jeśli uznać, że bułka cienko posmarowana masłem zasługuje na to miano. Czas kurczył się nieubłaganie, ale ona zdała sobie z tego sprawę dopiero przy kawie. Zdążyła przeczytać kilka pierwszych stron, poświęconych znaczeniu czerwieni w życiu człowieka pierwotnego. Nic, co rzuciłoby ją na kolana. Zerknęła na zegarek i wpadła w panikę. Kawę dopiła niemal duszkiem, parząc sobie przelyk, i odstawiła kubek w pośpiechu. Już była w przedpokoju. Wybiegła w rozpiętej kurtce, z włosami w nieładzie i ciężką torbą, której długo nie mogła zapiąć. Na dole wrzuciła klucze

Cyryla do skrzynki pocztowej, tak jak to czyniła dotąd. Z radością pomyślała, że robi to po raz ostatni, a za kilka godzin będzie wreszcie u siebie. Weźmie długą, gorącą kąpiel, zajmie się swoimi sprawami, zapomni o Piotrze, Cyrylu, detektywie Sobolewskim i tym całym warszawskim zamieszaniu, które nie było warte przyjazdu, poświęconego czasu, a już na pewno nie kilkogodzinnego pijaństwa. Wciąż odczuwała jego skutki. Pragnienie ciągle dawało jej się we znaki, a żołądek nie mógł dojść do siebie po potężnej dawce alkoholu.

Na zewnątrz było popielato. Nad miastem wisiały ciężkie chmury, z których padał na ziemię bardzo drobny śnieg. Białe szorstkie igiełki opadały na kołnierz kurtki, osiadały na włosach i ramionach, kłuły w policzki. Ewa spojrzała w niebo i pomyślała, że są zapowiedzią bliskiej śnieżycy. Po kilku odrobinę cieplejszych dniach przyszło zapowiadane ochłodzenie. Tegoroczny listopad pod względem aury znacznie bardziej przypominał grudzień.

Ewa lubiła zimę. Właściwie, gdy się nad tym zastanović, lubiła wszystkie pory roku, głównie z powodu ich zmienności. Oczywiście zdarzało jej się marzyć o podróży do ciepłych krajów, zawsze wtedy, gdy zima nie chciała ustąpić miejsca wiosnie. Jednak nim zdażyła zaplanować wyjazd, robiło się cieplej, więc zostawała. Gdy w Szczecinie świeciło marcowe słońce, przestawały ją pociągać zagraniczne plaże, co okazywało się zbawienne dla kieszeni.

Autobus podjechał na przystanek po kilku minutach, a ona usiadła na jednym z wolnych miejsc i natychmiast sięgnęła po książkę. Chciała wyjechać w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Sama nie wiedziała, dlaczego przywiązuje do lektury aż taką wagę. Wkrótce przestała kontrolować trasę i zwracać uwagę na mijane przystanki.

Czytała właśnie o czerwonych pochówkach, prastarym obyczaju, praktykowanym przez 30 tysięcy lat, od czasów najdawniejszych do końca średniowiecza. Zetknęła się z nim już wcześniej, studiując archeologię i pracując jako antropolog. Wiedziała, że ludzie pierwotni posypywali szczątki swoich zmarłych ochrą — czerwonym tlenkiem żelaza, wydobywanym z ziemi. Podobnie czynili Indoeuropejczycy.

Czerwień ochry symbolizowała krew, z której płynęła siła witalna. Teraz mogła uzupełnić swoją wiedzę o dodatkowe informacje. Z zainteresowaniem czytała więc o tym, że greccy i rzymscy autorzy starożytni, zastanawiając się nad ciągłością praktyk pogrzebowych, tłumaczyli ją chęcią sprawowania opieki nad zmarłymi, a także o tym, że w średniowieczu barwnik zastąpiła wkładana do grobu czerwona chusta. Zwyczaj „karmienia umarłych” czerwienią (czyli krwią) był wciąż obecny w etnografii pozaeuropejskiej.

Ewa ślizgała się wzrokiem po stronicach, żałując, że nie przeszła kursu szybkiego czytania. Przeskakiwała krótkie podrozdziały i stulecia z nonszalancją, wynikającą z braku czasu. Na szczęście wiele wyjaśniały tytuły, więc niektóre fragmenty po prostu pomijała. Ludzkie zachowania, powtarzające się od tysięcy lat, wynikały z tych samych emocji. Świadczyły o przywiązaniu, miłości i trosce, ale także o lęku przed zmarłymi, którzy mogli powrócić z zaświatów, by wyrządzić krzywdę żyjącym.

W głowie Ewy rozległ się dzwonek alarmowy i brzmiał nieustannie, gdy czytała następny, niespełna dwustronicowy rozdział. Każde zdanie wywoływało w jej umyśle ciąg skojarzeń, pozornie niepowiązanych ze sobą obrazów, myśli, strzępów wspomnień tak odległych, że nie przyszłoby jej do głowy, by wśród nich szukać wskazówki. Nim dojrzała do ostatniej kropki, wiedziała już, że nie wyjedzie. Może jutro albo za kilka dni, ale z pewnością nie dzisiaj. Nie tym pociągiem, na który tak się spieszyła. Przypomniała sobie wreszcie, skąd pochodzi rysunek skurczonego szkieletu, skrępowanego pośmiertnie (co do tego nie miała wątpliwości) i dopiero wówczas ułożonego w jamie grobowej. Znali tę rycinę oboje, ona i Cyryl. Znał ją autor pracy, w której została opublikowana. I wyglądało na to, że znają także morderca...

Odetchnęła głęboko. To, co przyszło jej do głowy, było zbyt nieprawdopodobne, by wydarzyć się w XXI wieku. Komu i w jaki sposób miała powiedzieć o swoich podejrzeniach?

Trzęsącą się dłonią wybrała numer Cyryla i czekała na połączenie. Nie odebrał. Nie pierwszy raz. Naprawdę nie wiedziała, czym on się

zajmuje w czasie pracy. Klnąc na czym świat stoi, odszukała w torbie wizytówkę Sobolewskiego. Nie chciała do niego dzwonić, ale nieuchwytny Cyryl nie pozostawił jej wyboru. Wyobraziła sobie pobrażanie w głosie policjanta, gdy usłyszy to, co zamierzała mu powiedzieć, i zastygła w pół gestu z komórką w dłoni. Do cholery z telefonami! Do cholery z niewiernymi Tomaszami! Pomyślała, że dziwny trop jest lepszy niż żaden. Lepiej zrobi, gdy pojedzie do komendy i pogada z nim w cztery oczy. Może w bezpośredniej rozmowie będzie umiała go przekonać do hipotezy, w którą sama jeszcze nie wierzyła. Wolalaby, by nie doszło do tej konfrontacji. Zabrnęła jednak za daleko i jej obowiązkiem było powiedzieć o wszystkim Krzysztofowi. Rodzinny Szczecin znowu się oddalił, a wraz z nim niewielkie przytulne mieszkanie z dużą wanną, ulubionym gatunkiem herbaty i perspektywą świętego spokoju.

Przez kilkanaście sekund dochodzili do siebie. Oboje niemal biegli, więc gwałtowny kontakt fizyczny był nie tylko zaskakujący, ale i dość bolesny. Niemal jednocześnie powiedzieli „przepraszam” i spojrzeli na siebie spłoszeni. Krzysztof, który w tym momencie myślał tylko o tym, że powinien być zupełnie gdzie indziej, widząc gest kobiecej dłoni, mimo wszystko próbował zachować się jak należy, chociaż nie dał jej dojść do słowa.

— Nie teraz Ewa, dobrze? — rzucił, zapominając, że nigdy wcześniej nie zwracał się do niej po imieniu. — Przepraszam cię, ale bardzo się spieszę. — Mówiąc to, już ją mijał, więc ruszyła za nim, gotowa zrobić wszystko, byle tylko jej wysłuchał. Ciężka torba utrudniała marsz, ale ciągnęła ją za sobą z uporem. Policjant udawał, że nie widzi jej wysiłków.

— Pójdę z tobą. Muszę ci coś powiedzieć — odparła, z ulgą porzucając formę „pan”. Miała nadzieję, że niespodziewany, choć zapewne przypadkowy przełom w sposobie komunikacji najprostszycy treści pomoże jej w osiągnięciu celu.

— Nie możesz, niestety. Tajemnica śledztwa.

— Co takiego? To śledztwo nie ruszy z miejsca, jeśli nie poświęcisz mi pięciu minut.

— Myślałem, że miałaś wyjechać — przypomniał sobie Sobolewski, odrobinę zwalniając kroku.

— Chciałbyś, co? — Ewa pozwoliła sobie na małą złośliwość. — Wreszcie pozbyłbyś się kłopotu.

— Tego nie powiedziałem. Wy, kobiety, macie dziwną skłonność do nadinterpretacji cudzych słów — odparł spokojnie, choć czuł, że zaczyna się w nim gotować.

— My, kobiety... — powtórzyła za nim Ewa z drwiącym uśmiechem.

Krzysztof zatrzymał się.

— Słuchaj, nie wiem, czemu rozmawiamy w taki sposób. Wcale się nie znamy, a skaczemy sobie do gardeł. Masz jakiś problem?

— Ja mam problem?! — zdziwiła się Ewa, patrząc na mężczyznę szeroko otwartymi oczami. — To nie ja macham rękami jak wiatrak i powtarzam, że nie mam czasu. I nie ja wygłaszam seksistowskie opinie.

— Cudownie! — warknął policjant, spoglądając na zegarek. Zadzwoniła jego komórka, którą natychmiast odebrał, nie zważając na obecność Ewy. — Tak, wiem... Tak... Zaraz jadę — usłyszała. — W takim razie zrobimy tak — znowu zwrócił się do niej, chowając telefon do kieszeni — żeby nie przedłużać, bo ja naprawdę się spieszę. Wsiądziemy do samochodu. W ciągu wspomnianych pięciu minut powiesz mi wszystko, co chcesz, a potem wysiądziesz i pozwolisz mi odjechać. Pasuje?

Posłusznie usiadła na przednim siedzeniu, gdy otworzył przed nią drzwi. Wyglądał na zmartwionego. Nagle zrozumiała, że Krzysztof przypomina jej Piotra w tych chwilach, gdy sprawy nie układały się po jego myśli. Może dlatego podświadomie próbowała się na nim odegrać, a on nawet nie wiedział, dlaczego stał się obiektem ataków. Za co on się odgrywał na niej? A może było to tylko złudzenie?

— Słucham cię — powiedział, zajmując miejsce za kierownicą i lekko obracając się w jej stronę.

Nigdy nie była z nim sama. Właściwie dotąd widziała go tylko raz, zaraz po przyjeździe, a później kilka razy rozmawiała z nim przez telefon, co zawsze kończyło się nieprzyjemnym zgrzytem. Tym razem chciała spojrzeć na rozmówcę inaczej, odrzucając uprzedzenia i zapominając o słowach, które między nimi padły. Miała nadzieję, że jej to ułatwi. Pięć minut to niewiele, więc nie spiesząc tego, pomyślała, jakby chciała napomnieć i siebie, i jego. Patrzył na nią uważnie, czekając, aż się odezwie. Bez słowa podała mu książkę.

— Co to takiego? — spytał, zerkając na okładkę. — *Dlaczego czerwień jest barwą miłości*, Rudolf Gross... To jakiś bestseller w rodzaju *Love story*? — naprawdę nie chciał, by zabrzmiało to ironicznie, ale dzieło, które trzymał w ręku, miało dość idiotyczny tytuł.

— To o znaczeniu barw na przestrzeni wieków.

— Czytałaś?

— Zaczęłam. Potem przyjechałam do ciebie. Nie mogłam się dodzwonić do Cyryła. Znalazłam to u niego w mieszkaniu.

— Serio? Nigdy bym nie przypuszczał... — Krzysztof znowu popatrzył na tytuł, tym razem z niedowierzaniem. — Mów, dziewczyno. Czas płynie — ponaglił ją, zaintrygowany.

— To może jedźmy. Wyrzucisz mnie gdzieś po drodze. Wszystko jedno, gdzie — wyciągnęła dłoń po książkę. — Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć.

— Po prostu powiedz. Naprawdę słyszałem już w życiu różne rzeczy — uspokoił ją, przekręcając kluczyk w stacyjce. Wrzucił jedynekę i z ukosa popatrzył na pochyloną rudą głowę. Ewa wertowała strony, jakby szukała właściwego fragmentu. Przyszło mu do głowy, że jest bardzo ładna. Od rozstania z żoną nie pomyślał tak o żadnej kobiecie.

W końcu znalazła to, czego szukała, bo poprawiła się w fotelu i spojrzała na niego niepewnie.

— Nie przerywaj mi, dobrze? Nawet jeśli to, co powiem, wyda ci się absurdalne.

Zapatrzony w przednią szybę tylko skinął głową.

— Już w epoce kamienia — zaczęła Ewa, posiłkując się tekstem — człowiek grzebał swoich bliskich, okazując im przy tym szczególne względy. Dowodem starań są tzw. czerwone pochówki, czyli szczątki posypane ochrą, odkrywane na znacznym obszarze Europy. Zwyczaj zaopatrywania zmarłych w czerwień liczył sobie dziesiątki tysięcy lat. Przetrwał do końca średniowiecza, tyle że wtedy do grobów zamiast barwnika wkładano czerwone chusty. Autor tej książki, nie mam bladego pojęcia: kulturoznawca czy fantasta, zastanawia się, dlaczego tam, gdzie odkrywano szkielety z podobnym wyposażeniem, rozwinęła się później wiara w wampiry. Ma na myśli Turcję, Serbię, Rosję i inne kraje słowiańskie oraz wschodnie Niemcy... Miałaś mi nie przerywać — przypomniała mu, bo chciał się odezwać. — To jeszcze nie wszystko. Przypuszcza on, że krewnymi kierowała nie tyle miłość, ile lęk przed zmarłymi, przed ich powrotem po śmierci. Uznajmy, że motywy żałobników są w tej chwili mało istotne. Większe znaczenie mają skojarzenia. W końcu to od nich wszystko się zaczęło. Telefon Cyryła, mój przyjazd i siedzenie w bibliotekach. Czytając fragment, który ci streściłam, zrozumiałam, dlaczego zdjęcie, które mi pokazałeś, wzbudziło we mnie tyle emocji. Przypomina rysunek z pracy magisterskiej mojego znajomego ze studiów. Mojego i Cyryła — uściśliła. — Wiem, że zabrzmi to nieprawdopodobnie, ale praca poświęcona była wczesnośredniowiecznym pochówkom antywampirycznym. Zawierała szczegółowy katalog grobów, odkrytych w Polsce podczas badań wykopaliskowych. Grobów osób uznanych za wampiry. Szkielet, który wciąż mam przed oczami, był ułożony w identycznej pozycji. Takie przypadki się nie zdarzają. Wydawało mi się, że powinieneś o tym wiedzieć...

Krzysztof przyjął te rewelacje nadspodziewanie spokojnie. Docenił też zwięzłość relacji. Nie krzyczał. Nie ironizował. Przeżuwał informacje w milczeniu. Ewa zaczęła się obawiać, że zapomniał o jej istnieniu.

— Powiesz coś? — odważyła się zapytać, gdy bez słowa przejechali dwa skrzyżowania.

— Twoim zdaniem morderca tępi wampiry? A może sam jest wampirem? — zapytał w końcu. — To ma być motyw? Do cholery, to się nie trzyma kupy. I co to właściwie znaczy: „pochówek antywampiryczny”? Oświeć mnie z łaski swojej.

— Antywampiryczny, czyli taki, który miał uniemożliwić wampirowi opuszczenie grobu — wyjaśniła cierpliwie, nie zważając na sceptyczny ton pobrzmiewający w pytaniach policjanta.

— Co ty nie powiesz?!

— Słyszałeś o wbijanych w serce osikowych kołkach? — myślała, że obraz podziąła na jego wyobraźnię, tymczasem tylko pogorszył sprawę.

— Widziałem, jak je wbijano — odparł z sarkazmem — w kilku filmach o Draculi. Więc nie opowiadaj mi tu bajek, których treść już znam.

— Przebicie serca wampira to jeden z zabiegów antywampirycznych — powiedziała, wciąż zachowując spokój. Miała nadzieję, że dzięki temu jej słowa będą brzmieć bardziej wiarygodnie. — Archeolodzy odkryli wiele szczątków, potraktowanych właśnie w taki sposób. Między żebrami szkieletów tkwiły ostre przedmioty, kołki albo noże. Nie usiłuję cię przekonać, że wampiry istnieją — dodała, widząc, że się zachnął. — Próbuję ci wyjaśnić, że kiedyś ludzie w nie wierzyli.

— Kiedyś! — powtórzył Krzysztof z pasją. — Teraz też wierzą? Krawiec w nie wierzy? Daj spokój! Co on może mieć z tym wspólnego?

— Czyta literaturę fachową, i to taką, która jest trudno dostępna. Wykorzystuje zawarte w niej informacje. Nie jestem pewna, czy ta praca została wydana drukiem. Jeśli nie, leży w bibliotece Instytutu Archeologii, a ściślej mówiąc, w bibliotecznym magazynie. Dotarł do niej, więc nie wmawiaj mi, że to bez znaczenia.

— Jasne. Totalny popapraniec. Skoro on to czytał, ja też powinienem? Chciałbym z nim porozmawiać. Nie, nie z mordercą — pospiesznie wyjaśnił mężczyzna, widząc, że Ewa wpatruje się w niego, zaskoczona nagłym wyznaniem. Zjechał na chodnik i zatrzymał samochód. — Z autorem. Muszę z nim porozmawiać — powtórzył z przekonaniem, pochylając się w jej kierunku. Otworzył schowek i zaczął szukać swojego

notesu. Ewa z bliska popatrzyła na poprządkowane siwizną ciemne włosy. Sobolewski był brunetem, ale oczy miał jasne, szare z delikatnym odcieniem niebieskiego. Zupełnie jak Piotr. Nie była pewna, czyjej argumenty go przekonały, ale nagle stał się rzeczowy, jakby już przetwarzał uzyskane informacje. Segregował je w głowie, by zrobić z nich użytek.

— Czego jeszcze chciałbyś się dowiedzieć? — zapytała, gdy przerzuciał umieszczone w schowku drobiazgi. Zastanawiał się przez chwilę.

— Czy są jeszcze inne praktyki antywampiryczne. Chciałbym sprawdzić, czy morderca je stosuje. Masz jakiś kontakt z tym autorem? Ty albo Cyryl?

— Niestety, żadne z nas. Oboje po studiach wróciliśmy do Szczecina. I chociaż Cyryl na krótko, kontakt się urwał. Ale wiem, kto ma. Chyba wiem... — uśmiechnęła się bez przekonania. — Porozmawiam z nim i dam ci znać.

— Zadzwońisz, czy zjawisz się bez zapowiedzi? — Krzysztof miał ochotę powiedzieć coś zabawnego, by Ewa uśmiechnęła się naprawdę. Od kilku minut uważnie śledził jej zachowanie, dlatego natychmiast zauważył zmianę nastroju, której nie umiał sobie wytłumaczyć. Zastanawiał się, czy powiedział coś nie tak.

— A co byś wolał? — spytała, patrząc mu w oczy. Milczał, zamiast odpowiedzieć. Nie lubił być zaskakiwany. Jednak być zaskakiwanym przez nią... Do tego chyba mógłby się przyzwyczaić.

— Dobrze, że nie wyjechałaś — odparł po chwili, mając na myśli śledztwo, ale przede wszystkim sprzeczne emocje, którym ulegał, odkąd wsiadła do samochodu.

— Co za zmiana nastawienia — zakpiła, uśmiechając się ciepło i wyjrzała przez okno. — Tu wysiądę. Spieszyles się, prawda?

— Jak cholera.

— Teraz nie sprawiasz takiego wrażenia.

— Pozory — Krzysztof z przerażeniem obserwował ruch wskazówek na cyferblacie swojego zegarka. Z drugiej strony nie mógł pogodzić się z myślą, że Ewa za moment zniknie w tłumie spieszących do swoich

spraw przechodniów. Czuł, że mu się przygląda. Zielonooka i płomiennie ruda. Jej włosy o tej porze roku wyglądały zjawiskowo. Nie, poprawił się w duchu, one takie po prostu były. — Proszę, zadzwoń — powiedział, z trudem przywołując się do porządku. — Czas ucieka.

— Wiem.

— Będę czekał.

Chciał jeszcze coś dodać, ale uznał, że nie jest to dobry moment. Gdy smukła sylwetka znikła mu z oczu, uruchomił silnik i odjechał. Czekają na niego ciało, którego nie miał ochoty oglądać, bo i tak potrafił je sobie wyobrazić. Nagie pod szkarłatnym materiałem. I nie wiadomo dlaczego martwe.

Padalo coraz mocniej. Duże płatki tworzyły w powietrzu białą, rozedrganą, niekończącą się zasłonę. Ewa przedzierała się przez nią bardzo powoli, otrzepując co jakiś czas rękawy kurtki. Śnieg topniał jej we włosach i kropla po kropli spływał z nich na czoło i policzki. Torba, przewieszona przez ramię, z każdym pokonanym metrem ważyła kilka gramów więcej.

Nie bardzo wiedziała, co powinna teraz zrobić. Wracać do mieszkania Cyryla? Przypomniała sobie, że nie ma kluczy, a siedzenie pod drzwiami zupełnie jej się nie uśmiechało. Mogła też przeczekać śnieżycę w jakimś zacisznym miejscu, ale nagle zaczęła roznosić ją energia. Pomyślała, że nie zniesie samotności przy kawiarnianym stoliku. A potem brnąc w śniegu, doszła do wniosku, że jest ktoś, kto mógłby dotrzymać jej towarzystwa. Jeszcze ten jeden raz. Skoro od kilkunastu lat nie mogła się od niego uwolnić, miała nadzieję, że ta znajomość w końcu na coś się przyda. Jak niewiele zostaje z dawnych uczuć...

Znajomość — to słowo w najmniejszym stopniu nie oddawało emocjonalnej huśtawki, którą przeżywała, będąc z Piotrem, rozstając się z nim, żyjąc osobno, a później znowu czekając na jego telefony. Nie chciała go widzieć — i rozpaczliwie tego pragnęła. Sobolewski podsunął

jej pretekst, z którego zamierzała skorzystać. Nie dlatego, że ją o to prosił. Zdawała sobie sprawę, że robi to wyłącznie dla siebie.

Znajomy autor pracy magisterskiej o dość oryginalnym tytule był warszawiakiem. Miała nadzieję, że nie wyjechał za granicę w poszukiwaniu pracy i Piotr będzie wiedział, jak do niego dotrzeć. Zawsze się z nim przyjaźnił, chociaż mieli rozbieżne zainteresowania. Ewa pamiętała dzień, kiedy ich ze sobą poznała. Wtedy też padał śnieg...

Uśmiechając się do swoich wspomnień, zatrzymała się na przystanku autobusowym, żeby zadzwonić. Wciąż nie wiedziała, jak rozmawiać z mężczyzną, z którym łączyło ją więcej, niż chciałaby przyznać, ale otuchy dodawała jej myśl, że dzwoni w konkretnej sprawie. Piotr odebrał, nim wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Myślałem, że więcej się do mnie nie odezwiesz.

– Jesteś rozczarowany? – spytała zaczepnie, karcąc się w duchu za ten ton.

– Przeciwnie.

– Właściwie chciałam się z tobą zobaczyć... – pomyślała, że przez telefon nie będzie mu wyjaśniać, po co.

– Tak. Chyba powinniśmy porozmawiać – powiedział Piotr tonem, w którym usłyszała czułość. Przestraszyła się. Nagle zrozumiała, że jest o krok od popełnienia życiowego błędu. Najbardziej przerażała ją świadomość, że nie zamierza zrobić nic, by go uniknąć.

– Kiedyś proponowałeś kawę – przypomniała mu.

– Odmówiłaś.

– Dzisiaj nie odmówię.

– Jestem w domu. Może miałabyś ochotę wpaść?

Zastanawiała się, czy powinna, ale nie mogła oprzeć się pokusie. Pociągała ją perspektywa rozmowy bez świadków. Gdzie podziewała się Agata, skoro Piotr zapraszał ją do siebie?

– Ewa, jesteś tam? – zaniepokoiło go przedłużające się milczenie.

– Nie jestem pewna, czy chcę oglądać twoje mieszkanie

— użyła argumentu, który przyszedł jej do głowy w ostatniej chwili. Wiele lat temu mieszkali w nim razem. Ewa chyba nigdzie nie była później równie szczęśliwa.

— Tb mielibyśmy spokój... — podpowiedział jej. Jego myśli były dziwnie zbliżone do jej własnych.

— W takim razie... wpadnę — powiedziała z wahaniem.

Zapadał wczesny listopadowy zmierzch. Od leżącego wokoło śniegu biła błękitna poświata, która zmieniała warszawskie ulice w fantastyczny labirynt światła i cieni. Ewa poruszała się w nim jak we śnie, zauroczona miastem, które w ciągu godziny zmieniło się nie do poznania. Nagle wypiękniało, strojąc się w chłodne odcienie nadchodzącej zimy.

Gdy dotarła na Tamkę, była już bardzo zmęczona i zziębnięta. Cienka kurtka nie chroniła przed chłodem. Już dawno powinna zastąpić ją płaszczem, który zostawiła w szafie w dalekim Szczecinie. Dlaczego mnie tam nie ma, zastanowiła się, wchodząc do budynku przez przeszklone drzwi. Kto pomoże mi się pozbierać, gdy wyjdę z jego mieszkania za kilka godzin?

Weszła jednak i wsiadła do windy, która wieki całe wiozła ją na szóste piętro. Pod drzwiami miała ochotę zawrócić. Ciasne wnętrze, oświetlone małą żarówką wiszącą u sufitu, wydało jej się nagle przytulne i bezpieczne. Nie zdążyła wsiąść z powrotem. Drzwi zamknęły się i winda z cichym zgrzytem zjechała w dół.

Długo zastanawiała się, czy nacisnąć dzwonek. Rozbolały ją nogi, więc kucnęła i oparła się plecami o ścianę. Przesiedziała tak jakiś czas. Ciepło, panujące na klatce schodowej, sprawiło, że zrobiła się senna. Od śniadania nic nie jadła, ale nie czuła głodu. Tylko ogromne znużenie. Przestała się denerwować. Była u celu, a czas na podjęcie decyzji dawno minął. Przez drzwi mieszkania, które kiedyś nazywała domem, docierały do jej uszu dźwięki muzyki, odgłos kroków i wiele innych szelestów, świadczących o obecności gospodarza.

Czekał. Na nią. Ewa przypomniała sobie, że nie jest w tym zbyt dobry. Brakowało mu wytrwałości i nie lubił czuć się zależny. Nie zamierzała wystawiać jego cierpliwości na próbę, więc przemogła się,

wstała i zapukała. Bardzo cicho, w nadziei, że Piotr nie usłyszy. Usłyszał jednak. Drzwi natychmiast się otworzyły i zamknęły, gdy tylko przekroczyła próg. Gdy znalazła się o krok od mężczyzny, który wywołał takie zamieszanie w jej życiu, przysła jej do głowy dziwna myśl, że gdyby mogła być po obu stronach drzwi równocześnie, usłyszałyby dźwięk własnych kroków, znowu rozlegających się w dobrze znanym wnętrzu.

Zaskoczyła ją jego wylewność. Powitanie mogło przybierać różne formy, jeśli jednak trwało zbyt długo, stawało się manifestacją uczuć. Ewa nie była pewna, czy Piotr zdawał sobie z tego sprawę, obejmując ją mocno i uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Nie dotykał jej w taki sposób od dnia rozstania prawie dziewięć lat temu. Zapomniała już, jakie to uczucie. Pamiętała jednak, by panować nad sobą za nich dwoje. Gdy chciał ją pocałować, uwolniła się zdecydowanym ruchem i spojrzała Piotrowi w twarz. Dostrzegła na niej zakłopotanie, jakby do mężczyzny dotarło nagle, że zachował się niewłaściwie.

— Gdzie byłaś tak długo? — powiedział. — Nie mogłem się doczekać.

— To przez tę śnieżycę...

— Nie — przerwał jej. — Miałem na myśli tygodnie po naszej ostatniej rozmowie.

Dlaczego to mówisz, miała ochotę spytać, ale nie zrobiła tego. Piotr wydawał się oszołomiony spotkaniem w tym samym stopniu, co ona. Pogubił się. Może tak jak Ewa, w ciszy panującej w mieszkaniu, w którym kiedyś toczyło się ich wspólne życie, usłyszał echa minionych dni, ale był mniej odporny na wspomnienia. Musieli sobie z nimi radzić oboje. Ona swoje starała się trzymać pod kluczem.

— Zrób mi herbaty — poprosiła, idąc do kuchni. Chcąc nie chcąc poszedł za nią. — Malowałeś — zauważyła, rozglądając się wokół. Nic nie było już takie, jak dawniej. Inne ściany, inne meble. Tylko podłogi skrzypiały tak samo, a pod ścianą stał stół, który tak lubiła. Przejechała dłonią po ciemnym blacie, wyczuwając na powierzchni znajome zadrapania i mnóstwo nowych, które powstały, gdy jej tu nie było.

— Agata wybierała kolory.

Ach, więc była i Agata. Nareszcie. Ewa już zaczynała sądzić, że rozplynęła się w powietrzu. Znikła jak zły sen, który śnił jej się co noc. W tej samej chwili dostrzegła jej zdjęcie, przyczepione magnesem do drzwi lodówki. Było piękne. A może to Agata była piękną kobietą. Poznały się trzy lata temu, ale Ewa słabo ją pamiętała. Patrząc na fotografię, zrozumiała, że czułość, którą usłyszała przez telefon w głosie Piotra, była wytworem jej wyobraźni.

— Tyle zrobiłeś?

— Tak — przyznał, zastanawiając się, do czego zmierza. Wiedział, że jest udane. Robiło wrażenie na wszystkich osobach odwiedzających kuchnię. A właściwie robiła je Agata. Jego Agata. Gdyby tu była, nie doszłoby do tej rozmowy.

— Co się stało, że jesteś sam? — przerwała jego rozmyślania Ewa.

— Agata wyjechała na krótkie stypendium do Berlina. Robi doktorat — wyjaśnił z miną winowajcy. Czuł wyrzuty sumienia i unikał jej wzroku, jakby bez reszty pochłaniało go parzenie herbaty.

— Krótkie stypendium? — uśmiechnęła się drwiąco. — To dlatego witałeś się ze mną tak namiętnie? Co chciałeś w ten sposób osiągnąć?

Odpowiedziała jej cisza. Piotr szukał w głowie właściwych słów. Nie tylko tych przeznaczonych dla Ewy. Także tych dla Agaty, która nie żądała wyjaśnień i miała do niego bezgraniczne zaufanie.

— Chyba mam do ciebie słabość. Przepraszam — odezwał się w końcu. — Zapomniałem się, kiedy cię zobaczyłem. Ty zawsze panujesz nad emocjami?

— Obawiam się, że gdybym nie panowała, bylibyśmy teraz tam — wskazała mu drzwi sypialni. — Łóżko też wymieniłeś na nowe?

Pokręcił głową.

— Żałowałaabyś?

— A ty? Z nas dwojga masz chyba więcej do stracenia?

Nic nie powiedział, więc zadała mu jeszcze jedno pytanie.

— Jesteś szczęśliwy, Piotrze? Z Agatą?

— Z tobą też byłem szczęśliwy.

— To nie jest odpowiedź.

— Jestem — przyznał niechętnie, wyciągając do niej rękę.

— Wybacz, nie chciałem tego mówić.

Wolała, żeby jej nie dotykał. Udała, że nie widzi pojednawczego gestu i pochyliła głowę, zaglądając do kubka. Przyjemnie parzył dłonie. Skupiła się na tym doznaniu. Niewiele brakowało, by rozsypała się jak domek z kart.

— Nie zepsuj tego — odezwała się cicho. — Jednorazowy wyskok nie jest tyle wart.

— Przecież chodzi o ciebie — zaprotestował. I o mnie, miał ochotę dodać, a słowo „wyskok” nie oddaje istoty rzeczy. Gdzie jest napisane, że nie można kochać dwóch kobiet jednocześnie? Milczał jednak, wiedząc, że Ewa ma rację. Podziwiał jej opanowanie. I wiedział, że nie musi mówić nic więcej, by zrozumiała, co chciał powiedzieć.

Siedzieli bez słowa. Stukały kubki stawiane na stole. Cicho szumiała lodówka. Stygła herbata, którą pili powoli, wcale na siebie nie patrząc. Oboje oswajali się z myślą, że uczucie bliskości sprzed pół godziny już się nie powtórzy. Ewa, która sprawiała wrażenie wyczerpanej, nie mogła zdobyć się na to, by wstać i wyjść. Przypomniała sobie o obietnicy danej Sobolewskiemu. Powinien być jej wdzięczny za ofiarność, bo w tym momencie śledztwo nie miało dla niej najmniejszego znaczenia.

XII

Co u Ciebie?

Dobrze sypiasz? Byłoby lepiej, gdybyś nie sypiał wcale.

Czas, przebiegły sukinsyn, kurczy się. Minie, nim zdążysz się zorientować. Czy już liczysz minuty, które upływając, przybliżają Cię do mojego telefonu? Czujesz, jak skraca się dzielący nas dystans? Nim zniknie zupełnie, pozwól, że napiszę do Ciebie jeszcze kilka listów. To przyzwyczajenie, z którym nie zamierzam walczyć. Jedna z tych przyjemności, które nikomu nie czynią krzywdy. Lubię myśleć, że wysyłając je, coraz mocniej Cię ze sobą wiążę. Czy tego chcesz, czy nie, jesteś mordercą, tak samo, jak ja. Powiedz mi, lubisz zabijać? Nawet jeśli czynisz to moimi rękami? Chciałbyś choć raz zabić sam? Wiesz, że mogę Ci to ułatwić.

Współodpowiedzialność. By się ode mnie odciąć, musiałbyś mnie powstrzymać, a do tego przecież nie jesteś zdolny. Mam nadzieję, że kiedyś zdradzisz mi, czy przyjąłeś narzuconą rolę z ciekawości, ze strachu, czy nadmiernej ambicji. Obiecuję, że będziemy mieć jeszcze czas tylko dla siebie. By wszystko sobie wyjaśnić. Odpowiem wtedy na każde Twoje pytanie, bo chcę, byś mnie dobrze poznał, nim uwolnię Cię od siebie i od Ciebie samego. Czekam na ten dzień. Ty też?

Do usłyszenia. Wkrótce. M.

Piotr chciał ją odwieźć, ale odmówiła. Rozumiał, że woli być sama, więc nie nalegał. Za to gdy czekała na windę, stał w drzwiach, jakby jeszcze się zastanawiał, czy pozwolić jej odejść. Właściwie wcale się nie pożegnali. Słowa były zbędne, a gesty już raz ich zawiodły. Ewa nie wyobrażała sobie, że mogłaby przejść przez to po raz drugi.

— Trzymaj się — powiedziała z korytarza.

— Gdybym mógł ci pomóc...

— Już pomogłeś. Dziękuję — dotknęła dłonią kieszeni kurtki, do której wsunęła kartkę z dwoma nazwiskami i numerami telefonów. Pretekst dzisiejszego spotkania.

Dawny znajomy ze studiów nie wyjechał z kraju. Piotr, który wciąż się z nim przyjaźnił, o nic nie pytając, wybrał numer i po krótkiej rozmowie przekazał jej telefon. Rafał Wilk nie pracował w zawodzie, miał swoją firmę i o archeologii dawno zapomniał. Zgodził się rozmawiać z policją, powiedział jednak, że minęło dużo czasu, a on wszystko, co wiedział, napisał w swojej pracy. Jeśli Ewa szukała informacji, powinna zwrócić się do eksperta od wampirów, zasugerował. Jest ktoś taki? — spytała zaskoczona. Raczej „taka”, sprostował. Korzystał z jej pomocy jako student. Wtedy była doktorem, zajmowała się antropologią kulturową, a wampiry były jej konikiem. Przeczytała chyba wszystko, co kiedykolwiek o nich napisano. Miała niesamowity księgozbiór. Obejrzała wszystkie filmy. Nikt w Polsce nie wiedział na ten temat tyle, co ona.

— Zapisz sobie telefon — powiedział Rafał.

Notowała skrupulatnie kolejne cyfry, zaskoczona, że zachował numer, z którego korzystał tak dawno. Był jednak przedstawicielem innego gatunku ludzi i jako biznesmen hołdował przekonaniu, że wszelkie kontakty należy kolekcjonować, bo nie wiadomo, kiedy znowu się przydadzą. Ta rozmowa zdawała się potwierdzać jego teorię.

Na kartce zapisała także jego numer, złożony głównie z siódemek i jedynek. Dla Krzysztofa. Stawiając ostatnią kreskę, pomyślała z ulgą, że w końcu może sobie pójść. Jeszcze nie wiedziała, dokąd. Najlepiej tam, gdzie oczy poniosą, byle dalej od Piotra, jego ramion i milczenia, które znosiła znacznie gorzej, niż słowa, bo wciąż doszukiwała się w nim treści. Spojrzała na uchylone drzwi sypialni, a później na zdjęcie Agaty. W tym mieszkaniu nie było miejsca dla trojga, dlatego musiała natychmiast znaleźć się na zewnątrz. By się pozbierać, potrzebowała doznań, dzięki którym zapomniałaby, że ten wieczór miał wyglądać zupełnie inaczej.

Idąc szybko przed siebie z ciężką torbą na ramieniu, chciała zmęczyć się tak bardzo, by nie czuć nic. A potem zasnąć i spać bez końca.

Ochłodziło się. Śnieg skrzypiał pod stopami, a zimny podmuch podrywał z ziemi białe drobinki i kurzył nimi prosto w twarze przechodniów. Ewa, która szła pod wiatr ulicą Świętokrzyską, musiała wciąż zamykać oczy. Na policzkach czuła mroźne ukłucia i ciepło łez, które płynęły spod opuszczonych powiek. Nie umiała ich powstrzymać. W mieście panował jeszcze duży ruch, ale ona, otoczona ciemnością i tumanem wirującego w powietrzu śniegu, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest zupełnie sama.

Może dlatego nie zwróciła uwagi na światło i weszła na pasy wprost pod koła zbliżającego się samochodu. Odwróciła głowę dopiero wtedy, gdy kierowca zahamował gwałtownie, ślizgając się na zamrożonej drodze. Instynktownie oparła obie dłonie na masce, czując, jak ogrzewa je ciepło pracującego silnika. Ruch na skrzyżowaniu Świętokrzyskiej i Nowego Świata zamarł na chwilę. Mężczyzna wyskoczył z samochodu i upewniwszy się, że jest cała, zmusił ją, by wsiadła.

— Na litość boską — powiedział ze zgrozą, zajmując miejsce obok niej i natychmiast ruszając, bo zewsząd rozlegały się klaksy zirytowanych kierowców — co ty wyrabiasz? Życie ci niemiłe? Nie mogłaś sobie wybrać innego samochodu?

Milczała, więc przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów i zaparkował na Świętokrzyskiej, *vis-à-vis* szpitala dziecięcego. Dopiero teraz przyjrzał się Ewie uważnie. Zdażyła otrzeć oczy wierzchem dłoni, ale i tak zorientował się, że płakała. Krzysztof nie umiał pocieszać kobiet, zwłaszcza tych, które od kilku godzin wydawały mu się bardzo pociągające, a ponieważ wytracił go z równowagi incydent na pasach, postanowił uciec się do jednego z nielicznych znanych mu sposobów na osiągnięcie względnej równowagi.

— Zapalisz? — spytał, uchylając okno i sięgając do wewnętrznej kieszeni wełnianej kurtki. Płomień zapalniczki skakał w jego drżących dłoniach, gdy pochylał się nad Ewą z papierosem w ustach. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały.

— Właściwie rzuciłam kilka lat temu...

— Ja też — przyznał się Sobolewski. — A potem jeszcze raz. I jeszcze. I w końcu się poddałem. Bez papierosa nie jestem sobą.

Ewa pomyślała, że ona nie jest sobą z papierosem, ale zaciągnęła się z przyjemnością. Powoli się uspokajała. Przez gęsty obłok dymu dotarło do niej, że Krzysztof o coś pyta.

— Nie powinnaś być w domu?

— Czyli gdzie? U Cyryla, który myśli, że wyjechałam? Później zrobię mu niespodziankę. — Tego wieczoru czuła się bezdomna i żałowała jak nigdy dotąd, że Szczecin jest tak daleko. — Chciałam pożytecznie spędzić wieczór. Żeby nie zwariować.

— I dlatego weszłaś mi pod samochód? Co się stało?

— Kłopotliwa przeszłość — odparła wymijająco. — Nie widziałam, że nadjeżdżasz. W ogóle nic nie widziałam.

— Jestem w stanie sobie wyobrazić.

— Nie jesteś — powiedziała cicho.

Krzysztof zapatrzył się w ognik jej papierosa. Pomyślał o żonie, która wiodła spokojne życie u boku nudnego faceta, ale nic nie powiedział. Nie zamierzał przekonywać Ewy, że jest inaczej. Nie rozumiał kobiet, chociaż czasem (na szczęście rzadko) ulegał ich urokowi i to był jego największy problem.

— Jak długo będzie trwał pogrzeb? — zapytał łagodnie. — Pogrzeb uczuć — wyjaśnił, gdy spojrzała na niego pytająco.

— Mam to wypisane na twarzy? — Ewa zgmiotła niedopałek w popielniczkę. Zaczynał ją niepokoić siedzący obok mężczyzna, który rejestrował każdy jej gest, jakby była pod obserwacją. Nic nie mogło mu umknąć. Jego przenikliwość stawała się niewygodna.

— Nie, to ja mam trochę wprawy w rozpoznawaniu objawów...

Mimo wszystko zdobyła się na szczerą odpowiedź:

— Nie wiem. Może niedługo. A może całe życie.

— Z własnego doświadczenia wiem, że warto skrócić ceremonię do minimum — usłyszała.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Kim on jest, do cholery, żeby udzielać jej podobnych rad! Miała ochotę się wściec, ale nagle straciła cały rozpęd, zdając sobie sprawę, że jej złość znowu byłaby skierowana przeciwko niewłaściwemu mężczyźnie. Krzysztof nie miał nic wspólnego z Piotrem. To była zaleta. I, niestety, także wada.

— Więc jak długo powinna trwać ta ceremonia? — spytała, wyglądając przez okno. Wiatr bawił się w najlepsze, unosząc do góry śnieżny pył, jakby zamierzał zatańczyć z nim walca.

— Piętnaście minut — odparł zupełnie poważnie. — Albo dopóki nie wsiądziesz do samochodu innego mężczyzny. Życie jest zbyt krótkie, by pozwalać sobie na samotność.

Zaintrygował ją sposób, w jaki to powiedział. Jego spokój działał na nią kojąco, a pewność, z jaką formułował opinie, nie miała w sobie nic z drażniącej skłonności do narzucania innym własnego zdania. W jego oczach nie dostrzegła już współczucia, ale wyczekiwanie.

— Ty jesteś samotny — odparła, zastanawiając się, na co czeka Krzysztof Sobolewski, dotrzymując jej towarzystwa mimo późnej pory i podłej pogody.

— Cyryl ci powiedział?

— Nie musiał. Ty to zrobiłeś. Przed chwilą.

— Mam niepopularny zawód. Kobiety lubią stabilizację, bezpieczeństwo i pieniądze. Związek ze mną to pasmo rozczarowań... — uśmiechnął się, robiąc dobrą minę do złej gry.

— Chyba jesteś niesprawiedliwy.

— I znowu wygłaszam seksistowskie uwagi?

— Przepraszam cię za tamto. Kobiety są różne.

— Nie wątpię — znowu popatrzył na nią w szczególny sposób, jakby w myślach poddawał ją testowi i czekał, aż poprawnie odpowie na wszystkie pytania.

Ewie nie przyszło do głowy, że w gruncie rzeczy sprawdza siebie. Analizuje własne reakcje. Minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz siedział

w samochodzie z atrakcyjną kobietą. Zastanawiał się, kiedy powinien się wycofać.

— Ale nie miałem szczęścia przekonać się osobiście — dodał, zerkając na zegarek.

— Spieszysz się?

— Chciałem jeszcze zajrzeć do biblioteki, żeby pożyczyć tę pracę, o której mówiłaś. Zafascynowała mnie twoja teoria. Przejdziesz się ze mną? — zaproponował. Przyszło mu to z taką łatwością, jakby bez przerwy przekonywał kobiety, by zechciały spędzić z nim czas i nigdy nie spotkał się z odmową.

— Nie mam nic lepszego do roboty, prawda? — uśmiechnęła się Ewa. Krzysztof pomyślał, że lubi na nią patrzeć. — Wydawało mi się, że od szperania w papierach masz ludzi.

Wysiedli z samochodu i przeszli na drugą stronę ulicy. Nowy Świat tonął w białej kurzawie. Oni jednak szli przed siebie w kierunku rozświetlonej reflektorami uniwersyteckiej bramy.

— Owszem. Ale na razie nie chciałem z nikim dzielić się tymi rewelacjami.

— Są zbyt dziwaczne?

— *Ty to* powiedziałaś. Ja użyłbym raczej słowa: nieprawdopodobne.

— W takim razie muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć. Żebyś miał wszystkie asy w ręku.

— Tak? — spojrział na nią zaintrygowany.

— Zdobyłam dla ciebie dwa numery. Jeden do Rafała, naszego autora od wampirów. Rozmawiałam z nim, możesz do niego zadzwonić choćby zaraz. Drugi — do kobiety, która jest... wampirologiem, o ile można ją tak nazwać. Jeśli masz jakiegokolwiek pytania, jest szansa, że ona będzie umiała na nie odpowiedzieć. Z nią też rozmawiałam, oczywiście nie wdając się w szczegóły — wyjaśniła natychmiast, bo Krzysztof popatrzył na nią z dezaprobatą. — Czeka na nas jutro po południu u siebie w domu.

— Na nas? — nie wytrzymał. — Twoja samodzielność mnie przeraża. Nie lubisz tracić czasu, co?

W milczeniu mijali grupki spieszących się studentów. Ewa, speszona jego reakcją, Sobolewski — coraz bardziej zirytowany niefrasobliwością, z jaką wchodziła mu w drogę.

— Myślałam, że ci się spieszy — uznała za stosowne usprawiedliwić się, gdy zostawili za sobą Wydział Historii i budynek Instytutu Historii Sztuki. W głębi, między nagimi, ośnieżonymi drzewami, białął w świetle latarni świeżo odnowiony, dwupiętrowy gmach, zajmowany przez archeologów.

— Wyjaśnijmy sobie coś — detektyw zatrzymał się nagle i przytrzymując jej rękę, zmusił ją, by stanęła na wprost niego. W jego zdecydowaniu było coś urzekającego i Ewa na chwilę zupełnie się mu poddała. — Na przyszłość proszę, żebyś takie rzeczy ustalała ze mną i trzymała się od śledztwa z daleka. To nie jest zabawa. Nie chcę się obawiać o twoje bezpieczeństwo. I bez tego mam dość spraw na głowie. Rozumiemy się? — spytał już łagodniej. Przyszło mu do głowy, że gdyby jego ludzie działali równie szybko, Krawiec nie zabiłby tylu osób. I mężczyzna, którego zwłoki znalazł dzisiaj przypadkowy przechodzień, z pewnością by przeżył. Ta dziewczyna była naprawdę niesamowita.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę.

— Ewa, proszę... — uniósł dłonie do góry w błagalnym geście. — Pomoc amatorów okazuje się zwykle fatalna w skutkach. Zawsze tak odreagowujesz kłopoty z facetami?

Odwrociła głowę i wcisnęła dłonie w kieszenie.

— Przepraszam, nie chciałem tego powiedzieć — powiedział bezradnie.

— Ale powiedziałaś.

— Po prostu chodzi o to, że nie wolno ci robić pewnych rzeczy bez porozumienia ze mną. W ogóle nie wolno ci ich robić. Możesz to zrozumieć?

— Chciałam pójść z tobą do tej kobiety. Tylko nie mów mi, że swoje już zrobiłam. Mam wsiąść w pociąg i jechać do Szczecina? Właściwie

wciąż jestem spakowana. Tego chcesz?

— To, czego ja chcę, to zupełnie inna historia — powiedział Krzysztof — która nie ma nic wspólnego z moją pracą. Więc jak będzie? Posłuchasz mnie, czy będziesz dalej prowadzić śledztwo na własną rękę?

— A zabierzesz mnie jutro ze sobą? Mogę się przydać.

— Nie powinienem.

— Krzysztof, nie uważasz, że twoje obiekcje są śmieszne, skoro już mnie w to wciągnąłeś? — nie dawała za wygraną.

— Nie dam się odstawić na boczny tor.

Miała sporo racji i dar przekonywania. Krzysztof nie powiedział jednak ani „tak”, ani „nie”.

— Chodź, bo zaraz zamkną nam bibliotekę — przypomniał jej. Zauważył, że szczęka zębami i z niedowierzaniem przyjrzał się jej cienkiej kurtce. — Stoimy tu już wystarczająco długo. Nie mogę pozwolić, żebyś w moim towarzystwie dostała zapalenia płuc.

Weszli do budynku przez ogromne przeszklone drzwi. Ewa nigdy tu nie była. W jej studenckich czasach Instytut Archeologii miał kilka lokalizacji, więc z zajęć na zajęcia musiała nieraz jeździć przez całe miasto. Znaczna ich część odbywała się w parterowych barakach na Ochocie, postawionych podobno dla budowniczych Pałacu Kultury i Nauki. Tam też mieściła się wówczas biblioteka, którą teraz znaleźli na parterze. Niewielkie pomieszczenie, o tej porze zupełnie puste, było jeszcze bardziej ciasne niż to, które pamiętała z okresu studiów. Poza tym wyglądało niemal tak samo, pomyślała Ewa, widząc rzędy ławek, niezbyt duży księgozbiór podręczny i windę, którą przyjeżdżały książki z mieszczącego się w piwnicy magazynu. Na Ochocie windy nie było. Tam magazyn był tuż za ścianą, a wybrani studenci cieszyli się przywilejem wchodzenia między półki.

Jedyną osobą w pachnącym kurzem miejscu była pani Dorota, która także z upływem lat wcale się nie zmieniła. Nie pierwszy raz Ewa mogła się przekonać, że czas jest dla bibliotekarzy szczególnie łaskawy.

— Dzień dobry, pani Ewo — odpowiedziała na powitanie bibliotekarka. Miała doskonałą pamięć, skoro po tylu latach pamiętała jej

imię. — Co panią do nas sprowadza i to tuż przed zamknięciem?

— Nie zajmujemy dużo czasu — pospieszył z wyjaśnieniem Krzysztof, nie dając Ewie dojść do głosu. Pani Dorota spoważniała, gdy przedstawił się, wyciągając legitymację. — Chciałbym na kilka dni wypożyczyć pracę magisterską Rafała Wilka. Czy to możliwe?

— Normalnie nie wypożyczamy pozycji dostępnych tylko w jednym egzemplarzu, ale myślę, że tym razem mogłabym zrobić wyjątek — powiedziała, spoglądając na Ewę znad okularów w okrągłych oprawkach. — Tylko ze względu na panią

— dodała. — Gdyby każdy mi tu czymś machał przed nosem, naprawdę ładnie wyglądałby ten księgozbiór.

— Dziękujemy, pani Doroto — Ewa podała jej rewers i patrzyła, jak włożony do windy zjeżdża w dół. — Usprawnienia? — zagadnęła.

— Można to i tak nazwać, ale sama pani widzi, co tu się dzieje. Kawiarenka po drugiej stronie korytarza ma większą powierzchnię niż czytelnia. Nic dziwnego, że studenci tam wolą spędzać czas. O proszę, już jest! — ucieszyła się, gdy rozległ się skrzyp zwiastujący powrót windy. Podała Krzysztofowi zamówioną pozycję. Wyglądała tak, jakby przez dziewięć lat, które minęły od dnia obrony, nikt do niej nie zaglądał.

— Czy w ostatnim czasie, mam na myśli jakieś sześć miesięcy, ktoś o nią pytał? Student, wykładowca, ktoś obcy?

— Nie przypominam sobie — odparła kobieta po namyśle.

— Ale oprócz mnie pracuje tu jeszcze kilka osób, powinien pan zapytać o to każdą z nich. Proszę tu podpisać — wskazała mu odpowiednią rubrykę na jakimś pokwitowaniu. — I podać swój telefon. Na wszelki wypadek.

— Wpiszę mój — przyszła mu z pomocą Ewa, widząc, że ma obiekcje.

— Straszna tu u was biurokracja — skwitował, gdy znaleźli się znowu w korytarzu, po zapewnieniach, że praca wróci na swoje miejsce w możliwie najkrótszym czasie. — Bez ciebie niczego bym u niej nie wskórał.

— Przemiła kobieta.

— Pewnie. Ale widocznie jej się nie spodobałem. Dziękuję ci za pomoc.

— Nie ma sprawy. Pomyśl o jutrzejszym spotkaniu — poradziła mu.

— Cały czas myślę. Odkąd raczyłaś mnie o nim poinformować — odparł z przekąsem, otwierając przed nią drzwi.

— Czy to znaczy, że moja teoria wydaje ci się coraz mniej dziwaczna?

— Nie, to znaczy, że ty masz na mnie fatalny wpływ.

Artur wreszcie czuł się u siebie. Samochód z obserwującym budynek policjantem zniknął i gdy nie pojawił się w ciągu kilku następnych godzin, dziennikarz zdecydował się na powrót do domu. Może powinien odczekać kilka dni, ale pomyślał, że nie wytrzyma z Izabelą ani minuty dłużej. Postanowił zwrócić jej wolność i z ulgą opuścił mieszkanie. Stając w progu własnego, poczuł wzruszenie. Zaciągnął się domowym powietrzem, wdychając zapach kurzu i dawno niewietrzonych pomieszczeń. Potem zamknął drzwi na wszystkie zamki. Nie zapalał światła. Zamierzał przyzwyczać się do życia w półmroku, a jeśli będzie to konieczne — do życia w ciemności. Listopadowe dni były krótkie, więc nie miał wyboru.

W szarości wczesnego zmierzchu odnalazł półkę z płytami i cicho nastawił Colosseum. *Valentyne Suite*. Siedząc w fotelu, czekał, aż muzyka wypełni pokój od podłogi aż po sufit. Dźwięki, których sekwencje znał na pamięć i które słyszał w głowie, nim wybrzmiały w ciemnym pokoju, działały na niego jak narkotyk.

Odwykł od nich, mieszkając po sąsiedzku. Płytoteka Izabeli w porównaniu z jego własną była niezwykle uboga. Już rozumiał, czemu zawdzięczał jej częste wizyty, zanim wszystko się pogmatwało. Był pewien, że więcej nie zapuka do jego drzwi, by poprzestawiać ułożone alfabetycznie pudełka, w których drzemały srebrne krążki. Nie będzie się też z nim kochać w rytmie rozbrzmiewających w powietrzu utworów, które na krótko stawały się muzycznymi afrodyzjakami.

Żałował tych chwil. Pochmurnych popołudniowych godzin, kwadransów o zmroku i spóźnionych poranków. Jego Izabeli już nie

było, tak jak nie było jego miłości. W końcu odważył się użyć tego słowa. Należało do przeszłości i Artur nie mógł zrobić nic, by to zmienić. Był zmęczony długotrwałym życiem w zamknięciu, brakiem chłodnego zimowego powietrza i emocjonalną szarpaniną. Przypuszczał, że policja zjawi się wcześniej czy później, ale nie był pewien, czy chce znowu uciekać. Jego wolność bez Izabeli płowiąła jak tkanina zbyt długo poddawana działaniu słońca. Traciła na znaczeniu, stawała się niepełna, wręcz niedoskonała. Artur nie chciał patrzeć, jak się zmienia. Jak z motyla przeistacza się w ćmę, którą zaskoczył świt. Oszołomioną światłem i trzepotem własnych skrzydeł. Tłukącą nimi o szyby zamkniętych okien.

Wolność. Gasła szybko i nic nie mogło przywrócić jej żywych kolorów. Ani chwilowy brak chaosu, ani powrót do dawnego życia, ani utwór, mający w tytule imię nieznaney kobiety

— Dokąd mnie wieszysz? — spytała Ewa, widząc, że Krzysztof skręca na rondzie Dmowskiego w kierunku Mokotowa. Cyryl mieszkał w pobliżu Powązek. Dokładnie w przeciwną stronę.

— Jadłaś coś dzisiaj?

— Śniadanie — odpowiedziała zgodnie z prawdą.

— Boże! Jesz byle co, ubierasz się byle jak. Czy jest ktoś, kto mógłby o ciebie zadbać?

— Stracił ostatnią szansę dzisiaj po południu, nie pamiętasz? — mruknęła. — Poza tym jestem samowystarczalna.

— Oczywiście. Pozwolisz w takim razie, że pójdziemy coś zjeść, a przy okazji porozmawiamy o tym, co napisał ten twój Wilk... Chciałbym, żebyś pokazała mi szkielet, który narobił tyle zamieszania. Jak on to nazwał? Aha, *wczesnośrednio-wieczny pochówek antywampiryczny* — odpowiedział sam sobie, zerkając na stronę tytułową. — Nie uwierzę, póki nie zobaczę.

— Jest późno.

— Potem cię odwiozę.

— No dobrze. Widzę, że i tak wszystko już zaplanowałaś — zgodziła się zrezygnowana. Chciało jej się spać, ale uznała, że nie będzie tłumaczyć mężczyźnie powodów, dla których zdecydowała się zarwać poprzednią noc. Lepiej, by jej portret psychologiczny — niestabilnej emocjonalnie, feminizującej histeryczki — nie został uzupełniony o podejrzenie, że nałogowo nadużywa alkoholu. Sobolewski wyjątkowo dzielnie znosił jej wybryki, a jej nieoczekiwanie zaczęło zależeć na jego opinii.

— Niedaleko jest mała knajpka, w której nieźle karmią i nigdy nie brakuje stolików.

— Czy te zalety się nawzajem nie wykluczają?

— Możliwe, ale, jak widać, nie w tym wypadku.

Krzysztof skręcił w jedną z wąskich uliczek i zaparkował obok piętrowej willi. Wysiedli i przeszli na drugą stronę ulicy. Knajpka mieściła się w czteropiętrowym domu z lat pięćdziesiątych. Rzeczywiście była niewielka. Kameralne wnętrza sprawiało wrażenie przytulnego i odwiedzanego przez stałych bywalców. Sobolewski musiał być jednym z nich, bo kiedy weszli do środka, mężczyzna stojący przy barze pozdrowił go z daleka jak dobrego znajomego. Usiedli i zamówili zupę oraz zestaw gorących kanapek.

— Często tu bywasz? — spytała Ewa, gdy czekali, aż zamówienie zostanie zrealizowane. Obsługa była błyskawiczna i wkrótce stały przed nimi parujące talerze. Dopiero teraz poczuła, że jest bardzo głodna.

— Prawie codziennie. Nie lubię gotować, więc gdy wracam z pracy, zwykle zaglądam najpierw tutaj.

— Samotny łowca — uśmiechnęła się. — Zawsze tak było?

— Nie zawsze. Rozwiodłem się jakiś czas temu — odparł Krzysztof obojętnie. — Moja żona źle znosiła nocne wezwania i uważała, że nie jest dla mnie dość ważna. Była młoda, ładna i miała dość wiecznej niepewności, czy mąż wróci po służbie do domu.

— Miała rację?

— W pewnym sensie. W końcu wiedziała, z kim się wiąże. Nie ukrywałem przed nią swojego zawodu. Dość szybko poradziła sobie z problemem i znalazła zastępstwo na te noce, których nie mogłem spędzić w domu. A potem uznała, że zastępca lepiej zaspokaja jej potrzeby.

— Przykro mi.

— Było, minęło.

— Mój mąż był łajdakiem — zdobyła się na wyznanie Ewa, chociaż Sobolewski o nic nie pytał. — Pewnie wciąż nim jest.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo na to zasłużył. Siedzi za przemyt dzieł sztuki. Nim go zamknęli, potrafił być bardzo nieprzyjemny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Długo z nim wytrzymałaś?

— Zależy, jak na to patrzeć. Trzy lata pod jednym dachem i jeszcze półtora roku w oczekiwaniu na orzeczenie sądu — powiedziała, niechętnie przyznając się do największego życiowego błędu.

— Twarda z siebie sztuka.

— Raczej głupia — odparła. — Naprawdę nie ma się czym chwalić.

— Jak to się stało, że za niego wyszłaś? — spytał, licząc na to, że dowie się czegoś o niej samej. Jakich mężczyzn wybiera? Na co zwraca uwagę? Czego oczekuje w zamian? — Taka kobieta jak ty... — kontynuował, czując, że zapuszcza się na grząski teren — atrakcyjna, z szerokimi horyzontami, stopniem naukowym...

— I zanikającym instynktem samozachowawczym? — dokończyła za niego, uśmiechając się gorzko. — Imponował mi. Wiedzą i inteligencją. Potrafił być błyskotliwy i ujmujący. Szarmancki w stosunku do kobiet. Trudno w to uwierzyć, ale niektóre znajome uważały, że wygrałam los na loterii. Nie znały go. Ja też go nie znałam. Dopiero później wyszła na jaw jego prawdziwa natura. Umiał być okrutny bez stosowania przemocy i uciekać się do niej w sytuacjach naprawdę nieprawdopodobnych. Właściwie nie wiem, po co ci to mówię — próbowała się usprawiedliwić.

— W porządku — uspokoił ją. Wydawał się zainteresowany jej opowieścią. Może kolekcjonował podobne historie? Był detektywem, w jakimś stopniu musiał być także psychologiem.

— Nie bałam się go — mówiła dalej Ewa, zamierzając dokończyć myśl. — Wtedy wiedziałam już o nim wystarczająco dużo, by umieć przewidzieć, jak się zachowa. Powiedzmy, że się z nim nie nudziłam.

— Widzę, że oboje jesteście rozbitkami — w głosie Krzysztofa pobrzmiwały ciepłe tony.

— Na własne życzenie.

— Niewiele kobiet byłoby tego zdania. Większość uznałaby się za ofiary.

— I pewnie znosiłaby dalej tę sytuację w imię wyższych uczuć? Na ogół to kobieta wybiera partnera. I chyba może mieć pretensje tylko do siebie, jeśli się pomyli w ocenie. Ja się pomyliłam. To się zdarza i nie ma w tym nic wstydliwego, jeśli się umie powiedzieć „nie” w odpowiednim momencie.

Kelner przyniósł kanapki, więc Ewa skorzystała z okazji, by zmienić temat. Widmo byłego męża oddaliło się i znikło, uwalniając ją od wspomnień, do których rzadko i niechętnie wracała.

— A co w pracy? — zagadnęła, wbijając zęby w ciepłe pieczywo.

Krzysztof przyjrzał się jej z namysłem.

— Daleko odeszliśmy od dzisiejszej popołudniowej rozmowy, skoro mnie o to pytasz, zamiast obrzucać inwektywami

— odparł. — Niestety, niewiele mogę ci powiedzieć. Dlatego lepiej porozmawiajmy o czymś innym.

— Zawsze jesteś taki zasadniczy? — w głosie Ewy brzmiało niedowierzanie.

— Staram się — mruknął. — Dzięki temu mam w pracy jakieś efekty. To dość istotne, gdy brak sukcesów w życiu prywatnym. Nie patrz tak na mnie. Przyzwyczailem się i nie robię z tego tragedii. A od pięknych kobiet nie oczekuję pocieszenia, zresztą nie nadajesz się na siostrę miłosierdzia — powiedział z uśmiechem.

— A na kogo się nadają?

Patrzyli na siebie w milczeniu, oboje w równym stopniu zdumieni zwrotem w rozmowie i skrępowani przedłużającą się ciszą. Krzysztof, zaskoczony pytaniem, nie wiedział, jak mógłby wykręcić się od odpowiedzi. W ciągu ostatnich kilku godzin zdążył pomyśleć, że chętnie poznałby Ewę bliżej. Wyobraził sobie także, że mógłby zmniejszyć dzielący ich dystans, gdyby miał pewność, że ona tego właśnie oczekuje. Jednak na tym etapie znajomości szerokość stolika wydawała mu się odległością nie do pokonania.

— Za krótko się znamy. Ale może kiedyś będę mógł odpowiedzieć na twoje pytanie — powiedział w końcu, unikając jej spojrzenia. — A teraz pokaż mi wreszcie ten nieszczęsny szkielec — poprosił, biorąc do ręki liczącą kilkadziesiąt stron pracę. — To niesamowite, że ty i Cyryl tak dobrze ją zapamiętaliście.

— To dlatego, że temat był fascynujący. Rafał lubił relacjonować nam najciekawsze ze swoich odkryć. Chcąc nie chcąc zaangażowaliśmy się w jego badania. Mieliśmy tyle czasu...

— powiedziała z nostalgią. Cieszyła się, że rozmowa znowu stała się bardziej rzeczowa. Popatrzyła na Krzysztofa niespokojnie, ale on nie pamiętał już słów, które wypowiedział przed chwilą. —Wszystko nas interesowało. Pewnie dlatego rysunki utkwiły nam w pamięci.

Krzysztof przekartkował trzymaną w ręku pracę i skupił się na rycinach. Przedstawiały ludzkie szczątki, ułożone w jamach grobowych w zastanawiających pozach.

— Zacznijmy od katalogu — zaproponowała Ewa. — Tam zestawione są wszystkie pochówki i dzięki temu łatwo można je porównać.

Zmieniła miejsce i usiadła obok Sobolewskiego. Nieoczekiwanie dystans, o którym detektyw myślał jeszcze przed chwilą, zniknął, gdy oboje pochylili się nad publikacją. Ewa odebrała mu ją i otworzyła w odpowiednim miejscu.

Pachniała zupełnie inaczej niż żona, której perfumy wciąż stały w jego łazience, zostawione przez zapomnienie, a może po to, by gnębić go jeszcze długo po jej odejściu. Krzysztof był zdania, że zapach określa

człowieka tak san o jak strój, zdradza styl, upodobania, naturę, nawet temperament. Ewa pachniała wanilią i cytrusami. Ananasem. Melonem. Pomarańczą. Intensywna świeżość tej mieszanki, a także bijące od Ewy ciepło (mężczyzna pomyślał, że zawdzięcza je wanilii) oszołomiły go. Przeczyły zimie za oknem, wirującym w powietrzu płatkom, które dostrzegął w świetle ulicznych lamp.

— Spójrz — głos Ewy przerwał jego rozważania. Pokazała mu tabelę.

W katalogu wyszczególniono 28 pochówków, w tym aż 16 skrzepowanych i 5 ułożonych na boku. Zdecydowaną większość stanowiły szczątki mężczyzn. Wśród zabiegów, mających uniemożliwić zmarłym opuszczenie grobów, znalazły się

— poza krępowaniem ciała i układaniem go na boku, co miało utrudnić wydostanie się z ziemi na powierzchnię — wspomniane już tego dnia przez Ewę przebijanie piersi kołkiem lub nożem, przebijanie czaszki, odcinanie głowy lub kończyn, ćwiartowanie (Krzysztofowi przemknęło przez głowę, że Krawiec na szczęście darował sobie bardziej spektakularne rozwiązania), przywalenie kamieniami, ułożenie zwłok na brzuchu, twarzą do ziemi lub ich częściowe spalenie. Doprawdy, wyobraźnia ludzi mieszkających na ziemiach polskich w średniowieczu mogła zaskakiwać nawet przywykłego do wstrząsających obrazów policjanta. Sobolewski miał tylko nadzieję, że podobne operacje wykonywane były po śmierci, a nie za życia domniemanego wampira.

— Wydaje mi się, że znalazłeś właśnie odpowiedź na jedno ze swoich pytań. Rafał wymienił chyba wszystkie zabiegi antywampiryczne. A co do krępowania zwłok przed włożeniem do grobu, pisze nie tylko o więzach, ale i o zawijaniu w tkaninę.

— Tak, zauważyłem. Dość przygnębiająca lektura... — Krzysztof przerzucał strony, szukając omówienia poszczególnych grobów. — Chciałbym jeszcze rzucić okiem na opisy szkieletów, pasujących do naszych ofiar. Związanych i ułożonych na boku jest zaledwie pięć.

— Zaledwie? To prawie 20 procent! — zaoponowała Ewa.

— Na twoim miejscu przeczytałabym tę pracę od deski do deski. Nie mamy żadnej pewności, że morderca skończył swoje dzieło, prawda?

— Nie mamy — potwierdził policjant ponuro, zastanawiając się, czy Ewa nie ma przypadkiem ukrytych zdolności telepatycznych. Dzisiejsza ofiara, o której jej jeszcze nie powiedział, bo wciąż zastanawiał się, czy powinien, wyglądała niemal identycznie, jak poprzednia. Z jedną maleńką różnicą. Sobolewski był przekonany, że szczególnie ten ma znaczenie, dlatego od razu z miejsca zdarzenia pojechał do biblioteki, by między wierszami pracy naukowej nie z tej ziemi szukać potwierdzenia swoich przypuszczeń. Ewa mogła mu w tym pomóc i to i owo wyjaśnić. Tymczasem w jej obecności nie potrafił się skoncentrować. Czas płynął, a do niego docierał sens pojedynczych zdań.

— Bardzo ciekawe — usłyszał jej komentarz. Chciał przewrócić stronę, ale mu nie pozwoliła. — Tu jest napisane, że jeden ze szkieletów leżał na lewym boku, ale z lewą nogą założoną na prawą. Wyobrazasz to sobie?!

A niech ją. Czy zawsze trafiała w sedno, czy był to tylko kolejny zbieg okoliczności? Krzysztof przebiegł wzrokiem wskazany przez nią fragment, porównując opis z ciałem, które widział kilka godzin temu. Zamarznięte zwłoki leżałyby nad Wisłą bardzo długo, gdyby nie pies, który zaczął szarpać sztywne, lodowate fałdy czerwonej tkaniny. Śnieg dopiero zaczynał sypać i nie zdążył okryć niepokalaną bielą tego, co kryły. Drobnej męskiej sylwetki, białych, twardych jak marmur ramion i rąk wyciągniętych wzdłuż ciała. Splecionych nienaturalnie nóg, związanych w kolanach i kostkach. Sobolewski zwrócił uwagę na to, że lewa była na wierzchu, mimo że denat leżał na lewym boku.

Nie mógł dłużej udawać, że poranne skojarzenie Ewy nic go nie obchodzi. Czy tego chciał, czy nie, trzymał w dłoni klucz do rozwiązania zagadki. Morderca zbyt dosłownie traktował tekst pracy, która stała się jego przewodnikiem, by można było mówić o przypadku. Zbyt dużo uwagi poświęcał ułożeniu zwłok, by było to bez znaczenia. Nie do wiary, myślał policjant, gość bawił się w egzekutora i stosując określone reguły eliminował mężczyzn, którym przypisywał cechy wampiryczne. Czyli jakie? Krzysztof tego właśnie musiał się dowiedzieć. Im szybciej pozna kryteria selekcji ofiar, tym większe będzie miał szanse, by ująć sprawcę i

uratować życie tym, którzy mieli być następni. Zdał sobie sprawę, że jutrzejsze spotkanie, na które umówiła ich Ewa, powinno wiele wyjaśnić. Wciąż nie znalazł motywu, ale postępowanie Krawca kojarzyło mu się z makabryczną zabawą. Może szukał rozrywki i sposobu na nudę? Może był chory psychicznie? Albo oglądał zbyt dużo horrorów? Bez względu na to, jak było naprawdę, Krzysztof mógłby przysiąc, że facet dobrze wie, co robi. Doskonale wszystko zaplanował. Zadawał śmierć nagle, nie pozostawiając ofiarom czasu na reakcję i obronę. W jaki sposób pozbawiał je życia? Co robił, że umierały błyskawicznie, nawet o tym nie wiedząc?

— Dlaczego milczysz?

Ewa. Zupełnie zapomniał o jej obecności.

— Co się stało dzisiaj po południu? — zaczęła się dopytywać, widząc, że zwleka z odpowiedzią. — Spieszyłeś się! Tylko mi nie mów, że on znów kogoś zabił!

Trudno było cokolwiek przed nią ukryć. Sobolewski uznał, że nie ma sensu zaprzeczać. Był Ewie winien wyjaśnienie. Gdyby nie jej intuicja, wciąż nie umiałby z niczym powiązać zabójstw, które od maja spędzały mu sen z powiek.

— To już piąty — powiedział. — Tak właśnie leżał. Z lewą nogą założoną na prawą.

— Czy poza tym czymś się wyróżniał?

— Nie — powiedział po namyśle. — Zwykły facet. Niewysoki, raczej szczupły. Brunet. Z ciemnym zarostem na twarzy i wyraźnymi, tworzącymi jedną linię brwiami. — Krzysztof pamiętał, że bardzo mocno kontrastowały z kolorem ciała i śniegiem, którego było coraz więcej. — Wygląda na to, że twoja teoria jest mniej dziwaczna, niż na początku sądziliśmy. Chciałbym ci podziękować za pomoc.

— Jutrzejsze spotkanie — przypomniała mu. — Masz szansę spłacić dług wdzięczności.

— Nigdy nie rezygnujesz, co? Dobrze, pojedziemy razem. Ale nie z powodu moich długów względem ciebie — uśmiechnął się. — Naprawdę uważam, że możesz się przydać.

W kuchni Cyryła świeciło się światło. Ewa odetchnęła, widząc żółty blask lampy, sączący się przez żaluzje. Przyjaciel często wracał do domu po nocy, a klatka schodowa nie była najprzyjemniejszym miejscem oczekiwania, aż się zjawi dla kogoś, kto — jak ona — walczył z sennością, zimnem i zmęczeniem. Krzysztof włączył ogrzewanie w samochodzie, ale i tak trzęsa się jak w febrze i miała lodowate ręce. Marzyła o gorącej kąpieli.

— Wejdiesz? — spytała.

— Nie, już późno.

Wysiadł, by wyjąć z bagażnika jej podróżną torbę.

— Poradzisz sobie z nią?

— Zawsze sobie radzę — powiedziała, zakładając pasek na ramię. — Dziękuję za podwiezienie.

— To ja dziękuję. Za całokształt — dodał, mając na myśli to, czego się od niej dowiedział i wieczór, który razem spędzili. — Cieszę się, że prawie wpadłaś mi pod samochód.

— Nie prawie. Przecież wpadłam — uściśliła.

— Ale nie zrobiłem ci krzywdy. Nigdy bym nie zrobił — zapewnił i jego słowa w nocnej ciszy zabrzmiały jak wyznanie.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Po prostu wiem.

— Dobranoc, detektywie — odparła Ewa, która tego dnia miała już dość niejednoznacznych męskich zachowań. Wołała ich nie interpretować. Znowu przypomniał jej się Piotr, o którym nie pomyślała, odkąd wyszli z biblioteki. Obraz zamglił się i znikł. Pamięć spletała Ewie figła, podsuwając jej inne wspomnienie sprzed kilku godzin. Krzysztof, zapalający papierosa, patrzył na nią jasnymi oczami, w których odbijał się pomarańczowy płomień zapalniczki.

XIII

Żarty się skończyły. Nikt już nie składał propozycji, ani nie sugerował, jak powinien postąpić. Jego decyzje nikogo nie interesowały, emocje były bezlitośnie wykpiwane, a zawołane groźby, do których początkowo nie przywiązywał wagi, nagle nabrały znaczenia, odkąd zaczęły brzmieć jak obietnice. Był przekonany, że ich wypełnienie jest jedynie kwestią czasu, więc zapisywał je w kalendarzu pod stosowną datą, niezmiennie zafascynowany treścią listów, ale także coraz bardziej przerażony.

Ciągle przychodziły. Jeden, czasem nawet dwa dziennie. Rzadziej jeden na kilka dni. Nie umiał przewidzieć częstotliwości, z jaką trafiały do jego rąk. Miał jednak wrażenie, że z biegiem dni było ich coraz więcej, jakby sprawca przestraszył się, że nie zdąży powierzyć mu wszystkich mrocznych sekretów i próbował prześcignąć czas.

Zabawa, którą wymyślił, była nie do przyjęcia. Gwarantowała rozrywkę tylko jednemu z uczestników, nic więc dziwnego, że mu się nie podobała. Odrzucał rolę, wyznaczoną przez mordercę. Nie chciał brać udziału w upiornym teleturnieju, o którym świat miał się dowiedzieć z opóźnieniem, już po jego śmierci. I oczywiście nie chciał umierać.

Tymczasem grając według zasad przeciwnika, który mienił się jego współnikiem, nie miał żadnych szans na przeżycie, nawet gdyby przypadkiem odkrył jego tożsamość. Nie przypuszczał, by słowo człowieka zabijającego dla przyjemności miało jakąkolwiek wartość. Dlatego też nie zastanawiał się, kim jest i nie starał się odgadnąć jego nazwiska, bo i tak żadne nie przychodziło mu do głowy.

Od czasu do czasu myślał o rozwiązaniu, które położyłoby kres dziwnej korespondencji, a jego uwolniło od strachu. Miał kilka pomysłów, ale nie mógł się zdecydować na realizację żadnego z nich.

Jedenaście dni, siedem do pierwszego telefonu — napisał morderca. List nie był datowany, a stempel przypominał nieczytelną plamę... Ile z nich już minęło?

I ile miał jeszcze przed sobą?

Sobolewski nie mógł wyjść z biura. Obłożony papierami, które powinny trafić do jego przełożonego jutro z samego rana, przeklinał raporty, sprawozdania i protokoły, które na ogół utrudniały wykonywanie obowiązków, a już na pewno obniżały efektywność pracy i spowalniały śledztwo. Krzysztof zwykle zapominał o ich sporządzaniu na bieżąco i potem tracił cenne godziny, by procedurom stało się zadość. Rano wydawało mu się, że zdąży nadrobić zaległości, ale około piętnastej był gotów się poddać. Już wiedział, że to będzie bardzo długi dzień. Zrezygnowany, jeszcze raz popatrzył na zegarek i zadzwonił do Ewy.

— Posłuchaj — odezwał się, gdy odebrała. — Czy mogłabyś spróbować przełożyć nasze dzisiejsze spotkanie? Nie dam rady wyjść z pracy przed siedemnastą. I nie dam rady się z tobą dzisiaj zobaczyć, pomyślał, ale tego już nie powiedział. Dla Ewy z pewnością nie miało znaczenia to, że nie mógł przestać o niej myśleć.

— Nic z tego. Ona wyjeżdża na jakieś zagraniczne sympozjum, dlatego zgodziła się z nami zobaczyć tak szybko. Następny wolny termin za tydzień. Chcesz czekać tak długo?

Nie chciał. Ale chyba nie było innego wyjścia.

— Nie wiem — zastanawiał się gorączkowo. Przyszło mu do głowy, że mógłby ją prosić, by pojechała na spotkanie sama. Żaden z jego podwładnych nie wiedział tyle, co ona. Poza tym miała instynkt i zawsze zadawała właściwe pytania. Niezwykła zdolność, a może skłonność umysłu, którą chciałby wykorzystać. Co więcej, Sobolewski jej ufał. Od czasu do czasu zdobywał się wobec siebie na szczerą i stwierdzał, że nie chodzi tylko o zaufanie. Niestety, jako niewolnik przepisów i zasad, które tylko czasem wyznawał, mimo że na ogół się do nich stosował, miał związane ręce. Wystarczy, że wciągnął Ewę w tę mroczną historię, pokazał zdjęcia z miejsca zbrodni, pozwolił, by poznała szczegóły. Nie

powinien tego robić. I choć to, czego się dowiedział, zawdzięczał wyłącznie jej, nie mógł się nią wyręczyć w tak istotnej sprawie. Westchnął z rezygnacją.

— To jak? — usłyszał pytanie.

— Odwołaj dzisiejsze spotkanie i umów się najszybciej, jak to możliwe — polecił, na chwilę zapominając, że Ewa nie jest jednym z jego podwładnych.

— Jesteś pewien?

— Niczego nie jestem pewien. Ale nie mam innego pomysłu.

Ewa miała, ale wolała zachować to dla siebie.

— Jak ona się nazywa? — spytał jeszcze Sobolewski.

— Skrzynecka. Dlaczego pytasz?

— Skądś znam to nazwisko — zastanawiał się przez chwilę.

— Zresztą... mniejsza o to. Potem sobie przypomnę. Daj znać, jak coś ustalisz. Albo nie. Zadzwonię do ciebie wieczorem.

Nie mógł sobie odmówić przyjemności zamienienia z nią choćby kilku słów jeszcze tego samego dnia.

— Służbowo — powiedział na głos do komputera, który przeszedł właśnie w stan czuwania. W ciemnym monitorze Krzysztof zobaczył siebie i z trudem zniósł własne badawcze spojrzenie. Naprawdę robię, co mogę, pomyślał, ale dotąd nie miałem szczęścia i mogę go nie mieć także tym razem. Dlatego nie miej mi za złe, jeśli wykorzystam każdy sposób, by się do niej zbliżyć.

Dotknął myszy i obraz znikł. Znowu był sam ze swoimi planami, pragnieniami i długą listą dokumentów do uzupełnienia.

Ewa nie zamierzała niczego odwoływać. Zawsze lubiła kontrolować bieg wydarzeń, postanowiła więc, że porozmawia ze Skrzynecką sama. Krzysztof nie musiał o tym wiedzieć. Jakoś mu to później wyjaśni i mężnie zniesie jego gniew. Jej jedyną wątpliwość budził brak stosownej legitymacji, uprawniającej ją do złożenia wizyty i zadawania niecodziennych pytań. Ale i na to znalazła sposób. Był przecież Cyryl. Wystarczyło uciec się do drobnego kłamstwa, by zgodził się jej towa-

rzyszyć. Przez chwilę miała skrupuły, ale szybko się rozgrzeszyła. Odkładanie rozmowy z panią ekspert było ryzykowne. Przecież w każdej chwili mógł zginąć człowiek. Czy Sobolewski nie zdawał sobie z tego sprawy? Jak zamierzał powstrzymać mordercę, skoro wciąż nie wiedział, według jakiego klucza Krawiec wybiera swoje ofiary?

Drugim problemem była lista pytań. W tej kwestii Ewa musiała zdać się na intuicję. Nie miała czasu, by się przygotować.

Cyryl, do którego zadzwoniła, gdy rozważyła już wszystkie za i przeciw, nie wierzył własnym uszom. Widocznie drobne kłamstwo jej autorstwa nie było tak wiarygodne, jak się spodziewała.

— To, że spędziłaś wczoraj wieczór z Krzysztofem i nie pozabijaliście się nawzajem, jest już wystarczająco dziwne

— powiedział. — Chcesz mi teraz wmówić, że wysłała cię na spotkanie, na które sam nie może jechać? Niemożliwe.

— Nas wysłała — sprostowała — nas. I nic nie chcę ci wmawiać. Pytam, czy ze mną pojedziesz.

— To chyba jasne. Po pracy jestem wolnym człowiekiem. W domu nie czeka na mnie nikt poza kotem. A swoją drogą, coś ty zrobiła, że nasz przyjaciel nagle nie może się bez ciebie obyć?

— Bądź poważny. Nic nie zrobiłam. Przecież powiedziałam ci wszystko wczoraj wieczorem — broniła się Ewa.

— Taaa... — w głosie Cyryła słychać było sceptycyzm. Udała, że go nie zauważa.

Zachowanie Sobolewskiego może rzeczywiście wykraczało poza zwykłą uprzejmość i życzliwość, ale tego Cyryl nie musiał już wiedzieć. Znał jednak policjanta wystarczająco dobrze, by z niedowierzaniem wysłuchać jej opowieści. Nie krył przy tym podziwu. Krzysztof, który unikał kobiet i głośno mówił o emocjonalnej impotencji, cudownie ozdrowiał. Obyło się bez kosztownej terapii, porad psychologa i łykania niebieskich tabletek. Ewa postawiła go na nogi w kilka godzin.

— Jesteśmy umówieni o 17.30. Wpadnij po mnie do domu — powiedziała, nie wdając się w wyjaśnienia. Myślami była już gdzie indziej. Zastanawiała się, jak rozmawiać z doktor Skrzynecką, panią

antropolog, specjalizującą się w demonologii ludowej ze szczególnym uwzględnieniem wampirów, zwanych także upiorami, i o co zapytać, by wyjaśnić motywy, którymi kierował się morderca. Jak dotrzeć do informacji, które pozwoliłyby zrozumieć, dlaczego pięciu mężczyzn znaleziono niemal w tym samym miejscu, w podobnych okolicznościach? Nagle zaczęła się obawiać, że przeceniła swoje możliwości. Była tylko naukowcem. I choć jej praca polegała na wyciąganiu wniosków, dotąd miała do czynienia z konkretnymi danymi. Teraz miała kluczyć w labiryncie informacji, szukając w nim elementów, najlepiej pasujących do układanki. Pomyślała, że jest bezradna, bo nie wie, od czego zacząć.

Niewesołe rozważania przerwał nagły dźwięk telefonu. Ewa drgnęła nerwowo. Głuche wibracje leżącego na stole aparatu w ciszy mieszkania brzmiały nieprzyjemnie i budziły trudny do wyjaśnienia niepokój. Numer zastrzeżony. Odebrała niechętnie.

— Słucham — odezwała się, przyjmując na kanapie wygodniejszą pozycję na wypadek, gdyby rozmowa miała trwać dłużej niż kilka minut. — Słucham — powtórzyła zniecierpliwiona. Odpowiedziała jej cisza. Zamiast się rozłączyć, trwała z telefonem przy uchu, wsłuchując się w nią kilkadziesiąt sekund. Osoba po drugiej stronie postąpiła tak samo. Milczenie nagle nabrało znaczenia i Ewa usłyszała w nim groźbę. Spojrzała na licznik rozmowy. Półtorej minuty. Wystarczająco długo, by zdobyć pewność, że to nie pomyłka. By przerwać połączenie lub przedłużyć je z nadzieją na jakiegokolwiek wyjaśnienie. Poddała się po dwóch minutach. Czego powinna się bać? A raczej kogo? Przez chwilę żałowała, że jest sama w domu, ale zaraz przypomniała sobie, że wkrótce pojawi się Cyryl. Nie chciała się bać. W gruncie rzeczy nie miała przecież powodu. To tylko telefon... Popatrzyła na urządzenie z odrazą. Musiała wziąć się w garść, jeśli miała się tu jeszcze na coś przydać.

Rozległy pięciopiętrowy budynek miał kolor brudnego beżu. Otoczony dość wysokim ogrodzeniem, był czysty i zadbane, jakby wczoraj oddano

go do użytku. Sprawiał miłe wrażenie i Ewa z zazdrością popatrzyła na rozświetlone okna. Nie miałyby nic przeciwko temu, by tak mieszkać. Jej szczecińskie mieszkanie przy nowoczesnych, jasnych wnętrzach z pewnością wyglądałoby jak nora. Westchnęła, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Cyryl zaparkował, wyłączył silnik i spojrzał na nią pytająco.

— Idziemy — powiedziała, starając się ukryć zdenerwowanie. Nie czuła się najlepiej w roli, którą sobie narzuciła. Obecność Cyryla tylko nieznacznie poprawiła jej samopoczucie. Dzięki niej przewinienie, którego zamierzała się dopuścić, jej samej wydawało się mniejsze.

— Posłuchaj, nie musimy tego robić — usłyszała. Przyjaciel patrzył na nią z niepokojem. — Krzysztof nie powinien cię do tego mieszać.

— Nas mieszać — poprawiła go, bo nie spodobało jej się to, co powiedział. Zamierzała upierać się przy tej wersji do samego końca.

— Daj spokój. Ja jestem tylko statystą, który w drzwiach machnie odpowiednim dokumentem. Albo, jeśli wolisz, twoją akredytacją na tę imprezę.

— Dzięki za wyjaśnienie. Od razu lepiej się czuję—mruknęła Ewa, z wahaniem wybierając numer lokalu. Mimo wszystko odetchnęła z ulgą. Dobrze, że chociaż obecność jednego z nich przed blokiem pani doktor była uzasadniona. W pewnym sensie.

Czekali długo. Domofon zabrzączał po kilkunastu sekundach, gdy już mieli odejść, pewni, że Skrzyneckiej nie ma w domu.

— Spodziewa się nas, ale widać lubi, gdy się na nią czeka — powiedział Cyryl z dezaprobatą. — Mam nadzieję, że nie jest nadętym babskiem, które zjadło wszystkie rozumy.

Ruszył wzdłuż budynku, szukając właściwej klatki.

— Wolałbyś kogoś w typie kobiety-wampa? — dobiegło go z tyłu pytanie Ewy. Odniosł wrażenie, że uśmiecha się do swoich wyobrażeń. — Biorąc pod uwagę jej zainteresowania, powinna nas przyjąć w czerni, z gotyckim makijażem na twarzy.

— Wolałbym kogoś, z kim da się porozmawiać — sprowadził ją na ziemię. — To chyba niezbyt wygórowane żądanie, prawda?

— Więc może zostanie spełnione — usłyszał jej odpowiedź, nim otworzyły się przed nimi drzwi windy.

Cyrylowi najwyraźniej sprzyjało szczęście. Doktor Skrzynecka okazała się kobietą o przyjemnej powierzchowności. Ewa doszła do wniosku, że byłaby więcej niż ładna, gdyby nie jej nadmierna szczupłość, a nawet pewna kanciastość sylwetki, zaskakująca u kobiety. Na ich widok uśmiechnęła się życzliwie, choć bez specjalnej sympatii, i po słowach powitania odsunęła się, by mogli wejść do mieszkania.

— Państwo wybaczą — powiedziała, bawiąc się rękawem długiego wełnianego swetra, który miała na sobie. Był czarny (a jednak, pomyślała Ewa, wpatrując się w jego skomplikowany wzór, biegnący wokół interesującego dekoltu) — ale chciałabym zobaczyć państwa legitymacje. Przez telefon wspomniała pani, że chodzi o swego rodzaju konsultację.

— Jedna wystarczy? — spytała Ewa, nagle zdając sobie sprawę z milczenia Cyryła, który nie zadał sobie trudu, by powiedzieć cokolwiek, choćby „dzień dobry”. W ciasnym korytarzu nie mogli stać obok siebie, więc został z tyłu. Teraz bez słowa wyjął z kieszeni kurtki legitymację policyjną i wyciągnął ją w kierunku kobiety. Przyglądała się fotografii dłużej, niż to było konieczne, a później przeniosła wzrok na jego twarz. W jej oczach Ewa dostrzegła skupienie i czujność.

— Ładne zdjęcie — rzuciła Skrzynecka od niechcenia. Uśmiechnęła się lekko, z pewnym przymusem, jakby robiła to tylko dlatego, że tak wypadało, i uznawszy pierwszy etap spotkania za zakończony, gestem zaprosiła ich w głąb mieszkania. Ruszyli za nią, lawirując między meblami. Z lewej strony, zza zamkniętych drzwi dobiegł ich dźwięk, przypominający drapanie. — To pies. Nie lubi obcych — wyjaśniła kobieta, chociaż żadne z nich o nic nie zapytało.

Mieszkanie było urządzone ze smakiem, choć dominowały w nim raczej ciemne barwy. Ewie wydało się dość mroczne, tak z powodu kolorystyki, jak i przytłumionego światła i dość nietypowego umeblowania. Wąski przedpokój w kształcie litery „E” wiodł do sporego salonu, w którym prawie dwie ściany zajmował gigantyczny regał z

niemal czarnego drewna, od góry do dołu zastawiony książkami i płytami DVD. Musiał być kilkakrotnie większy, niż ten w mieszkaniu Cyryla. Zbiory ustawiono na półkach pod linijkę i niewykluczone, że także alfabetycznie lub zgodnie z jakimś innym, znanym właścicielce porządkiem. Ewa nie zapanowała nad odruchem i zbliżywszy się, zaczęła odczytywać tytuły na grzbietach wybranych tomów. Mimo wszystko panował wśród nich większy bałagan, niż się spodziewała. Pozycje jednego autora stały z reguły obok siebie, ale poza tym panowała zupełna dowolność. Obok *Miasteczka Salem* Stevena Kinga Ewa zobaczyła pisma Tertuliana i *Kroniki wampirów* autorstwa Anne Rice. Pierwszy tom tego cyklu, *Wywiad z wampirem*, znała z ekranizacji o tym samym tytule. Tom Cruise i Brad Pitt, przypomniała sobie natychmiast aktorów grających główne role, bo film zrobił na niej duże -wrażenie. Powieści zajmowały prawie całą półkę, poza polskimi były tu także wydania w języku angielskim. Im dłużej się przyglądała, tym większą miała pewność, że wszystkie znajdujące się tu tomy związane są z jednym tematem, a właściwie z jedną postacią. Anthony Masters *Naturalna historia wampira*, Suzy McKee Charnas *Gobelin z wampirem*, *Drakula* Brama Stokera, *Wampiry i wilkołaki* Erberta Petoj, *Vampirinnen* Petry Flocke, w końcu *Wampir. Biografia symboliczna* Marii Janion. Niezliczone metry bieżące półek, wypełnionych książkami o mrocznej stronie ludzkiej natury. Sama nie wiedziała, po co czyta wciąż nowe tytuły. Miała ochotę obejrzeć także płyty, ale grzbiety pudełek były węższe, a litery napisów mniejsze. Ewa nie chciała uchodzić za wścibską. Zidentyfikowała jedynie *Nieustraszonych pogromców wampirów*, co tylko potwierdziło jej przypuszczenia. To chyba Polańskiego, zdążyła pomyśleć, nim zdała sobie sprawę, że w pokoju jest nienaturalnie cicho.

Odwrociła się zaniepokojona i stanęła oko w oko z Nosferatu. Wisząca na ścianie czarnobiała fotografia ze słynnego filmu Murnaua, oprawiona w wąską, bardzo prostą, metalową ramę, przedstawiała odtwórcę roli tytułowej Maksa Schrecka. Stał w otwartych ostrołukowych drzwiach ponurej siedziby, znajdującej się gdzieś w Karpatach. Kadr był na tyle znany, że o pomyłce nie mogło być mowy. W

półmroku pokoju wyglądał jednak dość niesamowicie i Ewa poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Pomyślała, że zdjęcie musiało kosztować majątek. Skąd ona je wzięła? I gdzie jest Cyryl? — zadała sobie pytanie, bo wydało jej się, że jest w pomieszczeniu sama.

Myliła się jednak. Byli tu oboje. Zajęci swoimi myślami nie odzywali się do siebie, nawet na siebie nie patrzyli. Kobieta siedziała na sofie i bawiła się papierosem, Cyryl, odwrócony do niej tyłem, stał w oknie i wyglądał na ulicę. Lubił to robić. Uspokajało go przekonanie o własnej anonimowości. W ten sposób zapewniał sobie neutralność i ustalał dystans. Od czego dystansował się w tej chwili?

Ich zachowanie było zaskakujące i Ewa poczuła nagle, że im przeszkadza, choć nie umiałyby wyjaśnić, skąd wzięło się to przeświadczenie. Odchrząknęła i układ uległ zmianie. Mężczyzna odwrócił się, a Skrzynecka natychmiast wstała.

— Nie chciałam pani ponaglać — powiedziała, chowając papierosa do pudełka. Gdy się pochylała, w dekolcie swetra pojawił się na chwilę rąbek czarnej bielizny. Cyryl, który to dostrzegł, z wysiłkiem odwrócił wzrok, udając, że obserwacja ciemnej ulicy pochłania go bez reszty. Ewa, zapatrzona w jego szerokie plecy, zaczęła się zastanawiać, o co, do diabła, w tym wszystkim chodzi.

— Czego się państwo napiją? Herbata, kawa, coś mocniejszego?

— Ja prowadzę — rozległo się od strony okna. Nie do wiary, że w końcu przemówił. Wyglądało na to, że ma wielką ochotę się napić. Ewa pierwszy raz słyszała, by odmawiał w taki sposób. Sama była zdziwiona, bo nie przyszło jej do głowy, że można proponować gościom alkohol podczas tego rodzaju spotkania.

— Ja też dziękuję — potrząsnęła rudą głową. — Wystarczy kawa.

— I dla mnie — to znowu Cyryl, jakby wracał z bardzo daleka. — Potrzebuje pani... — zawahał się na moment, bo słowa z trudem przechodziły mu przez gardło — ...pomocy w kuchni?

— Nie, proszę zostać i dotrzymać pani towarzystwa. Zaraz wracam.

Wyszła z pokoju i po chwili po drugiej stronie zakrzywionego korytarza, tam, gdzie kończyła się krótsza część litery „L”, rozbrzdysło

światło. Cyryl nie odrywał oczu od jasnego prosto kąta kuchennych drzwi. Ewa milczała, bo w tej sytuacji było to najlepsze rozwiązanie. Nerwowo zagryzała wargi, starając się powstrzymać cisnące się na usta pytania.

— Słuchaj... — zaczęła w końcu półgłosem, gdy już nie mogła znieść ciszy, przerywanej jedynie dalekimi odgłosami: dźwiękiem gotującej się wody, brzękiem łyżeczek i szelestem odsuwanych szuflad. Nie zdążyła dodać nic więcej. Za długo zwlekała. Kawa była gotowa, a gospodyni z tacą w dłoni już wchodziła do salonu. Gdy stawiała ją na niskim stoliku, mężczyzna zamknął oczy, a Ewa zrozumiała, że w niczym jej nie pomoże. Była sama z problemem tylko dlatego, że on przedawkował testosteron. A może tak jej się wydawało?

— A zatem, o czym chcieli państwo ze mną rozmawiać?

— zapytała swobodnie Skrzynecka, gdy usiadły naprzeciw siebie, ona, jak poprzednio, na sofie, Ewa w wygodnym fotelu. Cyryl nie zmienił pozycji. Sięgnął tylko po kawę, usiłując skrócić pobyt przy stoliku do absolutnego minimum. Starał się przy tym nie patrzeć na siedzące kobiety. Teraz znowu tkwił w oknie, przysłuchując się wymianie zdań i ograniczając się jedynie do obserwacji z boku.

— Z uwagi na dobro śledztwa nie możemy udzielić pani żadnych wyjaśnień — powiedział do szyby, nim Ewa zdążyła się odezwać. Znowu ją zaskoczył. Może poziom testosteronu nie był aż tak wysoki, jak sądziła. — Prosilibyśmy jednak, by odpowiedziała pani na kilka pytań, związanych z tym, czym się pani zajmuje. Jako ekspert.

— Jako ekspert — powtórzyła kobieta, obdarzając go badawczym spojrzeniem, które zniósł mężnie. Widocznie nie mógł patrzeć jedynie na jej bieliznę, która, *notabene*, wyglądała na dość ekskluzywną, Ewa w myślach pozwoliła sobie na uszczypliwość. Głos rozmówczyni przywołał ją do porządku, mimo że zwracała się do Cyryła, nie do niej.

— Rozumiem, że nie powinnam o nic pytać?

— Raczej nie — potwierdził lakonicznie.

— Czy mógłby pan usiąść? Lubię widzieć twarze osób, do których mówię.

— Doprawdy? — spytał obojętnie, nie ruszając się z miejsca. — Nawyk zawodowy? Wykłada pani na uczelni?

— To chyba nie ma w tej chwili znaczenia? — Skrzynecka wciąż była uprzejma i opanowana. Filiżanka mężczyzny szczęknęła o spodek, który trzymał w drugiej ręce. Ewa zinterpretowała ten dźwięk po swojemu, chociaż nie mogła widzieć zaciśniętych na kremowej porcelanie dłoni przyjaciela, który za wszelką cenę starał się zachować spokój.

— Oczywiście — powiedział teraz. — Proszę zapomnieć, że tu w ogóle jestem. To nie powinno być trudne, prawda?

— Przeciwnie — odparła kobieta do pleców Cyryla. (Swoją drogą miała cierpliwość, musiała przyznać Ewa, coraz bardziej zirytowana jego zachowaniem i dziwną wymianą zdań).

— Zrobił pan wszystko, by mi to utrudnić.

Jeśli zamierzała skłonić go, żeby się odwrócił, to osiągnęła cel. Patrzył na nią tak, jakby był pewien, że się przesłyszał. Nie odezwał się, ale już nie wrócił do obserwacji ciemnej ulicy. Oparty o parapet pił kawę małymi łykami z obojętnością, która nie mogła nikogo oszukać. Ewa obserwowała go ze współczuciem, rozumiejąc, że zasłania się kruchą filiżanką jak tarczą. Przed czym się chronił i co chciał ukryć? Jego emocje były dość czytelne nawet dla niej, chociaż nie znała początku tej historii. Pomyślała, że powinna wyjść, ale przecież przyszła tu w określonym celu. Czas mijał, a ona nie zadała nawet jednego pytania. Cyryl trwał w inercji. Skrzynecka, widząc jej wahanie, spojrzała na nią pytająco.

— Wydaje się, że o wampirach wie pani wszystko — zaczęła Ewa, odwracając na moment głowę w kierunku regału.

— No cóż, z pewnością sporo — przyznała kobieta, spoglądając na książki z czułością, która nadała jej twarzy zupełnie nowy wyraz. Rysy złagodniały, a w oczach pojawił się jakiś szczególnie błysk, który Ewa zarejestrowała z pewnym zaskoczeniem. Mówiła z wyraźną przyjemnością. — Wampir jest postacią fascynującą. Przez całe stulecia powstawał z ludzkich wyobrażeń o tym, co może dziać się z człowiekiem po jego śmierci. Przejście z tego świata do krainy umarłych napawało

lękiem tych, którzy oplakiwali nieboszczyka, dlatego starali się, by na pewno dotarł do kresu drogi. Tam, skąd nie było już powrotu.

— Bali się śmierci?

— Nie bezpośrednio. W rzeczywistości bali się, że zmarły nie pozostawi ich w spokoju, ale będzie nękał żyjących członków rodziny, sprowadza! na nich nieszczęście i chorobę, by w końcu pociągnąć ich za sobą. Jeśli przyjrzy się pani współczesnej ceremonii pogrzebowej, odnajdzie w niej pani echa dawnych wierzeń. Wynoszenie trumny nogami do przodu, rzucanie na nią ziemi, coraz rzadsze wprawdzie, ale jeszcze praktykowane mylenie drogi na cmentarz, to zabiegi wynikające z tradycji. Dzisiaj nikt już nie wbija w serce osikowego kołka ani nie przywala grobu kamieniem. I prawie nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że rzucenie grudki ziemi na wieko trumny to w gruncie rzeczy złagodzony przez czas sposób „przekonania zmarłego”, że powinien zostać tam, gdzie jego miejsce, w zaświatach.

— Osinowy kołek to chyba najbardziej skuteczny sposób unieszkodliwienia wampira...

— Z pewnością jeden z najbardziej znanych i najbardziej spektakularnych—wyraziła opinię Skrzynecka. Słowa przychodziły jej z łatwością i widać było, że jest przyzwyczajona do audytorium. Na Cyryła przestała zwracać uwagę. Wyglądało na to, że nie przeszkadza jej nawet nieruchome spojrzenie jego ciemnych oczu. — I mocno zużyty przez światową kinematografię.

—A inne zabiegi? — spytała Ewa, którą wciąż niepokoiło zachowanie przyjaciela, ale skupiona na rozmowie, nie miała czasu dalej się nad nim zastanawiać.

— Było ich wiele. Układanie zmarłego na brzuchu, twarzą do ziemi, by nie mógł dostrzec promieni księżyca. Odcinanie głowy i układanie jej między nogami, tak, by nie mógł jej dosięgnąć rękami. Wkładanie do grobu ostrych przedmiotów: noży, sierpów, gwoździ, by się pokaleczył, wstając. Kaleczenie pięt. Przecinanie ścięgien pod kolanami. Palenie zwłok. Zasypywanie szczelin grobu makiem. Wkładanie w usta kamienia lub monety, by uniemożliwić gryzienie...

Cyryl poruszył się z cichym szelestem, a Ewa na moment przestała słyszeć. Jeszcze jeden element układanki wskoczył na swoje miejsce. Klik, klik. Monety, znajduwane w ustach ofiar, nie były bez znaczenia, a Charon odpływał pustą łodzią, bo nie były przeznaczone dla niego. Nawet on bał się sięgnąć po srebrne krążki i wyciągnąć je spomiędzy zaciśniętych szczęk leżących nieruchomo ofiar.

— ... zawiązywanie oczu opaską — kontynuowała wywód Skrzynecka, nie zwracając uwagi na dekoncentrację swojej rozmówczyni. — Wbijanie gwoźdźcia w pępek i posypywanie prosem. Wierzono, że wampir będzie je zbierał aż do świtu...

— Kim właściwie był wampir za życia? — przerwała jej w pół zdania Ewa, która nagle zapragnęła w jak najkrótszym czasie posiąść całą wiedzę siedzącej przed nią kobiety. Wiedzę, która, jak jej się wydawało, miała fundamentalne znaczenie dla śledztwa.

— Chodzi pani o to, czy każdego zmarłego obawiano się w równym stopniu?

— Właśnie.

— Na liście osób szczególnie niebezpiecznych byli wszyscy odmienicy: garbaci, kalecy, osobnicy z zajęczą wargą albo mający podwójne narządy. Proszę tak na mnie nie patrzeć, wiem jak to brzmi. Musimy jednak pamiętać, że kiedyś ludzie wierzyli w różne rzeczy. Na przykład osoba o dwóch sercach albo podwójnej liczbie zębów, o czym świadczyła nadmiernie rozwinięta szczęka, musiała być podejrzana.

— Dwóch sercach... — powtórzyła Ewa bezwiednie, czując, że jej pojedyncze, zupełnie normalne serce nagle przyspiesza i gubi rytm. Szumiało jej w uszach. — Przecież to absurdalne.

— Oczywiście — zgodziła się z nią Skrzynecka. — Jednak nie bardziej, niż inne wierzenia ludowe.

— A więc kalecy i wybryki natury. Kto jeszcze? Chorzy psychicznie? — odpowiedziała niepewnie.

— Oni także. Taki pogląd pojawił się nawet w psychiatrii w latach 70. ubiegłego wieku. Mianem wampirów określano schizofreników, bo obawiali się zamknięcia i żyli w odwróconym cyklu dziennym i nocnym.

Poza tym na liście byli również grabarze, którym często zarzucano nekrofilie, osoby, które zginęły gwałtowną śmiercią: samobójcy i topielcy, nie- ochrzczone niemowlęta, kobiety zmarłe podczas porodu lub w wyniku poronienia, ludzie wyróżniający się znacznym wzrostem oraz karły, osobnicy nadmiernie owłosieni, ze zrosniętymi brwiami i włosami po wewnętrznej stronie dłoni, a także mający nierówny oddech, na przykład chorzy na gruźlicę lub serce. Do tego proszę dodać również przestępców, zmarłych bez pojednania z Bogiem lub po długiej i męczącej agonii, dzieci zrodzone ze związków kazirodczych, urodzone w czepku albo jako siódme z kolei oraz grzesznych księży. Z grubsza rzecz ujmując to chyba wszyscy — powiedziała Skrzynecka na zakończenie, a Ewa ku swemu zaskoczeniu usłyszała w jej głosie ton złośliwej satysfakcji. Jakby cieszyła się, że jest ich aż tylu.

Właściwie wiedziała już dosyć, by mieć pewność, że jej hipoteza, którą Krzysztof chciał włożyć między bajki, jest słuszna. Ofiary właściwie pasowały do schematu. Mężczyzna po przeszczepie serca mógł uchodzić za kogoś obdarzonego podwójnym organem, chory na schizofrenię był współczesnym wampirem, a specjalista od tanatopraksji — pierwsza ofiara Krawca o ustalonej tożsamości — nowoczesnym odpowiedni-kiem grabarza-nekrofila, jakby zabójca chciał im pokazać, że idzie z duchem czasu. Gruba, zdecydowana linia brwi ostatniego zamordowanego zwróciła nawet uwagę Krzysztofa, który nie lubił dawać wiary fantastycznym koncepcjom. Całość przypominała wyjątkowo okrutną baśń dla dorosłych. Baśń z pogranicza horroru. Bez szczęśliwego zakończenia. Co do motywu, ten wciąż pozostawał nieznany. Ewa nie miała czasu pomyśleć, kto mógł wpaść na tak obłąkany pomysł, by zmieniać życie w powieść grozy i doszukiwać się w ludziach cech istot, będących jedynie tworem imaginacji. Czy morderca w nie wierzył, czy tylko się bawił? I jak wybierał swoje ofiary? Przerażała ją myśl, że wszystko, co dotąd zrobił, było starannie zaplanowane, przemyślane, wręcz wyreżyserowane. Zastanawiając się nad tym wszystkim, zadała rozmówczyni jeszcze jedno pytanie.

— Co pani wie o tzw. czerwonych pochówkach i ich związku z wampiryzmem?

— No cóż, ochra, którą posypywano szczątki, a później wkładana do grobu czerwona chusta była czymś w rodzaju nowej krwi, z której zmarli mieli czerpać siłę po tamtej stronie. Dzięki niej śmierć stawała się dobrą śmiercią, a oni mieli szansę przyłączyć się do nowej wspólnoty, zapomnieć o świecie żywych. Oczywiście można się zastanawiać nad związkiem tych pochówków z późniejszym rozwojem legend o wampirach. Pewne jest, że oba zjawiska wystąpiły na tym samym terenie: w Turcji, Serbii, Rosji i innych krajach słowiańskich, także w Polsce oraz we wschodnich Niemczech.

— A co na ten temat mówi nauka?

— Szuka pani uzasadnienia? Jednostki chorobowej odpowiadającej wampiryzmowi? — Skrzynecka uśmiechnęła się z pobłażaniem. — Owszem, było kilka teorii, z którymi rozprawiono się jednak dość bezwzględnie. O schizofrenii już wspominałam. W latach 80. XX wieku wysunięto hipotezę, że wampiryzm powoduje choroba metaboliczna, zwana porfirią, której objawy wywołuje najczęściej światło słoneczne. Chory zaczyna mieć problemy ze skórą, która pęka, pojawiają się na niej pęcherze, pozostają blizny. Jego dziąsła obkurczają się i zęby wydają się dłuższe, co robi oczywiście odpowiednie wrażenie. Ma halucynacje i omamy słuchowe, wpada w depresję, może nawet zapaść w śpiączkę. Nic dziwnego, że stara się unikać dziennego światła i zaczyna wieść nocny tryb życia. Stąd jego podobieństwo do wampira. O wampiryzm podejrzewano także chorych na wściekliznę ze względu na światłowstręt, wzmożoną aktywność seksualną i agresję. Na Węgrzech i Półwyspie Bałkańskim opowieści o wampirach powstawały w czasie trwania epidemii tej choroby. Poza tym byli jeszcze anemicy, dla których krew miała być cennym źródłem żelaza... — zamilkła na moment i sięgnęła po zimną kawę. Ewa odniosła wrażenie, że w czasie tej krótkiej przerwy porządkowała myśli. — Jeśli chodzi współczesny wampiryzm — podjęła temat, odstawiając filiżankę na niski stolik — jest jeszcze coś, o czym warto wspomnieć. To sanguinarianizm, psychosomatyczne

uzależnienie od ludzkiej krwi. Wampiry Sang to osobnicy, którzy spotykają się, by pić krew. Uważają się za istoty lepsze od „zwykłych ludzi”, wybrane. Nie każdy może należeć do grupy. Ich zdaniem wampiryzm jest cechą wrodzoną, która objawia się po pierwszym napojeniu krwią. Nie zmyślam — dodała, widząc, że Ewa patrzy na nią z niedowierzaniem. — Proszę poczytać fora i błogi w Internecie.

— Czyją krew oni piją? — spytała Ewa, z trudem kryjąc obrzydzenie. Nie mieściło jej się w głowie to, co usłyszała. Skrzynecka wzruszyła ramionami.

— Nie do końca się do tego przyznają. W większości przypadków poją się nawzajem. Ale spotkałam się także ze wzmiankami o dawcach z zewnątrz, decydujących się na udział w ceremonii świadomie lub otumanionych różnymi substancjami.

— Spotkała pani któregoś z nich?

— Nie. Ten aspekt wampiryzmu wykracza poza moje zainteresowania.

Na szczęście, dopowiedziała Ewa w myśli. Milczała, starając się przyswoić informacje, co nie było łatwe z uwagi na szokującą treść. Chyba nie chciała wiedzieć już nic więcej. Temat zaczął ją przerastać. Na szczęście przedłużającą się ciszę przerwał Cyryl, który w czasie rozmowy zdołał dojść do siebie.

— Kto poza panią dysponuje tak dużą wiedzą z zakresu... jak to nazwać... wampirologii? — spytał. Jego głos brzmiał pewnie, jednak wciąż patrzył na kobietę zachłannie, jakby chciał zapamiętać jej twarz, utrwalić ją w swoim umyśle, stworzyć monochromatyczną fotografię, portret własnego autorstwa, który miał przedstawiać tylko to, co on chciał oglądać: czerń włosów, czerń swetra, karnację, która przez kontrast wydawała się raczej blada, jasny błysk tęczy, jedyny barwny element kompozycji.

Ewa nie mogła wiedzieć, jakim torem podążają myśli mężczyzny, ale właśnie tak go sobie wyobrażała. Zafascynowana zachowaniem przyjaciela, powoli sama zaczęła patrzeć na Skrzynecką jego oczami,

zapominając na chwilę o sanguinarianach i innych dawnych i współczesnych wynaturzeniach.

— Do czego pan zmierza?

— Pytam tylko, kto może wiedzieć tyle, co pani — powtórzył pytanie z pewnym wysiłkiem. Zapewne zbyt długo musiał kontrolować emocje i czuł teraz ogromne zmęczenie.

— W Polsce? — zastanowiła się kobieta, szukając w pamięci nazwisk, które Ewa gotowa była zanotować, bo każde mogło być nazwiskiem mordercy. Czekало ją jednak rozczarowanie. Skrzynecka popatrzyła na gości z uwagą i pokręciła głową. — Zabrzmi to może nieskromnie, ale obawiam się, że nikt. Nie znajdują państwo w kraju innego eksperta. Ani podejrzanego — powiedziała. Była bystra. Nie musiała o nic pytać, skoro umiała czytać między wierszami.

— Nie szukamy podejrzanego — zareagował natychmiast Cyryl. — Tylko informacji. Czy zna pani pracę Rafała Wilka?

Podniosła się, podeszła do regału i spośród niezliczonej liczby tomów wyciągnęła znaną im już publikację. Trzymając ją w ręce, ruszyła przez pokój, jakby to towarzyszący jej wzrok Cyryla zmuszał ją do pokonania tego dystansu. Zatrzymała się dokładnie przed nim. Ewa miała wrażenie, że ogląda film, nakręcony w zupełnie nieamerykańskim tempie. Nawet nie w europejskim, poprawiła się w duchu. I mniejsza o dialogi, które najwyraźniej były nie na temat, przynajmniej nie na ten, który interesowałby odtwórców głównych ról. Rzeczowe pytania i odpowiedzi stały w jawnej sprzeczności z symetrią układu na tle okna.

Tymczasem kobieta podała Cyrylowi książkę. Dwie wysokie sylwetki pochyliły się ku sobie. Niezbyt blisko. Tak, by się nie dotknąć. Doskonałość tego ruchu była zdumiewająca.

— Mówi pan o tym? Dostałam ją od autora, który podczas pisania korzystał z moich wskazówek. Dość udana kompilacja.

— Ktoś ją od pani pożyczał? Czy w ogóle ktokolwiek pożyczał coś z pani księgozbioru?

— Nie wydaje mi się — potrząsnęła głową. — Pan chciałby wziąć ją ze sobą? — Czy była to propozycja, czy tylko chęć pomocy? Cyryl

gwałtownie się wyprostował. Patrzył na kobietę chłodno, jakby zamierzał ją ukarać za to, co powiedziała.

— To nie będzie konieczne — rzucił w przestrzeń. Natychmiast zdał sobie sprawę, że zdanie zabrzmiało zbyt ostro, więc by nieco złagodzić jego ton, zwrócił się do Ewy: — Wszystko już wiemy?

Skinęła głową. Nie miała więcej pytań.

— Chyba powinniśmy się pożegnać — odezwała się. — Dziękujemy, że poświęciła nam pani tyle czasu.

—Właśnie—sarkazm Cyryla był niemal nieuchwytny. Mimo to obie go usłyszały. Gospodyni zmarszczyła brwi, ale nie uznała za stosowne odpowiedzieć. Ewa nie miała zamiaru mieszać się w nie swoje sprawy. Łagodzić. Zagadywać niezręcznej ciszy.

Gdy zakładali kurtki, w wąskim przedpokoju znowu zrobiło się tłoczno. Pies zaszczekał krótko, urywanie i Skrzynecka, upewniwszy się, że nie mają nic przeciwko temu, postanowiła go wypuścić. W uchylonych drzwiach ukazały się wąski pysk i smoliste oczy dobermana.

— Ma na imię Lestat — wyjaśniła, gładząc lśniący czarny grzbiet. Jak mogłoby być inaczej, skoro tak nazywał się bohater *Wywiadu z wampirem*; Ewie zaczęła w końcu przeszkadzać monotematyczność wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z tą kobietą. Popatrzyła z obawą na psa, który w zamian obdarzył ją nieufnym spojrzeniem. Cyryl milczał. Ale nie było w tym nic dziwnego, bo wszystko zostało już powiedziane. Skrzynecka wyciągnęła dłoń na pożegnanie. Szczupłą, z paznokciami w kolorze gorzkiej czekolady. Wolałby jej nie dotykać, ale nie miał wyboru. Ewa, kładąc dłoń na klamce, pomyślała, że swoją obecnością uniemożliwiła im normalną rozmowę. Żałowała, ale nic nie mogła na to poradzić.

Cyryl szedł wolniej, jakby nie mógł za nią nadążyć. Może to chłodne wieczorne powietrze sprawiło, że musiał kilka razy wciągnąć je głęboko do płuc, nim jego oddech stał się bardziej miarowy. Ewa odwracała się raz za razem, obserwując, jak zwiększa się dzieląca ich odległość. W końcu zwolniła, a potem przystanąła, czekając, aż mężczyzna się z nią zrówna. W milczeniu doszli do furtki. Tu Cyryl zatrzymał się nagle,

jakby właśnie podjął jakąś decyzję i sięgnął ręką do kieszeni kurtki. W jego dłoni błysnęły kluczyki.

— Weź mój samochód — powiedział, wciskając je Ewie do ręki. — Ja mam tu jeszcze coś do załatwienia...

Odwrócił się i nim Ewa zdążyła zebrać myśli, zrobił kilka kroków.

— Cyryl! — krzyknęła za nim. — Cyryl! Poczekaj...

— Proszę, nie mów nic Krzysztofowi — usłyszała w odpowiedzi.

— O czym mam nie mówić? Cyryl!

Ale jemu nagle zaczęło się spieszyć. Prawie biegł, starając się dogonić własne marzenie. Nie słyszał już, że Ewa go woła.

Gdy otworzyła drzwi, niemal wepchnął ją do mieszkania. Poczul na twarzy ciepło jej oddechu i zarejestrował lekki opór ciała. Mimo wszystko cofnęła się i pozwoliła mu przekroczyć próg. Pies zaczął ujadać, ale uciszyła go jednym słowem. Cyryl nie zapamiętał, jakim. Zastanowił się za to, czy sama zajmowała się tresurą, czy ktoś robił to za nią. Efekt był godny podziwu i wyglądał na robotę profesjonalisty. Jednak ta myśl znikła równie szybko, jak się pojawiła, wyparta przez inne, które bezskutecznie próbował uporządkować.

— Myślałem, że było miło — rzucił ze źle ukrywaną pretensją. Był na nią tak wściekły, że zupełnie przestał się kontrolować. Stała zaledwie dwa kroki od niego i mógłby zrobić z nią wszystko, gdyby nie cicha obecność przyczajonego za jej plecami dobermana. Cyryl nie patrzył na niego, ale wiedział, że tam jest. Dlatego nie ruszał się, tylko czekał, wpatrzony w spokojną twarz Izabeli. W jej zielone oczy, w których nie było zdziwienia, jakby się spodziewała jego powrotu.

— Było — padła nieprawdopodobna odpowiedź. Nie oczekiwał potwierdzenia. Raczej czegoś w stylu „wynoś się z mojego domu”. I szczucia psem, który zapewne świetnie się sprawdzał w takich sytuacjach. Ale Izabela nie pokazała mu drzwi i nie wydała żadnego rozkazu.

— Więc co się stało? — spytał, czując, że jego złość słabnie. Żałował, że tak szybko. Bez niej był zupełnie bezbronny.

— Czasem lepiej zachować dystans. Żeby nie popełnić błędu — odparła powoli, jakby zastanawiała się nad każdym słowem.

— Wystraszyłaś się? Niepotrzebnie. — Nie zdając sobie z tego sprawy, pokonał niewielką odległość, jaka ich dzieliła i spojrzął jej w oczy z bardzo bliska.

— Nie o to chodzi. Nie zrozumiesz tego — potrząsnęła ciemną głową. Asymetrycznie przycięte kosmyki zakołysały się i opadły na szyję i policzki. Urzeczony Cyryl przestał słuchać.

Nie odepchnęła go. Nie odwróciła wzroku. Nie cofnęła się. W ogóle się nie poruszyła, gdy on, ośmielony brakiem reakcji, zaczął dotykać jej twarzy i włosów opuszkami palców. Nie było już dystansu. Ani wrogości. Jego pretensji. Jej zaskakującego chłodu.

— Wy tłumacz mi — powiedział bardzo cicho.

— Nie chcę.

— A tego chcesz? — zapytał, całując ją, pewien, że może sobie na to pozwolić, i czując przy tym niewyobrażalną ulgę, jakby jego zmęczone tygodniami wyczekiwania i tłumionego napięcia ciało nagle stało się bardzo lekkie. Niewiarygodnie miękkie wargi Izabeli były równie natarczywe, jak jego własne. Jej ręce były wszędzie tam, gdzie chciał, żeby były, więc byłby głupcem, gdyby w tej chwili zastanawiał się nad czymkolwiek, co nie miało związku z jej ciałem. Doskonałym. I tak świetnie znającym się na rzeczy.

Nim zamknął za sobą drzwi sypialni, zostawiając Lestata po drugiej stronie, pomyślał, że oto dzieje się coś, co w życiu nie zdarza się często. I nie chodziło mu tylko o własne życie. Teraz i on miał swój Paryż, do którego miał bez końca wracać.

Widział i czuł tylko ją. Jego zmysły, otumanione nagłym szczęściem, na które zupełnie nie był przygotowany i pożądanym tak intensywnym, że musiał zmobilizować wszystkie siły, by nad nim zapanować, straciły zdolność rejestrowania innych bodźców. Zupełnie jakby ktoś spuścił zasłonę i ukrył za nią resztę świata. Nie przeszkadzało mu to. Pomyślał,

że warto było przeżyć rozczarowanie, a później przez kilka tygodni trwać w inercji, by doświadczyć takiego natężenia uczuć. Niczego już nie żałował. O niczym nie myślał. Tylko obejmował garnące się do niego ciało i obdarzał je pieścizotami, które im obojgu niosły ukojenie.

Kiedy już nie mógł być bliżej, usłyszał jej krzyk i zrozumiał, że w gruncie rzeczy rozkosz dzieli od bólu zaledwie kilka sekund, wypełnionych coraz szybszymi uderzeniami serca.

Powoli dochodził do siebie, choć daleko mu było do stanu, w którym mógłby się wykazać zdolnością precyzyjnego formułowania myśli. Naga Izabela siedziała naprzeciw niego w fotelu i zaciągała się papierosem. Paliła z jakąś szczególną nonszalancją, której nie widział u żadnej innej kobiety. Paradoksalnie papieros dodawał jej też elegancji, nawet wtedy, gdy nie miała nic na sobie. Przyszło mu do głowy, że to jeszcze jedna z tych rzeczy, które go w niej urzekały. Sprawiały, że nie mógł przejść obok obojętnie. Były niepowtarzalne. Jej własne. A teraz po części także jego. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Nic nie mówiła. Po prostu siedziała, a papieros w jej dłoni dopalał się powoli. Tylko tyle. Syte rozleniwienie. Niemal niezauważalne ruchy dłoni i warg, które jego doprowadzały do szaleństwa, choć wcześniej tylekroć widział je u innych. Śledził je więc z szerokiego podwójnego łóżka, na którym go zostawiła.

— Nie mówiłaś, że masz tak nietypową specjalność — powiedział w końcu, by przerwać milczenie. Miał nadzieję, że gdy Izabela się odezwie, on będzie w stanie oderwać wzrok od jej ust.

— Nie mówiłam o wielu rzeczach — odpowiedziała, mrużąc oczy. Kolejny wdech. I wydech. Obłok dymu wokół jej głowy wyglądał jak cienka muślinowa zasłona. — Poza tym twoja specjalność też nie jest „typowa”, jak to zgrabnie ująłeś. I co? Rozповідаasz o niej na prawo i lewo?

— Chyba mamy ze sobą wiele wspólnego...

To nawet nie było twierdzenie. Raczej nieśmiała sugestia, pobożne życzenie, by tak właśnie było. Kobieta popatrzyła nań uważnie, jakby oglądała przez szkło powiększające rzadki okaz owada.

— Nie wydaje mi się — odparła obojętnie i zdusiła niedopalek w popielniczkę. On uznał jej oschłość za oznakę zmęczenia. Znowu miał ochotę jej dotknąć, ale była za daleko. Odgrodziła się od niego grubym murem myśli, które zamierzała zachować dla siebie.

— Za mało o tobie wiem. Wciąż boję się, że po prostu znikniesz — odezwał się, licząc na to, że spojrzy na niego tak, jak przed kwadransem. Nie zrobiła tego.

— Już wiesz, gdzie mieszkam — powiedziała bez uśmiechu i Cyryl usłyszał w jej głosie nutę żalu.

— Odnoszę wrażenie, że jeśli zechcesz, to się wyprowadzisz

— zażartował, ale ta myśl napełniła go niepokojem.

— Więc wiesz o mnie więcej, niż ci się wydaje. Gratuluję. Cenię trafny osąd.

— Dlaczego to robisz?

— Co masz na myśli?

— To, jak się zachowujesz — nie wytrzymał. Pretensje wróciły, a on miał wrażenie, że traci resztki godności. — Kochamy się i jest... Nie wiem, jak to nazwać, bo po prostu brak mi słów..., a potem jesteś zupełnie inną kobietą.

— Przyzwyczaiłeś się do łatwiejszych partnerek? — powiedziała odrobinę pogardliwie, a może było to tylko wrażenie. — Tam są drzwi.

— Izabela, proszę — Cyryl nie wierzył, że to mówi. Wstał z łóżka i bezwiednie zaciskał pięści. — Każesz mi wyjść? Po tym wszystkim? Czy to nie miało dla ciebie żadnego znaczenia?

— Nie wszyscy mogą być tacy sami. Uczuciowość to kwestia indywidualna. I nic ci nie każę. Sądziłam, że jesteś dżentelmenem i wiesz, kiedy kobietę należy zostawić samą.

— Posłuchaj mnie — pochylił się nad nią, kiedy tak siedziała w fotelu z podkulonymi nogami, obca, zimna i wciąż tak samo pociągająca. —

Nie traktuj mnie w taki sposób, jakbym był psem, warującym za tymi drzwiami. Nie możesz mi dawać wszystkiego, by w chwilę później zabrać.

— Nie? — zaskoczenie i uprzejmość zaprawiona dużą dawką drwiny.
— Kto mi zabroni?

— Izabela — powtórzył Cyryl, jakby jej imię było zaklęciem przeciwko złu tego świata, na którym nie było już kobiet godnych zaufania i nieudawanych uczuć. Nie dbał o kobiety ani o uczucia, gdy miał ją tuż obok siebie. — Iza — powiedział, szukając w tym zdrobnieniu nowego brzmienia, które byłoby rozpoznawalne wyłącznie dla niego. I może także dla niej.

— Jeśli chcesz, by mężczyzna odszedł, musisz zadbać o to, by mieć więcej na sobie.

— Bardzo męski punkt widzenia.

— Bardzo — przyznał Cyryl, któremu nagle wydało się, że już wie, jak z nią postępować. Lubiła być zaskakiwana i nie znosiła uległości. Była twarda albo za taką chciała uchodzić, a on musiał jej w tym przynajmniej dorównać.

Nie wyszedł. Został na noc. Dotykał jej znowu, a gdy zasnęła, liczył jej oddechy, wyobrażając sobie, że to uderzenia serca. Miarowe. Jednostajne. Uspokajały go.

Spał niewiele, a gdy się obudził, był w mieszkaniu sam. Pies zniknął. Może zabrała go ze sobą. Na stole w kuchni leżały klucze do drzwi wejściowych i kartka, na której Izabela napisała kilka słów: *Skoro już jesteś, zostań na jakiś czas. Ale następnym razem, gdy poproszę, byś wyszedł, zrób to. Nie pasujemy do siebie. Wiem, że mi nie uwierzysz, ale postaraj się o tym pamiętać. Tak będzie lepiej.*

Dla kogo, chciał zapytać, ale nie było osoby, która mogłaby udzielić mu odpowiedzi.

XIV

Jak Twoje sprawy spadkowe? Uregulowane? Powinieneś być mi wdzięczny, że o swoich planach informuję Cię z wyprzedzeniem, żebyś zdążył wszystko załatwić i nie zostawił po sobie bałaganu. Dostrzegasz moją wspaniałomyślność? Możesz nawet zamówić sobie trumnę i nowe buty. Żaden nieboszczyk przed Tobą nie miał takich forów w wyścigu ze śmiercią.

Wykorzystaj czas, który Ci darowuję jak najlepiej. Pomyśl, ile z codziennych czynności wykonujesz po raz ostatni. Za to także jesteś mi winien wdzięczność. Bo czy śmierć nie jest wybawieniem? Od rutyny? Jednostajności? Braku pomysłu na życie, czy choćby tylko na to, jak przeżyć następny dzień? Świat szarzeje w zastraszającym tempie i nie warto dłużej go takim oglądać. Kolory blakną, uczucia już dawno zastąpiła wszechobecna pustka, której nie może wypełnić żadna rozrywka. Ani ta dostępna dla plebsu, ani nawet ta wyrafinowana, nieznana prostaczkom. Zastanawiasz się może, dlaczego zamiast pozbawiać Cię życia, nie odbiorę go sobie? Nie ukrywam, że i to biorę pod uwagę. Jednak jeszcze nie teraz. Nie pasujesz do schematu, ale zabiję Cię mimo wszystko. To będą moje ostatnie igrzyska. Chleba i igrzysk. Cóż, moim zdaniem warto byłoby odwrócić kolejność. A zatem, przyjacielu, do zobaczenia w naszym Koloseum, w dniu, który zakończy Twoją, a może także moją mękę.

Ewa spodziewała się, że Krzysztof może nie być zachwycony jej wybrykiem, nie przewidziała jednak skali negatywnych emocji, którym dał upust, gdy poinformowała go przez telefon o wizycie u Skrzyneckiej. W pierwszej chwili jej nie uwierzył.

— Co zrobiłaś? — spytał, by się upewnić, że dobrze usłyszał. Było to ostatecznie zdanie, które wypowiedział normalnym tonem. Potem nastąpiła złowróźbna cisza. Krzysztof, którego nic nie mogło wyprowadzić z równowagi, na chwilę zaniemówił, ale zaraz odzyskał głos. Po osławionym opanowaniu nie zostało ani śladu.

— Czyś ty doszczętnie oszalała?! — krzyczał do słuchawki, nie dając Ewie dojść do głosu. — Za kogo ty się uważasz, co?! Wydaje ci się, że rozwiążesz tę sprawę w pojedynkę? Na litość boską! Myślałem, że masz choć odrobinę rozsądku, a ty popisujesz się głupotą i brakiem odpowiedzialności.

Powinna była powiedzieć mu o tym osobiście. Może wówczas Sobolewski próbowałby powściągnąć gniew. Skończyłoby się na przeprosinach i padłoby mniej obraźliwych słów. A tak sprawy zaszły za daleko. Krzysztofowi było głupio, że na nią nawrzeszczał, a Ewa po prostu przerwała połączenie. Nie miała ochoty wysłuchiwać marnych opinii na swój temat z ust jedyne go mężczyzny, który w ostatnim czasie zdołał wzbudzić jej zainteresowanie.

Przebieg rozmowy zrelacjonowała mu dopiero następnego dnia rano, kiedy zadzwonił, by ją przeprosić. Był bardzo rzeczowy. Powiedział, że żałuje swojego wybuchu, ale Ewa sama jest sobie winna. Powinna wiedzieć, gdzie jest jej miejsce. „Zapewne w bibliotece” — odparła zgryźliwie, ale on wołał nie drażnić tego tematu.

— Przeraża mnie twoja lekkomyślność i to, że niczego nie mogę ci zabronić...

No, to jesteśmy w punkcie wyjścia, pomyślała, kiedy się rozłączył.

Cyryl czuł się idiotycznie, gdy otworzył drzwi swojego mieszkania i za progiem natknął się na wściekłą Ewę.

— Przepraszam cię—wyrzucił z siebie odruchowo, widząc jej minę. W gruncie rzeczy jej złość była mu zupełnie obojętna.

— Zapomniałeś, że istnieję, co? Wyglądasz na bardzo zaskoczonego moim widokiem — powiedziała z sarkazmem. — Czy zdarza ci się

czasem używać telefonu? Martwiłam się.

— Ewa, daj spokój. Powiedziałem: przepraszam.

— Powiedz to Sobolewskiemu. Od rana dzwonił piętnaście razy. O jego istnieniu też zapomniałeś?

— Można tak powiedzieć — mruknął Cyryl bardziej do siebie, niż do niej, ale usłyszała każde słowo.

— Długo się znacie?

— Kto powiedział, że się znamy...?

— Cyryl!

— Niedługo — odparł, widząc, że wciąż jest zła i natychmiast się poprawił — a właściwie dostatecznie długo. Zależy od punktu widzenia.

— Chyba niepotrzebnie mnie tu ściągnęłaś. Ona pomoże policji znaleźć zabójcę szybciej niż ja...

— Gdyby nie ty, wciąż nie miałbym pojęcia, kim ona jest. I nigdy więcej bym jej nie spotkał.

— Skąd możesz wiedzieć?!

Tylko wzruszył ramionami.

— Jestem ci wdzięczny — powiedział.

— Mam gdzieś twoją wdzięczność. Wracam do Szczecina. Pierwszym pociągiem.

— Teraz? — zaskoczony patrzył na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, gdy zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę sypialni. Pomyślał, że zarzuci torbę na ramię i wyjdzie, trzasnąwszy drzwiami.

— Żałuję, że nie zrobiłam tego dwa dni temu — usłyszał jeszcze.

— O co się wściekasz? — spytał, obserwując w przeszklonych drzwiach zniekształcony przez fakturę szkła zarys jej sylwetki. — Nie wierzę, że tylko o to, że nie odebrałem telefonu.

Stała w progu.

— Nie, nie tylko o to. Masz pojęcie, jak się czułam? Uczestnicząc w tej... rozmowie? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Dlaczego miałbym ci się zwierzać? — Cyryl nie wytrzymał jej oskarżycielskiego spojrzenia i postanowił się bronić.

— To chyba moja sprawa, z kim się spotykam i z kim chciałbym sypiać.

— Gratuluję wyboru.

— Ewa! Nie miałem pojęcia, kim ona jest.

— Teraz już wiesz. Co dalej?

— Dzwoniła z lotniska. Wróci za kilka dni. Konferencja trwa tydzień, ale postanowiła skrócić pobyt i zaraz po wykładzie wsiąść w powrotny samolot.

— Wykładzie o wampirach, oczywiście...

— Możliwe. Nie pytałem — odparł Cyryl.

— Niesłychane.

Starła się go obrazić, ale on postanowił udać, że tego nie dostrzega. Znali się nie od wczoraj. Ta sprawa, czy też znajomość, a może po prostu kwestia uczuć — nie był pewien, jakich słów powinien użyć, by wyrazić istotę rzeczy — nie powinna ich poróżnić.

— Nie wyjeżdżaj — powiedział spokojnie. — Przecież nigdzie ci się nie spieszy. Ja będę teraz rzadziej bywał w domu. Korzystaj z lokalnych wygód — zatoczył ręką łuk, którym objął salon, kuchnię i przyległości, łącznie z Farinellim, śpiącym na ogromnym fotelu.

Ewa westchnęła, jakby nagle uszło z niej powietrze. Linia jej ramion złagodniała.

Podbródek nie wydawał się już tak mocno zarysowany.

— Krzysztof mnie objechał — rzuciła w przestrzeń.

— Tu cię boli... Zasłużyłaś?

— Na to wygląda. Wczoraj kazał mi odwołać spotkanie, aja wciągnęłam w to jeszcze ciebie. Ale nie martw się — uprzedziła jego pytanie. — Wyjaśniłam mu, że jesteś niewinny.

— W tej sytuacji nie mam ci za złe — uśmiechnął się Cyryl.

— Muszę kupić płaszcz — powiedziała Ewa z rezygnacją.

— Najlepiej w cenie biletu do Szczecina. I z powrotem — poprawiła się po chwili.

— To da się zrobić. Wybrać się z tobą na zakupy?

— Nie. Spróbuję znaleźć sobie innego pomocnika. Jeśli jeszcze będzie chciał ze mną rozmawiać.

Rafał Wilk należał do tych mężczyzn, którzy umieliby sprzedać chyba wszystko. Rzutki, przedsiębiorczy i w lot wietrzący dobry interes, jako student archeologii świetnie się bawił, ale szybko zrozumiał, że to nie dla niego. Męczyła go praca w terenie, a także surowe, połowę warunki i związane z nimi niewygody dnia codziennego. Był na drugim, może na trzecim roku, kiedy to do niego dotarło. Pewnego dnia, stojąc nad wykopem, w kurzu i upale, zrozumiał, że oczekuje czegoś zupełnie innego. Chciał żyć na poziomie — otaczać się przedmiotami powszechnie uważanymi za modne i nowoczesne, zwiedzać świat, uprawiać sporty wymagające znacznych nakładów finansowych, nurkować w Egipcie, jeździć na narty w Dolomity, mieć niezły samochód i mieszkanie po właściwej stronie Wisły. Obawiał się, że archeologia nie zaspokoi jego potrzeb. Po obronie trzeźwo ocenił sytuację i zaczął szukać na rynku swojej niszy. Przyjaciele mówili, że ma szósty zmysł, bo zawsze umiał trafić w dziesiątkę i doskonale dopasowywał się do trendów i okoliczności. Przez kilka lat zarządzał agencją *public relations*, później stał się współtwórcą znanego domu mediowego, by w końcu zainteresować się branżą, która mogła przynieść większe zyski.

Jego wysiłki nie poszły na marne. Dzisiaj mógł sobie pozwolić na realizację wielu marzeń i choć mówił o sobie, że nie jest materialistą, wszystkie można było wyrazić konkretną kwotą na jego koncie. Był pewny siebie i zadowolony z życia.

Krzysztof rzadko widywał osoby, odczuwające aż taką satysfakcję i tak głęboko przekonane o swojej wartości. Cechy godne podziwu i zazdrości, pomyślał, patrząc, jak niewysoki, łysiejący mężczyzna zbliża się do jego stolika. Pod rozpiętym płaszczem, z pewnością drogim i w bardzo dobrym gatunku, nosił doskonale skrojony garnitur. Umiał się ubrać — to nie ulegało kwestii. Sobolewski z westchnieniem rzucił okiem na rękawy swojej marynarki. Dotąd żył w przekonaniu, że prezentuje się przyzwoicie, teraz był gotów zmienić zdanie. Cóż,

wszystko zależy od punktu odniesienia... Podniósł się i uściśnął wyciągniętą dłoń. Uścisk był krótki. Wilk nie lubił tracić czasu.

— Cieszę się, że zgodził się pan na to spotkanie — zaczął Krzysztof, czekając, aż tamten powiesi płaszcz na wieszaku i zajmie stojące po drugiej stronie stolika krzesło. Zajęło mu to chwilę. Ze swego miejsca detektyw obserwował jego ruchy, mimo krępej sylwetki, zwinne i sprężyste. Oszczędne. Precyzyjne. Przyszło mu do głowy, że facet byłby świetnym zapaśnikiem. Nie wzbudził jego sympatii. Pod maską akuratności można było dopatrzeć się wyrachowania.

— Drobiazg — zapewnił mężczyzna i rozejrzał się po lokalu w poszukiwaniu kelnera, który zjawił się niemal natychmiast. Gości było niewielu. Przez duże okna przenikał do przestronnego wnętrza wczesny zmierzch. Wlewał się w wąskie przejścia między stolikami i natychmiast ustępował przed ciepłym światłem lamp, sączącym się przez okrągłe herbaciane abażury. Aromatyczna kawa doskonale komponowała się z wszechobecnym bursztynowym blaskiem. — W czym mogę panu pomóc?

— Chciałbym zadać panu kilka pytań. Z uwagi na dość oryginalny temat pracy, którą pan kiedyś napisał. Na pewno Ewa już panu o tym wspomniała...

— Tak — przyznał Wilk. — Niewiele pamiętam, ale proszę pytać.

— Zanim do tego dojdziemy — Sobolewski ważył słowa, wciąż bacznie przyglądając się mężczyźnie po drugiej stronie stolika — proszę mi powiedzieć, czym się pan zajmuje?

— Że stać pana na garnitur, na jaki ja nigdy nie będę mógł sobie pozwolić, dopowiedział w myślach. Niby nie szata zdobi człowieka... Nic bardziej mylnego.

— Jestem pośrednikiem — odparł dawny kolega Ewy i Cyryła, ukazując w szczerym uśmiechu olśniewające uzębienie.

— Jakiego rodzaju? — chciał wiedzieć Krzysztof, ignorując tę manifestację pozytywnych uczuć.

— Pomagam przedstawicielom koncernów farmaceutycznych dotrzeć do lekarzy — wyjaśnił biznesmen, bawiąc się mikroskopijną

filiżanką kawy. — Widzi pan, do niedawna nie było z tym problemu. Wkraczali do gabinetów między pacjentami, informowali lekarza o nowych produktach i zostawiali próbki. Ale przepisy się zmieniły. Teraz przedstawiciele medyczni muszą mieć zgodę dyrektora placówki na podobne spotkania, które mogą się odbywać wyłącznie po godzinach pracy lekarzy. To moja rola. Ja te spotkania umawiam. Pilnuję grafiku. Informuję, kogo trzeba.

Krzysztof przyglądał mu się z uwagą, kiedy wyluszczał obowiązujące w przychodniach i szpitalach zasady, zastanawiając się, czy związek Wilka z branżą farmaceutyczną nie czyni z niego jednego z podejrzanych. Znajomości, zastanawiał się, łatwy dostęp do leków... Zwlekał chwilę, nim zadał mu pytanie.

— Mówi coś panu nazwa thiopental?

Zaskoczony mężczyzna zamrugał szybko powiekami.

— Nasza rozmowa miała chyba dotyczyć czego innego? — zauważył nie bez racji.

— Pozwoli pan, że ja będę o tym decydował — uprzejmie przypomniał mu policjant.

— Mówiłem już, że jestem tylko pośrednikiem. Nie interesują mnie specyfiki, które promują moi klienci.

— Jakie firmy pan reprezentuje?

— Nie podoba mi się pański ton — odparł Wilk, patrząc na Sobolewskiego z irytacją. — Jestem przedsiębiorcą, nie przestępcą.

— Oczywiście — zgodził się natychmiast Krzysztof. — Niemniej byłbym panu wdzięczny za dostarczenie listy klientów. I listy leków, które znajdują się w ich ofercie. Jak najszybciej.

— Dokąd się panu tak spieszy? — zdobył się na ironię pytany.

— Tego nie musi pan wiedzieć. Oszczędzę panu ponurego obrazka.

— Może takie właśnie lubię?...

— Nie lubi pan — odparł policjant. — Może mi pan wierzyć na słowo.

Telefon dzwonił w trudnych do przewidzenia porach, a wciąż tak samo niemy rozmówca wsłuchiwał się w jej niespokojny oddech, za nic mając uparte „słucham”, które rzucała, zachęcając go do najkrótszej choćby wymiany zdań. Z pewnością nie należała do kobiet strachliwych, teraz jednak zaczynała wpadać w panikę. Kilka razy dziennie zmagala się z milczeniem, które coraz bardziej ją przerażało. Nie rozumiała go i nie znała jego źródła. Podobnie jak nie przychodziła jej do głowy żadna osoba, która mogłaby nękać ją w ten mało oryginalny sposób. Ze zdenerwowania zaczęła źle sypiać i straciła apetyt. Cyryl niczego nie zauważył, bo prawie nie było go w domu. Krzysztof zauważył, ale nie ośmielił się zapytać. Za każdym razem, gdy się spotykali, Ewa dostrzegała w jego oczach niepokój, nie chciała jednak poruszać tematu dziwnych połączeń. Nic się przecież nie działo. A skoro nic się działo, nie można było uciszyć telefonu. Ich stosunki wróciły do normy. Sobolewski zdążył już pogodzić się z myślą, że Ewa wypełniła za niego jakąś część obowiązków. Stało się i jego złość nie wiele mogła tu zmienić. W skrytości ducha musiał przyznać, że sam nie wywiązałby się z nich lepiej. Nie omieszkał jednak wyrazić nadziei, że ona na tym poprzestanie.

Dzwonił także Rafał, który po spotkaniu z Krzysztofem zdążył ochłonąć i zamierzał podzielić się z Ewą swoimi wrażeniami. W jego głosie pobrzmiwała z trudem tłumiona pasja.

— Ten policjant to jakiś wariat — powiedział z pretensją.

— W co wyście mnie wciągnęli? Przez niego jeszcze stracę klientów.

— Przepraszam cię — odparła, wyobrażając sobie, jak Sobolewski mierzy jej dawnego kolegę przenikliwym spojrzeniem i zadaje mu zaskakujące pytania. Wiedziała, że umie być i nieprzyjemny, i czarujący. Z powodzeniem odgrywał role dobrego i złego gliny, z dużą wprawą zmieniając kostiumy. Zastępowały mu mundur, którego nie nosił. — Krzysztof musi być podejrzliwy. Za to mu płacą.

— Mam gdzieś jego zakres obowiązków — mruknął Rafał.

— Powiedz mu, żeby szukał podejrzanych gdzie indziej.

Cyryl był szczęśliwy. Zanurzył się w szczęściu jak w basenie, w którym woda ma zawsze idealną temperaturę. Zamknął się w nim jak w kapsule, przez którą nie docierały do niego żadne bodźce z zewnątrz, najdrobniejsze elementy rzeczywistości. Lekkie ciało zdawało się poruszać niezależnie od jego woli, niemal lewitowało, podczas gdy umysł zajęty analizowaniem wciąż tych samych obrazów, nie radził sobie z codziennością.

Czekał.

Iza była gdzieś w Danii, a może w Szwecji, w mieście, którego nazwy nie pamiętał. Skoro nie było jej tutaj, miejsce pobytu nie miało znaczenia. Było odległe i obce — to dość, by uznać je za nierzeczywiste. Wiedział, że wróci i to musiało mu wystarczyć. Tymczasem bywał w jej mieszkaniu, oddychał powietrzem, w którym unosił się jej nikły zapach i z niedowierzaniem patrzył na łóżko, jakby nie miał zaufania do własnych wspomnień. Przychodził o różnych porach, by obserwować, jak zmienia się światło w pomieszczeniach i panujący w nich nastrój. Myślał, że dzięki temu dowie się czegoś o kobiecie, która zostawiła mu klucze na kuchennym stole. Nie udało mu się. W mieszkaniu nie było zdjęć ani leżących na wierzchu osobistych notatek. Cyryl nie zaglądał do szuflad, które były przecież otwarte i nie włączał komputera. Nie czuł się upoważniony. Jego aktywność ograniczała się do dotykania wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z Izabelą. Zostawił w jej mieszkaniu tysiące odcisków palców. Naznaczył liniami papilarnymi grzbiety książek i płyt, jakby w ten sposób chciał podkreślić swoją przynależność do miejsca, w którym czuł się jeszcze intruzem. Mimo kluczy, pobrzękujących w kieszeni spodni. Mimo jej przyzwolenia, które oznaczało bliskość, intymność i zaufanie. Wciąż zastanawiał się, czy to, co się zdarzyło, może się powtórzyć i ta myśl była źródłem jego niepokoju.

Do pracy przychodził rozkojarzony, ale starał się robić, co do niego należało. Z Ewą rozmawiał rzadko. Zresztą nie miał na to czasu. Gdy wracał do domu, ona zwykle wychodziła. Nie pytał, z kim spędza wieczory, odpowiedź wydawała się oczywista.

Płaszcz był czekoladowy, z głębokim kapturem i paskiem, który związany w tali podkreślał smukłość jej sylwetki. Siegał do połowy łydek i Ewa, otulona miękką tkaniną, czuła, jak po całym ciele rozchodzi się błogosławione ciepło. Skostniałym palcom wracała zwykła sprawność, a twarz nie była już taka blada. Pomyślała, że kupiłaby go nawet, gdyby był o połowę brzydszy, o połowę droższy i gdyby w oczach Krzysztofa dostrzegąca jedynie życzliwe zainteresowanie. Opuściła głowę, świadoma jego spojrzeń, które wyrażały nie tylko aprobatę. Nagle zaczęły ją krępować.

Sama nie wiedziała, dlaczego się z nim umawiała. Dlaczego umówiła się tym razem. Może musiała po prostu wyjść z domu. Sobolewski był miłym rozmówcą i Ewa dobrze się czuła w jego towarzystwie. Zastanawiała się, kiedy okaże zniecierpliwienie, ale on znosił wizyty w kolejnych sklepach ze stoickim spokojem, jakby zakupy należały do jego ulubionych rozrywek.

Tego wieczoru był raczej milczący. Nie przeszkadzało jej to. Wiedziała, że w myślach bez końca rozwiązuje tę samą łamigłówkę. Podstawia do siebie tylko znanych wzorów różne dane, a później przekształca je na wiele sposobów, wierząc, że wynik obliczeń w końcu go usatysfakcjonuje. Nie umiała mu pomóc. Jej rola się skończyła. Ostatnim ogniwem w łańcuchu zdarzeń było spotkanie ze Skrzynecką. I choć rzuciło nieco światła na całą sprawę, motyw sprawcy wciąż pozostawał nieznany, a na policyjnej liście brakowało podejrzanych.

Krzysztof nie potrafił się skoncentrować. Przez cały czas miał wrażenie, że coś mu umyka. Coś ważnego, na co powinien zwrócić uwagę. Męczyło go to przeświadczenie, ale zajęty Ewą nie wiedział, gdzie zapodział się brakujący element układanki. Nie wierzył w to, że mordercą jest Strzemiński. Brak wiary graniczył z pewnością, choć policjant nie umiał powiedzieć, skąd czerpie to przekonanie. Oczywiście zamierzał go przesłuchać. Dla porządku. Kiedy już uda mu się go zatrzymać.

Z jednej strony bez przerwy o tym myślał. O podejrzanych. I o Krawcu. O zdjęciach ofiar. O następnych zwłokach. Kto je znajdzie?

Kiedy rozdzwoni się jego służbowa komórka? Mimo to mógł bez końca patrzeć, jak Ewa przegląda się w wysokim lustrze, wkłada dłonie do kieszeni płaszcza, w którym było jej bardzo do twarzy, otula głowę kapturem, sprawdzając, czy będzie jej w nim wystarczająco ciepło. Oszłomiła go różnorodność obrazów, tych rzeczywistych i tych, które podsuwały mu na przemian pamięć i wyobraźnia. Przyszło mu do głowy, że wpada w paranoję, skoro nawet tu, w jasnym sklepowym wnętrzu, w towarzystwie kobiety, podświadomie wciąż czeka na telefon. Nagle zachciało mu się palić. Stłumił pragnienie, starym zwyczajem mnąc papierosa w palcach. Dotyk bibułki uspokoił go. Poczuł, jak tytoń rozsypuje się w kieszeni kurtki. Ewa wykonała jeszcze jeden obrót, spojrzała na niego i opuściła głowę. Zaczęła rozpinać guziki.

Sobolewski nie lubił manifestacji uczuć, ale nie zamierzał ich ukrywać. Jego dotychczasowe kontakty z kobietami cechowała szczerłość i otwartość. Nie był pewien, czego oczekuje tym razem. Nie wiedział nawet, czy ma coś do zaoferowania, ale czuł bijące od Ewy ciepło, które sprawiło, że w jego myśli wkradł się chaos. Z pewnością nie chodziło tylko o kolor włosów czy grubość brązowego wełnianego materiału. I nie o to, że na zewnątrz było bardzo zimno. Krzysztof sięgnął po następnego papierosa, ale tym razem powstrzymał się nawet przed wzięciem go w palce. Jeszcze kilka chwil przy kasie i mógłby zapalić. Pomyślał jednak, że wątlwy ognek i dym wypełniający płuca mogą na moment odwrócić jego uwagę, ale z pewnością nie uwolnią go od Ewy i własnych skojarzeń

— Nie musisz podejrzewać własnego cienia — odezwała się, przerywając jego rozważania.

— Słucham?

— Chodzi o Rafała—wyjaśniła, zawiązując na różne sposoby szeroki pasek. — Ma pretensje, że tak go potraktowałeś.

— Ciekawe — odparł Krzysztof z przekąsem, bo nie podobał mu się temat tej rozmowy. To, w jaki sposób prowadził śledztwo, było wyłącznie jego sprawą. — A powiedział ci, że jeden z jego klientów produkuje lek, którym sprawca usypiał ofiary?

— Może to zbieg okoliczności... — powiedziała, patrząc na niego niepewnie.

— Może. Ale na razie nie mogę wykluczyć i innych możliwości.

Mówił jeszcze, gdy rozdzwoniła się jej komórka. Ewa znieruchomiała w pół gestu, a później powoli, jakby dotykała czegoś wyjątkowo obrzydliwego, wyjęła telefon z torebki i spojrzała na wyświetlacz. Przygryzła dolną wargę i zdecydowanym ruchem przyłożyła aparat do ucha. Jej głos był zmieniony, niższy, bardziej gardłowy. Minęła długa chwila. Ewa rozłączyła się i unikając jego wzroku, zsunęła płaszcz z ramion.

— Coś się stało? — spytał zaniepokojony jej milczeniem i tym, że nagle przestała się uśmiechać. Potrząsnęła głową, ale się nie odezwała.

— Ewa, przecież widzę... Mogę ci jakoś pomóc?

— Nie sędzę — odparła, patrząc na niego bezradnie. — Chyba powinnam wyrzucić telefon.

— Kto do ciebie wydzwaniania?

— Skąd mam wiedzieć? To głuche telefony.

— Od kiedy?

— Od kilku dni — Ewa wzruszyła ramionami. — Nie przejmuj się. Ja już nawet przywykłam.

— Właśnie widzę. Często dzwoni?

— Coraz częściej. Dzisiaj cztery razy. Możesz coś z tym zrobić? — popatrzyła na niego z nadzieją.

— Spróbuję — mruknął Krzysztof. — Ale to może potrwać. Szkoda, że mówisz mi o tym dopiero teraz. Powinnaś mieć do mnie więcej zaufania.

— Jeszcze więcej? Niemożliwe... — uśmiechnęła się blado.

Oparł dłonie na jej szczupłych ramionach i delikatnie potrząsnął.

— Mów mi o wszystkim. Jak mam ci pomóc, skoro ukrywasz przede mną taki problem?

— Nie demonizuj — upomniała go, ale w duchu zupełnie się z nim zgadzała. Popatrzył na nią z dezaprobatą, ale nic nie powiedział. Widział

w życiu dość, by na myśl o głuchych telefonach odczuwać niepokój. Nie chciał jej jednak straszyć. Kto ją niepokoił? Głupi szczeniak z sąsiedztwa, cichy wielbiciel czy seksualny dewiant i psychopata? Ewa była bardzo atrakcyjną kobietą, z pewnością budziła w mężczyznach wiele emocji. Poza tym Krzysztofowi przyszło nagle do głowy, że w zasadzie mógł do niej zadzwonić nawet Krawiec i na moment zrobiło mu się bardzo zimno. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien przydzielić jej kogoś do ochrony, ale szybko odrzucił ten pomysł. Na razie nie było ku temu podstaw. Cisza po drugiej stronie łączy nie musiała oznaczać zagrożenia życia. Uznał, że musi wierzyć tej ocenie, dopóki nie będzie w stanie zrobić nic więcej. Przez chwilę rozważał, czy nie zaproponować jej swojego towarzystwa. Oboje czuliby się wówczas pewniej. Ewa nie byłaby sama, a on uwolniłby się od niepokojów. Był gotów to zrobić, powstrzymało go jednak jej chłodne spojrzenie. Było jak odmowa i zabolalo go mocniej, niż mogłyby zabolalo słowa.

Telefon wciąż dzwonił, ale ona była niemal pewna, że w Warszawie jest bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej. Szczecin z każdym dniem stawał się bardziej odległy, a ona coraz rzadziej myślała o swoim mieszkaniu, w którym wędły kwiaty, a kurz, osiadający na meblach, nadawał ciemnej okleinie nijaki mysi kolor. Praca mogła jeszcze poczekać. Na koncie wciąż było trochę pieniędzy, a nowy płaszcz pozwalał zapomnieć o całych stosach ciepłych swetrów, drzemających w przepastnej szafie. Ewie nie chciało się wracać. Nie teraz, gdy śledztwo w każdej chwili mogło nabrać tempa. Niecierpliwie czekała na rozwój wydarzeń, które nie następowały. Pozorny spokój przypominał ciszę przed burzą. Krawiec przyciął się gdzieś, czekając na ich ruch, Cyryl był wiecznie nieobecny, a Krzysztof sprawiał wrażenie pochłoniętego własnymi myślami. Co do niej, poczucie bezpieczeństwa, w którym płała się u jego boku, nie mogło zrekompenzować braku innych uczuć. I niestety mijało, kiedy podwoził ją pod blok Cyryla, odprowadzał do drzwi mieszkania i zniknął, zostawiając ją sam na sam z komórką, której zaczynała już szczerze nie znosić. Fizyczne podobieństwo do Piotra dodatkowo wszystko komplikowało. Mimo to Ewa

z jakichś względów nie mogła obyć się bez szpakowatego mężczyzny, którego spokój i milczenie ty- lekroć doprowadzały ją do szewskiej pasji. Niczego nie mogła z niego wydobyć. Tajemnica śledztwa — powtarzał Krzysztof, kiedy pytała go o postępy. Był jak studnia, w którą wykrzyczec można każdy sekret. Nienawidziła go za to, ale miała do niego bezgraniczne zaufanie. Zupełnie jak kiedyś do Piotra. Nie chciała krzywdzić go porównaniami i nie podzielała zainteresowania, którym ją darzył, choć doskonale zdawała sobie z niego sprawę. Pochlebiało jej, to wszystko. Poprawiało samopoczucie. Dzięki Krzysztofowi nie czuła się tak bardzo sama. Dobrze znała Warszawę, minęło jednak dużo czasu, odkąd opuściła to miasto. Nic nie było już takie, jak dawniej. Ani ulice, ani sklepy, które pamiętała, ani nawet autobusy, które czasem wiozły ją nie tam, gdzie chciała. Jej wspomnienia chodziły innymi ścieżkami niż rzeczywistość, a ona bezskutecznie starała się do tego przyzwyczać.

Działo się z nim coś złego. Życiowa przestrzeń, ograniczona do kilkudziesięciu metrów kwadratowych, przypominała luksusowy wybieg, otoczony wysokim ogrodzeniem. Był u siebie i niczego mu nie brakowało poza zwykłą codziennością, miejskim powietrzem i ruchem ulicznym. Był pewien, że może zacząć o nich myśleć w czasie przeszłym. Nigdy nie przypuszczał, że będzie tęsknił za tłumem szczelnie wypełniającym autobus w godzinach szczytu. Dawny Artur Strzemiński do autobusów nie wsiadał. Cenił czas, własną wygodę i lubił żyć inaczej, niż reszta społeczeństwa. To jedno mu się udało. W swoim mieszkaniu czuł się jak mnich w klasztorze zamkniętym. Nie znał nikogo, kto żyłby w taki sposób. Świat za oknem tracił na znaczeniu, podobnie jak wszystko, co wydarzyło się, nim zadzwonił na policję, by zgłosić, że odnalazł nad Wisłą pierwsze zwłoki. Liczyła się tylko terażniejszość. Wypełniona lękiem, wyblakła terażniejszość więzienia, którym stał się na własne życzenie. Głupiec. W pierwszej chwili chciał z nią walczyć, ale brakło mu entuzjazmu.

Jego apetyt na życie znacznie osłabł, odkąd przestał widywać Izabelę, uprawiać z nią pseudomiłosne zapasy i wieść przy jej boku egzystencję

sublokatora i kochanka wbrew jej woli. Pewnego dnia zniknął na dobre, gdy Artur, słysząc dźwięk kroków na korytarzu, zbliżył oko do wizjera i zobaczył Cyryła. Gdy minął atak strachu, zrozumiał, że się pomylił, bo mężczyzna nie przyszedł do niego. Wstrzymał oddech i patrzył, jak tamten wyjmuje z kieszeni klucz i otwiera nim drzwi mieszkania po sąsiedzku. Ach, więc to tak, pomyślał, czując, jak ogrania go bezsilna rozpacz. Była jak szczelny gruby kokon, przez który nie mogły przeniknąć myśl, światło ani dźwięk. Artur miał wrażenie, że się udusi.

Poszedł do salonu i zaczął szukać płyty, dzięki której mógłby odnaleźć spokój i odzyskać część utraconego życia, choćby miał to być jedynie pozbawiony wartości ułamek, strzęp wspomnienia, wydarty zmęczonej pamięci. Muzyka jednak nie mogła mu pomóc. Jej sprzeciw usłyszał już w pierwszych dźwiękach trąbki Milesa Davisa. Złote nuty *Kind of Blue* zabrzmiały ostro, niemal fałszywie. Nie mógł znieść ich przenikliwości i przyszło mu do głowy, że smutek, który odczuwa, musi być innego rodzaju. Wyciągnął uzbrojoną w pilota dłoń przed siebie i jasne brzmienie urwało się nagle, ustępując przed ciszą. Mimo to on wciąż słyszał tony, którym nie pozwolił ulecieć w powietrze. Uwięzione w jego głowie, łączyły się ze sobą w dobrze znane takty i frazy.

A gdyby uchylił drzwi i zaprosił mężczyznę do mieszkania? Rozmowa z kimś, kto miał prawo dotykać ciała Izabeli, była próbą obcowania z nią samą i Artur zganił się w duchu za tę myśl. O co mógłby zapytać Cyryła, skoro wiedział, że nie uzyska żadnej odpowiedzi? Co mógłby powiedzieć, jeśli tamten miał za nic jego słowa? Jednak długo walczył z pokusą, by wytrwać przy Judaszu i zamienić z nim choć dwa zdania.

Wariuję — powiedział do siebie, rezygnując z obserwacji pustego korytarza. Położył się na wznak na kanapie i zagapił w sufit. Jego biel dorównywała doskonałością panującej w mieszkaniu ciszy. Przyszło mu do głowy, że mogłaby to być ostatnia rzecz, jaką widzi w życiu. To był dobry widok. Nie wywoływał w nim żadnych emocji.

Nie wiedział, ile minęło czasu. Drzwi po sąsiedzku trzasnęły. Strzemiński słyszał, jak mężczyzna powoli schodzi po schodach. Zmobilizował wszystkie siły i nie ruszył się z miejsca, by za nim pobiec.

XV

Pewnego dnia listy przestały przychodzić, lecz ich brak bardziej go zaniepokoił, niż ucieszył. Przez kilka miesięcy zdążył się przyzwycząić do dziwnej korespondencji (to prawda, że człowiek potrafi przyzwycząić się do wszystkiego) z nieznanym nadawcą. Teraz zdał sobie sprawę, że podświadomie wciąż czeka na białe, lekkie koperty, którym morderca powierzał swoje sekrety. Żałował, że żadna nie trafi już w jego ręce.

Nie wiedział, czego się spodziewać. Rozmowy twarzą w twarz? Własnej śmierci, która mogła nastąpić lada moment (nikt nie odwołał absurdalnej gry, o której z upływem dni myślał z coraz większym upodobaniem, bo coraz bardziej odpowiadało mu jej ostateczne rozwiązanie)? A może wiecznego milczenia? Na próżno czekał, aż coś się wydarzy. Telefon milczał uparcie, choć wyznaczony termin dawno minął. Uczucie zagrożenia przygasło, ustępując miejsca zniechęceniu i poczuciu beznadziei. Jego pozbawione sensu życie nie było już nikomu potrzebne. Nawet jemu samemu.

Izabela wróciła. Cyryl, który wyjechał po nią na lotnisko, choć wyraźnie zaznaczyła, żeby czekał w jej mieszkaniu, nie mógł oderwać od niej wzroku, gdy szła w jego stronę, jeszcze go nie widząc, wysoka i doskonale ubrana. Asymetryczne końcówki włosów poruszały się zgodnie z rytmem jej kroków, co jakiś czas dotykając skóry na szyi i policzkach. Gdy go dostrzegła, na jej twarzy zaszła niemal niedostrzegalna zmiana. Zaciśnięte usta sprawiły, że przybrała wrogi wyraz.

— Mówiłam, żebyś nie przyjeżdżał — powiedziała na powitanie, nie pozwalając, by ją pocałował. — Nie lubię ostentacji

— wyjaśniła, bo popatrzył na nią zaskoczony.

Podczas jej nieobecności zapomniał, jak trudno się z nią porozumieć. Właściwie bez słów rozumieli się tylko w łóżku. Kiedy je opuszczali, wyrastała między nimi ściana nie do przebicia. Pomyślał, że lepiej milczeć. Wziął bagaż i bez słowa ruszył do wyjścia. Izabela posłusznie poszła za nim. Na parkingu otworzył przed nią drzwi i poczekał, aż wsiądzie. Dopiero wtedy zajął miejsce za kierownicą.

— Tutaj jesteśmy sami — rzucił ze wzrokiem utkwionym w szybę, tuż nad jej prawym ramieniem. Pozorna obojętność. Manifestacja niezależności, o którą w tym momencie zupełnie nie dbał. Izabela poruszyła się, zasłaniając mu widok. Patrzył teraz na jej usta.

Tym razem nie oponowała, gdy się nad nią pochylił.

— Jedź. Muszę odebrać psa — usłyszał po chwili. Poprawił się w fotelu i zapiął pas.

— Nie musisz — powiedział spokojnie, a w jej oczach dostrzegł światło, które dodało mu odwagi. Nie było łatwo się jej przeciwstawić, ale wiedział, że jeśli tego nie zrobi, przegra. Izabela rzadko słyszała z ust mężczyzny słowo „nie”. Zdażył się zorientować, że właśnie ono działało na nią jak afrodyzjak. Było zakłębieniem, które powinien stosować z rozwagą, by nie spowszedniało ani jemu, ani jej. — Nie musisz — powtórzył, przekręcając klucz w stacyjce. — Przez kilka godzin chcę cię mieć tylko dla siebie.

Nie było łatwo grać według tej zasady, a Izabela była trudnym przeciwnikiem. Jeśli chciał jej okazać czułość, musiał wziąć pod uwagę, że obróci ją przeciw niemu. By ją sprowokować, powinien udać brak zainteresowania. Niewykonalne, myślał, obserwując kobietę tamtego wieczoru, gdy wracali z lotniska i później, w jej mieszkaniu, w kuchni, łazience, sypialni. Obojętność Izabeli nie była pozą, próbą mydlenia mu oczu, ani nawet sposobem bycia. Cyryl zrozumiał, że wynikała z temperamentu, charakteru i niewrażliwości. Ten niedostatek, czy też ułomność natury, zauważył już przed jej wyjazdem, ale nie uwierzył, że podobna beznamietność jest w ogóle możliwa. Teraz godził się na nią, starając się znaleźć w tym układzie miejsce dla siebie. Próbował użyć

wszystkich znanych sobie kluczy, ale żaden nie pasował. Izabela zaczynała czuć dopiero pod wpływem dotyku. Tylko wtedy potrafiła dzielić się swoim ciepłem. Tylko w ten sposób można było do niej dotrzeć. Seks był dla niej celem samym w sobie, dla niego — sposobem ekspresji, próbą komunikacji. To, co chciał jej powiedzieć, wymykało się słowom. Tymczasem ciało kobiety było uległe, ale umysł się opierał. Gwałtowne emocje, które wyzwał, nigdy nie trwały dostatecznie długo, by czuł się usatysfakcjonowany. Cyryl wiedział, że brnie w ślepy zaułek, ale nie umiał się wycofać. Jeszcze nie chciał żałować, że tak bardzo się pomylił.

Wciąż u niej bywał, patrzył na nią i kochał się z jej ciałem. Nawet czasem z nią rozmawiał, za każdym razem przekonując się, że w tej historii, tak jak w *Casablance*, nie będzie zakończenia, które mógłby zaakceptować. Zbyt wiele ich różniło. Za dużo od niej oczekiwał, podczas gdy ona nie oczekiwała niczego. Nie mógł na siłę ofiarować jej tego, czego nie potrzebowała. Była samowystarczalna. Żyła we własnym świecie, który jego zdaniem musiał przypominać akwarium. Duże i puste. Z grubego szkła, tłumiącego dźwięki. Może dlatego nie mógł się z nią porozumieć.

Własne wyobrażenia wydały mu się śmieszne, gdy siedział dwa czy trzy dni później w jej mieszkaniu, w zupełnej ciszy. Przerывał ją od czasu do czasu, mówiąc do siebie, a może do psa, który zdążył przywyknąć do obecności mężczyzny i teraz drzemał u jego stóp. Obaj wyrażali oczekiwanie tak, jak umieli. Doberman sapał miarowo, zupełnie jak człowiek. Cyryl sączył powoli czerwone wino, które wcale mu nie smakowało, jednak nie była to kwestia gatunku, a goryczy, którą odczuwał. Izabela się spóźniała. Miała swoje sprawy, o których nie miał pojęcia, pracę, o której nie mówiła, znajomych, których nie znał. To, co o niej wiedział, wiązało się z tym, co widział i czuł, wnioskowo na podstawie wypowiedzi lub czytał między wierszami. Co słyszał, bądź chciał słyszeć. Za mało, by zbudować choćby domek z kart, myślał, nalewając wina do kieliszka. Nie miał aż tyle zaufania do własnego zmysłu obserwacji.

Zauważył, że kropla alkoholu spłynęła po nóżce, rysując na szkle różowawą smugę. Nie stał jej, chociaż wiedział, że na stole pozostanie wilgotny ślad. Izabela nie lubiła śladów. Nie była przesadnie pedantyczna, nie należała nawet do osób wiodących uporządkowane życie. Ale drażniły ją drobne niedopatrzienia. Przejawy nieuwagi. Nazywała je niechlujstwem. Czasem miał wrażenie, że jest małostkowa. Pies poderwał się nagle i pobiegł do drzwi. Cyryl nie ruszył się z miejsca. Tylko odprowadził zwierzę spojrzeniem. Lśniący wąski grzbiet zniknął w mroku przedpokoju i w tym samym momencie rozległ się chrobot klucza w zamku.

Wróciła. Nareszcie. Pies zaczął okazywać radość, której Cyryl nie podzielał. Izabela zwlekała z wejściem do pokoju i mężczyzna domyślił się, że wieszka płaszcz w przedpokoju. Długi, ciemny, elegancki płaszcz, którego kolor korespondował z barwą jej włosów.

— Myślałem, że będziesz wcześniej — powiedział spokojnie, gdy stanęła w drzwiach. Jasna plama, wyraźnie odcinająca się od czerni wiodącego do kuchni korytarza. Wskazał niemal pustą butelkę. — Mieliśmy wypić razem.

— Przepraszam. Coś mnie zatrzymało.

— Co takiego?

Wzruszyła ramionami. Słowa. Słowa. Bez znaczenia. Cyryl parsknął.

— Z czego się śmiejesz?

— Z własnych mrzonek.

Ton, jakim to powiedział, sprawił, że przeszła przez salon i przysiadła na sofie. Wydawała się poruszona. Lestat pokonał tę odległość w ślad za nią i rozciągnął się na dywanie u jej stóp. Szczęśliwy. Wolny od niepewności.

— Dlaczego pijesz? — spytała, mierząc wzrokiem pustą butelkę, jakby to była kobieta, która zdobyła nad nią przewagę.

— Kto to może wiedzieć... Może lubię? — odparł, zdobywając się na nieszczerzy uśmiech.

— Nie zbywaj mnie wymijającymi odpowiedziami.

— Przecież ty robisz to bez przerwy — nie zamierzał ukrywać zdumienia. I złości, która wzbierała w nim, odkąd zjawił się w tym mieszkaniu. Jej natężenie osiągnęło właśnie poziom krytyczny. — Chcesz wiedzieć? — spytał, nieznacznie podnosząc głos. Mimo wszystko wciąż nad sobą panował. — Powiem ci. Bo niskoprocentowy alkohol zabija pożądanie. Zadowolona?

— Myślałam, że daję ci to, czego chcesz.

— Oczywiście — przytaknął z ironią. — Tyle, że to nie wystarczy.

— Wybacz.

— Och, drobiazg. Pozwolisz, że dopiję, nim sobie pójdę? — pozorny spokój Cyryla był kruchy jak cienki lód.

— Nie zostaniesz na noc?

— Po co? — zadał jej pytanie, ale nie doczekał się odpowiedzi, więc mówił dalej. — Dotykam cię, myśląc, że uda mi się do ciebie zbliżyć. Za każdym razem się rozczarowuję. Widocznie to stało się za szybko i zaszło za daleko.

— Szkoda, że tak myślisz.

W jej głosie usłyszał żal, a gdy pochyliła głowę, miał ochotę cofnąć to, co powiedział, byle tylko pozwoliła mu odgarnąć z twarzy miękkie pasma ciemnych włosów. Przyszło mu do głowy, że zbyt długo przebywa z nią w jednym pomieszczeniu. Ten wieczór nie mógł się dla niego dobrze skończyć. Był przekonany, że szczerść, na którą zamierzał się zdobyć, zaboli ich oboje.

— A jak mam myśleć? Co jest z tobą nie tak? — Tym razem nawet nie oczekiwał, że odpowie. Gwałtownie wyrzucał z siebie nieskładne zdania. — Ta twoja obojętność. Nieobecność. Gdzie się podziewasz, kiedy jesteś obok? Patrzę na ciebie i zastanawiam się, czy ty w ogóle czujesz.

— Co masz na myśli?

— Cokolwiek, Iza. Cokolwiek. Sympatię. Życzliwość. Miłość. Siebie.

Odpowiedziało mu milczeniem.

— Tak myślałem. Współczuję — powiedział, gdy minęło dość czasu, by zdobył pewność, że Izabela się nie odezwie. Podniósł się z fotela. —

Wino się skończyło. Pójdę już.

— Zostań.

— To nie ma sensu.

— A jednak proszę cię...

— Ty mnie prosisz... — zastanowił się, bo sytuacja rzeczywiście była niezwykła. Przez chwilę rozważał, które z nich ma nad drugim większą władzę. Wciąż nie był pewien, czy wystarczy mu charakteru, by wstać i wyjść. Izabela lubiła być upokarzana. Gdyby potraktował w podobny sposób inną kobietę, mógłby o niej zapomnieć. Wzdrygnął się. Upokorzenie było w jego pojęciu czymś zupełnie sprzecznym z uczuciami, które żywił. Czymś ohydny. Niedopuszczalnym.

Wybiegła za nim na korytarz.

— Cyryl! — zawołała półgłosem w głąb klatki schodowej, więc zatrzymał się na półpiętrze. Miał ochotę zawrócić, ale nie zrobił tego. Na parterze pozwolił sobie na trzaśnięcie drzwiami. Pomyślał, że się od niej uwolnił, ale mylił się i co do niej, i co do siebie.

Izabela dogoniła go przy głównej bramie. Poczuł, że łapie go za łokieć. Trzęsa się z zimna, ale wydawało się, że tego nie zauważa. W jej jasnych tęczęwkach odbił się blask najbliższej latarni.

— Nie powinienes prowadzić — powiedziała, by go zatrzymać.

— Są autobusy.

— Co mam zrobić, żebyś zmienił zdanie?

— Przekonaj mnie — odparł, czując, jak złość ustępuje znacznie bardziej złożonym uczuciom.

— Jak? — spytała bezradnie, jakby wymagał od niej rzeczy niemożliwej. Sens pytania dotarł do Cyryla z pewnym opóźnieniem. Może winny był alkohol, a może wyobrażenia, które nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Były jednak na tyle absorbujące, że uciekł w nie na chwilę, starając się odsunąć od siebie świadomość katastrofy.

— Nie wiesz, prawda? — upewnił się teraz, tropiąc światło na twarzy kobiety. Stała zdecydowanie zbyt blisko niego. Przeszkadzało mu to i jednocześnie sprawiało przyjemność.

— Nie masz bladego pojęcia, o czym mówię... Chyba nie mogę ci pomóc...

— Mógłbyś chociaż spróbować.

— Za mało zaangażowania, Iza — rzucił. Zdziwił się, że potrafi o tym mówić tak otwarcie. Ktoś musi, pomyślał, chowając zziębnięte ręce do kieszeni kurtki.

— Myślisz, że nie wiem?

— Skoro wiesz, dlaczego tego nie zmienisz?

— Przecież jestem tu, do cholery — odparła. Ton prośby zniknął i mężczyźnie przyszło do głowy, że tak jest o wiele lepiej. Stojąca przed nim Izabela była wreszcie sobą. — Jak długo każesz mi robić z siebie idiotkę?

Nie wiedział, ile trwa ta absurdalna rozmowa — kwadrans, pół godziny, a może tylko kilka minut. Z miejsca, w którym stali, widział swój samochód. Dawny Cyryl zapragnął nagle znaleźć się w jego wnętrzu. Musiał być sam, żeby zebrać myśli. Jednak mężczyzna, którym był od kilku dni, marzył coraz bardziej, stojąc przed zbyt lekko ubraną kobietą i nie potrafił zdecydować się na żaden ruch. Dlaczego nie mógł zrobić trzech kroków i znaleźć się po drugiej stronie ogrodzenia? Potrzebował widzialnej granicy, która by go od niej oddzieliła. Gdyby mógł, narysowałaby ją stopą na piasku.

— Jak on sobie z tobą radził?

— Kto taki? — spytała, zdziwiona obrotem rozmowy.

— Ten dziennikarz wątpliwego autoramentu.

— Nie masz powodu do zazdrości — powiedziała, przyglądając mu się uważnie. Znowu była chłodna i opanowana. Niewykluczone, że zadając niewłaściwe pytanie, Cyryl stracił kilka z takim trudem zdobytych punktów.

— Nie o to chodzi. Nie jestem zazdrosny — uściślił. To też był element gry: udać, że facet, z którym kiedyś sypiała, nic go nie obchodzi. Bo że sypiała, nie miał wątpliwości. Był przekonany, że jej znajomość z mężczyznami nie mogła rozwijać się w innym kierunku. Przez chwilę

zastanawiał się, czy z tego powodu też powinien jej współczuć. Potem pomyślał, że powinien raczej współczuć sobie. Seksualność Izabeli była czymś naturalnym i oczywistym, czego wcale nie starała się ukryć. Cyrylowi, zatopionemu w rozważaniach na niecodzienny temat, nie przyszło do głowy, że do ewentualnych rywali przykłada własną miarę. Prawdopodobnie Izabela, podobnie jak większość kobiet, sypiała z kim jej się żywnie podobało. Korzystała z przysługującego płci pięknej prawa wyboru oraz z wywalczonej podczas rewolucji seksualnej możliwości decydowania o tym, z kim i kiedy idzie do łóżka. Może kiedyś byłoby to odrobinę szokujące, teraz było tylko smutne. Liczba partnerów, których — jak podejrzewał — musiało być przynajmniej kilku, świadczyła o temperamencie, ale również o samotności i nieustannym poszukiwaniu.

Zrozumiał, że tego wieczoru nie pomoże mu żadna, widzialna, czy wyimaginowana granica. Izabela wciąż mu się przyglądała. Widziała, że się waha.

— Więc o co?

— Ma na koncie wyrok. I jest podejrzany o morderstwo.

— Jakie to ma znaczenie? — wzruszyła ramionami. Brwi uniesione do góry. Grymas ładnych ust. Chyba rzeczywiście było jej wszystko jedno, jakich grzechów dopuścił się w przeszłości Artur Strzemiński, młodociany przestępca i eks-ko- chanek. — Chodź — powiedziała. — Zapomnijmy o tym.

Jej słowa miały moc uwalniania pamięci od złych wspomnień, a Cyryl był podatny na wypowiedane przez nią zaklęcia. Był gotów dać jej jeszcze jedną szansę. Ichciał ją dać także sobie. Może tylko po to, by następnym razem podjąć właściwą decyzję i znaleźć się po drugiej stronie ogrodzenia.

Kiedy Ewa otworzyła drzwi mieszkania, które od jakiegoś czasu traktowała jak własne, przywitały ją ciemność i cisza. Westchnęła. Cyryla oczywiście nie było. Nie pamiętała już, kiedy zdarzyło im się zamienić ze sobą choć dwa zdania. Wiele by dała, by przyjaciel zaczął spędzać wieczory i noce w domu. Byłoby jej łatwiej odbierać te przeklęte telefony, gdyby wiedziała,

że jest za ścianą. Nie miała pojęcia, czemu po prostu nie rozłącza rozmów, które z założenia miały się nie odbyć. Chyba ciągle wierzyła, że w końcu dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. Zastanawiała się, które z nich wcześniej się znudzi: ona czy ten tajemniczy ktoś, mistrz milczenia, reżyser dramatu?

Przekroczyła próg i zapaliła światło w przedpokoju. Kilka razy pociągnęła nosem. W powietrzu unosił się wyraźny zapach męskiej wody toaletowej. W pierwszej chwili pomyślała, że Cyryl wyszedł z domu tuż przed jej powrotem. Ale on pachniał zupełnie inaczej. Poza tym, gdyby był tu przed nią, miska Farinellogo nie byłaby pusta.

Nie chciała wpadać w panikę, ale na wszelki wypadek dokładnie zamknęła drzwi wejściowe i zapaliła światło we wszystkich pomieszczeniach. Zupełnie jakbym się bała ciemności, pomyślała. W gruncie rzeczy jej przerażenie miało o wiele poważniejsze podstawy i z czymś jej się kojarzyło. Niechętnie przywołała wspomnienia sprzed trzech lat, kiedy pełniąc funkcję antropologa na wykopaliskach prowadzonych przez Piotra, znalazła w starym klasztorze ponad stuletni dziennik niemieckiego historyka. Z jego zapisków wyczytała ten sam strach, który teraz odczuwała. Strach osoby osaczonej, która nie wie, czego właściwie się boi. Ewa już chyba wiedziała, choć jeszcze nie mogła w to uwierzyć. Był tylko jeden człowiek, który na tyle dobrze znał tamtą historię, by próbować wykorzystać jej elementy do swoich celów. I jeden, który używał wody toaletowej tej marki.

Na drzwiach lodówki zobaczyła niewielką kartkę, na której nabazgrano kilka słów. Dobrze znany charakter pisma tylko potwierdzał jej najgorsze obawy. Tekst listu ograniczał się do jednego pytania. *A więc już wiesz, prawda?* — przeczytała. Dopiero teraz zaczęła się bać naprawdę.

Krzysztof wpadł do mieszkania Cyryla równo kwadrans po jej telefonie i Ewa doszła do wniosku, że musiał chyba przefrunąć nad miastem, skoro znalazł się tu tak szybko. Nie wpadła na to, by wyjrzieć oknem. Gdyby to zrobiła, prawdopodobnie dostrzegłaby jego samochód, który od jakiegoś

czasu stał w pobliżu wejścia do budynku. Siedzący za kierownicą Sobolewski dla zabicia czasu obserwował wszystkich wchodzących i wychodzących. Może było to pozbawione sensu, ale jemu często zdarzało się działać instynktownie. Czekał więc w ciemności, aż coś się stanie. Niedługo, jak się okazało. Za ledwie kilkanaście minut. Dla przyzwoitości odczekał jeszcze kwadrans, żeby Ewa nie zorientowała się, że postanowił jej pilnować. W tym czasie z klatki wyszedł tylko jeden mężczyzna, dość wysoki i barczysty. Po ciemku Krzysztofowi nic więcej nie udało się dostrzec.

Zamknął samochód i wbiegł na górę. Przed drzwiami mieszkania zatrzymał się i podniósł z wycieraczki kwiat. Piękną herbacianą różę z ułamaną główką. Ewa, widząc ją, pobladła. On wiedział, jakie kwiaty lubi i doskonale dobrał kolor. Komentarz był zbędny. I ona, i Krzysztof zrozumieli to jako groźbę.

— Boję się — powiedziała, siadając obok policjanta na kanapie.

— Wiem. Ale musisz zachować spokój.

— Jak?

— Znam cię. Znajdziesz jakiś sposób. Dzwoniłaś do niego?

— Żartujesz? — popatrzyła na niego zdumiona. — Po co?

— Choćby po to, by dowiedzieć się, co planuje i dlaczego nie zostawi cię w spokoju.

— Nie muszę. Znam odpowiedź — odparła. — Zwyczajnie chce się na mnie odegrać.

— Musi mieć diabło dobry powód—wyraził opinię Sobolewski. To był jego sposób wyciągania informacji. Nie pytał. Nie naciskał. Nie sugerował. Czekał, aż kobieta się odezwie. Z przedłużającego się milczenia wywnioskował, że opowieść nie przyjdzie Ewie łatwo. Nie był pewien, czy w ogóle ją usłyszy.

— Czy mogę ci o tym opowiedzieć jak przyjacielowi, a nie policjantowi?

— Miałaś zatarg z prawem? — spytał zaskoczony.

— Zeznawałam przeciwko niemu w sądzie. Nie postawiono mi zarzutów.

— Ale czujesz się winna?

— W zasadzie... tak — Ewa podciągnęła kolana pod brodę i splótła na nich dłonie. — Byłam kimś w rodzaju „asystentki” przemytnika. Nie tylko mu nie przeszkadzałam, ale miałam swój udział w tych jego szemranych interesach. Zdobywałam informacje, byłam pośrednikiem, dostarczałam przesyłki z interesującą zawartością...

— Dlaczego? — spytał Sobolewski takim tonem, jakby próbował pojąć istotę wyjątkowo skomplikowanego zagadnienia.

Ewa była kimś innym, niż mu się wydawało. Chciał się dowiedzieć, na czym polegała różnica. Gdzie zrobił błąd? W jego pracy następstwa takich pomyłek mogły być fatalne w skutkach.

— Był moim mężem. Poza tym wydawało mi się, że go kocham. Kiedy nie chciał zerwać z dawnym życiem, postanowiłam mu pomóc, żeby go chronić. Miałam swoje kontakty. Tomasz nie lubił głupio ryzykować. Był rozważny. Nauczył mnie, że ryzyko można smakować jak alkohol o wyszukanym smaku. Zawsze wiedział, kiedy się wycofać. Nawet mi się to podobało. Na początku. Później intuicja zaczęła go zawodzić. Za dużo pił. Zrobiło się nieprzyjemnie. Już nie potrafiliśmy się dogadać — umilkła, zapatrzona w swoje wspomnienia.

— Rozczarowałam cię? — spytała po chwili, kreśląc palcem wzory na miękkiej tkaninie kanapy. Beztroskie esy-floresy. Zdecydowane kreski. Doskonałe kółka. Czuła na sobie spojrzenie siedzącego obok mężczyzny, który wolał nie odpowiadać na jej pytanie.

— Mówiłaś, że twój mąż jest w więzieniu — powiedział zamiast tego. Nawet gdyby chciał oceniać jej postępowanie, nie umiałby zdobyć się na bezstronność.

— Mógłbyś to sprawdzić? — w końcu na niego spojrzała. Niepewnie i wyzywająco zarazem. Już nie zamierzała się usprawiedliwiać. Jej hardość była prawdopodobnie jej największą winą. Mimo wszystko Krzysztof był jej wdzięczny za szczerość.

— Ile dostał?

- Pięć lat — odparła Ewa.
- Sporo.
- Widocznie zasłużył.
- Kiedy?
- Prawie trzy lata temu.
- Dowiem się, czy nie wyszedł wcześniej. Tymczasem dotrzymam ci towarzystwa.
 - Po tym, co usłyszałeś? — jej zdumienie sprawiło mu przykrość. Było przyznaniem się do winy, podczas gdy on naprawdę nie chciał znać szczegółów. Wystarczyłby żal za grzechy.
 - Wyrok już zapadł — odparł, siłąc się na obojętność, do której było mu bardzo daleko. — Aja nie chcę, by cokolwiek ci się stało.

Dochodziła trzecia w nocy, a Artur nawet nie starał się zasnąć. Leżał w ubraniu na niepościelonym łóżku i kontemlował ciemność. Właściwie nie myślał o niczym konkretnym. Nie był pewien, czy w ogóle myśli. Jego umysł przypominał zatłoczoną poczekalnię, w której panuje zamęt. Mógł zaprowadzić w niej porządek, ale mu się nie chciało. Z odtwarzacza mp3 wprost do jego ucha sączyła się piosenka Pink Floyd, której w ostatnich dniach lubił słuchać ze względu na znamienny tytuł. *High Hopes*. Album *The Division Bell* z 1994 roku. Nie przepadał za muzyką tego okresu, ale dla starych kapel robił czasem wyjątek, a ta należała do jego ulubionych. Wielkie nadzieje. Jego nadzieje. Nieważne, o czym była mowa w tym utworze, wystarczyło, że on słyszał w nim to, co chciał usłyszeć. W ciemności brzmiał może zbyt patetycznie i zanadto dosłownie, ale Arturowi chyba o to chodziło. Może się nad sobą użalał (ale kogo to właściwie obchodziło?), a może próbował podjąć decyzję, która przybliżyłaby go do wyjścia z absurdałnej sytuacji, w jakiej się znalazł? Więzienie we własnym domu. Recydywista *in spe*. I morderca. Słuchając słów refrenu, zaczął się zastanawiać, kiedy jego świat spłowiał i stracił blask. Wtedy, gdy napadł tę kobietę? Czy dopiero na sali sądowej? A może dużo wcześniej, wśród szarych praskich ulic? Na Różycy, gdzie można

było wszystko kupić, sprzedać i ubić lewy interes? Z pasją zerwał słuchawki z uszu i rzucił na łóżko. Potem usiadł po turecku i zapatrzył się w nocne okno. Pomyślał, że ciemność go uspokaja.

Na korytarzu rozległy się głosy. Nie musiał wyglądać przez wizjer, by wiedzieć, że Izabela żegna się z Cyrylem. Wstał jednak i powłókł się do drzwi, stąpając cicho po drewnianych deskach podłogi. Skarpety tłumyły dźwięk kroków i Artur, który po zmroku nie zapalał światła i nie mógł widzieć się w lustrze, a mimo to doskonale wiedział, jak wygląda, wydał się sobie żaloszny. W wyciągniętym swetrze i spodniach wypchanych na kolanach. Nieogolony, bo ostatnio nawet na to nie mógł się zdobyć. Stał i nasłuchiwał. Rozmawiali prawie szeptem, więc nie mógł rozróżnić słów. Kiedy umilkli, dziennikarz wyobraził sobie, jak całują się w progu. Wyrzwał na korytarz w momencie, gdy Izabela zamykała drzwi. Dwa razy szcęknął zamek. Cyryl został sam. Światło lampy pozwalało dostrzec cienie pod oczami i znużenie, czające się w kącikach ust. Mężczyzna stał bez ruchu, jakby nie wiedział, co ze sobą począć. Może dlatego Strzemiński zdobył się na śmiałość, o którą się nie podejrzewał.

Nocny gość z zaskoczeniem patrzył, jak w szparze pojawia się wycinek jego twarzy, błyszczące gorączką oko, poszarzały od zarostu, zapadnięty policzek. Podbródek, który ostatnio zrobił się bardziej spiczasty. Artur, który we wzroku Cyryla dostrzegł niedowierzanie i litość, po raz drugi zawstydził się swojego wyglądu.

— Mieszkasz tu? — Ten bezpośredni zwrot im obu wydał się naturalny. Gdyby mieli odwagę rozmawiać o tym, co ich najbardziej bolało, musieliby dojść do wniosku, że ich emocje, przeżycia i dylematy są bardzo podobne. Tymczasem jako ludzie zupełnie sobie obcy nie umieli się zdobyć na otwartość i mogli jedynie przypuszczać, że więcej ich łączy, niż dzieli. Domniemana wspólnota doświadczeń sprawiła, że liczyli na coś więcej. Strzemiński nie zamierzał zatrzaskać drzwi. Cyryl jeszcze nie chciał odejść.

— Tak — potwierdził Artur. Głos brzmiał obco w martwej ciszy korytarza. Odkąd wrócił do domu, rozmawiał jedynie z kurierami,

k którzy przywozili zamówione przez telefon jedzenie. I raz z listonoszem. Nie wiedzieli, że jest poszukiwany i chyba wcale ich to nie obchodziło.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem. Twój przyjaciel podarował mi namiastkę wolności. Wejdiesz?

— Nie boisz się, że po moim wyjściu zjawi się u ciebie policja? — Cyryl znajdował dziwną przyjemność w odmienianiu zaimka „ty” przez przypadki. Przekroczył próg. Drzwi zamknęły się i wokół zapanowała ciemność.

— Jestem zmęczony i jest mi już wszystko jedno — usłyszał. Artur stał kilka metrów na prawo od niego. Jego słowa sprawiały wrażenie stłumionych przez mrok. — Zrobisz, co uznasz za stosowne. Chciałem tylko pogadać. Ty nie prowadzisz śledztwa, więc może będziesz mniej nieufny. Poza tym... — machnął ręką, choć Cyryl nie mógł tego widzieć. Poza tym sypiasz z tą samą kobietą, co ja, zamierzał dodać, ale powstrzymał się, wiedząc, że takie uzasadnienie byłoby nie na miejscu. Kogo próbował oszukać? Siebie czyjego? Ostatnio sypiał tylko z własnymi demonami. Albo nie sypiał wcale. — Pozwolisz, że nie zapalę światła?

— Teraz, kiedy jesteśmy tu obaj, to chyba zbędny środek ostrożności — wyraził opinię Cyryl, na próżno starając się dostrzec w ciemności własne dłonie. Jak to możliwe, że nie docierał tu nawet najślabszy blask ulicznych świateł?

— A więc zadzwonisz do niego? — upewnił się dziennikarz. Głos mu stwardniał i pojawiły się w nim chrapliwe tony, które Cyryłowi wcale się nie spodobały. Nie miał zaufania do desperatów.

— Spodziewałeś się, że mógłbym tego nie zrobić? W jakim świecie ty żyjesz? — odparł jednak spokojnie, mając nadzieję, że jego nastrój udzieli się gospodarzowi.

— To jest mój świat, jeśli się jeszcze nie zorientowałaś — mruknął Strzemiński. Znów mówił normalnie i Cyryl ode-tchnął. Usłyszał szelest i po chwili w kuchni błysnęła lampa.

— Dziękuję ci za szczerość — powiedział, zapraszając Cyryla gestem do środka. — Właściwie nie spodziewałem się innej odpowiedzi, ale

człowiek nigdy nie ma pewności, czy nie pomylił się w ocenie.

— W ocenie? — powtórzył Cyryl, mierząc wzrokiem mężczyzną swobodnie opartego o blat kuchenny. Już nie sprawiał wrażenia przyczajonego. Z minuty na minutę nabierał pewności siebie. Jakby światło lampy czyniło z niego zupełnie innego człowieka. Tylko jego mizerny wygląd stał w sprzeczności z dokonującą się na oczach Cyryla przemianą.

— Przechodzę przez to drugi raz — powiedział Artur, nie wdając się w wyjaśnienia. Jego potrzeba podzielenia się opowieścią była silniejsza od nakazów zdrowego rozsądku i konieczności tłumaczenia rozmówcy czegokolwiek. — Powinienem mieć wprawę. Tymczasem wszystko wygląda inaczej, niż się spodziewałem. Wiesz, o czym mówię? Zresztą, jakie to ma znaczenie... Wtedy szybko mnie złapali. Teraz chyba im na tym nie zależy. Wśliznąłem się do mieszkania jak złodziej, a mogłem wejść do niego jak człowiek. I tak by nie zauważyli.

— Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Nie miałem dość odwagi. Myślałem, że wciąż mam wiele do stracenia. Ale to już przeszłość. W końcu dotarło do mnie, że wolność jest stanem umysłu, nie przywilejem ciała.

— Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli — odezwał się Cyryl ostrożnie. Zawsze krępowała go nadmierna otwartość innych. Wyobrażał sobie, że wynika z chwilowej słabości, której później gorzko się żałuje. Przewidując, że Artur właśnie tak ją kiedyś oceni, odczuwał niesmak znacznie wcześniej niż on.

— Czas to skończyć. Zabawa w chowanego nie może trwać w nieskończoność. Twój kumpel musi sobie z tego zdawać sprawę. Czy on celowo zostawił mnie w spokoju?

— Może go zapytasz? — Cyryl wyjął z kieszeni telefon. — Krzysztof nie spowiada mi się ze swoich metod prowadzenia śledztwa.

— Jasne — mruknął Strzemiński i z obawą popatrzył na komórkę. — Nie, jeszcze nie teraz. Daj mi jeszcze chwilę. Muszę oswoić się z tą myślą.

— Myślałem, że już to zrobiłeś.

— To nie takie proste — pokręcił głową dziennikarz. — Mimo wszystko.

— Zabiłeś tych facetów? — spytał Cyryl, wpatrując się w twarz gospodarza, która nawet na chwilę nie zmieniła wyrazu.

— I ty, Brutusie, przeciwko mnie? — uśmiechnął się z ironią Artur. — Dlaczego mam wrażenie, że moje słowa nikogo nie interesują? Ty też mnie już skazałeś?

— Też?

— Jestem poszukiwany, jakbym był winny. To chyba o czymś świadczy, prawda? Poza tym nawet ona nie uwierzyła w moje zaprzeczenia.

Cyryl uniósł w górę obie dłonie. Swoje sprawy załatwiającie beze mnie, ja nie mogę być waszym pośrednikiem, miał ochotę powiedzieć, ale zdobył się tylko na ten gest. Znadto go to wszystko dotykało, by mógł zachować bezstronność. Nagłe przestał rozumieć, dlaczego ten człowiek zwierza się właśnie jemu, jakkolwiek na to patrzeć — pracownikowi organów ścigania, mężczyźnie, który zastąpił go w łóżku Izabeli, skoro inne zastępstwo nie wchodziło w grę. Gdy o tym pomyślał, pojął, że to właśnie dlatego. Izabela nie należała do żadnego z nich, podarowała im jedynie trochę czasu. To wszystko, na co ją było stać. Skąd miała wiedzieć, że oni będą sobie zazdrościć dni, których nie znali. Dni, które należały do tego drugiego. Zazdrość wiązała ich mocniej, niż mogłoby wiązać jakiegokolwiek uczucie. Przyjaźń. Wrogość. Ciekawość. Współczucie.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — przypomniał Strzemińskiemu. Podejrzany spojrział na niego dziwnie.

— I nie odpowiem. Nie tobie będę zdawał relacje z moich grzechów, prawdziwych czy domniemanych. Zadzwoń do kolegów, niech przyjadą i mnie zgarną — powiedział szybko, jakby bał się, że nim dopowie zdanie do końca, zdąży je zmienić. — Albo lepiej nie. Sam zadzwonię. Daj mi tylko numer do tego detektywa.

Cyryl podał mu swój telefon i z niepokojem obserwował, jak tamtemu zaczynają drżeć ręce.

— Zaczekaj — odezwał się, tknięty złym przeczuciem. Artur przerwał na moment zabawę z przyciskami. Wyraźnie nie radził sobie z wybraniem numeru. — O czym właściwie chciałeś ze mną rozmawiać?

— Zostawmy to. Już za późno na rozmowy. Noc się kończy. Nie chcę, by ktokolwiek widział, jak wychodzę stąd w kajdankach.

Nie chcę, by ona widziała, choć wcale o to nie dba, usłyszał Cyryl. Cóż. To akurat był w stanie zrozumieć.

— Dobry wieczór, detektywie — mówił tymczasem dziennikarz do telefonu. — Mówi Artur Strzeмиński. Proszę mi wybaczyć, że pana obudziłem... — sarkazm, w którym szukał ratunku, nie był w stanie ukryć jego zdenerwowania. — Nie spał pan? Nocny z pana marek... Myślę, że czas na pogawędkę... Skąd dzwonię? Może pan nie uwierzy, ale z domu. Dziękuję, że pozwolił mi pan samemu dojść do pewnych wniosków... Zapraszam do siebie... Oczywiście, że teraz. Jest tu już pański przyjaciel... Nie, niczym mu nie grożę. Najwyraźniej jest tu z własnej woli. Dziwne, prawda?... Doskonale. Wobec tego czekam. Do zobaczenia.

Bez słowa oddał Cyrylowi komórkę. Odwrócił się i wyjął z szafki kawę oraz trzy porcelitowe kubki, każdy w innym kolorze. Potem włączył czajnik i ciężko usiadł po drugiej stronie stołu.

Ewa spała. Nawet nie drgnęła, gdy Krzysztof zapalił światło. Przez kilkanaście sekund przyglądał się twarzy o regularnych rysach i płomiennie rudym włosom, które tworzyły na poduszce fantastyczny wzór. Spod kołdry wystawało jedno ramię w bawełnianej koszulce z krótkim rękawem. Sobolewski pozazdrościł Ewie spokoju. Dotąd nie zmrużył oka i kiedy zadzwonił telefon, zastanawiał się właśnie, jak poradzić sobie z miotającymi nim sprzecznymi uczuciami: fascynacją i zwątpieniem, zrozumieniem i rozczarowaniem. Wszystkie dotyczyły tej właśnie kobiety, a ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Usiadł na łóżku i delikatnie dotknął nagiego przedramienia. Przyszło mu do głowy, że nadużywa jej zaufania, ale nie mógł się oprzeć.

— Ewa, obudź się — powiedział półgłosem. Wciąż spała, więc pogłaskał ją po policzku i patrzył, jak ten gest wywołuje na jej twarzy

uroczy uśmiech. Gdyby miał więcej czasu, mógłby przyglądać się jej dłużej. Niestety, musiał się spieszyć. Potrząsnął nią delikatnie, więc otworzyła oczy i widząc go, gwałtownie usiadła na łóżku.

— Muszę jechać — powiedział Krzysztof. — Ten dziennikarz, który odnajdywał zwłoki... wiesz, ten, który zbiegł w czasie zatrzymania... chce się ze mną zobaczyć.

— Weź mnie ze sobą. Nie zostanę tu sama.

— Spokojnie — powiedział. — Przecież nic się nie dzieje. Twój telefon milczał cały wieczór.

Ale ona już podjęła decyzję.

— Jadę z tobą — stwierdziła. — Czy tego chcesz, czy nie.

Nie chciał się z nią spierać. Na to też nie miał czasu. Dochodziła 4.30. Kończyła się bezsenna noc.

— Ubierz się — rzucił i wyszedł z pokoju. Był przyzwyczajony do wydawania poleceń.

Na zewnątrz było bardzo zimno. Porywisty wiatr szarpał poły jej płaszcza, którego w pośpiechu nie zdążyła zapiąć, rozwiewał rude pasma, które wymykały się spod kaptura. Oboje milczeli, idąc szybkim krokiem do samochodu. W jego wnętrzu było zacisznie, niemal intymnie. Krzysztof lubił przebywać z Ewą w tej ciasnej przestrzeni. Wymuszała na nich bliskość, na którą nigdy nie zdobyliby się dobrowolnie. A raczej to on by się nie zdobył, jej było to z pewnością obojętne.

Jechał zbyt szybko, w panice rejestrując upływające sekundy. Wiedział z doświadczenia, że z nastaniem dnia przyszedli więźniowie robią się krnąbrni i nieskorzy do współpracy. W nocy uaktywniała się lepsza strona ich natury. Łatwiej było ich przeświecić. Sobolewski nie raz widział, jak właściwe pytanie, zadane w stosownej chwili, skłaniało ich do zwierzeń. Jeśli mieli wątpliwości, te nagle wymykały się spod kontroli. Może była to zasługa ciemności, a może tylko kwestia nastroju.

Ewa kilka razy miała ochotę przerwać panującą w samochodzie ciszę, ale powstrzymała się, widząc skupienie policjanta. Doceniał jej powściągliwość. Rozmowa była ostatnią rzeczą, na którą miał teraz

ochotę. Spotkanie z Arturem Strzemińskim, podejrzanym o zaplanowanie i wykonanie z drobiazgową dokładnością pięciu egzekucji, mogło mieć różny przebieg. Próbował je sobie wyobrazić. Przewidzieć słowa tamtego. Przygotować sobie pytania-klucze. Nie chciał się dzielić tymi przemyśleniami z siedzącą obok kobietą. Dobrze znał świat, w którym się obracał. Mroczne i niebezpieczne królestwo ludzkich ułomności. Dopóki to było możliwe, zamierzał trzymać ją od niego z daleka.

Kiedy skręcił w prawo i zaparkował pod blokiem, Ewa rozejrzała się zaskoczona.

— Co my tu robimy? — spytała.

— On tu mieszka — wyjaśnił jej zwięźle Krzysztof.

— Ona także — dodała Ewa tym samym tonem.

— Kto?

— Izabela Skrzynecka, specjalista wampirolog.

— Tutaj? Jasny gwint! — policjant zastygł bez ruchu z kluczykiem wyjętym ze stacyjki w dłoni. Jego umysł pracował na wysokich obrotach.

— Jak ona wygląda? — spytał w nagłym olśnieniu.

— Atrakcyjna brunetka. Bardzo szczupła. Powiedziałabym nawet: żyłasta.

— Jasny gwint! — mruknął znowu mężczyzna.

— Znasz ją?

— Miałem przyjemność. Spotkaliśmy ją kiedyś obaj z Cyrylem. A raczej ich. Ją i Strzemińskiego. Teraz już wiem, dlaczego jej nazwisko wydało mi się znajome, gdy usłyszałem je od ciebie. Powinienem uważniej czytać akta z przesłuchań. Kiedy Strzemiński uciekł, moi ludzie rozmawiali z jego sąsiadami. Nikt nie potrafił o nim powiedzieć nic konkretnego. Ona również.

— Kłamała?

— Tak sądzę. Na oko łączyło ich więcej niż adres.

— Dlaczego miałyby to robić?

— Skąd mam wiedzieć? Może wiedziała, że jest winny i nie chciała być w to zamieszana, a może pomagała mu i przyjęła pod swój dach, gdy nie miał się gdzie podziąć? A nam sprzedała stosowną bajkę, żebyśmy się odczepili.

Kończył mówić, gdy z prawej strony pojawił się radiowóz. Kierowca sprawnie zaparkował i wyłączył silnik. Krzysztof pozdrowił podwładnych ruchem dłoni.

— Teraz jesteś bezpieczna — powiedział. — Wracam za kilka minut.

Ewa chciała zaproponować, ale widząc jego minę, zrezygnowała. W takich sytuacjach nic nie mogło sprawić, by zmienił zdanie.

— Uważaj na siebie — zabrzmiało to jak prośba, która w równym stopniu zaskoczyła ich oboje.

— Zawsze uważam — odparł detektyw.

Trzasnęły drzwi i Ewa została sama, jeśli nie liczyć dwóch policjantów, ćmiących papierosy w sąsiednim samochodzie. Z uchylonych okien unosił się w górę dym, który na tle nocnego nieba wydawał się zupełnie biały.

Otworzył mu błady i zmęczony Cyryl. Miał podkrążone z niewyspania oczy i policzki pokryte siną smugą zarostu. Sobolewski popatrzył na niego ze współczuciem.

— Wdepnąłeś w wyjątkowo rzadkie gówno — powiedział bardzo cicho, upewniwszy się, że dziennikarz jest w kuchni i nie może go słyszeć. — Byłeś u niej?

— Prosiłem Ewę, żeby ci nie mówiła.

— Nie zrobiła tego. Domyśliłem się, kiedy mi powiedziała, że ona tu mieszka.

— Jeśli sądzisz, że coś przed tobą ukryłem... — zaczął Cyryl. — Nie miałem pojęcia, że oni są sąsiadami. Dopóki nie zobaczyłem go dzisiaj w uchylonych drzwiach.

— Wspaniały przepływ informacji — mruknął Sobolewski ze zjadliwą ironią. — Mogę sobie pogratulować. Tobie też, jak sądzę.

— Czego? — spytał Cyryl, ale w jego głosie nie było ciekawości.

— Sypiasz z muzą mordercy. Czyś ty kompletnie oszalał?!

— ostatnie zdanie detektyw wypowiedział półgłosem i obaj natychmiast spojrzeli na drzwi do kuchni, za którymi panowała absolutna cisza.

— To moja sprawa — odparł Cyryl chłodno, patrząc przyjacielowi prosto w oczy. — A jemu jeszcze nie udowodniono winy. Więc rób, co musisz i zostaw Iżę w spokoju.

— Skoro tak mówisz... — Sobolewski ruszył w głąb mieszkania i delikatnie pchnął drzwi, za którymi spodziewał się znaleźć podejrzanego. Artur siedział za stołem i wpatrywał się w przestrzeń przed sobą niewidzącym wzrokiem. Myślami był zupełnie gdzie indziej.

— Witam pana — powiedział Krzysztof, zatrzymując się w progu. Mężczyzna oprzytomniał.

— Długo pan zwlekał, detektywie — odparł. Był zupełnie spokojny i policjant musiał przyznać, że umie trzymać nerwy na wodzy. — Woda jest gorąca. Napije się pan kawy?

— Proszę się ubrać — rzucił chłodno Sobolewski. Kawę jeszcze zdążymy wypić.

— Jak pan sobie życzy—Artur zrobił błazeńską mini; i w.v ciągnął przed siebie obie ręce. — Skuje mnie pan, czy pójdziemy do samochodu jak ludzie?

— Niech się pan nie wygłupia. Na zewnątrz w radiowozie czeka dwóch policjantów. Chyba ma pan dość rozsądku, by więcej nie uciekać.

Podejrzany podniósł się z rezygnacją i poszedł do przed pokoju. Krzysztof i Cyryl czekali, aż zamknie drzwi mieszkania na klucz. To było cywilizowane aresztowanie. Szybkie i całkiem przyjemne. Miało wiele wspólnego ze zwykłą towarzyską wizytą.

— Proszę, pan pierwszy — nakazał Krzysztof, gdy otworzyły się przed nimi drzwi windy. Zaczęli zjeżdżać na dół.

— Jestem niewinny — odezwał się Strzemiński. W ciasnym wnętrzu jego głos wydawał się stłumiony. Znowu zabrzmiały w nim chrapliwe

tony, które tak zaniepokoiły Cyryła .jesz cze godzinę temu. — Mam nadzieję, że pan to szybko wyjaśni i zakończymy tę farsę.

Detektyw popatrzył na niego z namysłem, ale powstrzymał się od komentarza. Dość często słyszał podobne zapewnienia. Dziennikarz musiał zdawać sobie sprawę, że tam, dokąd jechali, nikt nie uwierzy mu na słowo.

Nie powiedział już nic więcej. Posłusznie pochylił głowę, gdy jeden z dwóch czekających przy radiowozie policjantów pomógł mu wsiąść do samochodu.

Cyryl wprowadził między nich napięcie, którego źródła nie znali. Bez słowa usiadł na tylnym siedzeniu i natychmiast odgradził się od nich parawanem własnych myśli. Ewa obejrzała się kilka razy przez ramię i doszła do wniosku, że zasnął. On jednak od czasu do czasu otwierał oczy i patrzył przez okno na zmieniającą się scenerię, puste ulice, latarnie użyczające swego światła śpiącemu miastu i coraz rzadszą czerń grudniowego nieba. Jego obecność, a właściwie nieobecność ciążyła im obojgu, dlatego milczeli, jak ciepłym ciemnym kocem szczelnie otuleni monotonnym szumem silnika. Woleliby być pod nim we dwoje. Uczucie bliskości dzielone na trzy nie miało już tylu znaczeń. Odnosiło się tylko do terażniejszości, podczas gdy oni oczekiwali czegoś więcej. Wspólnoty uczuć. Jedności doznań. Łatwości wyrażania myśli. I nieomyłności. Oboje popełnili w życiu dość błędów, by zasłużyć na przychylność losu i choć namiastkę wzajemności. Krzysztof od dawna zdawał sobie z tego sprawę. Ewa była przekonana, że nikogo nie potrzebuje. Dotychczasowe porażki osłabiły jej intuicję.

Cyryl wysiadł kilka przecznic od domu.

— Muszę się przejść — wyjaśnił krótko.

Uwolnieni od jego towarzystwa odetchnęli swobodniej. Ich milczenie stało się niewymuszone. Przyjazne. Pierwsza odezwała się Ewa.

— Nie podziękowałam ci za pomoc. Gdyby nie ty, pewnie nie zmrużyłabym oka.

Krzysztof popatrzył na nią z troską.

— Zapomniałem ci powiedzieć. Kiedy się położyłaś, zadzwoniłem do kumpla. Twój mąż wyszedł pół roku temu.

— Były mąż — poprawiła odruchowo.

— Nie wyglądasz na zdziwioną — zauważył policjant. Zatrzymał samochód pod blokiem Cyryla i wyłączywszy silnik, obrócił się w stronę siedzącej obok kobiety. W jej spojrzeniu dostrzegł rezygnację.

— Po jego telefonach i złamanej róży chyba tego właśnie się spodziewałam.

— Co teraz zrobisz?

— A co mi radzisz?

— Zostań tutaj — powiedział Krzysztof.

— Przecież właśnie tutaj mnie znalazł — odparła.

— Chcesz znać moją opinię? Znalazłby cię wszędzie.

— Na jak długo?

— Na zawsze. Warszawa to miasto jak każde inne. Poza tym nie jest ci obce. Tutaj mógłbym ci pomóc — jego spokój był zaraźliwy. Ewa niemal uwierzyła, że to, o czym mówi, jest możliwe. Jak miła dla ucha opowieść, którą można włożyć między bajki.

— Przychodziłbyś co noc, żeby mnie pilnować?

— Miałabyś coś przeciwko?

— Krzysztof, posłuchaj... — zaczęła, ale jej przerwał.

— Nie, to ty posłuchaj. Twój zanikający instynkt samozachowawczy, o którym kiedyś wspomniałaś, nie pozwala ci dostrzec najprostszych rozwiązań. Przecież wiem, że czujesz się przy mnie bezpiecznie.

— To nie wystarczy — stwierdziła Ewa, za jednym zamachem odpowiadając na wszystkie pytania, których Krzysztof nie miał odwagi zadać. Cios był celny, więc zamilkł na moment, by uporać się z własnym rozczarowaniem.

— Chyba nie boisz się dostatecznie mocno — powiedział w końcu. Wiedział, że zrobi jej przykrość, ale musiał to z siebie wyrzucić. — Zapomniałem, że to twój mąż i niewłaściwie go oceniłem. Widocznie nie

jest bandziorem, który chce ci zrobić krzywdę. Może nawet wpuścisz go za próg.

— Nie rozmawiaj ze mną w taki sposób, bo na to nie zasłużyłam.

— Przepraszam — mruknął Sobolewski, patrząc w przednią szybę. — Zagalopowałem się. Zwykle noce z kobietami spędzam zupełnie inaczej, więc lepiej idź, nim powiem jeszcze coś, czego oboje będziemy żałować... — uśmiechnął się z przymusem.

Ewie zrobiło się go szkoda. Chciała powiedzieć coś miłego, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

— Cyryla wciąż nie ma w domu. Poczekaasz ze mną jeszcze chwilę? — spytała w końcu.

— Jednak się boisz, co? Już jest, popatrz — Sobolewski wskazał kuchenne okno, w którym właśnie rozbłysło światło. — Musieliśmy go nie zauważyć. Nie będziesz sama. Z czystym sumieniem mogę jechać do pracy.

— O to ci chodzi? O czyste sumienie?

— A tobie? — zrewanżował się. — Czy ty w ogóle wiesz, o co ci chodzi?

Siedział naprzeciwko, z pozoru spokojny, ale w rzeczywistości zły na nią, że odważyła się zapytać, i na siebie, że do tego dopuścił. Zły na cały świat za życie, jakie w nim wiódł. Ewa właśnie tak odczytała jego słowa. Nie czuła się urażona. Krzysztof był doskonałym obserwatorem, a jego spostrzeżenia prowadziły zwykle do trafnych wniosków. Gdyby wiedziała, czego chce, nie miałyby męża kryminalisty i nie byłaby po rozwodzie. Marzyła o stabilizacji — i była gotowa uciec przed nią na drugą półkulę. Ten facet o tym wiedział, może nie pochwalał, ale przynajmniej rozumiał.

— Widzę, że nie muszę ci nic tłumaczyć — powiedziała cicho. — Ty mnie też nie.

Chciała wysiąść, ale przytrzymał ją za rękę. Mocno. Zdecydowanie. Jakby chciał przekazać jej odrobinę własnej pewności.

— A gdybym chciał?

— Po co, detektywie?

— Może po to, żeby mieć w życiu coś ważnego? Coś poza pracą i nałogiem, z którym od lat nie mogę skończyć? — zastanowił się głośno.

— A może z zupełnie innych względów... — dodał po namyśle. Złagodniał. Jego złość gdzieś się ulotniła.

— Co masz do zaoferowania?

— Nie piję, nie biorę. Jestem wierny. Nie narzucam się ze swoją obecnością. Często nie wracam na noc i równie często wychodzę z domu przed świtem. Miałaś mnóstwo czasu dla siebie — uśmiechnął się gorzko.

— A czego chcesz w zamian? Nie, nie odpowiadaj — powiedziała szybko, widząc, że zamierza się odezwać. — Powinam już iść.

— Jasne. Idź — niechętnie puścił jej dłoń. — Za bardzo się rozgadałem.

— Nie — potrząsnęła głową, zasłaniając się przed jego wzrokiem kaskadą rudych włosów. — Nic by z tego nie wyszło. Ty i ja. Nieobecność z jednej strony i nadmierna niezależność z drugiej. Kiepski mariaż.

— Nie chciałaś się przekonać?

— To nie to. Nie chciałam cię zawieść.

XVI

Pokój, w którym go posadzono, był mały i ciemny. Przez jedyne okno, wychodzące na pozbawioną otworów ścianę i ciasne podwórko, wpadał do środka popielaty blask świtu, który nie mógł rozproszyć panującego w pomieszczeniu półmroku. Policjant, który go tu przyprowadził, dotknął włącznika i u sufitu rozbłysła brzydka, zakurzona lampa. Jej żółte światło wydobyło z otaczającej Artura szarości stojący na środku stół, dwa krzesła po jego przeciwnych stronach, wieszak na ubrania i metalową jednodrzwiową szafę, pomalowaną na mysi kolor. Słabo oświetlone ściany mogły mieć odcień beżu, jasnego brązu, a nawet błękitu, ale jemu wydały się bure, podobnie jak o ton ciemniejsza wykładzina, doskonale tłumiąca kroki.

Był tu już dość długo i zdążył przyjrzeć się wnętrzu bardzo dokładnie. Nie miał zegarka, a telefon oddał Sobolewskiemu, gdy tylko weszli do budynku. Czas, którego upływu nie można kontrolować, jest trudnym przeciwnikiem. Artur powoli tracił cierpliwość. Detektyw zniknął. Wbrew wcześniejszym zapowiedziom nie było mowy o kawie. Prostokąt okna stawał się coraz jaśniejszy, a jego wciąż otaczała cisza. Był głodny. Chciało mu się pić i spać. Bezsenna noc osłabiła w nim ducha walki. Pomyślał, że jeśli nic się nie wydarzy, za chwilę zacznie krzyczeć z bezsilnej złości i żalu, że dał się tu przywieźć. Nie zrobił tego jednak, bo drzwi się otworzyły i wszedł Sobolewski, w towarzystwie policjanta, którego dziennikarz dotąd nie widział. Mógł mieć około trzydziestki. Miał wyraźną bliznę nad lewym łukiem brwiowym i dość nieprzyjemne spojrzenie. Artur cały czas czuł je na sobie, chociaż młody nawet nie podszedł do stołu. Zamiast tego oparł się o ścianę plecami, z zamiarem przysłuchiwania się rozmowie. Ręce wsunął do kieszeni, jakby przeszkadzała mu ich beczynność. Sobolewski usiadł na krześle po

drugiej stronie stołu i obojętnie spojrzął na podejrzanego. W jasnych oczach nie było nawet cienia zainteresowania.

— Co mi pan powie? — zagaił, jakby to była pogawędka o pogodzie. Artur postanowił się dostosować.

— A co chciałby pan wiedzieć?

Swobodny ton nie przyszedł mu łatwo, ale zdecydował, że zrobi wszystko, by wywołać u rozmówcy jakiegokolwiek emocje. Choćby to miała być złość albo zwykła ciekawość. Bezna miętność Sobolewskiego go przerażała.

— Wszystko — odparł detektyw. — Na przykład to, gdzie pan był w nocy z 15 na 16 listopada?

— Obawiam się, że w domu. Ukrywałem się, przecież pan wie.

— W domu, mówi pan... A wcześniej?

Artur milczał. Sam nie wiedział, dlaczego postanowił nie wspominać o Izabeli. Nagle zaczęło mu się wydawać, że jest jej coś winien.

— Oczywiście nie ma nikogo, kto mógłby to potwierdzić — dopowiedział Krzysztof uprzejmie, całą uwagę poświęcając swoim paznokciom.

— Oczywiście.

— Nawet pańska przyjaciółka?

— Nie bardzo wiem, kogo ma pan na myśli — zagrał na zwłokę Strzeмиński, chociaż wiedział, że może zyskać jedynie kilka sekund.

— Naprawdę? To może inaczej. Co pana łączy z Izabelą Skrzynecką?

Seks, miał ochotę odpowiedzieć, ale to nie byłaby prawda. Co do przeszłości, wciąż wierzył, że ich wzajemna relacja zasługiwała na inne określenie.

— Jesteśmy sąsiadami — odparł.

— Co za zbieg okoliczności — zauważył policjant. — Tylko sąsiadami?

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza...

— Zaraz pan zrozumie — Sobolewski oparł łokcie na blacie stołu. Odległość między nim a dziennikarzem zmniejszyła się o kilkadziesiąt centymetrów. — Zapytam wprost: czy to znaczy, że nie była pańską

kochanką i nie mieszkał pan u niej, kiedy pańskie mieszkanie było pod obserwacją?

— Po co te pytania, skoro ona już na nie odpowiedziała — odparł Artur, wytrzymując spojrzenie detektywa. — Ja nie mam nic do dodania. Niech pan sobie wybierze wersję wydarzeń. Jej słowo przeciwko mojemu.

— Myślałem, że będzie pan dowodził swojej niewinności.

— Nie muszę niczego dowodzić. Nic nie zrobiłem.

— Naprawdę? — spytał znowu Krzysztof. Strzemiński pomyślał, że się powtarza. Jeśli mu nie wierzył, mógł wyrazić swoją opinię w inny sposób. Sprawiał wrażenie, jakby było mu wszystko jedno. Winny — niewinny. Tak — nie. Mógł przynajmniej udawać zaangażowanie. Po co? Tego Artur nie był pewien. Ale czułby się lepiej, wiedząc, że może go do czegokolwiek przekonać. Jak miał to zrobić, napotykać uprzejmą obojętność?

Młody policjant wyszedł na moment, ale zaraz wrócił, szeleszcząc gazetą. Podeszedł do stołu i nachylił się nad Strzemińskim. W jego oczach zajaśniał wyraz niemej uciechy, jakby spodziewał się przedniej zabawy.

— Kłamiesz, bracie, ale to ci odświeży pamięć — powiedział spokojnie i rzucił pismo na stół. Oczom Artura ukazała się pierwsza strona najnowszego wydania jego gazety. A więc to już. Naczelny w końcu podjął decyzję. W ostatnich tygodniach sprzedaż zaczęła spadać i był skłonny zrobić wszystko, by zdobyć nowych czytelników. Dziennikarz rzucił okiem na tekst. *Lubisz grać? Ja lubię. Smakować ryzyko, jakby było dobrze przyrządzonym drinkiem. Sączycie je powoli, kolekcjonować doznania aż do ostatniej kropli na dnie kieliszka* — przeczytał, chociaż doskonale pamiętał pierwsze zdania. W skupieniu czekał, co będzie dalej.

— Dlaczego nie poinformował nas pan o liście? — teraz pytał ten drugi, a Sobolewski stał się niemym obserwatorem.

— Listach — poprawił go dziennikarz. Pomyślał, że wprowadzając do rozmowy trochę zamętu, uniknie odpowiedzi. Ale oni już wiedzieli, że pierwszy był jedynie zapowiedzią następnych.

— Ile ich było, pańskim zdaniem?

— Nie wiem. Nie liczyłem.

— Czterdzieści dziewięć — odparł mężczyzna z blizną. — Czterdzieści dziewięć powodów, żeby zadzwonić na policję. A pan zatrzymał je dla siebie. Dlaczego?

— To chyba jasne — udał zdziwienie Strzeмиński. — Jestem dziennikarzem. Pan na moim miejscu wypuściłby z rąk taki materiał?

— Ten podpisał pan własnymi inicjałami. Skąd pan je wziął?

— Tylko redagowałem kolumnę. Listy dostarczył nasz informator. W jednej dużej kopercie. Bez nazwiska nadawcy.

— Kiedy trafiły w pańskie ręce?

— Jakie to ma znaczenie?

— Dla liczby ofiar? — odpowiedział pytaniem młody. — Obawiam się, że zasadnicze. Kim był ten człowiek? Sprawdziliście go?

— Nie muszę odpowiadać na to pytanie — odparł Artur.

— Mam obowiązek zagwarantować informatorowi anonimowość.

— Jasne! — wybuchnął młody. — Przypominam ci, że jesteś podejrzany o pięć morderstw. Zamierzasz jeszcze komuś coś gwarantować?!

— Ach, wreszcie jakieś zarzuty — mruknął Artur. — To już coś.

— Zatem nie sprawdziliście i postanowiliście tak to puścić? — wtrącił się do rozmowy Sobolewski. — Interesujące.

— Pan by nie puścił?

— Kurwa! — nie wytrzymał młodszy policjant. — W głowie się nie mieści. Powiedz mi, czy on jest tak głupi, czy tylko chce mi grać na nerwach.

— Niech się pan zastanowi i powie szczerze — Krzysztof obdarzył dziennikarza jednym ze swoich przenikliwych spojrzeń. — Za chwilę będę musiał zostawić pana z kolegą, a on ma znacznie mniej cierpliwości niż ja. Sam pan pisał te listy, żeby podkreślić atmosferę?

— Kiepski żart.

— Lubi pan działać na emocje czytelników i umie pan to robić. Marzy się panu sława? Może szukał pan swojego wielkiego tematu?

— Nie napisałem ich.

— Do kogo były adresowane?

— Powiedziałem już, że obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

— Tak pan mówi?... — detektyw powoli cedził słowa. — To się jeszcze zobaczy. W tej chwili oglądają je nasi specjaliści. I mam dla pana złą wiadomość. Są na nich jedynie pańskie odciski palców.

Strzeмиński milczał, bo nagle brakło mu słów. Zaczęło do niego docierać, że coś na niego mają. Za wszelką cenę musiał się dowiedzieć, co.

— Zaraz — powiedział, z trudem zbierając myśli. — Czytałem je. To chyba jasne, że musiałem ich dotykać.

— A adresat? — zainteresował się Sobolewski. — I informator? Jeśli oczywiście istnieją — dodał, uśmiechając się z politowaniem. — Oni nie musieli?

Artur wzruszył ramionami bez przekonania, starając się robić dobrą minę do złej gry. Sprawy przybrały jak najgorszy obrót.

— Przecież sam pan nie wierzy, że to zrobiłem.

— To, w co ja wierzę, nie ma znaczenia — odparł Krzysztof z miną osoby, która chciałaby przeprosić za to, co zaraz powie. Zdobył się nawet na swój słynny uśmiech dobrego gliny. — Bo widzi pan... — zawiesił głos — ...mamy jeszcze to.

Położył na stole torebkę strunową, w której zamknięto czerwony strzęp materiału. Artur nie musiał zgadywać, co w niej jest. Wiedział. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumiał, że już po wszystkim. Połyskliwy kawałek jedwabiu, identyczny z tym, którym morderca okrywał zwłoki, był w tym szaro-burym pokoju przedmiotem z innego świata. Zachował intensywny kolor i teraz raził go w oczy.

— Wie pan, co to jest? — upewnił się Sobolewski, dostrzegając na twarzy podejrzanego wyraz konsternacji.

— Domyślam się — odparł Strzeмиński, mimo wszystko licząc na jakieś wyjaśnienie. Chociaż znał przeznaczenie mieniącego się w świetle lampy materiału, nie mógł dociec, co on ma z nim wspólnego.

— Znaleźliśmy ten fragment w pańskim mieszkaniu — powiedział policjant, wykazując wciąż ten sam brak entuzjazmu. Jego obojętność ustąpiła jednak miejsca znużeniu. To przesłuchanie trwało zbyt długo, podczas gdy on znał już prawie wszystkie odpowiedzi. Zastanawiało go tylko zaskoczenie podejrzanego. Nie wyglądało na udawane. Pomyślał, że poprzygląda się Strzeмиńskiemu jeszcze przez kilka minut. Facet sprawiał wrażenie zapędzonego w kozi róg.

— Nigdy wcześniej go nie widziałem — zaznaczył teraz. Wyraźnie brakowało mu zwykłej pewności siebie.

— To jak się tam znalazł?

— Nie mam pojęcia.

— Same kłopoty, panie Arturze — podsumował policjant, bębniąc palcami w blat stołu. Był tylko trochę zniecierpliwiony. — Zdarzały się panu wcześniej luki w pamięci?

— To wystarczy, żeby mnie skazać?

— To jest dowód — niemal przyjaźnie przypomniał Sobolewski, akcentując zaimek na początku zdania. Doświadczał dziwnego uczucia, które ze zdziwieniem zidentyfikował jako litość. Strzeмиński rozpoznał ją w tonie jego głosu. Zacisnął zęby. Rzeczywiście mieli dowody. A zatem mieli także jego.

— Kogo i po co miałbym pozbawiać życia? — zdobył się na ostatnie pytanie.

— Wcześniej czy później nam pan powie — powiedział Krzysztof. — Wierzę, że nie każe nam pan czekać zbyt długo.

Nie było to jednak takie oczywiste. Elementy układanki doskonale do siebie pasowały, jednak nie mogły przekonać Sobolewskiego o winie podejrzanego. Wciąż pamiętał wyraz niemego zdumienia, malujący się na twarzy dziennikarza i miał coraz więcej wątpliwości. Dopóki nie znał

motywu, nie mógł zakończyć tej sprawy, która ciągnęła się już całą wieczność.

— Zabiłbyś tylko dlatego, żeby mieć o czym pisać? — spytał podwładnego po przesłuchaniu.

— Nie jestem dziennikarzem — odparł tamten. — Naprawdę myślisz, że sam napisał te listy?

— Czemu nie... — Krzysztof w zamyśleniu potarł podbródek. Rano nie zdążył się ogolić. Ciemny zarost cicho zachrząsał pod palcami. — Jest wystarczająco pokręcony. Ale pisać listy to jedno, a zabić — drugie. Poza tym po co pisać, a potem zwlekać z publikacją? Będę musiał z nim jeszcze porozmawiać.

— Postraszyć?

— Nie. Z nim trzeba inaczej. Ostrożnie, żeby nie spłoszyć. Rzucić coś na przynętę. Niech wie, że podchodzimy do niego po ludzku. Może wtedy coś powie. Już raz siedział. Areszt powinien go zmiękczyć. Wie, co go czeka. Myślę, że zrobi wszystko, by choć odrobinę skrócić wyrok.

Krzysztof nie lubił walczyć z niechęcią innych. Przekonywać. Namawiać do współpracy. Przypominać, że składanie fałszywych zeznań jest sprzeczne z prawem. Jego perswazje nie zawsze były skuteczne i miał wrażenie, że tak będzie i tym razem. Gdy Izabela stanęła w progu, wyraz jej twarzy zmienił się w okamgnieniu, ale on dostrzegł i nazwał następujące po sobie emocje. Zainteresowanie. Zaskoczenie. Gniew. Wreszcie chłodną uprzejmość. Opanowała się błyskawicznie. Stali w drzwiach dłuższą chwilę: on — wykończony po nieprzespanej nocy i ona — nienagannie ubrana, niczym wdzięczna postać, wycięta z katalogu markowych ciuchów. W ciemnej, rozpinanej sukience, wiązanej w pasie, wydawała się bardzo szczupła. Kolor tkaniny korespondował z odcieniem lakieru do paznokci. Była sama, jeśli nie liczyć psa. To dobrze, pomyślał Sobolewski, który nie chciał zderzyć się w drzwiach jej mieszkania z Cyrylem. Miał ją zostawić w spokoju. Problem polegał jednak na tym, że nie mógł. To dobrze, powtórzył w myślach, choć nie wyglądało na to, by podczas jego wizyty cokolwiek miało iść tak, jakby sobie życzył. Nawet nie

zaprosiła go do środka. Widocznie wydawało jej się, że szybko się go pozbędzie.

— Nie mam nic do powiedzenia — powiedziała szorstko, obrzucając go od stóp do głów nieprzyjemnym spojrzeniem, które nie zrobiło na nim większego wrażenia.

— Sądziłem, że będzie pani wolała porozmawiać tutaj. Ale jeśli nie, mogę panią zaprosić do komendy. To jak będzie? — jego spokój był sprawdzoną formą ataku. Zwykle działał rozmówcom na nerwy.

Izabela nie miała ochoty odpowiadać na żadne pytania. W tym układzie stawała się od niego zależna, a to było dla niej nie tylko przykre, ale i niewygodne. Krzysztof wystarczająco długo był policjantem, by rozumieć jej reakcję.

— Nie ma pan prawa.

— Mam. Udzielała pani schronienia podejrzanemu o morderstwo. To dość poważny zarzut. Dalej będziemy rozmawiać na korytarzu, czy wpuści mnie pani do środka?

Odwrociła się bez słowa i ruszyła w głąb mieszkania, więc poszedł za nią. Wielokrotnie był traktowany jak intruz. Zdażył przywyknąć.

Wnętrze nie zrobiło na nim takiego wrażenia, jak na Ewie. Przez odsłonięte okno wlewał się do pokoju blask zachodzącego słońca, który ożywiał królujące tu brązy i beże. Krótkie grudniowe popołudnie dobiegało końca. Sobolewskiemu przyszło do głowy, że o tak wczesnej godzinie mógł jej nie zastać. Miał dużo szczęścia.

— Mam sporo pracy, więc proszę się streszczać — usłyszał głos Izabeli. Nie zaproponowała, by usiadł, więc podszedł do okna i wyrzał na zewnątrz.

— Piękny dzień — zagaił, chcąc zyskać na czasie. Miał nadzieję, że to ją jeszcze bardziej wkurzy.

— Przyszedł pan rozmawiać o pogodzie? Możemy przejść do rzeczy?

— Mogę usiąść?

— Potrzebuje pan pozwolenia?

Usiadł więc na wygodnej kanapie i natychmiast tego pożałował. Rozleniwiła. Można było na niej zasnąć, a nie zadawać trudne pytania. Krzysztof zdobył się na nadludzki wysiłek i zebrał myśli.

— Byłbym wdzięczny za kawę — powiedział swobodnie. — Czarną i mocną. Bez cukru.

Posłusznie poszła do kuchni. Pies chciał jej towarzyszyć, ale kazała mu zostać, leżał więc na dywanie, wpatrując się w obcego mężczyznę czujnym, smolistym wzrokiem. Wróciła po kilku minutach z parującą filiżanką. Jedną. Krzysztof wypił kawę niemal duszkiem, parząc się w język.

— Dlaczego zataiła pani przed nami znajomość z Arturem Strzebińskim? — spytał, odstawiając puste naczynie na niski stolik.

— Był moim kochankiem — odparła kobieta obojętnie. — Twierdził, że jest niewinny.

— I uwierzyła mu pani?

— Początkowo tak. Dlaczego miałabym nie wierzyć? Przez telefon był bardzo przekonujący.

— Zna pani jego przeszłość?

— Oczywiście.

— I mimo to uwierzyła mu pani? Człowiekowi, który ma na koncie wyrok za rozbój i nieumyślne spowodowanie śmierci?

— Kwestia zaufania.

— Raczej głupota — mruknął Sobolewski.

— Postawi mi pan zarzuty?

— Ma pani inny pomysł? — patrzył na nią wyczekująco, licząc, że powie to, co chciał usłyszeć.

— Proszę pytać — odezwała się po chwili. — W końcu po to pan tu przyszedł.

— Jak długo go pani u siebie przechowywała?

— Około dwóch tygodni.

— Jakież daty?

— Nie jestem pewna. Zjawił się chyba zaraz na początku listopada. Potem powiedział, że wraca do siebie, gdy zorientował się, że już nie obserwujecie mieszkania...

Krzysztof pomyślał, że pourywa chłopakom głowy za brak dyskrecji.

— Ale ja go nie zapraszałam — mówiła dalej Izabela. — Wprowadził się bez mojej zgody.

Policjant popatrzył na nią z zainteresowaniem.

— Co pani ma na myśli?

— To, co powiedziałam.

— Groził pani?

— Powiedział, że zostanie u mnie przez jakiś czas nawet wbrew mojej woli. Że nie znamy się od wczoraj. I że powinnam być miła dla mordercy.

— Ma pani doskonałą pamięć — stwierdził Sobolewski, przyglądając jej się uważnie.

— Tak powiedział. „Lepiej bądź miła dla mordercy” — powtórzyła kobieta. — Nie codziennie ktoś mi grozi.

— Bała się pani? Może źle go pani zrozumiała?

Popatrzyła na niego, jakby był niespełna rozumu. Mimo to

Krzysztofowi coś jeszcze nie dawało spokoju.

— To pies obronny — wskazał dobermana. — I, jak widzę, wytresowany. Nie mogła go pani postraszyć?

— Lestat zna Artura. Nigdy by się na niego nie rzucił.

— Nawet sprowokowany?

— Pan wybaczy, ale nie miałam dość odwagi, by sprawdzić

— uśmiechnęła się drwiąco. — Jestem tylko kobietą.

— Obawiam się, że płęć nie ma tu nic do rzeczy. I myślę, że pani kłamie — powiedział Krzysztof z namysłem. — Gdyby ten mężczyzna chciał pani zrobić krzywdę, pies rozszarpałby go na strzępy. Oboje to wiemy.

— Ciekawa teoria. Na szczęście tego nie zrobił, prawda? — odparła, wytrzymując jego badawcze spojrzenie. — Jeszcze jakieś pytania,

detektywie?

Po przesłuchaniu świat Strzemińskiego skurczył się nagle do rozmiarów wąskiej, wysokiej celi, nie większej od szafy wnękowej w jego mieszkaniu. Jej jedynym wyposażeniem było stojące przy ścianie łóżko, które nie zasługiwało na to miano. Szorstki bury koc gryzł nawet przez ubranie. Leżąc na wznak, Artur czuł, jak włókna drażnią mu skórę na plecach, nie miał jednak dość siły, by zmienić pozycję. Od lamperii pokrytych złuszczoną olejną farbą odbijało się światło gołej żarówki, dyndającej u sufitu na żalonym kawałku kabla.

Bliski paniki dziennikarz skupił się na obserwacji wiszącego nad głową żeliwnego kaloryfera i małego zakratowanego okna. Najpierw liczył żebra, potem kwadraty w gęstej drucianej siatce. To drugie było trudniejsze. Okno było wyżej, oczka w siatce, widziane z tej odległości, rozmywały się i nakładały na siebie. Czasem jego wzrok wędrował w kierunku masywnych drzwi, których integralność naruszał spory otwór judasza. Za nimi też były kraty. Był wdzięczny losowi, że przynajmniej ich nie musi liczyć. Miał ochotę zasnąć na bardzo długo, ale tylko drzemał. Budził się po kilku minutach i długo dochodził do siebie, by w końcu wrócić do przerwanych wyliczeń, które zaczynał od początku. Jeden, dwa, trzy, sto cztery, sto pięć, sto sześć... Jednak numeryczna rzeczywistość, którą wciąż tworzył od nowa, nie mogła uwolnić go od zmęczenia i lęku.

Co jakiś czas z bardzo daleka docierały do niego fragmenty informacji, uzyskane podczas porannej rozmowy. Trawił je powoli, próbując znaleźć wśród nich jakąś wskazówkę. W głowie kłębiły mu się pytania, na które nie znał odpowiedzi. W pierwszej chwili był zaskoczony. Później uczucie to ustąpiło miejsca wściekłości. Przyszło mu do głowy, że został wykorzystany, ale nie umiał powiedzieć, przez kogo. Zresztą wrażenie to było tak ulotne, że szybko o nim zapomniał, przytłoczony beznadziejnym tu i teraz, które wkrótce miało się rozciągnąć na całą wieczność.

Tak zastał go Sobolewski, zawieszzonego między snem i jawą. Leżącego na twardej pryczy, z dłońmi pod głową, wpatrującego się w ciemny prostokąt nieba. Nie poruszył się, gdy detektyw zajrzał do środka, ani wtedy, gdy wszedł do celi i postawił przy łóżku krzesło. Z letargu wyrwało go dopiero skrzypnięcie oparcia. Poderwał się gwałtownie i usiadł naprzeciwko policjanta, opierając się plecami o ścianę. Na koc spadło kilka odprysków tynku, pokrytego farbą w trudnym do określenia kolorze.

— Czego jeszcze chcecie? — powiedział napastliwie, unikając wzroku szpakowatego mężczyzny. — Macie już tę swoją bajkę. Co, scenariusz przestał wam się podobać?

— Przeciwnie. Zastanawiamy się tylko nad innym zakończeniem — odparł Krzysztof, przyglądając się dziennikarzowi swobodnie. Zobaczył wykrzywioną twarz, na której malowało się rozgoryczenie, i pobielące knykcie palców, zaciśniętych do bólu na brzegu pryczy. — Niech się pan uspokoi — dodał po chwili. — Chciałby pan wrócić do domu?

— Co to ma być? Jakiś test?

— Raczej układ — powiedział przyjaźnie Sobolewski. — Pomoże nam pan.

— W jaki sposób? — zdumiał się Artur. Napięcie, które odczuwał, nieznacznie spadło. Jego dłonie poróżwiały.

— To będzie zależało od okoliczności. Wystarczy, że będzie pan używał głowy. Mam nadzieję, że umie pan myśleć? — zabrzmiało to dość enigmatycznie, ale w tej chwili Strzemiński nie dbał o wyjaśnienia. Nagle dotarło do niego to, co tamten próbował mu powiedzieć.

— Jednak nie wierzy pan, że to ja — powiedział, zniżając głos do szeptu, ale i tak słysząc w nim było ulgę.

— I co z tego? — odparł Krzysztof. — Są jeszcze dowody. Radzę panu o tym pamiętać. Na ich podstawie skazałby pana każdy sąd.

— Więc dlaczego?

— Czy to istotne? — Może była to intuicja, a może doświadczenie, tego Sobolewski nie był pewien. Korzystał z nich, gdy zawodziło wszystko inne. Podniósł się i stanął w otwartych drzwiach. — Jest pan

wolny. Proszę nie wyjeżdżać z miasta. Będziemy w kontakcie. I niech pan nikomu nie mówi, że spędził pan dzień w areszcie. Zresztą — machnął ręką — po co ja to panu mówię? Bywa pan nieobliczalny, ale na szczęście nie jest pan durniem.

XVII

W końcu to zrobiłeś. A wydawało mi się, że nigdy się na to nie zdobędziesz. Poniżany i traktowany ze wzgardą, a przecież ambitny i próżny. Całe życie szukałeś tematu, a gdy w końcu znalazłeś, sparaliżowany strachem, umyłeś ręce. Czego się wystraszyłeś? Bliskiego kontaktu ze śmiercią czy ze mną? Sęk w tym, że gdy podjąłeś decyzję, było już za późno. Dla mnie, bo przestała mnie interesować gra, wymyślona dla zabicia czasu i podniesienia poziomu adrenaliny. I dla ciał, które kiedyś były ludźmi. Mogłeś uratować przynajmniej jednego z nich. Ale ty wolałeś zamknąć się z moimi listami w ciszy własnego mieszkania i roztrząsać je z godną lepszej sprawy drobiazgowością. Do czego doprowadziła Cię ta analiza?

Tymczasem ja od jakiegoś czasu zabijam nudę w inny sposób. Zwróciłeś uwagę, jak często słowo „zabić” używane jest w potocznym języku? Jakby zadawanie śmierci było powszechnie uprawianym sportem. Narodowym hobby Polaków. Ale wracając do rzeczy — żal mi Ciebie. Wierzę, że współczucie, które odczuwam, czyni ze mnie lepszego człowieka. Jest tak humanitarne, jak śmierć, którą zadaję. Pasuje do mnie. Może wyda Ci się to absurdalne, ale ja też czasem chcę się stać kimś innym i wierzę, że to możliwe.

Czy tego chcesz, czy nie, nasze spotkanie jest bliskie. Już nie będzie zabawy w zgadywanki, tylko rzeczywistość, którą dla Ciebie przygotowuję. Choć lepiej byłoby powiedzieć: kres rzeczywistości. Postaraj się z godnością przejść przez granicę, którą Ci wyznaczę. Mimo wszystko z sympatią — M.

Artur wyjął list ze skrzynki i przyjrzał mu się z niedowierzaniem. Był taki, jak poprzednie — lekki, cienki i z pewnością pełen złowrogich słów,

których różne zestawy znał już na pamięć. Obracał go w palcach dłuższą chwilę, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Zadzwoić na policję, czy po prostu otworzyć i przeczytać? Zataił przed Sobolewskim, czyje nazwisko widniało na kopertach, zawierających kontrowersyjne wynurzenia. Wmówił mu istnienie informatora, bojąc się przyznać, że trzymał listy w swoim mieszkaniu przez kilka miesięcy. Nie umiałby wyjaśnić, dlaczego nie zrobił z nich użytku, nie oddał policji. Zdaniem nadawcy jego największym grzechem było niezdecydowanie. Być może miał rację. Czasem zastępował Strzemińskiemu sumienie, podczas gdy to prawdziwe milczało. Było to równie absurdalne, jak cała ta pisanina — krytyczna, zjadliwa, nieprzyjemna. A mimo to fascynująca. Może dlatego nie chciał się nią z nikim dzielić. Była taka osobista. Przerażała go i urzekała. Artur był człowiekiem słowa, potrafił docenić dobrze napisany tekst, nawet jeśli ten najeżony był groźbami i inwektywami. Patrzył na nie jak na środki wyrazu, zabiegi stylistyczne. Uwierzył w nie dopiero później. I dopiero wtedy zaczął się bać.

Pomyślał, że jeszcze zdąży porozmawiać z Sobolewskim, i powodowany ciekawością wprawnie rozerwał kopertę. Tak, w tym był naprawdę dobry. Potrafił zrobić to bardzo szybko. Jeden ruch i już przebiegał wzrokiem czarne linijki tekstu. Wbrew wcześniejszym obawom, litery nie skakały mu przed oczami, ale karnie trzymały się swoich miejsc w szeregu, gdy brnął przez kolejne zdania, wspinając się po schodach. Dość powoli, by sobie nie przeszkadzać w czytaniu.

Tym razem był opanowany, jakby kilkanaście godzin w areszcie nauczyło go patrzeć na wiele spraw z dystansem. Dodały może nie odwagi, ale hartu ducha. Znacznie bardziej bał się nieskończoności w celi, niż chwili spędzonej sam na sam z kimś, kto mu groził. Groźba nie była przecież wyrokiem śmierci, jedynie zapowiedzią. Przepowiednią. Wróżbą, która nie musiała się spełnić. Z wizytówką Sobolewskiego w kieszeni czuł się względnie bezpieczny. Mógł w każdej chwili zadzwonić i wiedział, że zostanie wysłuchany, a radiowóz pod blokiem to tylko kwestia czasu. Wierzył albo chciał wierzyć, że ma go pod dostatkiem. Spotkanie z autorem listów należało jeszcze do przeszłości. Może

niezbyt odległej, ale jednak przyszłości, podczas gdy on zamierzał się upajać odzyskaną terażniejszością. Świeżą, jędrną codziennością, ze światłem, prysznicem i muzyką, której można słuchać bardzo głośno.

Wczoraj po powrocie zachowywał się chyba dość swobodnie, ale była to reakcja na długie życie w zamknięciu, ciszy i ciemności. Poznawał swoje mieszkanie na nowo. Na nowo smakował swoje życie. Wśród płyt odnalazł stary album Genesis i wsłuchał się w śpiew Petera Gabriela. *In the Cage*. W klatce. Dopiero wczoraj usłyszał to, co było w nim zawsze: uczucie osaczenia, szła i rozpacz. Jak długo można gryźć pręty, myślał, słuchając następujących po sobie dźwięków, które kaskadami wypływały z głośników i przyprawiały go o dreszcz, jakiego nie czuł od tygodni. Ile trzeba mieć w sobie nadziei, by wierzyć w świat po drugiej stronie? W świat, który nami wzgardził?

Dotarł do mieszkania, otworzył drzwi i wszedł, z przyjemnością wdychając dobrze znane zapachy Usiadł przy kuchennym stole i jeszcze raz zagłębił się w treść listu. Uderzyło go to słowo. „Wzgardził”. Przed chwilą sam go użył. Dlaczego? Co go w nim zaniepokoiło? Z pewnością nie zostało użyte przypadkowo. Był przekonany, że korespondencyjna prowokacja w odcinkach, w której chcąc nie chcąc brał udział, była wyreżyserowana bardzo starannie. Do ostatniej kropki. Wszystkie wyrazy znajdowały się na swoich miejscach. Emocje (autora i odbiorcy, czego był oczywiście świadom) były kontrolowane. Dlaczego zwrócił uwagę właśnie na to słowo?

Znał tylko jedną osobę, która może nie używała go zbyt często, ale najdrobniejszym gestem potrafiła dać mu odczuć, co sądzi o nim, o jego pracy, uczuciach i poglądach. Celowała w tym. Była pełna wzgardy. Dotąd nie przyszło mu to do głowy. Jak to się stało, że nie usłyszał jej głosu we wszystkich listach, które dostał wcześniej?! Przecież wokół niej kręciło się całe jego życie. Była dla niego ważna. I była naprawdę... blisko.

Telefon stał tam, gdzie zwykle. Mógł zadzwonić do Sobolewskiego od razu, ale pomyślał, że ma jeszcze coś do zrobienia. Wciąż wierzył, że pięć minut nie może mieć wielkiego znaczenia. Człowiek dowiaduje się

o swojej pomyłce zwykle dopiero wtedy, gdy na jej naprawienie jest już dawno za późno. Zadzwoił do Cyryła. Tamtej nocy prawie się z nim zaprzyjaźnił. Z obcym mężczyzną, który zdradzał oznaki tego samego uzależnienia. Numer komórki był dowodem cienkiej nici sympatii, którą we dwóch z pewnym wysiłkiem osnuli kuchnię, nim przyjechał Sobolewski i wyprowadził go do radiowozu. Nie przypuszczał, że skorzysta z niego tak szybko.

Zastał go. To znaczy, że ona była sama.

— Robisz błąd — powiedział, słysząc głos mężczyzny w słuchawce. — Na twoim miejscu, śpiąc z nią w jednym łóżku, nie zmrużyłbym oka.

— Kiedyś ci się to udawało — cień sarkazmu, a może tylko stwierdzenie faktu.

— Nigdy nie zostawała na noc. Ja też nie — wyjaśnił bez sensu, jakby miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie. Pomijając okres, kiedy byłem jej lokatorem. Ale nawet wtedy spałem na kanapie, dodał w myślach.

— Po co mi to mówisz? Nie jestem zazdrosny o to, czego ci nie dała. Poza tym wszystko można powiedzieć, żeby wyjść z opresji obronną ręką.

— Idiota — warknął Artur. — Sobolewski ci nie mówił? Zwolnili mnie. Chyba im nie pasuję.

— Fantasía — odparował Cyryl. — Zwyczajnie ratujesz swój tyłek. Mam ci uwierzyć? Która kobieta byłaby do tego zdolna?

— Boże, ty jej wcale nie znasz!

— A ty? — Pytanie zabolęło Strzemińskiego mocniej, niż mógłby się spodziewać.

— Też nie — odparł, usiłując zachować resztki spokoju. — A jednak znam ją znacznie lepiej od ciebie.

Sygnał uświadomił mu, że połączenie zostało przerwane. W ciemnym przedpokoju cicho szcęknął zamek. Obejrzał się niespokojnie. W pierwszej chwili nic nie dostrzegł. Patrzył, dopóki z cienia nie wyłoniła się smukła, odziana na czarno, wysoka postać.

— Jednak cię puścili — powiedziała głosem Izabeli. — Nie do wiary.

— Jak tu weszłaś?

— Dorobiłam sobie klucze. Czyżbyś miał coś przeciwko temu? — podeszła bliżej. Prawdę mówiąc, trudno byłoby stanąć równie blisko. Zbliżyła wargi do jego ucha. Jej zapach zupełnie wytrącił go z równowagi.

— Kręci cię to? — usłyszał szept. — Sypiałeś z mordercą.

— Przestań mnie karmić cytatami z własnych listów—wybuchnął, ale umilkł, gdy poczuł pod brodą lufę pistoletu.

— Spokojnie — powiedziała bardzo cicho. — Nie zabiję cię. Jeszcze nie teraz. Na razie zabieram cię ze sobą na przejażdżkę.

— Nie boję się ciebie — odezwał się dość niepewnie. Jego słowa wywołały na ustach kobiety uśmiech, który zupełnie nie pasował do rekwizytu, który trzymała w dłoni.

— Jeszcze nie — powtórzyła. Jej spokój był obraźliwy.

— Nie mam wyboru, co? — wychrypiał, zezując na broń, którą dość mocno wciskała mu w podbródek. — Skąd to masz?

— Kupiłam.

— Zdziwiasz mnie. Myślałem, że cię znam...

— To nic nowego — stwierdziła, cofając się nieco, ale wciąż trzymając go na muszce. — Niestety, znasz tylko moje ciało. A to niewiele. Ubieraj się. Szkoda czasu na truizmy.

— A jeśli tego nie zrobię? — spytał, nerwowo przełykając ślinę. Izabela zachowywała się tak, jakby nie w pełni była sobą. A może właśnie była — przeraził się, patrząc, jak mierzy do niego spokojnie i pewnie, jakby urodziła się z pistoletem w dłoni. Może dopiero teraz odsłoniła przed nim swoją prawdziwą naturę? Była jak postać z komiksu. Tam wszystko było możliwe. Bohaterowie walczyli z czarnymi charakterami. Anioły zwalczały demony przerobione na nowoczesną modłę. W realnym świecie czerni nigdy nie miała podobnej intensywności. Była spłowiała i nie tak złowroga. Bliższa ponurej, brudnej, zwyczajnej szarości.

W niekomiksowej rzeczywistości, którą znał, to nie miało prawa się zdarzyć.

— Przekonam cię — powiedziała niefrasobliwie. — Wiesz, że jestem skuteczna.

— Zorientowałem się — odparł, zdobywając się na równie lekki ton. Nie przyszło mu to łatwo.

Poszedł do sypialni, a ona podążyła za nim. Miała doskonale buty. W zetknięciu z podłogą nie wydawały żadnego dźwięku. I fantastyczne czarne rękawiczki z cienkiej skóry. Stała w drzwiach i patrzyła, jak wciąga przez głowę sweter z golfem. Na zewnątrz było zimno. Nie wiedział, jak długo zamierza go wozić, nim pozwoli mu wrócić do domu. Jeśli powrót w ogóle wchodził w grę. Ogarnął wzrokiem wnętrze i poczuł żal, że nie dała mu więcej czasu. Nie zdążył się nacieszyć wolnością. Wiedziała, jakie to dla niego ważne. Mogła podarować mu jeszcze jeden wieczór. Ten, który właśnie się zaczął. Czy wtedy umierałby szczęśliwszy?

Pogasił światła. Kiedy zamykał drzwi wejściowe na klucz, poczuł, jak przytula się do niego całym ciałem. Znieruchomiał, zaskoczony. Zareagował jak mężczyzna, nie jak ofiara. Wściekły na siebie, z pasją wcisnął klucze do kieszeni spodni.

— Tylko niczego nie próbuj — usłyszał.

— Trzymaj się ode mnie z daleka — warknął, odsuwając się zdecydowanym ruchem.

— Na odległość strzału z pistoletu — sprostowała uprzejmie, przyglądając mu się z zainteresowaniem. — Pamiętaj Mam niezłe oko. Ty przodem — dodała, wskazując winę

In the Cage — przypomniało się Arturowi. Osaczenie, szal i rozpacz.

Garaż był pusty i cichy. Izabela trzymała się bardzo blisko, tuż za jego plecami. Strzał w tył głowy natychmiast położył by go trupem. Zastanawiał się, czy zaczęłaby strzelać, gdyby nagle zanurkował za któreś z aut. Narobiłaby trochę hałasu, a potem szybko odjechała, nim ktokolwiek zdążyłby nadbiec, by zobaczyć, co się stało. Nie miał ochoty upewniać się, że jego przypuszczenia są słuszne. Nie był typem

twardziela. Wolał zachować obecne *status quo*, nawet jeśli wiązało się z niebezpiecznym towarzystwem i niepewnymi prognozami na przyszłość. Dopóki oddychał, miał jeszcze jakąś szansę.

— Ty prowadzisz — mówiła tymczasem Izabela, otwierając przed nim drzwi po stronie kierowcy. — Siadaj. Powiem ci, dokąd jechać.

— Powiedziałaś, że mnie nie zabijesz — przypomniał jej, na nowo zdjęty strachem, bo nagle wydało mu się, że jedzie na egzekucję.

— Powiedziałam, że jeszcze nie teraz — uściśliła pogodnie. Pistolet położyła na kolanach, ale nie wypuściła go z dłoni. W słabym świetle Artur widział kątem oka jego połyskliwy kształt, dobrze dopasowany do jej ręki. Wszystko, co miała na sobie, zasługiwało na to określenie. Obcisłe spodnie, pół długa wełniana kurtka ze sporymi kieszeniami. I te rękawiczki. Kaletnicze dzieło sztuki.

Uruchomił silnik. Wycofał. Brama wyjazdowa otwierała się bardzo powoli. Za nią był mrok warszawskich ulic. Ruch na drogach słabł. Ostatni maruderzy wracali do domów. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 20.30.

— Właściwie, dlaczego nie? — odważył się spytać na pierwszym skrzyżowaniu. — Dlaczego nie teraz? Dlaczego nie wcześniej? Mieszkałem z tobą. Miałaś tysiące okazji.

— Przez wzgląd na dawne czasy — użyła jednego ze swoich ulubionych powiedzeń. Obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem. Bawiła się z nim w kotka i myszkę. Nie uwierzył jej.

— Nigdy nie byłaś sentymentalna.

— To nie sentyment. Telewizja obrzydła mi już dawno temu. Muszę szukać innych rozrywek.

— Zabijając?

— Nic innego nie pomaga. Seks, alkohol, praca, wysiłek fizyczny... Próbuję się ratować jak umiem.

— Chcesz mnie wziąć na litość?

— Zadałeś pytanie. Nie widzę powodu, by w tej sytuacji ukrywać przed tobą moje hobby.

— Chryste — mruknął Artur ze zgrozą, ale Izabela usłyszała. Wydawała się rozbawiona jego reakcją.

— Och, daj spokój z tym przerażeniem. Nie udawaj, że nic nie wiedziałeś. — Chciał zaprzeczyć, ale nie pozwoliła mu dojść do słowa. — Nie patrz na mnie, tylko na drogę, bo się rozbijemy — zauważyła. Odbił w prawo i wrócił na swój pas. Była nieludzko spokojna, podczas gdy on zamienił się w kłębek nerwów. Czuł się tak, jakby prowadził na haju. W głowie mu szumiało i niczego nie widział wyraźnie, poza pistoletem, w którego lufie przeglądały się mijane latarnie. Jazda przypominała lekcję z instruktorem. Kręcili się w kółko po kilkunastu ulicach i bez przerwy trafiali na czerwone światło. Artur pomyślał, że zwariuje, jeśli po raz czwarty będzie musiał zatrzymać się na tym samym skrzyżowaniu. Dotarło do niego, że Izabela o coś pyta.

— Jak się domyśliłeś? — powtórzyła zniecierpliwiona. Z wysiłkiem zebrał myśli.

— Poznałem cię po stylu. Niestety... trochę za późno — powiedział bardziej do siebie niż do niej. — Każde słowo z twoich listów było jak podpis. Lubisz słowne fajerwerki, co?

— Nie bardziej niż ty — odbiła piłeczkę Izabela. — Staralam się mówić do ciebie twoim własnym językiem.

— Wyjaśnij mi, bo nie rozumiem. Dlaczego ja? Coja ci takiego zrobiłem?

— Nic, na co bym ci nie pozwoliła — odparła po dłuższej chwili. — Byłeś po prostu wdzięcznym obiektem. Miałam też nadzieję na odrobinę rozgłosu i w tym miejscu się zawiodłam. Zwyczajnie brakowało ci jaj. Powinnam była to wiedzieć.

— Nie wystarczy ci, że masz mnie na muszce? Musisz mnie jeszcze obrażać?

— Biedactwo. W zasadzie robiłam to także dla ciebie. W pewnym sensie.

— W jakim sensie? — powtórzył za nią zbulwersowany.

— Chciałeś tematu, który zapewniłby ci nieśmiertelność — odparła.

— Marzenie idioty. Choćbym zabiła nie pięciu, a pięćdziesięciu pięciu

facetów, następnego dnia nikt by o tym nie pamiętał. Dzisiejsze informacje jutro wylądują na śmietniku. Nikt nie będzie pamiętał ani o mnie, ani o tobie. Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę.

— Zamknij się wreszcie — wyrzucił z siebie Artur, przejeżdżając na czerwonym świetle i zostawiając za sobą jazgot klaksonów. Nawet ich nie usłyszał.

— Życzyłeś sobie odpowiedzi, to ją masz.

— Nie byłem twoim współnikiem. Chcesz mnie wmanewrować w swoje ciemne sprawy? To dlatego podrzuciłaś mi do mieszkania ten kawałek czerwonego jedwabiu. Żeby mnie zrobić. Mścisz się na mnie? Aż tak mnie nienawidzisz?

Izabela zastanawiała się przez chwilę, przyglądając mu się z rezerwą.

— Niewykluczone — powiedziała.

— Za co?

— Za niespełnienie moich oczekiwań — zabrzmiało to dość enigmatycznie, ale Artur nie domagał się wyjaśnień. Wystarczyło mu kilka wspomnień, których się wstydził. Spodziewał się, że Izabela może dzielić to uczucie.

— Co teraz? — spytał pośpennie, wpatrzony w białe linie, umykające spod kół samochodu.

— A co byś wolał? Szybką śmierć czy powolne umieranie w celi? Mam na myśli śmierć ducha, nie ciała...

— Doprawdy trudno się zdecydować — rzucił drwiąco Artur.

Przez jakiś czas jechali w zupełnym milczeniu, ale Strzeмиńskiemu coś jeszcze nie dawało spokoju.

— Rozumiem, że moja śmierć poprawi ci nastrój — odezwał się w końcu. — Czym jednak narazili ci się moi poprzednicy?

— Och, niczym — wyznała Izabela z rozbijającą szczerością. — Bawiłam się konwencją. Wiesz, że to lubię, prawda?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wampiryzm to fascynujące, choć zupełnie fantastyczne zjawisko. Tak długo w nim tkwiłam, szukając śladów dawnych wierzeń w czasach

nowożytnych i współczesnych. Chciałam je wskrzesić. Zabawić się w kogoś, kto eliminuje pierwotne zło, choćby tylko domniemane.

— Chciałaś być Bogiem? Nie wystarczyłyby gry komputerowe?

— Nie lubię ich. Są zbyt bezduszne. Wolałam grać postaciami z krwi i kości. Każda z nich miała wprowadzić tylko jedno życie, ale ja nie musiałam się ograniczać. Liczba istnień zależała tylko ode mnie. Wybierałam te, które kilka czy kilkanaście wieków temu otrzymałyby stosowne etykiety. Współczesne wampiry. Niedoskonałe, chore, ułomne. Ich defekty dzisiaj nikogo już nie przerażały. Nie szkodzi. To ja miałam na nowo przerazić świat.

— I udało ci się — powiedział Artur głucho. Izabela, zajęta swoją opowieścią, na chwilę zapomniała o udzielaniu mu wskazówek. Jechali teraz wzdłuż Wisły. Bliskość wody niepokoiła go, przypominała o ciałach, które widział na brzegu.

— To dlatego napisałaś, że nie pasuję do schematu — pojął Artur. — Nie mam w sobie nic z wampira, ale i tak mnie zabijesz. Po co wobec tego zrobiłaś ze mnie powiernika? Żebym zabrał twoją spowiedź na tamten świat?

— Uzależniłam się od zabijania. Ale o tym już przecież wiesz.

— Z listów — dopowiedział za nią.

— Tak. Nałóg jak każdy inny. Uzależniłabym się od czegokolwiek, co zapewniłoby mi upragnioną dawkę emocji. Dotąd pozbawiałam życia mężczyzn, których nie znałam. Wybierałam ich starannie, więc nie byli zupełnie anonimowi. Jednak ich życie łączyło się z moim tylko w tej jednej chwili, poprzedzającej ich śmierć. Ty nie jesteś obcy. Rozumiesz, do czego zmierzam? Chciałabym mieć porównanie. Muszę wiedzieć, czy mnie to zabolę. Po śmierci staniesz się moim wyrzutem sumienia, moim zalem za grzechy.

— A jeśli nie? — spytał Strzemiński. Izabela nie odpowiedziała.

Cisza w samochodzie zgęstniała. Jeśli Artur miał jakiegokolwiek wątpliwości czy też nadzieje dotyczące swojej przyszłości, mógł się ich wyzbyć, bo jego los wydawał się przesądzony. Prawdopodobnie była to

kwestia minut, może godziny. Nie przypuszczał, by siedząca obok kobieta zamierzała podarować mu więcej czasu.

— Która Izabela jest prawdziwa? Ta, którą znałem, czy autorka listów? — zapytał, choć w zasadzie jej odpowiedź nie miała już dla niego żadnego znaczenia, skoro wszystko, co się wiązało z ich znajomością, od początku do końca było pomyłką. — Siebie też stworzyłaś na nowo, tak jak tę „grę w czerwone”?

— Dobrze — powiedziała Izabela z uznaniem. — Zawsze umiałeś nadawać rzeczom odpowiednie nazwy. Trafne. Działające na wyobraźnię. Nawet na moją — roześmiała się głośno. — Zachowałam dla ciebie jeszcze jeden kawałek jedwabiu. Potraktuj go jak nagrodę. Jeszcze jeden szkarłatny całun dla twórcy. Nazywanie jest aktem kreacji. Chyłę czoła, mistrzu.

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

— Jest tylko jedna Izabela — w jej głosie zabrzmiały twarde tony. — Ta, która jako ostatnia zobaczy cię żywego.

Postanowiła, czy tylko tak powiedziała? Właściwie nie była całkiem pewna, czy chce odebrać mu życie. Zawdzięczała Arturowi kilka miłych wspomnień. Przez jakiś czas nawet ją bawił, więc spędzała z nim sporo czasu. Kiedy powtarzający się schemat spotkań zaczął ją nudzić, rzadziej otwierała przed nim drzwi i rzadziej u niego bywała. Nie potrzebowała go. Był jej zupełnie obojętny, dopóki się do niej nie wprowadził. Wówczas zaczęła go nienawidzić. Zobaczyła, że potrafi być bezwzględny i równie okrutny jak ona. Przyglądała mu się z ciekawością, analizowała jego słowa, gesty i reakcje. Obserwowała. Na jej oczach Artur przepoczwarzał się, a ona pozwalała, by u niej mieszkał, jadła z nim przy jednym stole, godziła się na obecność w łóżku. Ich wzajemna relacja pozbawiona była empatii. Opierała się na zaspokajaniu potrzeb i kontrolowanej niechęci. Kiedy się nad tym zastanawiała, musiała przyznać, że mimo wszystko wzbudził w niej jakieś emocje. To nic, że negatywne.

Lepsze takie, niż żadne, powiedziałaby terapeuta, z którym kiedyś zdarzyło jej się rozmawiać. „Coś jest ze mną nie tak” — powiedziała do

niego na dzień dobry Gabinet był jasny. Panował w nim miły ład. Za biurkiem siedział budzący zaufanie schludny mężczyzna po pięćdziesiątce. „Proszę powiedzieć, co panią niepokoi” — zagaił przyjaźnie. „Nic nie czuję — odparła — nie potrafię się zaangażować”. Nie była bezradna ani zrozpaczona. Po prostu podzieliła się z nim opinią. „A chciałaby pani?”. „Przyszłam tu, prawda? To chyba o czymś świadczy”.

Uśmiechnął się, chociaż jej nie było wcale do śmiechu. Wypytał o wszystko: o rodzinę, związki z mężczyznami, pracę. Tak, musiała przyznać, że praca była wszystkim, co miała. Ucieszył się, jakby dała mu prezent. „To dobrze — uznał — od tego zaczniemy”.

Ale ona niczego nie chciała zaczynać. Myślała, że weźmie pigułkę i problem zniknie. Tyle, że pigułek nie było albo ten człowiek nie chciał jej wypisać recepty. Zainkasował należność i poprosił, by przyszła za tydzień. Izabela nie przywykła do spełniania czyichkolwiek prośb. Pomyślała, że poradzi sobie sama. Samodzielność była jej największym błędem.

Gra była zabawą, ułatwiającą zaśnięcie. Jak liczenie baranów. Z czasem sensacyjnych scenariuszy było coraz więcej, podobnie jak potencjalnych ofiar i sposobów pozbawiania ich życia. Najbardziej lubiła wyobrazać sobie, jak mogłyby wyglądać. Fascynowała ją ich domniemana osobowość, charakter i temperament. Z upodobaniem rozstawiała swoje wyimaginowane pionki na planszy życia, które wkrótce zamierzała przerwać. Zawdzięczali jej wszystko. Mieli rodziny lub byli samotni. Chorowali lub cieszyli się dobrym zdrowiem. Klepali biedę lub opływali w dostatki. Zabijała ich wielokrotnie, a potem długo przyglądała się ich wymyślonej śmierci. Oceniała. Szukała słabych punktów. Doskonalała się. W jej głowie utrzymywało się przekonanie, że wcześniej czy później zrobi to naprawdę. Wyobrażenia były kruche jak cienki lód, pryskały pod naporem rzeczywistości, która ją przytłaczała. Ona potrzebowała czegoś trwalszego. Potrzebowała wspomnień. W jej mniemaniu pamięć zawsze miała przewagę nad wyobraźnią. Podsuwała gotowe obrazy, pełne zadziwiających szczegółów. Nie trzeba było już nic

wymyślać. Izabela nie mogła tego nie docenić. Jej wyobraźnia była ułomna. Nie potrafiła odtwarzać emocji, a bez nich spektakl nie był przekonujący. Znosiła jego niedoskonałość przez dwa lata, nim zdecydowała się zagrać swoją rolę naprawdę.

To, co Izabela pisała w listach, było w większości prawdą. Wymagowana przestrzeń, w której się poruszała, z czasem zyskała wszelkie pozory realności, a zdawany w myślach egzamin z zabijania wносił w jej życie nieco urozmaicenia. Co do Artura, miała w sobie dość nienawiści, by pozbawić go życia i wyobrażała sobie, że jego śmierć będzie pigułką, której jej nie zapisano. Spodziewała się, że wyzwoli w niej strach, żal i wyrzuty sumienia. Miała nadzieję, że zadrży jej ręka.

Kiedy po niego przyszła, w mieszkaniu panowała zadziwiająca cisza. Artur trzymał w dłoni jej ostatni list. Prawie się z nim zaprzyjaźniła, pisząc je wszystkie. Myśl Izabeli pobiegła ku regałowi z płytami. Wielu z nich słuchali razem. Lubiła to. Muzyka ją wyciszała. Przyglądając się ułożonym pod linijkę grzbietom, zrozumiała, że jeśli zrealizuje swój zamiysł, pozbawi się rozrywki i nigdy nie pozna wszystkich muzycznych skarbów, o których Strzemiński mówił jak o kochankach. Szkoda. Był chodzącą encyklopedią starego rocka. Mogłaby go za to podziwiać, gdyby leżało to w jej naturze.

Uznała to za dobry prognostyk. Oczywiście wolałaby żałować człowieka, nie muzyki, ale postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Wciąż miała wątpliwości. Jednak gdy Artur ubrał się bez szemrania i bez słowa sprzeciwu wsiał do samochodu, pomyślała, że mają do pokonania tylko jedną drogę. Rozmawiała z nim szczerze. Odpowiadała na wszystkie pytania. Z pewnością to doceniał. Miał umrzeć i doskonale o tym wiedział. Jej otwartość tylko utwierdzała go w tym przekonaniu.

Jechali Wisłostradą, gdy nagle niemal jednocześnie zaczęły dzwonić ich komórki. Artura głośno, nachalnie, jej — dyskretnie, bezdźwięcznie. Delikatne wibracje w wewnętrznej kieszeni kurtki zaniepokoiły ją. Nie musiała sprawdzać, by wiedzieć, kto dzwoni. Za często to robił, a ona za często z nim sypiała. Zrozumiała, że ma mało czasu.

Cyryl na chwilę wyrwał ją ze świata ułudy, w którym szukała mocnych wrażeń. Nie wierzyła, że jest to w ogóle możliwe. Różnił się od mężczyzn, których знаła. Było w nim coś nieuchwytnego, jakiegoś nieujawnionego dna, do którego nie potrafiła dotrzeć. Nie mogła się nawet do niego zbliżyć, bo przeszkadzała jej w tym własna natura. Izabela nie nawykła do analizowania ludzkich zachowań, dotychczas nie interesowały jej ani domniemane motywy, ani duchowe rozterki. Wady i zalety były słowami, do których nie przywiązywała wagi. Patrząc na Cyryła, uległa pokusie i postanowiła przypisać mu niektóre z nich. Łatwo mogła się pomylić, spodziewała się jednak, że dzięki temu dowie się o nim czegoś więcej. Intrygowały ją jego nieprzystępność oraz upodobanie do mizantropii, które w jej towarzystwie starał się ukryć, jakby rozumiał, że musi zdobyć się na otwartość za nich dwoje. Miała wrażenie, że zna ją lepiej niż ktokolwiek inny, może nawet lepiej niż ona sama.

Kiedy byli sami, czuła, że ją obserwuje, ale nie było to nieprzyjemne. Po raz pierwszy ktoś poświęcał jej tyle uwagi. Nie tylko jej ciału i zaspokajaniu jego potrzeb, ale jej słowom, myślom i tym ubogim uczuciom, których jednak doświadczała. Była gotowa przyzwyczać się do milczącej obecności, która, o dziwo, wcale jej nie przeszkadzała. Cyryl umiał być z nią i umiał być obok. Zachowywał się wtedy tak, jakby go wcale nie było. Cenna zdolność, której brakowało jej wcześniejszym partnerom. Pograżał się w myślach, którymi nie chciał się dzielić, nie absorbował jej uwagi i nie obciążał jej własną. Pod wieloma względami musieli być do siebie bardzo podobni, myślała, podnosząc wzrok znad książki albo klawiatury komputera i napotykając jego skupione spojrzenie.

— Żadne z nich nie odbiera — powiedział Cyryl do Sobolewskiego, gdy spotkali się pod blokiem i biegiem ruszyli do klatki.

— Wiem — usłyszał w odpowiedzi. — Dzwoniłem do Strzemińskiego. Bez skutku.

Okna na drugim piętrze były ciemne, a drzwi wejściowe, do których zadzwonili, zamknięte na głucho. Lestat szczeknął donośnie i umilkł,

słyszac znajomy głos. Cyryl miał klucze, więc wszedł do mieszkania Izabeli, przemawiając do psa cicho. Zapalił światło. Za nim wsunął się Krzysztof. Pusto. W sypialni i kuchni idealny ład. W pokoju filizanka z niedopitą kawą. Żadnych ciuchów, zdobiących meble malowniczym nieładem, rozrzuconych spódnic i wiszących na klamkach wieszaków z bluzkami, których Izabela nie zdecydowała się włożyć. Nie miała rozterek związanych ze strojem. Jej ubrania miały doskonały krój i kolory, w których było jej do twarzy. Świetnie się ze sobą komponowały. Nie musiała tracić czasu na ich zestawianie. Była jedyną znaną Cyrylowi kobietą, która w dziesięć minut potrafiła się nie tylko ubrać, ale i umalować. Zajrzał do łazienki. Nic. Słoiczki i butelki stały pod lustrem w szeregu, który mienił się wszystkimi barwami tęczy. W jedynej szafce wszystko było na zwykłych miejscach. Żadnych braków i żadnych nowych nabytków. Koszyk z kosmetykami do makijażu jak zawsze zamknięty. Nie wiedział, czego szuka, ale rozglądał się uważnie, by nie umknęła mu najdrobniejsza zmiana, najmniejsze odstępstwo od codzienności. Przynajmniej myśli miał zajęte czym innym i nie obracał w kółko w pamięci tych kilku słów, które zasiały w nim ziarno niepokoju. Lestat stanął w progu łazienki i obdarzył go rozumnym spojrzeniem ciemnych oczu. Za nim pojawił się Krzysztof.

— Czysto jak w muzeum — ocenił z niesmakiem. — Jakbyście tu tylko bywali, żeby popatrzeć na eksponaty. Ale znalazłem zdjęcie, które powinno nas zainteresować — pokazał Cyrylowi fotografię mężczyzny. — Znamy go, prawda?

Cyryl spojrział i zbladł. Pomyślał, że ma przed sobą bardzo trudną noc.

Mężczyzna był w trudnym do określenia wieku. Wyglądał mizernie. Zniszczona, wychudzona twarz zdradzała więcej niż najobszerniejszy życiorys. Okalały ją brudne siwe włosy. Ciemne oczy błyszczały nienaturalnie. Zapadnięte policzki świadczyły o znacznych ubytkach w użębieniu. Obraz był spłaszczony, jakby zdjęcie zostało zrobione ze znacznej odległości, na dużym zbliżeniu.

— Znamy? — powoli pytanie Krzysztof, bo milczenie przyjaciela trwało już dość długo.

— W pewnym sensie — odparł Cyryl wymijająco, czując nagle przemożną pokusę, by uchylić wieko pudełka, znajdującego się tuż obok, i wśród pudrów i szminek poszukać dawnej Izabeli. Tej sprzed telefonu Strzemińskiego. Trudnej, kapryśnej, nieprzewidywalnej. Izabeli, która kpiła z jego wyobrażeń, a mimo to prosiła, by został na noc. Izabeli, która nie znałaby tej fotografii. Zdjął pokrywkę i zajrzał do środka, by dać zajęcie dłoniom i nie wpatrywać się bez końca w zdjęcie, które było zarazem dowodem winy i świadectwem skruchy. Krzysztof przyglądał mu się bez słowa, podczas gdy on kontemplował kolory, jakby podziwiał obraz ulubionego artysty. Beże i popielate brązy cieni do powiek. Bardzo jasny puder. Szminka w kolorze burgunda. I druga, o ton jaśniejsza. Izabela nie znosiła różu i dosłownej czerwieni. Wybierała odcienie patynowane szarością i subtelnym fioletem. Miała swoją paletę jak malarz.

Cyryl zanurzył dłoń. Pod połyskliwymi buteleczkami lakierów do paznokci natknął się na niewielkie pudełko. Odczytał nazwę na głos i zaskoczony wpatrywał się w swoje znalezisko. Z letargu wyrwał go głos Krzysztofa.

— Jest diabetyczką?

— Nie jestem pewien — odparł, zdając sobie sprawę, że stara się udzielić wymijającej odpowiedzi.

— A ślady nakłuć na ciele?

— Nie zauważyłem.

— A więc nie — podsumował Krzysztof. — Otwórz — polecił.

Nie musiał tego mówić, bo Cyryl już zaglądał do środka. Z pięciu wkładów zawierających insulinę wewnątrz pozostały trzy. Każdy miał 3 ml pojemności. Policjant popatrzył na nie z namysłem i wyjął z kieszeni telefon. Pomiął formuły grzecznościowe.

— Muszę wiedzieć, czy insulina podana zdrowemu człowiekowi może zabić — powiedział bez ogródek do jednego ze swoich podwładnych. — I w jakiej dawce. Dzięki, czekam...

— Co teraz?

— Ktoś powinien obejrzeć twardy dysk jej komputera. Ale z tym jeszcze zdążymy. Poczekaj tu, co? Może ona wróci. Tak będzie lepiej — zaproponował detektyw, patrząc na przyjaciela za współczuciem, ale ten odwzajemnił mu się takim spojrzeniem, że szybko zmienił zdanie. — No dobra, chodź, ale zostaw tu samochód. Pojedziemy moim, będzie szybciej.

Ruszyli z piskiem opon. Na prostej Sobolewski mocniej wcisnął pedał gazu i samochód jeszcze przyspieszył, posłusznie dostosowując się do życzenia kierowcy, który w milczeniu przeżuwał gorzkie myśli.

— Idiota — mruknął w końcu pod adresem dziennikarza, mijając skrzyżowanie na czerwonym świetle. Zbliżała się 22.00. Na ulicach było niewielu pieszych. — Mówiłem mu, żeby używał głowy i o wszystkim mnie informował. A on dzwoni do ciebie i bawi się w słowne szarady. A potem znika razem ze swoją dawną muzą, którą oskarża o pięć morderstw.

— Nie wiemy tego na pewno — wtrącił Cyryl, wpatrując się w noc za oknem.

— Przepraszam cię, rzeczywiście nie wiemy — Krzysztof zerknął na przyjaciela z niepokojem. — W porządku, stary?

— Nic nie jest w porządku. Gdzie ona jest, do cholery?

— Mnie pytasz? Dzwoń jeszcze.

Oba numery milczały. Zirytowany Cyryl zaklął.

— Za szybko się rozłączyłem. Powinienem być z nim porozmawiać. Dokąd jedziesz?

— Nad Wisłę. Mam tam spotkanie z moimi chłopakami — powiedział ponuro policjant. — Czuję, że przeciągnie się do późna.

— Naprawdę myślisz, że... ona mogłaby...?

— Co chcesz usłyszeć?

— Wiesz, co.

— Wolę nic nie myśleć. Tylko robię swoje.

— Mimo to powiedz.

Sobolewski westchnął.

— Ona go nienawidzi. Uważam, że to wystarczający motyw.

— Inny niż w pozostałych przypadkach. Przecież Izabela nie znała poprzednich ofiar.

— Znała pierwszą — zauważył detektyw.

— To mógł być ktokolwiek.

— Kolekcjonujesz przypadkowe fotki, Cyryl? Zrozum, ja jej nie oskarżam. Prosiłeś mnie o opinię.

— Będziecie jej szukać nad rzeką? Na jakim odcinku? To jak szukanie igły w stogu siana.

— Przywiozą psy. Jeśli to ona i jeśli zamierza go zabić, będzie się spieszyć. Ma samochód. Podjedzie blisko. Nie będzie wlokła ciała. Samochód łatwiej znaleźć niż człowieka — przerwał i zamyślił się, by po chwili podjąć wątek. — Ale jeśli już to zrobiła, znajdziemy tylko zwłoki. Psy je znajdują. Może nie od razu. Pewnie trochę to potrwa. Przygotuj się na długą noc.

Kazała mu zatrzymać samochód, więc zrobił to i wyłączył silnik. W bocznej szybie widział czarne zbocze wału przeciwpowodziowego, rysujące się na tle nocnego, zasnutego chmurami nieba. Nie było zbyt wysokie. Artur wyobraził sobie, że gdyby otworzył okno i wyciągnął rękę, dotknąłby suchej szczeciny jesiennych traw. Byli właściwie za miastem, daleko od miejsc, w których Izabela porzucała dotąd swoje ofiary. Otaczały ich ciemność i cisza. Nawet gdyby zaczął krzyczeć, i tak nikt by go nie usłyszał. Strach, nad którym w czasie jazdy starał się panować, teraz dosłownie go obezwładnił. Poczował, że koszula przylepia mu się do ciała, więc rozsunał kurtkę. Musiał zrobić wszystko, żeby się uspokoić. W końcu ona była tylko kobietą. Słabszą fizycznie, mniej sprawną i z pewnością delikatniejszą. Wystarczyło zabrać jej broń, by role się odwróciły.

— Jak mnie zabijesz? — zapytał z wysiłkiem, odrywając wzrok od pistoletu i przenosząc go na twarz kobiety.

— Szybko. I, mam nadzieję, bezboleśnie. Nie lubię okrucieństwa.

— Godne podziwu — zdobył się na cień drwiącego uśmiechu.

— Wciąż stać cię na ironię. To dobrze. Bałam się, że zaczniesz się mazgać.

— Strzelisz do mnie?

— Tylko jeśli będę musiała. Jak będziesz grzeczny, zafunduję ci estetyczną śmierć — uśmiechnęła się, jakby miała na myśli przyjacielską przysługę, a nie wysłanie go w podróż na tamten świat wbrew jego woli.

— Masz jakieś ostatnie życzenie? Nie chciałbyś po prostu zasnąć?

— Izabela, posłuchaj. Przecież to ci nie ujdzie na sucho. Wcześniej czy później cię dopadną. Mają listy. Poza tym... — Artur na moment się zawahał, ale postanowił postawić wszystko na jedną kartę — ...Cyryl wie, że to ty.

— Powiedziałeś mu! — oczy Izabeli rozjaśnił gniew, ale szybko się opanowała. — Ty sukinsynu! Uwierzył ci?

— Obeszło cię to — powiedział wstrząśnięty zmianą, jaka zaszła w jej twarzy. — To nie ja powinienem być twoim wyrzutem sumienia, tylko on. Jego zabij. I jemu wciskaj kit o tym, że żałujesz za grzechy.

Znowu poczuł, jak lufa wbija mu się pod brodę. W czasie jazdy zapomniał, jakie to nieprzyjemne uczucie.

— Zaraz stracę cierpliwość — cedziła słowa Izabela, świdrując go spojrzeniem z bardzo bliska. — Pytałam, czy ci uwierzył — przycisnęła tak mocno, że nie mógł jej odpowiedzieć. Tak!!! — chciał wrzasnąć na całe gardło, ale tylko nieznacznie poruszył głową. Znowu to lodowate spojrzenie. Zorientowała się, że kłamie i ucisk trochę zelżał. Jednak ciągle nachylała się nad nim całym ciałem, podczas gdy on nawet nie odpiął pasa. Szarpnął się, próbując odsunąć jej dłoń. Była silniejsza, niż myślał. Patrzyła na niego z politowaniem.

— Jeszcze jakieś rewelacje? Słucham. Nie powiedziałaś mi jeszcze, że mnie kochałaś. Chyba nie chcesz pozbawić mnie takiego wyznania.

Tym razem szarpnął się mocniej, ale miał za mało miejsca, by wykonać ruch, który rzeczywiście mógłby ją zaskoczyć. Przez chwilę

ludził się, że wyrwie jej pistolet, ale nim po niego sięgnął, ona wycofała się na fotel pasażera. Jej czarna sylwetka na powrót zlała się z otaczającą ich ciemnością. Pozostała tylko szarzejąca na pierwszym planie wycelowana w Artura lufa pistoletu, zaciśnięta na kolbie dłoń w skórzaną rękawiczkę i blady, jakby rozsmarowany owal pociągłej kobiecej twarzy.

— Wysiadaj — powiedziała Izabela, unosząc pistolet nieco wyżej, jakby chciała mu przypomnieć, że niesubordynacja będzie surowo ukarana. Strzemiński pomyślał, że to właściwie bez różnicy. Posłuszny czy nie, miał skończyć tak samo — na nadwiślańskim piachu.

Niedbale przełożyła broń do lewej ręki. Artur, który kiedyś miał okazję obserwować, jak robi notatki, wiedział, że równie sprawnie posługuje się jedną i drugą. Czarny otwór lufy był teraz znacznie bliżej. Jego doskonały kształt miał w sobie coś hipnotyzującego i na długo przykuł uwagę mężczyzny. Za to sama Izabela jeszcze mocniej wtopiła się w mrok. Znikła. Dziennikarz nie mógł widzieć, jak jej prawa dłoń z podziwu godną szybkością przeszukuje schowek na drzwiach samochodu, wyluskuje z niego strzykawkę napełnioną żółtą cieczą i wsuwa ją do przepastnej kieszeni kurtki. Był jedynym widzem wyreżyserowanego przez Izabelę spektaklu, a jednak umknął mu tak istotny szczegół fabuły. Kiedy ona odliczała minuty, on trwoniał je, gapiąc się w kawał stali, który miał nad nim nieograniczoną władzę. Mógł próbować ucieczki, ale był przekonany, że w odróżnieniu od policji Izabela nie będzie strzelać w niebo. Tutaj i tak nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć strzały. Pozostawała kwestia estetyki. Nie przypuszczał jednak, by widok krwi był w stanie ją powstrzymać.

Drzwi po stronie pasażera uchyliły się i jego towarzyszką wysiadła, ani na moment nie spuszczać swjej ofiary z oka.

— Dalej — ponagliła go, widząc, że się nie rusza. — Spacer dobrze ci zrobi.

Dobrze na co? — chciał zapytać, ale się nie odezwał. Wysiadł i ruszył przed nią po dość łagodnym zboczu na szczyt wału.

— Scena jak z kiczowatego filmu grozy — powiedział na górze, obejmując wzrokiem ginącą w ciemnościach ścieżkę, biegnącą

środkiem nasypu, pas drzew i zarośli, oddzielający ich od rzeki i pola rozciągające się za drogą, którą przyjechali. — Brakuje tylko księżyca. W pełni.

— Bawię się konwencją, zapomniałeś? — odparła Izabela, zmniejszając o krok dzielącą ich odległość. — Ale masz rację. Rzeczywiście brakuje księżyca.

— Niech szlag trafi ciebie i ten wampiryczny seans, będący wytworem chorej wyobraźni. Powinni cię trzymać z dala od księżek i od mężczyzn, którym zagraża twoje nadmiernie rozbudzone libido.

— Jak dowodzą znawcy tematu, mitologia wampiryzmu jest przede wszystkim mitologią erotyczną, mój drogi — wyjaśniła rozbawiona jego wybuchem Izabela. — To zjawisko zawsze było metaforą dla nieskrępowanej seksualności.

— Takiej jak twoja, co?

— Nie zapominaj, że ja nie należę do tego świata. Jestem tylko znudzonym badaczem, który postanowił dla zabawy ożywić od dawna martwą ideę.

— A słowo stało się ciałem — powiedział Artur, nie kryjąc rozgoryczenia. — Moim ciałem.

— Miałeś pecha...

— Ile mi zostało? — spytał, przypatrując się, jak stawia kroki. Lekko, jakby śmierć wcale jej nie ciążyła — Ile czasu? — uściślił.

— Co za różnica — wrzuciła ramionami. — Z pewnością mniej, niż byś chciał.

— Izabela, ja wciąż nie rozumiem — zaczął od nowa, jakby jeszcze miał nadzieję, że ta rozmowa może mieć inny przebieg. W rzeczywistości chciał tylko wytargować kilka minut więcej.

— Jesteś piękna i wykształcona. Masz pozycję, nazwisko. Po co ci to? Chcesz wszystko zniszczyć? Dlaczego to robisz?

— Będziesz musiał umrzeć, nie poznawszy odpowiedzi.

— Co takiego spotkało cię w życiu, że postanowiłaś odegrać się na kilku facetach? — nie zrezygnował Artur.

— Może nic — odparła sucho, rzucając mu złe spojrzenie.

— Może nic, o czym warto byłoby wspomnieć.

— Nie lubisz wspomnień. To tak jakbyś nie lubiła swojego życia.

— Niech mi pan oszczędzi tej psychoanalizy, panie doktorze. „Nie lubisz wspomnień” — zakpiła Izabela, doskonale naśladowując ton, jakim to powiedział. — Trudno je lubić, gdy się ich nie ma. Przynajmniej nie takie, do jakich wszyscy przywykli.

— A jakie?

— Chcesz się dowiedzieć? Ty będziesz jednym z moich wspomnień. *Post mortem*. Tylko takie kolekcjonuję.

Artur pomyślał, że dała się wciągnąć w słowną rozgrywkę. Ile mógł zyskać? Kwadrans? Nie był pewien, czy choć tyle. Mógłby stoczyć się ze skarpy w ciemność, ale zamiast to zrobić, prowadził dalej rozmowę, która, gdy się nad tym chwilę zastanowić, niezupełnie pasowała do konwencji.

— Nie wydaje ci się, że zabrnąłeś w ślepy zaułek? — zaczęła z innej beczki, starając się osłabić jej pewność siebie. — Że obstajesz przy swoim tylko dlatego, że kiedyś właśnie tak to zaplanowałaś? A tymczasem nie ma już w tobie ani przekonania, ani determinacji, by dociągnąć rzecz do końca.

— Skąd ty możesz o tym wiedzieć? — posłała mu pobłażliwy uśmiech.

Była blisko. Mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jej policzka. Miał nawet na to ochotę. Zabawa konwencją. Gdyby się roześmiał, Izabela z pewnością uznałaby go za wariata, a on nie miał zamiaru dzielić się z nią swoją refleksją, że jako „wampir” ma prawo do bardziej czułego pożegnania.

— Wszystko się zmieniło — powiedział tylko, śledząc jej reakcje.

— To znaczy co?

— To nie moja sprawa, ale jest przecież Cyryl. Będziesz mi udowadniać, że twoje wspomnienia jego też nie dotyczą?

— On nie ma z tym nic wspólnego — odparła, ale on i tak wiedział, że trafił w czułą strunę. Wbrew sobie poczuł zazdrość.

— Jak zamierzasz to przed nim ukryć? Dlaczego zwyczajnie nie zrezygnujesz? Jeszcze nie jest za późno. Po prostu zejdźmy do samochodu i jedźmy do domu. Nikt się nie dowie.

— Byłoby lepiej, gdybyś się w końcu zamknął, zamiast budzić moje sumienie.

— Sama powiedziałaś, że nim jestem.

— Będziesz — poprawiła go. — Nie przeinaczaj moich słów, bo tego nie lubię.

— Wybacz, zapomniałem. Przez wzgląd na dawne czasy... — uśmiechnął się złośliwie — ...nie powinnaś być aż tak małostkowa. W końcu to tylko słowo — zakończył niezbyt oryginalnie, zastanawiając się gorączkowo, czym jeszcze mógłby ją zająć, by odwrócić jej uwagę od myśli o zabijaniu. Przyszła mu do głowy pewna melodia, więc zagwizdał powtarzający się w niej motyw, który powinien być rozpoznawalny także dla Izabeli. Dokończyła za niego. Miała dobrą pamięć i niezły słuch. W nocnym powietrzu dźwięki wspinały się i opadały w dół po niewidzialnej pięciolinii.

— *Errors of My Way*. Wishbone Ash, rok 1970 — powiedziała, mierząc go spojrzeniem, które nagle złagodniało. Nie pasowało już do charakteru spotkania.

— Kiedyś rozmawialiśmy, używając piosenek. Pamiętasz? Nie było nam źle razem, prawda?

— Zaskakujesz mnie. Przykro mi, że się co do mnie pomyliłeś.

Nie sprawiała już wrażenia tak zdecydowanej, jak na początku rozmowy. Artur pomyślał, że ma coraz więcej wątpliwości.

— Wcale nie jest ci przykro, skoro nie przyznajesz się do naszych wspomnień — przypomniał jej.

— Przeszłości nie warto wspominać.

— Może twojej — odparł. — Pozwól, że ze swoją zrobię, co zechcę.

— Twoje prawo — zgodziła się, powoli opuszczając pistolet, jakby doszła do wniosku, że nie będzie jej już potrzebny.

Ucieszył się jak dziecko, gdy rzuciła go na ziemię. Leżał u jej stóp, złowrogi kształt, nagle pozbawiony znaczenia. Bezużyteczny

— Artur — powiedziała, a on nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zwróciła się do niego po imieniu. W jej ustach brzmiało inaczej. Miętko i odświeżenie. — To nie tak, jak myślisz.

— Powiedz mi, jak?

Podeszła i pocałowała go. Zaskoczony nie zdążył zareagować.

Poczuł ukłucie.

Rzeczywiście prawie nie bolało.

Jednak ona jeszcze nie skończyła. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła plastikowe pudełko, które przypominało etui na przybory do pisania, a z niego — wstrzykiwacz do insuliny. Nie spiesząc się, starannie wybrała dawkę.

Żył jeszcze, kiedy go znaleźli.

Nie zdołali go uratować.

Czas zgonu 0.07.

XVIII

Drobny, zacinający deszcz znaczyl przednią szybę samochodu milionami maleńkich dotknięć. Noc aż pojaśniała od ulicznych świateł, odbijających się w mokrym asfalcie. Samochód posuwał się ich śladem ze znaczną prędkością, nieuchronnie zbliżając się do celu. Cicho pracował silnik. Co jakiś czas rozlegał się skrzyp pracujących wycieraczek i jednostajny dźwięk włączonego migacza.

Obaj nie mogli pogodzić się z myślą, że się spóźnili. Liczyli się z tym, a jednak nie chcieli przyjąć do wiadomości tego, co zastali. Może gdyby Strzemiński nie żył, a oni od razu przykryli kocem jego ciało, byłoby im łatwiej. Gdyby nie musieli brać udziału w jego umieraniu. Żle czuli się w roli widzów, patrzących lekarzom na ręce. Kiedy się nad tym zastanawiali, w milczeniu pasując się z nabierającym kolorów poczućciem klęski, a może i winy, zaczynali rozumieć, że upłynie dużo czasu, nim sobie z nimi poradzą. Chociaż doświadczali podobnych emocji, miały one odmienne podłoże. Ten sam żal w ich przypadku zyskiwał nowy wymiar, bo tak naprawdę każdy z nich żałował czegoś innego.

Krzysztof nie mógł zaakceptować śmierci, której mógł zapobiec, gdyby włączył do poszukiwań większą grupę ludzi i zaczął w zupełnie innym miejscu. Jak miałby je wybrać, tego nie wiedział. By uniknąć tego, co się stało, musiałby zaangażować całą armię. Był tylko policjantem. Z pewnością nie był Bogiem.

Cyryl myślał o tym, że nie powstrzymał Izabeli, co w jego pojęciu było równoznaczne z tym, że jej nie ocalił.

W bloku .mimo późnej pory świeciły się jeszcze pojedyncze światła, jednak w oknach Izabeli było ciemno. Krzysztof zaparkował tuż przy bramie wjazdowej na osiedle.

— Przykro mi, stary — powiedział w ciemną przestrzeń, miłosiernie skrywając ich bólczki przed resztą świata.

— Chciałbym z nią porozmawiać — Cyryl wpatrzony w fantastyczne wzory, jakie deszcz pozostawiał na przedniej szybie, sprawiał wrażenie obecnego tylko ciałem. Myślni był w mieszkaniu na drugim piętrze i choć nie wiedział, co mógłby powiedzieć kobiecie, która tej nocy z pewnością na niego nie czekała, podjął już decyzję. Nie mogły jej zmienić ani argumenty, ani zakazy. Sobolewski nie zamierzał tracić energii na to, by mu się przeciwstawić.

— Nie pochwalam tego, ale rozumiem, że cię nie przekonam? — zapytał tylko, przewidując, jaką usłyszy odpowiedź.

— Raczej nie.

— Masz kwadrans. Pójdę z tobą i zaczekam na klatce schodowej.

— Zostań tutaj.

— Cyryl, ona...

— Co takiego?! — zachnął się mężczyzna. — Co: ona...

— Nic. Po prostu uważaj na siebie. Nie chcę już dziś oglądać żadnego ciała.

Cyryl zastygł w otwartych drzwiach samochodu.

— To tylko kobieta, z którą sypiam — powiedział dobitnie.

— Już nie — odparł Krzysztof. — Idź. Załatw sprawę do końca. I przestań wreszcie tak o niej myśleć.

— Przyjacielska rada? — w pytaniu czaiła się drwina.

Krzysztof westchnął.

— Tylko głos rozsądku — powiedział zmęczonym głosem. Jego twarz oświetlił na chwilę płomień zapalniczki. Zaraz zgasł, ale Cyryl i tak dostrzegł w oczach detektywa bezsilność i rozpacz, równie wielką, jak jego własna.

Chciał otworzyć swoim kluczem, ale Lestat usłyszał jego kroki i cicho zaskomlał pod drzwiami. Wobec tego zapukał i czekał cierpliwie, aż Izabela otworzy drzwi.

— Nie spodziewałam się ciebie — powiedziała, zaciągając mocniej pasek szlafroka. Wątle światło, padające z klatki schodowej, miękko ślizgało się po barwnym jedwabiu.

— Mogę wejść?

— Dotąd nie pytałeś — zauważyła.

Wpuściła go do przedpokoju.

Mieszkanie tonęło w mroku, który rozjaśniała jedynie niewielka lampka nocna, stojąca w sypialni przy łóżku. Stanąwszy w progu, Cyryl omiół pokój spojrzeniem i zauważył ślad głowy, utrwalony na poduszce. A więc ją obudził. Podczas gdy oni przeczesywali nadrzeczne zarośla tylko po to, by w końcu przekonać się, że spełniły się ich ponure przewidywania, ona spała, wolna od niepokoju, jakby miała zupełnie czyste sumienie. Przez ułamek sekundy łudził się, że to prawda. Wgłębienie odcisnięte w poduszce wyglądało tak obiecująco. Przeczyło świeżym obrazom, które podsuwała Cyrylowi pamięć. Choć bardzo się starał, nie mógł odwrócić wzroku od materiału, rozlewającego się wokół ciała jak świeża krew. Myślał, że już przywykł do tego widoku, ale nagle zrozumiał, że nie przywyknie nigdy. Wzdrygnął się, gdy stojąca za nim kobieta pieśczośliwym ruchem pogładziła go po plecach. Odwrócił się i spojrzał jej w twarz, ale nie dostrzegł w niej żadnej zmiany. Wciąż była piękna. Idealne opakowanie odwracało uwagę od tego, co kryło się wewnątrz.

— Znalazłem w łazience insulinę — powiedział nieswoim głosem, obserwując, jak zaskoczona Izabela mruga powiekami. Usiadła na brzegu łóżka i objęła się ramionami, jakby było jej zimno. Kwiecisty szlafrok miękkimi fałdami opadł na jej białe stopy.

— Co z tego? — spytała zaczepnie.

Mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Wsparty o framugę drzwi, długą chwilę przyglądał się pomalowanym na ciemny kolor paznokciom, nim zdecydował się podnieść wzrok. Izabela wpatrywała się w niego z namysłem. Może starała się przewidzieć jego słowa?

— Nie powinnaś była tego robić.

— Czego?

— Zabijać tego dziennikarza — odparł z wysiłkiem. Miał ochotę wrzeszczeć albo ją uderzyć, ale nie sądził, by to cokolwiek zmieniło. W każdym razie nikomu nie przywróciłoby życia. Powstrzymał się z największym trudem.

— Chyba wyciągnąłeś ze swojego odkrycia zbyt daleko idące wnioski. Posiadanie insuliny nie jest w tym kraju zabronione — zauważyła chłodno. Jej pogardliwy ton wydał się Cyryłowi zupełnie nie na miejscu. Przyszedł z nią porozmawiać, bo chciał zrozumieć. Oczekiwał szczerych odpowiedzi. Wierzył w okoliczności łagodzące, tak jak wierzył w to, co ich łączyło. Nie był przygotowany na mydlenie oczu. Stłumił złość i zaczął mówić jak do dziecka, spokojnym, ale kategorycznym tonem.

— Iza, nie ma już nic, co mogłabyś zyskać. Pod blokiem stoi radiowóz. Nie ma sensu kłamać.

— To przesłuchanie?

— Nie. Jeszcze nie — odparł cierpliwie. W ciszy mieszkania jego głos brzmiał jak mantra.

— To po co przyszedłeś? Żeby mnie stąd wyprowadzić?

— Jeśli tak myślisz, to znaczy, że nic nie rozumiesz. Nigdy nie rozumiałaś.

— Przykre przeświadczenie — uśmiechnęła się gorzko. — Więc do czego ci jestem potrzebna?

— Chciałbym to usłyszeć z twoich ust.

— Co na przykład?

— Zapewnienie, że tego nie zrobiłaś.

— Ja mam zapewniać ciebie? — powiedziała z niedowierzaniem. — Jesteś ostatnią osobą, która mogłaby ode mnie wymagać takiej deklaracji. I ostatnią, która miałaby prawo mnie oceniać.

— Zatem do czego mam prawo?

— Nie jestem pewna.

— A czego jesteś? — podniósł na nią głos. Zamknęła oczy.

— Nie krzycz.

— Nie krzyczę. Usiłuję zrozumieć, kim ty właściwie jesteś.

— A ty? — nie wytrzymała Izabela. Widząc, że mężczyzna nie zamierza się odezwać, dodała: — Jeśli nie masz mi nic do powiedzenia, nie zadawaj pytań, na które sam wolałbyś nie udzielać odpowiedzi.

Cyryl milczał, zastanawiając się, co powiedziała. Mówiła teraz bardziej do siebie, niż do niego.

— Niepotrzebnie się zjawiłeś — usłyszał. — To takie duże miasto, a my musieliśmy chodzić tymi samymi ulicami. Byłoby lepiej, gdybyś tamtego wieczoru po prostu wyszedł, kiedy powiedziałam, żebyś zostawił mnie samą.

— Żałujesz?

Nie doczekał się potwierdzenia. Kobieta podeszła do wieży stojącej naprzeciw łóżka, pod wiszącym na ścianie niewielkim telewizorem i do kieszeni odtwarzacza płyt CD wsunęła srebrny krążek. Przez chwilę szukała właściwego utworu. Z głośników popłynął chór zgranych męskich głosów. Śpiew podszyty melancholią.

— Znasz to? — spytała ze szczególnym wyrazem twarzy, który Cyryl nazwałby smutkiem, gdyby nie bał się uproszczeń. Zaprzeczył.

— Dostałam tę płytę od Artura. Wishbone Ash. Piosenka o naszych błędach. I winach — dodała po namyśle.

— Naszych? — zdziwił się.

— Twoich. Moich. I jego. Tak naprawdę to tylko tytuł. Resztę możesz dodać od siebie. Chyba, że jesteś bez grzechu — dodała z drwiną w głosie. — Powiedz mi, ile grzechów masz na sumieniu?

Nie zamierzał odpowiadać na podobne pytania.

— Naprawdę ci ją dał? Czy zwyczajnie ją sobie wzięłaś?

Wzruszyła ramionami.

— Myślałem, że jesteś kimś innym.

— Każdy jest kimś innym — uściśliła, uśmiechając się odrobinę cynicznie. — Życie jeszcze cię tego nie nauczyło? Kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć.

Cyryl popatrzył na nią z niepokojem. Nie podobał mu się ton jej głosu i szyderstwo, czające się w kąciku ust. Postanowił nie zwracać na

nie uwagi.

— Kto cię tak bardzo rozczarował? — zapytał, starając się ukryć zdenerwowanie.

— Ja urodziłam się rozczarowana — sprostowała Izabela. Milczała przez chwilę, szukając odpowiednich słów. — Wrodzona skaza. Odkąd pamiętam, szukałam sposobu na wypełnienie pustki. Za szybko połykałam życie. Sięgałam po kolejne stopnie wtajemniczenia wcześniej, niż mi się należały. Chciałam wszystkiego spróbować, ale za każdym razem osiągałam tylko tyle, że nowe natychmiast traciło swój urok. Przesztawało mi smakować. Zmieniłam moje życie w diabelski młyn, podobny do tego, z którego nie chciałam zsiąść w dzieciństwie. Do tej pory nie chcę. Świat widziany z wysokości jest lekki jak akwarela. Co mnie czeka, kiedy przestanie się kręcić, aja poczuję grunt pod nogami?

— Dlatego postanowiłaś zabić? Żeby zafundować sobie nowe doznania?

— Nazywaj to, jak chcesz. Łatwiej jest zabić, niż wyjaśnić dlaczego. Gdyby było odwrotnie, pewnie byłoby mniej ofiar.

— Aja? — spytał. — Pomyślałaś o mnie?

Zawahała się, nim odpowiedziała.

— Tak, to było kuszące — przyznała w końcu. Cyryl wiedział, że nie przyszło jej to łatwo. — Być z tobą. Na krótko albo na zawsze. W zależności od tego, czy nam dwojgu dopisałoby szczęście. Ale zjawileś się za późno. Karuzela za szybko się kręci. Nie zatrzymałabym jej nawet z twoją pomocą.

— Zatrzymałabyś, gdybyś tylko chciała.

— Więc może nie chcę.

— Powinnaś mieć do mnie więcej zaufania.,

— W zasadzie na nie nie zasługiwałaś. Muszę ci tłumaczyć, dlaczego?

— Nie, nie musisz — odparł szybko. Nie chciał, by to, co i tak oboje wiedzieli, zostało powiedziane głośno. — Ile czasu zamierzałaś zabawiać się cudzą śmiercią?

— Cóż, uzależniałam to od siły inspiracji — odparła, patrząc mu w oczy wyzywająco. — Gdy już się zacznie... Zresztą, po co ja ci to mówię — uśmiechnęła się z politowaniem. — W tej sytuacji czego jeszcze mogłabym się uchwycić?

Cyrylowi przyszła do głowy tylko jedna odpowiedź.

— Mogłabyś jeszcze zabić siebie.

Spojrzała na niego z zastanowieniem, a potem pochyliła głowę.

— Rzeczywiście — powiedziała. — Przynajmniej to można zrobić tylko raz. Własna śmierć zawsze jest czymś nowym. I rozczarowuje jedynie niedoszłych samobójców.

Sobolewski stanął przed drzwiami mieszkania i wsłuchał się w ciszę, panującą po drugiej stronie. Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Nie mógł dłużej zwlekać. Dany Cyrylowi kwadrans rozciągnął się do pół godziny. Policjanci w radiowozie marzli, ćmiąc papierosa za papierosem, i marzyli o nocy we własnym łóżku. Obiecał im następną. Sobie również, choć nie był pewien, czy uda mu się dotrzymać obietnicy. Zapukał delikatnie, a potem nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły bezgłośnie. Przed sobą zobaczył przedpokój, który tonął w ciepłej poświacie, przenikającej przez drzwi pokoju i znajdującej się na wprost łazienki. Żadnych dźwięków. Najbliższego szelestu, szeptu, głośniejszego wypowiedzianego słowa. Nic, co świadczyłoby o obecności.

Krzysztof zawsze najbardziej bał się wtedy, gdy musiał bać się o innych. Cisza, którą nie tylko słyszał, ale wręcz czuł wokół siebie, była gorsza od modulowanego brzmienia syreny alarmowej. Chciał krzyknąć, ale miał dość rozsądku, by nad sobą zapanować. Gdzie była Izabela? I gdzie podziewał się Cyryl? Na wszelki wypadek wyjął z kieszeni swojego Walthera kaliber 9 mm, którego darzył takim zaufaniem, jakby był przedłużeniem jego dłoni i starając się nie robić hałasu, podszedł do drzwi sypialni. Pchnął je delikatnie i rozejrzał się po słabo oświetlonym wnętrzu. Antropolog siedział w fotelu tyłem do wejścia. Nie ruszał się. Na podłodze leżał pogrążony we śnie doberman, który na widok intruza

poderwał się nerwowo. Cyryl odwrócił się i widząc policjanta, uspokajająco poklepał psa po grzbiecie.

— Przestraszyłeś mnie — powiedział z niesmakiem Krzysztof, który dopiero teraz odetchnął z ulgą.

— A ty mnie nie? Schowaj to — Cyryl wskazał na pistolet.

— Nie sądzisz chyba, że będzie potrzebny?

— Gdzie ona jest?

— Ubiera się. Powiedziałem jej, że będzie miała jeszcze jednego gościa. Nie chciała cię przyjmować w szlafroku.

— Daruj sobie ironię i idź po nią — poradził Sobolewski, marszcząc brwi. — Za długo się z nią cackamy. Gdyby nie ty, wygarnęlibyśmy ją bez tych ceregieli.

— Wiem. Dziękuję ci.

— Daj spokój. Zabieramy się stąd. Szkoda czasu.

Cyryl podszedł do drzwi łazienki. Lestat wstał i leniwie poszedł za nim. Długie, smukłe nogi stawiał jak tancerz.

— Izabela? — zagadnął mężczyzna półgłosem. — Wyjdź już. Czekamy.

Nie było odpowiedzi. Zawołał jeszcze raz, nieco głośniejszym głosem, nie zdecydowanie zapukał. Wewnątrz panowała cisza. Drzwi były zamknięte od środka. Przez otwory nad podłogą nic nie było widać. Zaalarmowany Krzysztof wypadł z sypialni.

— Proszę otworzyć, policja! — zawołał i przytknął ucho do chłodnej powierzchni.

Nic. Nawet szmeru.

Po twarzy Cyryla przemknął cień. To już nie był niepokój, ale nagły, trudny do opanowania strach, wywołany przekonaniem o nieuchronnej katastrofie.

— Odstrzel zamek — powiedział do Sobolewskiego nie- swoim głosem, czując, jak słowa z trudem przechodzą przez jego ściśnięte gardło.

— Zrobię jej krzywdę.

— Mało prawdopodobne. No, dalej — ponaglił przyjaciela, który patrzył na niego nieufnie. — To duża łazienka. Uwierz mi, nie mamy wyboru — dodał, odsuwając się na znaczną odległość i gorączkowo szukając telefonu, by wezwać karetkę. Trzęsły mu się ręce.

W pogrążonym we śnie budynku huk zabrzmiał jak wystrzał armatni. Lestat rozszczeakał się, kryjąc przerażenie pod maską zajadłości. Cyryl, zdjęty niezrozumiałym dla siebie współczuciem, pogłaskał psa po wąskim, mądrym pysku. Przyszło mu do głowy, że być może w najbliższych minutach ktoś i jego potraktuje po ludzku, widząc, że tego akurat potrzebuje.

Ujądanie przeszło w skowyt, który na próżno starali się uciszyć.

Pierwszy wszedł Krzysztof. Cyryl, oślepiiony blaskiem umieszczonych pod sufitem halogenów, których liczbę zwielokrotniały jasne kafelki o błyszczącej powierzchni, patrzył na wszystko zza jego pleców, dziękując Opatrzności za to, że ograniczają mu widok.

Izabela w kwiecistym szlafroku siedziała oparta o półokrągłą wannę. Głowa bezwładnie opadła jej do przodu, tak, że włosy niemal zupełnie zasłoniły twarz. Dłonie ginęły w fałdach szerokich jedwabnych rękawów. Na podłodze tuż obok leżał pusty wstrzykiwacz do insuliny. Wyobraził sobie, jak upada z ledwie słyszalnym stuknięciem na imitującą kamień terakotę.

Krzysztof pochylił się nad ciałem. Było blade i wilgotne. Nie mógł wyczuć tętna.

— Nie żyje — powiedział po kilku nieskończenie długich sekundach, patrząc przyjacielowi w oczy. — Zajęłaby tę samą celę, w której trzymaliśmy Strzemińskiego. Gdyby się nie wymknęła — dodał, żeby zagadać ciszę.

Cyryl nie słuchał. Milczał.

Przed oczami miał wyludniony plac i stojący na nim diabelski młyn, pogrążony w bezruchu.

Epilog

Pociąg relacji Warszawa Wschodnia — Szczecin Główny odjechał bez opóźnienia. Ewa usadowiła się wygodniej, wyłączyła telefon komórkowy, którego nie zamierzała odbierać przez kilka następnych godzin i popadła w zadumę. Nie sądziła, by w czasie podróży ktokolwiek chciał do niej dzwonić, może poza byłym mężem, który z maniackim uporem uprzykrzał jej życie swoim milczeniem. Zaczynała się do tego przyzwyczajać, podobnie jak do myśli, że w Szczecinie nie będzie Krzysztofa, mogącego uratować ją przed strachem i przeszłością, której się wstydziła.

Ani on, ani Cyryl nie potrzebowali już jej pomocy. Mieli swoje kłopoty i sprawy, w które nie chcieli jej wtajemniczać. Radzili sobie z nimi po swojemu. Pracując, milcząc i gasząc w popielniczkach kolejne papierosy. Męski świat, do którego ona nie mogła wejść bez zaproszenia. Gdyby miała dość rozumu, wyjechałaby zaraz po śmierci Izabeli. Nie zrobiła tego ze względu na Cyryła, choć on i tak nie dostrzegał jej obecności, jeśli w ogóle bywał w domu.

Tego popołudnia po prostu spakowała torbę i wyszła, nie żegnając się z nikim i marząc tylko o tym, by wreszcie znaleźć się na swoim miejscu. Lepiej późno niż wcale, zdecydowała w myślach i na jej twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech. Zbliżały się święta. Z nieba znowu padał biały puch, a ona mimo ciemności starała się dostrzec wirujące w powietrzu płatki, osiadające na polach, dachach domów i nagich, czarnych gałęziach.

Obudził ją szelest przesuwających się drzwi przedziału. Otworzyła oczy. Inni podróżni musieli wysiąść na poprzedniej stacji, bo była sama, nie licząc Tomasza, wpatrującego się w nią z aroganckim uśmieszkiem przyklejonym do warg.

— Dzisiaj bez Cerbera? — spytał, przyglądając się jej z upodobaniem, jakby była jego własnością, i to taką, z której był szczególnie dumny.

— Co ty tutaj robisz? I o co ci chodzi? — Ewa wtuliła się w kanapę, ale to nie mogło zwiększyć dzielącej ich odległości, która kurczyła się z każdym krokiem jej byłego męża. Przystojnego, dobrze ubranego mężczyzny, którego nie zdołał złamać nawet pobyt za kratkami. Tomasz miał ochotę się rozgościć.

— Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, złotko — mrugnął do niej i usiadł naprzeciwko, wyciągając nogi daleko przed siebie — to postanowiłem dotrzymać ci towarzystwa, żebyś się nie nudziła. Co do Cerbera, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nie widziałaś, jak przez kilka ostatnich dni depcze ci po piętach? Odprowadził cię na dworzec i wsadziwszy do pociągu, niemal pomachał na pożegnanie.

Ewa, której przyszło do głowy, że Krzysztof przejął się głuchymi telefonami bardziej, niż wskazywałoby na to jego zachowanie, przeklęła w duchu jego stanowczość i umiejętność skrywania emocji. Musiała na kimś wyładować złość.

— Czego ode mnie chcesz? — spytała zimno, nie spuszczać z mężczyzny złego spojrzenia. — Gadaj! A potem zabieraj się stąd w cholerę.

— Nie tak ostro, moja pani. Staram się jedynie pokazać ci, że zależy mi na tym, by nasze przyszłe stosunki były poprawne. Ja nie chowam urazy, ale widzę, że ty tak. I przyznam, że nie rozumiem, dlaczego, skoro to ja odsiedziałem wyrok za nas dwoje.

— Przypominam ci, że nie postawiono mi żadnych zarzutów.

— Tak, oczywiście — mruknął Tomasz. — Ale trudno nazwać twoją uczciwość kryształową, prawda?

— Wynoś się, i to już, albo zawołam konduktora.

— Straszysz mnie? — roześmiał się, jakby ubawiła go jej złość. — Daj spokój. I co mu powiesz? Przecież tylko sobie konwersujemy.

Drzwi przedziału uchyliły się znowu i pojawiła się w nich gęsta czupryna mocno poprzyetykana siwizną.

— Czy ten pan ci się narzuca? — spytał Sobolewski, kwitując uśmiechem jej westchnienie ulgi.

— W zasadzie tak — odparła, czując, jak jej ciało odpręża się i ogarnia ją błogi spokój.

— Ma pan świadomość, że nie powinien pan naruszać zasad zwolnienia warunkowego? — upewnił się policjant, patrząc na mężczyznę z chłodnym zainteresowaniem, wyzutym z wszelkiej życzliwości.

— A kto pyta?

Krzysztof pokazał mu legitymację.

— Więc jak?

Tomasz, zbity z pantałyku, tylko pokiwał głową. Jego arogancki uśmiech zniknął bez śladu. Krzysztof kontynuował.

— Wydaje mi się, że sąd zabronił panu zbliżać się do byłej żony, nie mówiąc już o nękanii jej telefonami, nachodzeniu i pozostawianiu na wycieraczkach wątpliwych dowodów sympatii? Wolność ci zbrzydła? Mam poinformować o tym kogoś, kto ułatwi ci powrót do więziennej rzeczywistości?

— To nie będzie konieczne.

— To zjeżdżaj stąd i żebym cię więcej nie widział.

Były więzień wstał i ruszył do drzwi. Był odrobinę wyższy od Sobolewskiego i z pewnością lepiej zbudowany. Nim wyszedł na korytarz, rzucił detektywowi spojrzenie pełne tłumionej wściekłości.

— Skuteczny jesteś — powiedziała Ewa, nie kryjąc podziwu.

— Powiedzmy, że umiem dobierać argumenty. Jeszcze jedna umiejętność, która przydaje się w pracy—wyjaśnił Krzysztof i spoważniał. — Mogę się przysiąc?

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że jedziesz do Szczecina?

— Jadę — przytaknął. — Na urlop. Przymusowy.

— Nie rozumiem — zdziwiła się. — Co to znaczy?

— To znaczy, że mam odpocząć i przemyśleć swoje błędy. A tak naprawdę przez miesiąc nie pokazywać się na oczy wkurzonemu

przełożonemu, który teraz stara się uratować mój tyłek. Przez cztery tygodnie emocje opadną i sprawa przyschnie. Świat znowu będzie taki, jak dawniej, a Sobolewski wróci do łask.

– Przecież ty nie popełniasz błędów – zauważyła Ewa, licząc, że go rozbawi. Ale on się nie uśmiechnął.

– Popelniam, moja droga, i to nie błędy, a grzechy kardynalne. Zaniechanie, nieostrożność, brak wyobraźni, niedostateczna kontrola nad rozwojem wydarzeń, nieprzestrzeganie procedur.. Mało? Dodaj do tego jeszcze dwa ciała, które trzeba odnotować w aktach.

– Zamknąłeś sprawę.

– Nie rozśmieszaj mnie. Ona ją zamknęła. Wybierając takie, a nie inne rozwiązanie.

– Krzysztof, już po wszystkim – przypomniała mu, licząc, że zmieni temat.

– Może. Ale powiedz to Cyrylowi.

Milczeli zapatrzeni w ciemne okno, przez które niewiele było widać.

– Co będziesz robił w Szczecinie? – spytała w końcu Ewa, której zaczęła przeszkadzać otaczająca ich cisza.

– Nie wiem. Zabiorę cię na kolację. Do kina. Na spacer – powiedział otwarcie, odrywając wzrok od szyby. – Zabawię się w twojego ochroniarza. Zatrudnisz mnie?

– Dlaczego miałabym to robić?

– Bo kiedy cię pytałem, czy nie chciałybyś dać nam szansy, w gruncie rzeczy nie powiedziałaś „nie”.

– A co powiedziałam?

– Nie próbuj mi wmawiać, że nie pamiętasz. Jesteś dobra w udzielaniu wymijających odpowiedzi i chowaniu głowy w piasek, ale to nie odmowa. To zaledwie działanie na zwłokę.

– Myślisz, że tak dobrze mnie znasz?

– Nie – zaprzeczył, wpatrując się w nią jasnymi oczami z miejsca, na którym jeszcze kilkanaście minut temu siedział Tomasz. – Usiłuję tylko coś ci wyjaśnić. Nie chcesz mnie zawieść, zgoda. Ale zrozum, mnie

nie obchodzi twój strach. Nie dbam też o przyszłe rozczarowanie. Nie można żyć w ciągłej defensywie.

— A jeśli nam się nie uda? — spytała, myśląc o dotychczasowych porażkach, które ciążyły jej jak zbyt duży bagaż. — To się przecież ciągle zdarza.

Krzysztof nie podzielał jej pewności.

— Ciągłe? A nie tylko czasem? — zdziwił się, uśmiechem odbierając znaczenie ponurym przewidywaniom. — Cóż, jeśli nam się nie uda, nauczymy się cieszyć samotnością.

— Wydawało mi się, że to już umiemy — zauważyła Ewa, przyglądając się mężczyźnie z nagłym zainteresowaniem.

Pokręcił głową.

— Błąd, moja droga. Tego uczą się tylko niektórzy. I nawet im nauka zajmuje całe życie.

Umarli nie mogą złożyć stosownych wyjaśnień, myślał z żalem Cyryl, obracając w palcach fotografię mężczyzny, którą Sobolewski znalazł w mieszkaniu Izabeli. Nie są w stanie niczemu zaprzeczyć. Powiedzieć, czy zeznać pod przysięgą, że nigdy nie widzieli mężczyzny, którego zdjęcie ktoś zostawił przez pomyłkę. Zapomniał zabrać. Podrzucił. Zgubił. Umarłym wmówić można każdą winę. Nawet popełnione pół roku wcześniej morderstwo włóczęgi z fotografii, który spał na przystankach, zbierał puszki po piwie, kolekcjonował pety, i choć wszyscy go znali, nikt nie zauważył, gdy zniknął. Zabawne. Był nikiem, czy też... niczym. Wyrzutkiem, który sam się skazał na społeczny ostracyzm. Cyryl znał jego twarz niemal tak samo dobrze, jak własną. Dawno temu uwiecznił ją na zdjęciu. Potem zrekonstruował na podstawie czaszki zamordowanego o nieustalonej tożsamości. Nie było jej na fotografiach w policyjnej bazie danych, bo nikt nie zgłosił zaginięcia. Nikt o niego nie pytał. I nikt go nie szukał.

Jeszcze jedna historia samotności.

Przyszło mu do głowy, że być może oddał tamtemu przysługę.

Rekonstrukcja była udana. Wierna. On sam dobrze o tym wiedział. Potwierdzała to także podobizna, którą miał przed sobą. Musiała mu wypaść, choć to dziwne, że tego nie zauważył. Nie podejrzewał, by Izabela szperała w jego rzeczach. Przetrzęsała torbę czy kieszenie kurtki. Zdjęcie sprzed kilku miesięcy nosił w notesie jak trofeum, choć w rzeczywistości było znakiem, że jest gotów oddać się pokucie. Długo jednak nie było nikogo, kto byłby gotów wysłuchać jego spowiedzi.

Cyryl od dawna chciał podzielić się z kimś opowieścią własnego autorstwa. Uległ pokusie tamtego wieczoru, który rozpoczął samotnie wypitym winem, a skończył nad ranem w mieszkaniu Strzemińskiego. Izabela milczała, gdy mówił o seryjnym mordercy, przeciwko któremu toczyło się śledztwo. Nowa historia Krawca nie przypominała jednak tej, którą streścił Ewie zaraz po jej przyjeździe. Była bardziej barwna i zasobna w detale. Tym razem Cyryl nie zamierzał nic ukrywać. Całun, krępowanie ciał, moneta między zębami, zastrzyk usypiający, wreszcie insulina... Przedstawiał fakty tak, jakby zdradzał znane już szczegóły dochodzenia. Pomiął tylko tożsamość mordercy, choć przez chwilę miał ochotę wymówić własne nazwisko.

Miał nadzieję, że Izabela potraktuje jego opowieść jak próbę podzielenia się z nią zawodowym problemem. Sprawozdanie z trudnego śledztwa, w którym miał swój udział. Ale ona czytała między wierszami. Odgadła prawdę, choć nie dała tego po sobie poznać. Nie tylko wiedziała, ale wykorzystwała jego wskazówki z drobiazgową dokładnością. Stała się kimś, kim nie była. Stała się nim samym.

Co powiedziała Arturowi, zanim go zabiła? Żałował, że już się nie dowie. Podobnie jak tego, czyjej uwierzył.

Listy, które pisała do Strzemińskiego, przeczytał dopiero po jej śmierci. Gdy w łazience, nad ciałem, od którego długo nie mógł oderwać wzroku, pochylili się technicy, Sobolewski zaprosił go do pokoju, by pokazać mu to, co znalazł. Monitor laptopa rzucał srebrną poświatę na ciemny blat stołu. Cyryl bez ciekawości przyjrzał się liście dokumentów, która pojawiła się na ekranie.

Były tam, skatalogowane w specjalnym folderze, ukrytym wśród wielu innych, których tytuły nie wywoływały żadnych skojarzeń i nie budziły podejrzeń. Pół setki krótkich tekstów, napisanych z nienawiści, chęci zemsty lub zabawienia się cudzym kosztem. Pięćdziesiąt dowodów winy, którą zdjęła z jego ramion. Musiała wysłać je od dawna. Znacznie wcześniej, niż on zdecydował się powierzyć jej swoją tajemnicę.

Przebiegając wzrokiem kolejne zdania, które odślaniały przed nim portret nieznannej Izabeli, nie mógł uwierzyć, że byli do siebie tak bardzo podobni. Niektóre jej przemyślenia i sformułowania brzmiały jak jego własne. Nazywała ciało *kokonem motyla, najdoskonalszym zbiorem komórek*. Wiedział, co chciała przez to powiedzieć. Że człowiekowi nie wolno uczynić nic, by je zniszczyć. I że zasługuje na szacunek. Czytając, zdał sobie sprawę, że Izabela, zmierzwszy się z faktami, podanymi do publicznej wiadomości w pierwszym reportażu Strzemińskiego, wykorzystała je do napisania okrutnej baśni w odcinkach, mającej wszelkie pozory realności. Wymyśliła mordercę, motyw i ofiarę. Jej wyobraźnia, przyzwyczajona do konfabulacji na temat śmierci, chętnie poddała się sugestywnej wizji.

Krawca stworzyła na swój obraz i podobieństwo. Wyposażyła go we własne myśli, wady i niedostatki. We własne lęki. Przekazała poczucie własnej wartości i arogancję, którą trudno byłoby uznać za zaletę. Mimo to Cyryl musiał przyznać, że wymyśliła go lepiej niż on, bo dała mu fantazję, której nie miał i przekonanie, którego nie podzielał. Przypisała mu szereg motywów, podczas gdy on chciał tylko odegrać się na świecie żyjących za nędzę śmierci i nieludzką skłonność do destrukcji.

Szukał piękna tam, gdzie go nie było.

Jego starania musiały zakończyć się niepowodzeniem.

Śmierć zawsze będzie śmiercią, bez względu na okoliczności, kolory i atrybuty. Śmierć zadana z rozmysłem zawsze będzie aktem terroru. Estetyczna czy nie, naturalna czy nagła — niezmiennie wiązać się będzie z rozkładem, smrodem i robactwem. Uświadomiła mu to już pierwsza ofiara. Ta, którą zabił na próbę. Mężczyzna ze zdjęcia. Po śmierci,

podobnie jak za życia, nie miał w sobie nic majestatycznego. Wyblakła purpura z czasem zaczęła przypominać szmatę. Ciało rozpadło się, stając się tym, od czego miał ochotę uciec.

Mimo to nie mógł przestać. Może dlatego, że wciąż nie był w stanie tego zaakceptować. Chciał być artystą wśród morderców. Próbował udowodnić sobie i światu, że śmierć może być kompozycją, wywołującą zachwyt i podziw.

Jedyną osobą, która miała okazję mu przeszkodzić, była Ewa. Chyba właśnie po to ściągnął ją do Warszawy. Nocny telefon był zaproszeniem do ujawnienia dwoistości jego natury. Zachętą. Przyzwoleniem. Prośbą o pomoc. Ewa go zawiodła. Nie okazała się dość bystra.

Kserokopia pracy Rafała Wilka stała na najwyższej półce regału, zajmującego długą ścianę w jego przedpokoju. Tuż nad książką Grossa, która uwolniła w głowie Ewy ciąg skojarzeń i zaprowadziła ich do Izabeli. Wyglądała niepozornie. Kilkadziesiąt zbindowanych kartek. Biały plastikowy grzbiet.

Nic, po co chciałoby się sięgnąć. Cyryl zaopatrzył się w nią po studiach. Wtedy jeszcze gromadził interesujące opracowania archeologiczne. Myślał nawet, że będzie pracował naukowo. Później o niej zapomniał.

Nie szukał inspiracji. Po prostu pewnego dnia znowu wpadła mu w ręce, a on w jednej chwili właśnie tak je sobie wyobraził. Nagie ciała, blade i chłodne jak antyczne marmurowe posągi. Leżące w pozach, które zobaczył na rysunkach, skrępowane lub swobodne, ze srebrnym krążkiem wciśniętym między zęby. Teatralność rekwizytów sprawiała, że wydawały się ułudą. I były piękne, co do tego nie miał wątpliwości. Dostrzegł ich urok, choć obraz rozmył się i znikł. Chwila olśnienia minęła. Wtedy jeszcze nie wiedział, że szkarłat tkaniny i biel ciał tak doskonale będą wychodzić na zdjęciach, ale zdążył pomyśleć, że byłby do tego zdolny. Skoro codziennie musiał oglądać znaczne gorsze widoki, dlaczego nie miał zapewnić sobie bardziej estetycznych doznań? Myśl na chwilę napełniła go niepokojem. Później nauczył się ją znosić, a nawet analizować, gdy zrozumiał, że nie umie się od niej uwolnić.

Lubił stworzony przez siebie rytuał. Wzbogacał go co jakiś czas o nowe elementy. Wymyślał je sam lub korzystał z podpowiedzi. Niektóre doskonale pasowały do jego koncepcji zbrodni, którą chciał postrzegać w kategorii sztuki. Srebrny obol niczym przepustka na tamtą stronę. Sznur, którym wiązał zwłoki po śmierci, jako jego protest przeciwko przemocy. Nie chciał zadawać bólu. Grymas cierpienia, utrwalony na twarzy ofiary, źle by się komponował z połyskliwym jedwabiem w królewskim kolorze. Porfirogeneci – zrodzeni z purpury, a może w purpurze – mówiło się kiedyś o władcach Bizancjum, którzy przychodzili na świat po wstąpieniu ich ojców na tron. Nikt nie wątpił, że przydomek dotyczył nielicznych, lecz wiązał się z licznymi przywilejami. Śmierć, którą Cyryl rozdawał szczęśliwym wybrańcom, purpurowa śmierć, jak miał ochotę ją nazywać, w jego pojęciu także była przywilejem. Miała w sobie coś malarskiego. Była unikalna. Niezwykła. Przypominałaby happening, gdyby nie była prawdziwa.

Nie bez powodu mówi się, że ludzie zawsze widzą to, co chcą zobaczyć i wierzą w to, w co chcą uwierzyć. Nic dziwnego, że wydarzenia interpretują we własny, często pokrętny sposób. Cyryl nie szukał mężczyzn należących do jakiejś przedziwnej kategorii. Wybierał wyłącznie tych, którzy wydawali mu się słabsi od niego. Szczupłych, niewysokich, wręcz niepozornych. Nie szukał w nich defektów ani nietypowych zdolności. Nie zastanawiał się, czy są zdrowi. W dwóch przypadkach miał szczęście. W trzech innych zaskoczenie było wystarczającym atutem.

Ludzie zawsze widzą to, co chcą zobaczyć... Może dlatego Strzeziński wciąż znajdował leżące nad Wisłą ciała. Potrafił być uważnym obserwatorem. Jego życie polegało na tropieniu. Wyglądało na to, że on jeden sam był sobie winien.

Copyright © Katarzyna Długosz-Rygiel 2009

Projekt okładki: XAUDIO

Okładka wykorzystana z audiobooka

Konwersja na podstawie wydania papierowego

Gra w czerwone, wyd. I, 1.09.2009

skan i konwersja do epub

eLJot